P. 9786 Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/496 - 2/497 1989

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

E. SKALSKI : **CZARNA DZIURA**

R. KOSTRZEWA : **ROZMOWA Z JOHNEM LENCZOWSKIM**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

St NOWICKI : **TAJEMNICA STAWISKA**

NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1988

SPIS RZECZY

Tomasz Janowski: *Ostatni moment na powrót: o „Solidarności" w okresie przejściowym. Rozmowa z Maciejem Jankowskim* .. 3
Ernest Skalski: *Czarna dziura* 17
Andrzej Jerzewski: *Wytrwali. Rozmowa z Elżbietą Misiak* 24
Wojciech Bolanowski: *Dzień, który będą wspominać* 31

WIERSZE

Filip Istner: *To już* 35
Maria Kurecka: *Zmierzch* 36
Agata Mamoń: *Widok z okna* 37
Tadeusz Nowak: *Siódmy pacierz azjatycki; Jedenasty pacierz diabelski* 38

ARCHIWUM POLITYCZNE

Robert Kostrzewa: *Od Reagana do Gorbaczowa. Rozmowa z Johnem Lenczowskim* 40
Leopold Unger: *Widziane z Brukseli* 50

K R A J

Witold Charłamp: *Dziennik zewnętrzny* 63
Elżbieta Mika: *Krajobraz po lawinie* 73
Natalia Gorbaniewska: *W Polsce — rozproszone notatki* 78
Renata Głowacka: *Wywiad z Grzegorzem Nawrockim* .. 94

SPRAWY I TROSKI

Bohdan Paczowski: *Tu i tam* 102
Wiktor Grotowicz: *Polskojęzyczna rozgłośnia w Kolonii* .. 105

SĄSIEDZI

— *Polonia sowiecka* 108
Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 112
(amp): *Kronika czeska i słowacka* 118
Józef Darski: *Kronika białoruska* 122
E. Żagiell: *Kronika litewska* 125
A. J. Chilecki: *Odpowiedzi Czytelnikom „Kroniki niemieckiej"* 127

KRONIKA KULTURALNA

Stanisław Nowicki: *Tajemnica Stawiska* 129
Florian Śmieja: *Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej. Rozmowa z Marią Danilewicz Zielińską* 148
Renata Gorczyńska: *Następcy Faulknera poszukiwani* 157
— *Komunikat w/s stypendiów im. Stanisława Lama* 167

NAGRODY „KULTURY" ZA ROK 1988

— *Nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Stanisław Swianiewicz* 168
— *Nagroda literacka im. Zygmunta Hertza — Wojciech Skalmowski (Maciej Broński)* 169
— *Nagroda przyjaźni i współpracy — bezimiennie* 170

WOLNA TRYBUNA

Rafał Grupiński: *Kolabokracja czy insurekcja?* 171

(Dalszy ciąg Spisu Rzeczy na str. 224)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1989

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 39-ty — $ 100,00	F. 600,00
Zbigniew Brzeziński, McLean, VA (USA), po raz 19-ty — $ 1.000,00	F.6.000,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 14-ty — $ 106,00	F. 636,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA), po raz 18-ty — $ 25,00	F. 150,00
Dla uczczenia pamięci Ojca, Stanisława Potulickiego z Ostryni, zmarłego 25 listopada 1988 r. w Los Angeles — Synowie — $ 50,00	F. 300,00
Krystyna Dziembowska, Moraga, CA (USA) — $ 20,00	F. 120,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 10-ty — $ 103,00	F. 618,00
Józef K. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA), po raz 6-ty — $ 33,00	F. 195,30
Leszek Labno, Nussbaumen (Suisse), po raz 10-ty	F. 520,00
Prof. dr Kazimierz Łaski, Wiedeń, po raz 16-ty	F. 400,00
Wilhelm Matykiewicz, Old Bethpage, NY (USA), po raz 16-ty — $ 7,00	F. 42,00
Irena i Andrzej Michalscy, St. Catharine, ON (Kanada)	F. 220,00
M.I., Michigan (USA), po raz 4-ty — $ 1.020,00	F.6.120,00
Witold i Renata Mikułowscy, Conakry (Gwinea), po raz 10-ty	F. 640,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 17-ty — $ 25,00	F. 150,00
Michael S. Ochalski, Highland Park, IL (USA), po raz 15-ty — $ 25,00	F. 150,00
Pamięci Zygmunta Ciesielskiego, kpt. A.K. zmarłego 15 grudnia 1963 r. — Rodzina	F. 170,00
B. Partyka, Port Orange, FL (USA), po raz 9-ty — $ 25,00	F. 150,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci przyjaciół naszych Elżbiety i Janusza Tyszkiewiczów — $ 100,00	F. 600,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 21-szy — $ 56,00	F. 336,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 35-ty — $ 100,00	F. 600,00
Elżbieta Rybczyńska, Paryż	F.1.000,00
Edward L. Salamoński, Petersburg, FL (USA), po raz 7-my i 8-my po $ 20,00	F. 240,00
Prof. Alexander M. Schenker, Hamden, CT (USA) — po raz 19-ty — $ 43,00	F. 258,00
Czesława i Jan Seremak, Encinitas, CA (USA), po raz 12-ty — $ 50,00	F. 300,00
Wojciech Siciński, Le Chesnay (Francja) — dla uczczenia 80-lecia urodzin Ojca, Józefa Sicińskiego zmarłego w czerwcu 1988 roku	F. 520,00
Dr Wł. W. Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 12-ty — $ 32,00	F. 192,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 29-ty — $ 75,00	F. 450,00
Studium Polski Podziemnej, Londyn — £ 20.00	F. 218,00
S. Szynalski, St. Agathe, MB (Kanada), po raz 12-ty — £ c. 67,00	F. 335,00
Dr Stefan Wowczak, Wedemark (RFN), po raz 9-ty	F. 240,00
Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 24-ty — $ 422,00	F.2.532,00
Zamiast tegorocznej choinki dla śp. mego męża, Henryka Weynerowskiego — Hanka Kali — $ 100,00	F. 600,00
Bezimiennie z Ottawy, po raz 9-ty	F. 400,00

DZIĘKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

1989 w 1036

P. 9786

Ostatni moment na powrót*

(O „SOLIDARNOŚCI" W OKRESIE PRZEJŚCIOWYM)

TOMASZ JANOWSKI: — *„Solidarność" znajduje się niewątpliwie w okresie przejściowym. Zanim jednak porozmawiamy o dniu dzisiejszym, spróbujmy sporządzić pobieżny bilans, jak dzieje „Solidarności" wpływają na jej obecny kształt.*

MACIEJ JANKOWSKI: — Myślę, że szesnaście miesięcy między Sierpniem i Grudniem możemy właściwie pominąć. Wprawdzie wszyscy się jakoś do tego okresu odwołują, ale ówczesny sposób funkcjonowania związku nie bardzo znajduje odbicie w późniejszej działalności. Ogólnie rzecz biorąc w ludzkiej świadomości utkwiło, że „Solidarność" to było coś dobrego. I tyle. Jest to zrozumiałe szczególnie u młodych, którzy nie bardzo pamiętają, co się wówczas działo i wśród których funkcjonują pewne ogólne hasła czy pojęcia typu strajk, zjazd, porozumienia, stan wojenny i świadomość, że „Solidarność" była pierwszym po wojnie tak wielkim ruchem w obronie pracowników i udowodniła samym swym istnieniem, że możliwa jest samoorganizacja społeczeństwa na wielką skalę. Ponadto „Solidarność" funkcjonuje jako pewien zespół wartości etyczno-moralnych potwierdzony przez Papieża.

Natomiast obecny kształt „Solidarności" znacznie więcej niż szesnastu miesiącom zawdzięcza stanowi wojennemu. Od wprowadzenia stanu wojennego, a już na pewno od końca 1983 roku,

---

* Z Maciejem Jankowskim, spawaczem zatrudnionym na Uniwersytecie Warszawskim, członkiem RKW „Mazowsze", rozmawia Tomasz Janowski.

czyli od końca masowych demonstracji, „Solidarność" zamyka się w osobnych kręgach, przestaje być organizacją masową, choć nadal znaczna część społeczeństwa identyfikuje się z jej warstwą symboliczną, rzekłbym, ideowo-emblematową. Zostało to oczywiście wymuszone przez warunki długotrwałej konspiracji, która wytworzyła swe własne elity, kręgi towarzyskie czy środowiskowe sposoby działania, siłą rzeczy ewoluujące ku formom zamkniętym. Na ile to było silne, widać zwłaszcza obecnie, gdy próby ponownego wyjścia do działalności jawnej w znacznej mierze są skrępowane przyzwyczajeniami stanu wojennego (trwającego wszak znacznie dłużej niż legalna działalność). Mówiłem już kilkakrotnie, że według mnie istnieje obecnie kilka „Solidarności", nie wrogich sobie, ale osobnych. Oprócz „Solidarności" robotniczej, zakładowej jest to przede wszystkim „Solidarność" ekspertów, którą zresztą teraz, w trakcie przygotowań do okrągłego stołu, widać szczególnie wyraźnie. Jest to krąg ludzi powiązanych nie tylko postawą opozycyjną, wspólnotą czy podobieństwem poglądów (choć rozbieżności bywają bardzo duże), ale również związanych towarzysko, a także swego rodzaju pozycją społeczną i środowiskiem, w którym wspólnie działają. Mówiąc dosadnie, jest to dość szczelnie zamknięty krąg omawiający sprawy sam ze sobą; krąg, który zatracił zdolność przechodzenia do szerszych warstw społecznych, nie zwracający się do nich w żadnej właściwie sprawie, a przecież nieustannie przemawiający w imieniu tych właśnie szerokich warstw. Sposobem komunikowania się są dla nich przede wszystkim oświadczenia, ale gdyby zanalizować ich język, to okazałoby się, że znów zwracają się sami do siebie, bo te oświadczenia dla prostych ludzi są mało zrozumiałe.

Druga „Solidarność" to „Solidarność" drugiego obiegu, związana z prasą podziemną i wydawnictwami. Konspiracyjność tej „Solidarności" jest niezbędna, w końcu niezależna działalność wydawnicza wymaga konspiracji. Ale jeśli np. weźmiemy pod lupę tematykę prasy, to okaże się, że tematyka czysto związkowa stanowi nikły procent i ogranicza się często do wiadomości, z jakiego zakładu i kogo wyrzucono za działalność związkową. Właściwie pisma nauczyły się mówić same do siebie. Polemiki między pismami czy między poszczególnymi autorami są najczęściej zagmatwane i nieczytelne (zwłaszcza że w końcu jest to prasa podziemna i mało kto poza redaktorami dostaje regularnie kilka tytułów naraz). Zresztą znaczna część tekstów jest tak napisana, jakby redaktor adresował tekst do kilkudziesięciu znajomych (najczęściej też redaktorów). Nie mówię tu rzecz jasna o gazetkach zakładowych, które są dość słabe i nieliczne, no i często bazują na przedrukach z prasy „centralnej". A przede wszystkim te gazetki w znikomym stopniu wpływają na środowiska opiniotwórcze.

T.J.:: — *Mówiąc wprost, „Solidarność" ekspertów używa jako swej tuby prasy podziemnej, ta jednak jest nastawiona na członka tejże „Solidarności" ekspertów. Razem daje to mechanizm kolejnego zamkniętego kręgu, który przy pozorach „szerokiej publicznej dyskusji na najważniejsze tematy" właściwie nie dociera do środowisk pracowniczych. A przecież „Solidarność" ma ambicję być masowym związkiem zawodowym. Ale wróćmy do poprzedniego wątku. Czy Pańskim zdaniem istnieją jeszcze obecnie inne typy „Solidarności"?*

M.J.: — Myślę, że tak. Jeden z nich nazwałbym „Solidarnością" towarzyską. Są to po prostu kręgi towarzyskie, uformowane przy okazji wspólnej roboty w okresie szesnastu legalnych miesięcy albo w okresie konspiracji, funkcjonujące obecnie najczęściej już tylko jako kółka towarzyskie. Są to często grupy bardzo wartościowe i ciekawe, do tego samego kółka może zresztą należeć i robotnik i profesor i prywatny przedsiębiorca, ale są to znów kręgi zamknięte, nastawione do wewnątrz. Młody robotnik, który dopiero teraz wchodzi do „Solidarności", nie ma szans, żeby się w takiej grupie znaleźć (także dlatego, że są to grupy „kombatanckie").

Oczywiście te podziały nie są bardzo precyzyjne, gdyż jak to zwykle bywa, pewne zjawiska nakładają się na siebie. I tak na przykład element towarzyski jest bardzo silny także w „Solidarności" ekspertów i w „Solidarności" drugiego obiegu. Ogólnie rzecz ujmując, ta towarzyskość jest charakterystyczna dla całej „Solidarności" inteligenckiej. Wprawdzie nie bardzo obecnie wiadomo, co to jest inteligencja, ale myślę, że inteligenckie wcielenie „Solidarności" jest bardzo mocno widoczne i odczuwane. Najbardziej charakterystyczne dla „Solidarności" inteligenckiej wydaje mi się po pierwsze utożsamianie „Solidarności" z własną grupą społeczną, a po drugie przecenianie własnej roli i w ogóle możliwości inteligencji jako siły nacisku na władzę. Na czym polega to przecenianie roli inteligencji? Według mnie zasadniczy konflikt w tym kraju, to konflikt między pracownikami a „pracodawcami". Siłą rzeczy głównymi stronami w tym konflikcie są z jednej strony pracownicy, w tym głównie robotnicy z wielkich zakładów pracy, a z drugiej — aparat, którego pozycja oparta jest na kontrolowaniu jak najszerszych sfer życia społecznego, a przede wszystkim podziału dóbr (mówiąc „aparat", mam na myśli nomenklaturę, biurokrację, kadry milicji i wojska, tworzące razem w miarę zwartą siłę, utrzymującą władzę w tym kraju). To są moim zdaniem dwie grupy, których interesy są kompletnie sprzeczne. Inteligencja w ten konflikt wchodzi i nie wchodzi zarazem. Z jednej strony istnieje oczywiście świadomość, że współ-

praca z robotnikami jest konieczna (w końcu inteligent też jest zazwyczaj pracownikiem), z drugiej strony inteligencja nigdy nie była zwartą siłą społeczną. Wewnętrznie podzielona, skłaniająca się ku różnym koncepcjom, krąży po obszarze wyznaczonym przez ten konflikt, ale nie jest jego samodzielną stroną.

T.J.: — *Choć oczywiście spełnia ważną rolę opiniotwórczą w tym konflikcie.*

M.J.: — Oczywiście. Ale to już jest trochę inna gra, czego dowodzą choćby rozmaite koncesje władzy na rzecz inteligencji i jej reakcje na nie.

T.J.: — *Można powiedzieć, że gra władzy z inteligencją jest grą obustronnie zastępczą. Inteligencja wprawdzie zyskuje pewien zakres swobody w formułowaniu poglądów, ale choć wiele już można oficjalnie napisać, nadal nic z tego nie wynika, bo niczego nie można zrobić. Władza zaś, oddając część pola w zakresie opiniotwórstwa* (nota bene *to pole utraciła już wcześniej, teraz odbywa się tylko usankcjonowanie faktów połączone z próbami oswojenia) stwarza pozory dialogu i pluralizmu, co jest zabiegiem propagandowym skierowanym tyleż do inteligencji, co i do innych warstw społecznych. Zabiegiem zamulającym przebieg właściwego konfliktu. Jeśli jednak ma Pan rację, twierdząc, że zasadniczym konfliktem jest starcie robotników z władzą, to kluczowe pytanie brzmi: Czy i jak istnieje „Solidarność" robotnicza?*

M.J.: — Jest to rzeczywiście sprawa zasadnicza. Że „Solidarność" robotnicza istnieje, świadczą strajki kwietniowo-majowe i sierpniowe. Zaangażowanie robotników było wszakże spore. Równocześnie zasięg tych strajków i ich niewielka siła w wielu zakładach świadczą o tym, że nie jest to taka „Solidarność", jaka powinna być i — co ważniejsze — jaka być może. A może przede wszystkim dlatego, że „Solidarność" w zakładach pracy jest pracownikom bardzo potrzebna. Po prostu szeroko pojęty byt pracowników jest szalenie zagrożony, a nie ma innej organizacji, która mogłaby podjąć się skutecznej jego obrony. Z punktu widzenia każdego zakładu pracy konieczność zorganizowania samoobrony grup pracowniczych jest oczywista i to jest główna szansa „Solidarności", która jedyna jest w stanie te samorzutne grupy samoobrony połączyć w struktury ponadzakładowe. I druga sprawa — nie ma innej siły, która mogłaby się w takim stopniu jak załogi zakładów pracy, zwłaszcza wielkich, przeciwstawić aparatowi. Władza aparatu opiera się w poważnym stopniu na kontroli nad środkami produkcji i strajki sierpniowe, bez których nie byłoby żadnych rozmów, jeszcze raz dowiodły, że tylko robotnicy mogą wymusić na tej władzy jakieś ustępstwa. To dzięki tym strajkom „Solidarność" wróciła na jawną arenę polityczną.

T.J.: — *Ale znamiennym paradoksem jest, że wywalczony przez robotników powrót na arenę polityczną objawia się zapowiedzią dialogu władzy z „Solidarnością" ekspertów. Czy — oprócz rzecz jasna opiniotwórczych funkcji tych kręgów — nie dzieje się tak dlatego, że „Solidarność" ekspertów jest jednak w pewnym sensie strukturą ogólnopolską, a „Solidarność" w zakładach pracy — nie?*

M.J.: — To także jest dziedzictwem stanu wojennego. W wielu zakładach pracy TKZ-y były tak zakonspirowane, że... wielu robotników nie wiedziało, że one istnieją. A jeśli nawet coś słyszeli, to nie mieli bezpośredniego kontaktu. Oczywiście było to spowodowane zwalnianiem działaczy „Solidarności" z pracy, ale w efekcie TKZ-y funkcjonowały w systemie pozazakładowej konspiracji i o bezpośrednich kontaktach między zakładami pracy najczęściej nie mogło być mowy. Najczęściej kontakt między TKZ-ami sąsiadujących zakładów sprowadzał się do iluzorycznego dla nich kontaktu przez region.

T.J.: — *Mimo, że naturalniejszy byłby kontakt przez wspólny płot.*

M.J.: — Naturalniejszy, ale nie w warunkach konspiracji. W warunkach konspiracji naturalny był kontakt z wyższymi instancjami związku, czyli koniec końców z „Solidarnością" ekspertów. Ta „Solidarność" owszem działała, ale o kontakty między zakładami nie dbała. Przy czym nie mówię, że te różne postacie „Solidarności" inteligentów to są złe „Solidarności". Chodzi o to, że stan wojenny zafałszował proporcje i teraz odnoszę wrażenie, że wielu działaczy „Solidarności" w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że ich znaczenie zależy przede wszystkim od siły „Solidarności" zakładowej i że jeżeli nie będą uwzględniać zwykłych ludzkich interesów w zakładach pracy, to sami będą tracić na znaczeniu. Sama inteligencja może wprawdzie dostać jakieś koncesje od władzy, ale właśnie — koncesje i właśnie — dostać. Dokładnie takie, jakie władza będzie chciała i dokładnie na tak długo, jak jej będzie wygodnie. „Solidarność" ekspertów może mieć lepsze albo gorsze pomysły na zbawienie Polski, ale na pewno nie da się niczego sensownie zbudować nie zaczynając od dołu, od fundamentów.

T.J.: — *Sądzę, że to zachwianie proporcji wzięło się też stąd, że czołówka działaczy zakładowych wyłoniona po Sierpniu, wskutek internowania i wyrzucania z pracy niejako naturalnie straciła dawną więź z zakładami i konspirując w strukturach ponad- i pozazakładowych, stała się częścią opozycji politycznej, przestając być w pewnej mierze działaczami związkowymi, bądź „awansując" do kręgów „Solidarności" ekspertów.*

M.J.: — Coś w tym jest, choć nie jest to ani tak proste, ani czarno-białe. Są ludzie od dawna nie pracujący w macierzystym zakładzie i doskonale zorientowani w jego problemach i inni, którzy pracując nadal w zakładzie działają zupełnie gdzie indziej i nie mają pojęcia, co się dzieje obok nich. Ale generalnie taki proces wykorzenienia się pojawił, co szczególnie wyraźnie widać z perspektywy zakładu pracy. Prowadzi to czasem do niezmiernie krytycznego stosunku do działaczy ponadzakładowych. Może szczególnie drastycznym, bo akurat niezasłużonym przypadkiem braku porozumienia jest sprawa Tadka Jedynaka, który był bezsprzecznie wybitnym przywódcą na Śląsku i który na wieść o strajku zapożyczył się i natychmiast wrócił z Australii. I gdy przedarł się przez kordon, zresztą udając policjanta, do strajkującego zakładu, jego powrót nie wzbudził entuzjazmu. Przeciwnie, został przyjęty bardzo podejrzliwie, że wrócił robić własną politykę, a nie jako kolega-związkowiec walczący o prawa pracownicze. To świadczy o poczuciu znacznej obcości, o nieufności, akurat tutaj niezawinionej przez samego Jedynaka, ale na tyle szerokiej, że i jego objęła.

T.J.: — *Myślę, że wynika to także z faktu, że wchodzi nowe pokolenie, któremu nazwiska sztandarowych postaci Sierpnia (poza Wałęsą) czy głównych „wojowników" z początku stanu wojennego niewiele mówią.*

M.J.: — Cóż, ci młodzi ludzie nie znają tej kadry, nie walczyli z nią, nie żyją z nią razem, to niby skąd mają znać ich nazwiska? W końcu tylko bardzo nieliczni młodzi robotnicy studiują historię „Solidarności". Na ogół bazą zakładowej „Solidarności" są ludzie żyjący życiem zakładu, kojarzący je z sytuacją ogólną kraju, ale przecież nie z nazwiskami konkretnych ludzi.

T.J.: — *Czyli z punktu widzenia pracownika w „Solidarności" istnieją Wałęsa i zakład pracy, a pośrodku rodzaj strefy cienia, wypełnionej przez ekspertów i działaczy opozycji politycznej, których działanie jest nieznane lub niezbyt czytelne. I działalność ta nie jest kojarzona z konkretnymi nazwiskami.*

M.J.: — Z nazwiskami — nie. Ale istnieje świadomość, że taka grupa istnieje i że mogłaby nam pomóc. Ale moim zdaniem grupy ekspertów są źle ustawione względem zakładów pracy. W końcu interes jest wspólny — zmiana systemu w tym kraju — i jeśli się o tym w taktycznym rozgardiaszu zapomina, to to właśnie prowadzi do izolacji poszczególnych grup. Oczywiście później ujawnią się sprzeczności interesów, ale póki nie usunie się nomenklatury i biurokracji, eksperci powinni skupić się na problemach zakładów pracy, nawet najbardziej partykularnych i przyziemnych, bo w końcu to „Solidarność" zakładów pracy samym swym istnieniem i swą wagą wypracowuje pozycję do rozmów. A perspektywa „okrągłego stołu", moim zdaniem bardzo wątpliwa, jakby przesłoniła tę podstawową sprawę. Myślę, że w tej chwili nawet rozmowy na temat legalizacji „Solidarności" są drugorzędne w stosunku do konieczności rzeczywistego odbudowania „Solidarności" w zakładach pracy. Dla mnie jest bez znaczenia, czy „Solidarność" będzie robiona legalnie, czy nielegalnie. „Solidarność" ma być robiona porządnie! A jak będzie zrobiona porządnie, to będzie i legalna. Pytanie, czy coś jest od początku legalne czy nie, nie ma w Polsce większego znaczenia. Prawdziwą legitymizacją jest realna siła. Tworzenie, a szczególnie interpretacja prawa zależy wyłącznie od władzy, dysponującej aparatem przymusu, więc bez silnej „Solidarności" zdolnej zneutralizować ten aparat nawet jakaś forma legalizacji nie zapewni nam warunków do działania. Przecież mechanizm strajków sierpniowych na tym właśnie polegał, że najpierw objawiła się siła, a potem zaczęto robić miejsce w systemie prawnym. A robotnicy są właśnie taką siłą zdolną do szybkiego zorganizowania się i zdecydowanych wystąpień. Duży zakład pracy to jest wiele tysięcy ludzi w codziennym kontakcie. I dlatego tylko oni mogą nadać „Solidarności" właściwy ciężar gatunkowy.

T.J.: — *Zdolni do wystąpień są także studenci, ale oni właśnie nie mają tego ciężaru gatunkowego.*

M.J.: — Nie odmawiałbym studentom znaczenia politycznego. Zwłaszcza że studenci są coraz bardziej związani z robotnikami, szczególnie z młodymi znajdują łatwo wspólny język, mając dodatkowo wspólny interes pokoleniowy.

T.J.: — *Nie lekceważąc zatem studentów, wróćmy jednak jeszcze do robotników. Jak Pana zdaniem wyglądać będzie rola robot-*

ników jako siły politycznej w procesie reformowania gospodarki (jeśli dojdzie do zdecydowanej reformy). Wszakże restrukturyzacja przemysłu, „przebranżowienia" itp. uderzą właśnie w wielkoprzemysłową klasę robotniczą.

M.J.: — Sądzę, że sytuacja w kraju i perspektywa reform na koszt społeczeństwa zmusza „Solidarność", by zaczęła myśleć o sobie przede wszystkim jako o związku zawodowym, by zaczęła myśleć kategoriami obrony pracowników. Przy czym ta obrona nie musi być głupia i nie musi sprowadzać się do kurczowej obrony starej struktury przemysłu. Natomiast nie można dać sobie wmówić, że ochrona praw pracowniczych jest sprzeczna z reformą. Jak dotąd, jedynym jasnym i zrozumiałym elementem w programie reform prezentowanym przez władze jest przerzucenie kosztów reformy na najsłabszych ekonomicznie. W tej sytuacji ochrona praw pracowniczych to w pierwszym rzędzie wymuszenie sensowności i spójności programu reform.

T.J.: — *Dlatego powrót „Solidarności" na związkowe podwórko może przynieść więcej efektów politycznych niż „polityczne" rozmowy o ilości izb w Sejmie.*

M.J.: — „Solidarność" jako silny związek zawodowy jest też potrzebna reformie z tego względu, że tylko ona może zmusić do globalnego spojrzenia na kwestie rentowności. Mówienie o rentowności jakiegoś zakładu pracy jest obecnie o tyle mało sensowne, że nie bardzo nawet wiadomo, w jakich pieniądzach liczyć tę rentowność. Najpierw trzeba spojrzeć na rentowność gospodarki jako całości i zastanowić się, co ona utrzymuje i co z tego jest niepotrzebne. Bardziej nierentowne od najgorszej fabryki jest bowiem ZOMO, tysiące urzędów kontroli, a przede wszystkim biurokracja: gospodarcza, partyjna, wojskowa. Jeśli się więc nie będzie rozpatrywać rentowności całego systemu, to każda reforma okaże się połowiczna. A nie będzie się rozpatrywać spraw systemowych, jeśli świat pracy nie odmówi wzięcia na siebie kosztów kolejnego eksperymentu. Tylko „Solidarność" jako silny związek zawodowy może zorganizować taką odmowę wymuszającą rzeczywistą reformę.

„Solidarność" robotnicza wcale nie musi być siłą antyreformatorską. Według badań opinii społecznej właśnie wśród wykwalifikowanych robotników i średniej kadry technicznej jest największe poparcie dla prawdziwej reformy — przekracza ono 90 %. Robotnicy nie są też za egalitaryzmem. Nie pożałują miliona miesięcznie dla dobrego dyrektora, jeśli będą widzieć, że stawia zakład na nogi i że oni sami coś z tego mają. Podobnie jeśli chodzi

o wynalazców. Ale musi być zagwarantowane jedno: płaca za pracę, rozum i odpowiedzialność a nie za układy. A obecnie większość pieniędzy bierze się za miejsce w układzie. Póki to nie ulegnie zmianie, mówienie o reformie jest dla zakładów pracy czczą gadaniną.

I jeszcze jedno. Zdajemy sobie sprawę, że reforma może prowadzić do zamykania pewnych zakładów, przekwalifikowywania ludzi do innej pracy itp. Ale do tego potrzebne są podstawowe zabezpieczenia socjalne. A o tym w ogóle się nie mówi. Byłem na spotkaniu przygotowawczym przed ekonomicznym okrągłym stolikiem i wszyscy mieli pełne usta rynku, tylko nikt się nie zająknął o rynku pracy. Jak ma być zorganizowany, jakie będą reguły gry, jakie będą gwarancje jego sensowności i sprawności działania. A to jest podstawowa sprawa! Nie mając gwarancji w sprawie rynku pracy, „Solidarność" nie może narazić swych członków na dowolne redukcje, „przebranżowienie" brane z sufitu itp. Więcej — „Solidarność" mogłaby taki rynek pracy współorganizować, łagodząc w ten sposób skutki reformy, ale o tym trzeba myśleć już. I myśleć mają eksperci. Jeśli robotnicy by musieli wszystko wymyślać sami, to po co im eksperci?

Poza tym skończmy wreszcie z mitem państwa opiekuńczego. Według mnie pracownik dostaje z powrotem w formie opieki socjalnej najwyżej 1/4 tego, co mu się zabiera z pracy. A równocześnie mówi się, że nie stać nas na zasiłki dla bezrobotnych, odprawy, bezpłatne szkolenia. To jest też sprawa, którą związek musi się zająć.

Na razie programy reform zupełnie pomijają tę sprawę. Więcej: wydaje się, że intencją władz jest stworzenie swego rodzaju czerwonego kapitalizmu z XIX-wiecznym rynkiem pracy.

T.J.: — *Byłoby to swoiste „przebranżowanie" nomenklatury, która z zarządzania centralistyczną gospodarką przestawiłaby się na reglamentację przywilejów produkcyjnych i handlowych, decydując, kto może, a kto nie może zostać kapitalistą. Może jako kapitaliści komuniści byliby przynajmniej skuteczniejsi gospodarczo?*

M.J.: — Trudno w to uwierzyć, zważywszy, jak rozłożyli gospodarkę państwową. Pewnie dopiero ich dzieci i wnuki nabrałyby właściwych instynktów i umiejętności. Ale kto zgodzi się czekać tak długo? A mówiąc poważniej — i tak praca w Polsce jest najtańsza w Europie, a baza materialna i socjalna zdewastowana. Wpuszczenie tu prymitywnego kapitalizmu opartego wyłącznie na wyzysku pracownika byłoby straszne. A są już tego pierwsze symptomy. Wojciech Giełżyński nazwał to trafnie afrykanizacją

Polski. To nie będzie nowoczesny kapitalizm, na to nie ma na razie szans. Tu będzie rządzić układ, rodzina, znajomości, łapówki. Zysk będzie osiągany wyłącznie dzięki wyzyskowi taniej siły roboczej. Budżet łatany wyprzedażą surowców, rabunkową eksplotację majątku narodowego, kompletne wyniszczenie środowiska naturalnego — to wszystko już mamy. Nawet zwyczaje zaczynają być afrykańskie. Na przykład zamiłowanie do ceremoniałów — wystarczy przypomnieć ostatnią parodię z mianowaniami generałów. Tylko że tu się bawimy w ordery, ordynansów, lampasy, a w kraju się kotłuje i wszystko zmierza do wybuchu.

T.J.: — *Pomówmy zatem o „okrągłym stole", który miał być szansą na niekonfliktowe rozwiązanie problemów. Czy Pańskim zdaniem „Solidarność" dobrze rozgrywa tę partię?*

M.J.: — Ja sam nie przywiązuję większego znaczenia do „okrągłego stołu". Po prostu nie wierzę w jego efekty. Natomiast uważam, że „Solidarność" już do tej chwili popełniła sporo poważnych błędów. Głównie przez sposób przygotowań i skład delegacji, w której jest zdecydowanie za mało ludzi z zakładów pracy. Jasne, że profesor Iksiński będzie rozmawiał lepszą polszczyzną i pewnie umiejętniej niż robotnik Kowalski, ale proporcje zostały zdecydowanie zachwiane.

T.J.: — *Prof. Iksiński może sprawniej rozmawiać z władzą, ale potem musi jeszcze wyniki tych rozmów przedstawić robotnikom.*

M.J.: — Właśnie. Robotnicy nie zgadzają się, by mówić za nich. A o tym, że umiemy mówić własnym głosem świadczy historia wszystkich kryzysów z Sierpniem na czele. Chyba jedynym człowiekiem, który ma prawo powiedzieć „Mówię za was" i którego słucha się wtedy z przyjemnością, jest Papież. Zrozummy się dobrze: nie mam żadnych zastrzeżeń do konkretnych osób, które Lech wyznaczył, ale uważam, że udział ludzi z zakładów powinien być znacznie mocniejszy. Na pewno znalazłoby się ludzi świetnie się do tego nadających. Ja sam znam ze dwudziestu robotników, którzy się przy stole nie zgubią. Delegacji by to nie zaszkodziło, a dla ludzi z zakładów ustalenia byłyby wiarygodniejsze.

T.J.: — *Wydaje mi się ponadto, że sam tryb dobierania ludzi do rozmaitych podkomisji był dla zakładów pracy niejasny. Pan z racji funkcji związkowej ma szczególne pole obserwacji. W zakładach mało się wie, kto i dlaczego.*

M.J.: — To uważam za drugi poważny błąd Zresztą ja też nie orientuję się zbyt dokładnie, co dowodzi, jak niewiele wiadomości przedostaje się poza krąg doradców. Byłem na jednym ze spotkań przygotowawczych, ale dowiedziałem się o nim zupełnie przypadkowo. Zwrócono się do mnie, żebym pomógł załatwić salę i w ten sposób się tam znalazłem. Było ok. 60 osób, w tym ani jednej z zakładów pracy! A było to przygotowanie do stolika ekonomicznego...

Kolejny błąd: nie wykorzystuje się okresu przygotowawczego dla propagandy. A przecież to wymarzona okazja do rozszerzenia bazy, do przeniesienia dyskusji do zakładów pracy, wciągnięcia do roboty tych młodych ludzi, dla których strajki były pierwszymi doświadczeniami solidarnościowymi.

T.J.: — *Ten błąd nabiera szczególnego znaczenia w zestawieniu z powszechnym płaczem z powodu braku nowych ludzi w strukturach konspiracyjnych. Przecież gdyby jutro znów przykręcono śrubę, to ludzie teraz wciągnięci do takich dyskusji i działań stanowiliby naturalną bazę dla kolejnej fazy walki o legalizację „Solidarności" i szerzej, o zmiany systemowe. Ponadto niedocenianie propagandy w systemie, który propagandą i kłamstwem stoi...*

M.J.: — Dla mnie są to wszystko pozostałości stanu wojennego. Po prostu łatwiej spotkać się i porozumieć w swoim gronie. Ale to się może fatalnie odbić na działalności związku. Jeśli rozmowy niczego nie dadzą, to przy następnym wybuchu cała grupa negocjatorów będzie skompromitowana, cała elita ekspertów straci wiarygodność i wszelkie znaczenie. A w końcu to są mądrzy ludzie potrzebni związkowi.

T.J.: — *Kto wie, czy cała gra władzy nie jest na to obliczona. Bo że władza z radością skompromitowałaby Wałęsę i jego doradców — to pewne.*

M.J.: — Z Wałęsą jest trochę inaczej, bo jego znają wszyscy i wiadomo, że Lech jest nasz. Ale eksperci, których się nie zna, a którzy w tych rozmowach będą o wielu sprawach decydować... Oni po prostu wylecą. To znaczy będą oczywiście nadal należeć do związku, ale wylecą z gry.

T.J.: — *Wydaje mi się, że pracując jako robotnik, ale w nietypowym jak na robotnika miejscu, bo na Uniwersytecie Warszawskim, ma Pan dość rzadki punkt obserwacyjny. Zwłaszcza że*

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

jako członek RKW ma Pan jeszcze wiele kontaktów z zakładami pracy. Jak zatem Pańskim zdaniem należałoby wykorzystać potencjał intelektualny inteligencji dla potrzeb zakładów pracy?

M.J.: — Wcale nie uważam, że jako członek RKW mam wiele kontaktów z zakładami pracy; tych kontaktów jest w ogóle bardzo mało.

T.J.: — *RKW ma bardzo mało kontaktów z zakładami?!*

M.J.: — Dokładnie tak. Opieram swoje obserwacje na bezpośrednich kontaktach z robotnikami. Ponieważ sam jestem robotnikiem, żyję w tym środowisku — znam ich setki, zarówno z „Solidarności", jak i spoza niej. Tak więc opieram się bardziej na tych kontaktach niż na oficjalnych kontaktach RKW, które są słabe. Natomiast wracając do pytania — jest rzeczywiście istotne, jak można i należy zgrać siłę robotników z możliwościami inteligencji. To co powiem nie jest niczym nowym — każdy komitet organizujący „Solidarność" w zakładzie pracy powinien mieć swoją grupę wspierającą ze strony inteligencji: prawnika, ekonomistę, socjologa, ekologa. To jest robota przede wszystkim dla ludzi młodych. Myślę, że korzyści z takiego układu byłyby obopólne. Tego momentu nie wolno przegapić, bo taka szansa może się nie powtórzyć. Jak się już wszystko poukłada i ustali, wejść z zewnątrz będzie bardzo trudno. Wspominaliśmy wcześniej o studentach i roli, jaką mogą odegrać. Współpraca URSUSA z NZS-em dowodzi, jak ważne mogą być takie kontakty. Jeśli razem coś się tworzy, to jest naturalne, że i późniejsze wystąpienia będą wspólne. W sierpniu NZS wspierał strajk w Ursusie tak jak mógł. Dziś pozycja studentów jest tam zupełnie inna niż gdyby przyszli tam wczoraj z najsłuszniejszymi choćby pomysłami. Zresztą o niektóre rzeczy nie trzeba się już prosić. Wśród postulatów robotników z Ursusa był i postulat relegalizacji NZS-u. Mniejsza o to, że strajk nie bardzo się udał, chodzi mi o to, że dla robotników było naturalną rzeczą, że powinni wesprzeć studentów, upomnieć się o jakieś wydawałoby się mało ich obchodzące sprawy inteligencji. To jest mechanizm, który koniecznie trzeba uruchomić na szerszą skalę. Jak kiedyś przyjdzie strajkować o oświatę, to od najlepszych oświadczeń skuteczniejszy będzie człowiek, który pójdzie do swojego zakładu, z którym regularnie współpracuje, i powie w czym rzecz.

Taka współpraca jest też szkołą dla obu stron. Działacze kostnieją w swoich przekonaniach, a sytuacja się zmienia. Zakład pracy jest żywym organizmem, reaguje na otaczającą rzeczywistość i kontakt z nim przeciwdziała rutynie. To jedno. A drugie

— to jest także szkoła dla ludzi z zakładów pracy, którzy mają ciągnąć robotę u siebie, a ponadto wychodzić wyżej i przejmować ogólniejsze zadania. W związku też musi być rotacja, dopływ świeżej krwi, nowych pomysłów. Szczeble ponadzakładowe tworzą w tej chwili grupy zamknięte i wydaje mi się, że dochodzą do kresu swoich możliwości. „Solidarność" musi wrócić do zakładów pracy, żeby odnowić swój skład, wciągnąć nowe pokolenie, które w międzyczasie dorosło. Te złe proporcje, o których mówiłem przy okazji „okrągłego stołu", dotyczą także RKW, KKW i wszystkich stale naradzających się gremiów. To są od lat ci sami ludzie. Jeszcze chwila, a sami sobie sprokurujemy konflikt pokoleń w „Solidarności". Nawet jeśliby ci młodzi w tej chwili gorzej prowadzili rozmowy, częściej mylili się w robocie, to i tak jutro będą i robotę i rozmowy prowadzić na własny rachunek. Chyba więc warto już teraz dopuścić ich do gry, żeby się czegoś nauczyli, żeby zrozumieli reguły negocjowania, mechanikę ruchu o dużej skali...

T.J.: — *... zwłaszcza, że jeśli się je rozumie, łatwiej zaakceptować kompromis.*

M.J.: — To też. A przy okazji tacy ludzie dopilnują spraw zakładowych, często umykających z pola widzenia ekspertów. W tej chwili przepaść, która już była, jeszcze się powiększa i następnym razem nie będzie żadnych autorytetów.

T.J.: — *Słowem, następny konflikt będzie trzęsieniem ziemi nie tylko dla władzy, ale i dla opozycji w jej dotychczasowym kształcie.*

M.J.: — Z pewnością. A może być jeszcze gorzej. Następny wybuch może nie wyłonić żadnej nowej kadry, bo może być anarchicznym wybuchem rozpaczy, krwawym buntem bez perspektyw. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. To jest ostatni moment na powrót do zakładów pracy.

T.J.: — *A jakie orientacje polityczne mają Pana zdaniem największe wpływy wśród robotników? Czy to, co tak rajcuje inteligencję — zakładanie nowych partii, spory narodowców z socjalistami itd. — znajduje jakiś oddźwięk wśród robotników?*

M.J.: — Nie. Moim zdaniem zupełnie nie. Świadczy o tym choćby znikoma liczebność partii w zakładach pracy. Poszczególni

robotnicy mogą należeć do jakichś partii, ale to nie ma związku z zakładami pracy czy ze zbiorowością robotniczą. Partie nie mają żadnego realnego wpływu na życie zakładu. Zwłaszcza że nie ma dobrych wzorów, a jest generalne obrzydzenie do partii politycznych. Partie to daleki margines życia i działalności robotników.

T.J.: — *A jak Pan ocenia pozycję Wałęsy w zakładach pracy?*

M.J.: — Jest nadal silna.

T.J.: — *Ale czy nie funkcjonuje on już raczej jako symbol?*

M.J.: — Też. Ale równocześnie cieszy się zaufaniem, ludzie są przekonani, że on dużo potrafi, że w przełomowych momentach wyczuwa, co jest naprawdę ważne. Jak się sytuacja zaostrza, to Lech jest coraz lepszy.

To poparcie nie jest może tak silne, jak zaraz po Sierpniu '80, ale i nie gorsze niż pod koniec legalnej działalności „Solidarności". Ludzie czują się z nim związani, jego argumenty zazwyczaj trafiają do przekonania, no i wiadomo, że on jest nasz. To znaczy ludzie wiedzą, że on nie jest zwykłym robotnikiem, że to nie jest już taki koleżka, że jego pozycja w świecie, pozycja polityczna i materialna, to nie jest pozycja zwykłego robotnika. Ale jest też świadomość, że on jest z nas. I zawsze będzie dużo bliższy niż ktoś o tych samych walorach, ale bez tego rodowodu.

Rozmowę przeprowadził Tomasz JANOWSKI

Warszawa, 30 października 1988 r.

Czarna dziura

Trzeba było aż strajków w przemyśle węglowym, abyśmy się dowiedzieli z prasy, radia i telewizji, jak strasznie niebezpieczne są polskie kopalnie. Musimy wierzyć na słowo, że podczas strajku nielegalnego niebezpieczeństwo wzrasta, ale nie uwierzymy, że znika ono wraz z podjęciem roboty, bądź maleje do nieistotnych wymiarów. Zbyt wiele jest wypadków wówczas, gdy w kopalniach nic się nadzwyczajnego nie dzieje.

Uświadomiona nam groza każe się zastanowić nad pytaniem: jakie dobro jest od lat okupywane tak wielkim niebezpieczeństwem? Dlaczego coraz więcej ludzi — już ponad ćwierć miliona — musi latami narażać życie i niszczyć zdrowie pod ziemią? Jak to się kalkuluje im i nam wszystkim?

Najgorszy interes świata?

Do niedawna był to deficytowy interes. W roku 1985 koszt własny wydobycia węgla był o 24,3 % wyższy od sumy uzyskanej z jego sprzedaży, w roku następnym — o 28,5 %. W 1987 roku deficyt nie był już tak wielki, lecz wciąż jeszcze średni koszt wydobycia tony wynosił 5.750 złotych, a średnia cena zbytu 5.160 złotych, jak podał w *Życiu Gospodarczym* Aleksander Szpilewicz, na którego dane będziemy się powoływać.

Światowa cena węgla w ostatnich latach jest raczej stała i oscyluje w okolicach 43-44 dolarów za tonę. My w 1987 roku uzyskiwaliśmy nawet 45 dolarów, co wywoływało proeksportową euforię u szefów górnictwa, twierdzących o wyjątkowo korzystnym eksporcie.

O ile jednak te czterdzieści parę dolarów jest realną ceną rynkową na świecie, o tyle cena złotówkowa jest po prostu wzięta z sufitu.

Z tego samego sufitu wzięto też ceny poszczególnych czynników, składających się na koszt wydobycia. Na peryferiach gospodarki — z punktu widzenia centrum — pewne ceny mogą się kształtować prawie że samoczynnie i to jest przedstawiane jako oznaka reformy. Lecz punktem wyjścia dla tych (rzekomo rynkowych) cen są sztuczne ceny większości artykułów, a w tym najbardziej strategicznego ze strategicznych, węgla. Zgodnie z zasadą realnego socjalizmu, że im co ważniejsze dla gospodarki i kraju, tym dalsze ma być od jakichkolwiek elementów racjonalności ekonomicznej.

W związku z tym górnictwo korzysta z odrębnych zasad kalkulacji, do tego praktycznie tajnych. Warto zwrócić uwagę, że na liście 500 największych — według wielkości obrotów — zakładów przemysłowych, publikowanej od kilku lat przez pismo *Zarządzanie* nie ma przemysłu wydobywczego. Przy całej sztuczności i tych danych, które kształtują listę (ceny, wartość środków trwałych) można się jednak czegoś na jej podstawie dowiedzieć. Natomiast nasz „przemysł narodowy" wyjęty jest spod jakiejkolwiek kontroli narodu.

Rachunek zastępują obliczone na idiotów frazesy o „narodowym bogactwie", „czarnym złocie", „czarnych diamentach" i „górniczym trudzie". Na nieco tylko wyższym poziomie twierdzi się, że jak by nie liczyć, to bez węgla wszystko by stanęło, że węgiel jest tu, a nie nad Zatoką Perską i nie płaci się zań dolarami, że przecież węgla nam w oczywisty sposób brakuje i przedstawia się jego bilans, nieodmiennie napięty na wszystkich poziomach wydobycia.

„Jak by nie liczyć" znaczy: aby nie liczyć. Wszelako pewne rachunki mogą być dokonane i podał je Aleksander Szpilewicz. Otóż koszt wydobycia węgla w 1987 roku, liczony w dolarach wynosił średnio... 60 (słownie sześćdziesiąt) dolarów za tonę!

To, że cała gospodarka w naszym systemie jest deficytowa, że zużywa w sumie więcej wartości niż tworzy, nie może być wyliczone, gdyż zbyt wiele czynników w zbyt skomplikowany sposób ze sobą się przeplata. Udaje się to po części w stosunku do jednolitego i prostego produktu, jakim jest węgiel. I to bez liczenia kosztów w gruncie rzeczy najistotniejszych, czyli strat wyrządzanych naturalnemu środowisku i infrastrukturze — jak wycenić zasoloną Wisłę, dewastację lasów przez siarkę itp.?

Zostańmy przy kosztach policzalnych. To fakt, że nikt tych 60 zielonych nie wykłada na stół, a 45 jednak się pobierało. Lecz te średnie 15 dokładane do wyeksportowanej tony, to nie abstrakcja, lecz praca, stal, energia, mechanizmy i usługi — wszystko jak najbardziej realne. Sztuczne obniżanie kosztów nie zmieni faktycznego rachunku, który pokrywa kraj. Warto sobie uzmysłowić, że całe wydobycie 1987 roku to po cenach światowych ok. 8,7 miliarda dolarów, zaś koszt to ok. 11,6 miliarda. Dopłata: blisko 3 miliardy, tylko tych policzalnych kosztów.

Dolarów się nie wykłada, ale z 23 kilogramów stali, które trzeba było zużyć w roku 1978, aby wydobyć jedną tonę węgla, zrobiły się w roku 1985 — 53 kilogramy. Z jednej czwartej do jednej trzeciej wzrosło w tym okresie zużycie przez górnictwo całej stali towarowej w kraju. W tym samym czasie moc zainstalowana w energetyce rosła średnio rocznie o 3,7 %, a zużycie energii w górnictwie węgla kamiennego rosło rocznie o 5,6 %. Pisaliśmy już o swoistym „trójkącie bermudzkim" naszej gospodarki, na który składają się górnictwo, hutnictwo i energetyka — agregat pracujący głównie na swoje potrzeby, w znacznie większym stopniu zasilany z zewnątrz, niż dający na zewnątrz to, co wytwarza. Powyższe dane pokazują właśnie jego funkcjonowanie.

Proces ten można wyrazić jeszcze inaczej. W roku 1960 na wydobycie tony węgla trzeba było zużyć, na różne sposoby, 100 kilogramów węgla, w dziesięć lat później — już 180 kg. W okresie 1978-1985 zużycie węgla wzrosło z 238 do 288 kg na wydobytą tonę. Licząc w tym samym tempie, wychodzi nam 309 kg w roku 1988, czyli innymi słowy, ze 193 milionów wydobytych ton górnictwo zużywa 60 milionów ton na swoje potrzeby. Czy trzeba się dziwić, że w miarę wzrostu wydobycia stale powiększa się brak węgla i że powiększa się on również na ustabilizowanym poziomie wydobycia?

Możemy jeszcze dodać, że tylko w latach osiemdziesiątych (do 1986) zatrudnienie pod ziemią wzrosło z 240 do 264 tysięcy, a wydobycie spadło z 4.154 kg do 3.900 kg na górnika.

Wyłączone spod jakiejkolwiek kontroli dominium węglowe, powiązane z najwyższymi ogniwami władzy, wspierane przez inne branże przemysłu ciężkiego i okadzane przez zespoły klakierów, było szczególnie podatne na samowolę swoich szefów, wybierających najdogodniejsze dla nich osobiście rozwiązania i tępiących skutecznie ludzi próbujących ich krytykować. Stan ten jednak stwarzał iluzje, iż wszelkie zło związane z górnictwem wynika z nieprawości i że wystarczy je usunąć — na co bezskutecznie liczono przy każdym politycznym zakręcie — aby wszystko było w porządku. Tymczasem, niezależnie od owych nieprawości, błąd tkwi w samej istocie sposobu gospodarowania, w którym takie właśnie górnictwo, czy szerzej gospodarka surowcowo-energetyczna, stanowi podstawę jego funkcjonowania: koncepcja, doktryna, interes przemożnych grup — wszystko chronione przed niemożliwym w tym systemie rachunkiem ekonomicznym.

Od roku 1970 porównywalne górnictwo europejskie zmniejszyło wydobycie o ponad połowę we Francji i Belgii oraz o prawie jedną trzecią w RFN i Wielkiej Brytanii. W Polsce wzrosło o prawie 40 % i to już do końca poprzedniej dekady. Rosłoby dalej, gdyby były fizyczne możliwości. Nie ma obecnie potrzeby przekonywać, że nie był to wybór innej drogi rozwoju cywilizacyjnego, gdyż jest to proces na przekór cywilizacji. Jednakże doktryna nie dopuszczała, aby coś co jest wielkie i znaczące w realnym socjalizmie nie rosło. Interes węglowego *lobby* opierał się na tym wzroście, a usłużna doktryna potrafiła to uzasadnić, zwłaszcza kiedy się zatykało usta oponentom.

Czynnik ludzki

Drewno jest bardzo ważnym surowcem, a praca drwala ciężka i niebezpieczna. Zasługuje przeto na szacunek i godziwe wynagrodzenie. Co byśmy jednak powiedzieli, gdyby dzielne leśnictwo w niecałe dwa pokolenia wyrąbało prawie wszystkie dostępne zasoby leśne, zużywając ogromną część na styliska do siekier?

Analogia z górnictwem jest o tyle naciągana, że leśnictwo nie byłoby w stanie osiągnąć porównywalnych kosztów. Poza tym brak lasów rzuca się w oczy, zaś manipulowanie zasobami węgla, które teoretycznie przynajmniej można wydobywać jeszcze przez liczne dziesięciolecia, pozwala na tworzenie iluzji na temat roli górnictwa i podtrzymywanie jego liturgii i mitologii.

Dotyczy to, niestety, nie tylko baronów węglowych, lecz również — choć w zupełnie inny sposób i w innym stopniu — ogółu górników. Przykro jest o tym mówić lecz jeśli prawda ma nas oswobodzić, to wypada ją głośno powiedzieć. Otóż prawda jest taka, że praca górnika jest wyjątkowo ciężka i niebezpieczna, ale trudno jednoznacznie powiedzieć, że jest w całym swym rozmiarze potrzebna i pożyteczna. W jakiejś, na pewno wielkiej, chociaż niepoliczalnej części na pewno tak. Różnie to zresztą w różnych okresach wygląda, lecz proporcja ta z latami zdecydowanie zmienia się na niekorzyść. Tragedia polega na tym, że wysiłek, kwalifikacje, poświęcenie górników nie mają z tym żadnego związku. Następuje coraz większe rozdzielenie pracy i jej wyników. Górnicy bez wątpienia zasługują na o wiele więcej niż otrzymują, zarówno w dobrach materialnych jak i honorach, lecz w skali makro powstaje dosyć paradoksalna sytuacja. Do ich zarobków, Karty Górnika, specjalnych sklepów, partyjno-rządowych i opozycyjno-kościelnych Barbórek z tymi wspaniałymi mężczyznami z ich kolorowymi pióropuszami, muszą po części dopłacać zabiedzone włókniarki i zaharowani rolnicy, upadlani całonocnymi kolejkami po węgiel.

A przy tym większość społeczeństwa jakby sobie nie zdaje sprawy, na czym głównie polega koszmar pracy w górnictwie. Wszyscy reagują na wielkie katastrofy: obwały, zalania, wybuchy, pożary. To atakuje wyobraźnię i nie można tego zataić. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak uciążliwa i niebezpieczna jest sama tylko praca w kopalni, czy nawet przebywanie w niej. I to w kopalni nowoczesnej, zmechanizowanej. Ludzie muszą się przeciskać przy pracujących maszynach w ciasnych, źle oświetlonych przestrzeniach. Nagminne są najrozmaitsze urazy, a proste złamanie na nikim nie robi wrażenia. Większość tych maszyn muszą ręcznie przenosić i instalować — stąd strajkowy postulat o uznaniu chorób kręgosłupa za zawodowe. Mają oni do czynienia z instalacjami pod napięciem. Przebywają w ogłuszającym hałasie i na przemian w miejscach dusznych, gorących i zapylonych oraz tam, gdzie jest zimno, mokro, gdzie wieje i pada. Pylicę każdy kojarzy z górnictwem, ale mało kto — stałe niezyty, artretyzm i reumatyzm. Do tego, w przypadku większości pracujących pod

ziemią, dochodzi nieustający latami *stress*, o czym wiedzą psychologowie w tej branży. Człowiek jest stworzeniem lądowym i tylko nieliczni osobnicy dobrze czują się zarówno pod ziemią, jak i wysoko nad nią, na wodzie czy pod wodą. Tam, gdzie liczne zbiorowości muszą funkcjonować w takich warunkach, tam wypracowuje się pokoleniami cały system adaptacji w rodzinach górniczych, rybackich już od wczesnej młodości. W Polsce natomiast dzieci górników przeważnie nie pracują w kopalniach, przybywają tam natomiast ludzie spoza Śląska, co wpływa na stan nieprzystosowania. Wszystko to razem sprawia, że czterdziestoletni mężczyzna po dwudziestu latach pracy — piątek, świątek — pod ziemią często jest już inwalidą. Od dawna wiadomo, że więcej górników idzie na rentę niż emeryturę i domaganie się prawa do emerytury w średnim wieku, tu akurat bynajmniej nie jest fanaberią.

W kraju, w którym przeciętne uposażenie nie pozwala utrzymać żony i dziecka powyżej minimum socjalnego i gdzie dwie trzecie uposażenia jest poniżej tej średniej; w kraju, w którym prawie niczego nie można za swoje pieniądze kupić w normalny sposób, wystarczy zapewnić nieco wyższy, choć nie zawrotny zarobek i ułatwić nabycie niewielkiej tylko części dóbr składających się na wyposażenie przeciętnego Europejczyka pod koniec XX wieku, aby pozyskać ludzi do katorżniczej pracy. (Już nie wracając do omawianego wielekroć chwytu, który powoduje, że cały ten system przywilejów przysługuje za pracę w dniach wolnych od pracy).

Iluzoryczność tych przywilejów może uświadomić konstatacja, że górnik zarabiający sto tysięcy miesięcznie może naprawdę nabyć małego Fiata za równowartość dwu i półrocznej płacy (gdyby ją w całości na to przeznaczył). Ale i takie ochłapy wystarczają, aby antagonizować środowiska pracownicze, gdyż często ludzie pracujący niewiele lżej nie posiadają i tego.

Wychodzenie przez komin

Jak się już wielokrotnie zwracało uwagę na samym wstępie II etapu, gdy się jeszcze myślało, że to i owo będzie naprawdę zrobione, górnictwo zostało — wraz z bratnimi gałęziami — skutecznie ochronione przed jakimikolwiek istotnymi zmianami. Resort nazywa się teraz wspólnotą, zjednoczenia — gwarectwami*. Ponieważ między wspólnotą-resortem a Komisją Planowania pojawił się — w ramach upraszczania struktur! — nowy szczebel, Ministerstwo Przemysłu, szef wspólnoty ma tytuł wiceministra, ale uposażenie ministra. Ośmiu jego zastępców ma uposażenia wiceministrów, a ponadto każdy wchodzi do rady nadzorczej jednego z ośmiu gwarectw. „Gwarectwa" to czyjeś wyobrażenie o

* Rząd Rakowskiego zastąpił osiem krytykowanych gwarectw pięcioma wielkozakładowymi przedsiębiorstwami, których rola w zarządzaniu kopalniami jest taka sama.

tradycjach górniczych, zaś owa rada, podobnie jak „wspólnota", „spółka z o.o.", „socjalistyczny koncern" itp. to wyraz upodobania menadżerów do kapitalistycznego nazewnictwa i apanaży. Zapominają przy tym, że jeśli zwierzchnik bierze pieniądze od podległych sobie ogniw, to jest to układ korupcyjny.

Wszakże istotniejsze od tego, jakie pieniądze i skąd biorą menadżerowie górnictwa, jest to, co za te pieniądze robią. W przeciwieństwie do ogółu górników nie mają oni prawa nie wiedzieć, jaka jest prawdziwa sytuacja ekonomiczna kierowanego przez nich biznesu. Ani tego, jakie są jego perspektywy. Według danych Aleksandra Szpilewicza średni koszt wydobycia tony, z 60 dolarów w 1987 roku wzrośnie do 75 w roku 1990 i do 170 dolarów w druku dwutysięcznym.

Można było sobie wyobrazić, że po takiej informacji posypią się sprostowania, procesy bądź dymisje, nie mówiąc o samobójstwach. Lecz baronowie węglowi wolą nie reagować, bo albo ich to nie obchodzi, albo sami to dobrze wiedzą. Szacunek przyszłych kosztów może nie być zbyt precyzyjny, lecz ich skokowy wzrost jest nieunikniony już nie przy wzroście, lecz przy utrzymywaniu obecnego poziomu wydobycia. Względnie łatwo dostępny węgiel kończy się i trzeba go brać z coraz głębszych pokładów, co musi być coraz droższe.

Do tego będą się kumulować skutki zasiarczania atmosfery i zasalania wód. Będą się też potęgować szkody górnicze. Nie tylko dlatego, że już dawno machnięto ręką na zachowanie np. filaru ochronnego pod Katowicami, gdzie lokuje się teraz nową kopalnię. Stosowany u nas mechaniczny sposób wydobycia z obudową krocząca oznacza wzrost wydobycia na zawał: 52 % w 1970 i 82,7 % w roku 1986. Są miejsca na Śląsku, w których łączna wysokość wybieranych pokładów ma 20 metrów i o tyle musi się z czasem zapaść powierzchnia: trzęsienie ziemi rozłożone w czasie i na odcinki. A wszystko głównie po to, aby górnictwo mogło z roku na rok... zużywać wciąż więcej węgla.

Zróbmy sobie bardzo przybliżony i teoretyczny rachunek: oto w ogóle nie wydobywamy węgla. Nie wydajemy zatem 11,6 miliarda dolarów. Wyobraźmy sobie, że gospodarka jest w stanie zużyć te środki na zakup 92 milionów ton ropy naftowej, co jest odpowiednikiem mniej więcej 120 milionów ton węgla. Do wydobywanych 193 jeszcze daleko, ale przecież 60 milionów ton, tych dla górnictwa już nie potrzeba. Nie ma też eksportu, w którym *de facto* dopłacamy 15 dolarów do tony. W sumie więc, jakbyśmy mieli nadwyżki energetyczne i niewykluczone, że zmieściłaby się w nich równowartość tej ropy, którą dziś kupujemy.

Oczywiście, że w optymalnym modelu nie zlikwidowałoby się całego wydobycia węgla: jakaś jego ogromna i opłacalna część by została. Dziś jest to czysta teoria. Lecz tak by było, gdyby w swoim czasie nie został gospodarce narzucony obecny system, a ona sama nie została faktycznie oddana w pacht górnictwu oraz pokrewnym, kooperującym branżom. Tak się jednak nie stało i dziś mamy wyszabrowane zasoby, które starczyłyby jeszcze dla dzieci i wnuków; mamy zdewastowany kraj ze wszystkimi tego konsekwencjami również dla przyszłych pokoleń. Ale miast trwałego dorobku — niechby nawet spóźnionej ery węgla i stali — bazy dla dalszego rozwoju, siedzimy u rozbitego koryta, w postaci monstrualnej góry rdzewiejącego złomu, jakim staje się nieodwracalnie nasza baza produkcyjna — owoc pracy i wyrzeczeń dwóch kolejnych pokoleń.

I robi się wszystko, aby ten proces trwał dalej. Przy gromkich zapowiedziach restrukturalizacji. W ramach drugiego etapu podnosi się cenę węgla do 15 tysięcy za tonę, czyli prawie trzykrotnie. Przy okazji rzecznik rządu wyjaśnia z przekąsem zachodnim dziennikarzom, że przecież w ich krajach też nikt nie sprzedaje węgla poniżej kosztów wydobycia. Widać rząd nie miał okazji dowiedzieć się, że na Zachodzie również nikt nie produkuje stale powyżej ceny. Ale w ten sposób deficytowa gałąź może zacząć przynosić „dochód". Nic się nie zmieniło: ani światowe ceny węgla, ani sposób jego wydobycia w PRL. Rozpisano jedynie koszty na pokrewne gałęzie: dwukrotnie rośnie cena prądu i gazu, odpowiednio — wszystkie pochodne produkty. W obrębie gospodarki państwowej zwiększa się ilość cyfr, a na wylocie dopłaca do tego konsument, władza zaś ubolewa, że nie udała się operacja cenowa, tak jakby był możliwy jakikolwiek inny tego rezultat poza skokowym wzrostem inflacji.

Arogancją bądź ignoracją było twierdzenie, że podrożenie nośników energii skłoni użytkowników do jej oszczędzania. Skąd ci użytkownicy mają wziąć oszczędne technologie z odpowiednimi urządzeniami? I zresztą nie mają oni żadnej potrzeby, aby to robić. Przy kosztownym tworzeniu cen z procentowym zyskiem zarabia się na podniesieniu kosztów. Co prawda kosztowej metody ma nie być, lecz zapowiedzi te nie są już warte papieru, na którym się je drukuje.

Interes węglowego *lobby* polega przy tej operacji nie tylko na ukryciu ogólnego deficytu branży, lecz chyba jeszcze bardziej na uśrednianiu wyników. Różnice między kopalniami są takie, że przy niewielkich różnicach w cenie zbytu węgla, koszt wydobycia ma się jak sześć do jednego i więcej. Gdyby był to interes nastawiony na zysk, czy w ogóle jakoś zorientowany ekonomicznie, wówczas jego szefowie sami by zlikwidowali jego najbardziej rujnującą część. Jest to jednak imperium, z którego nie chcą oddać ani kawałka. Na środki dlań bowiem pracuje cała niszczona przezeń gospodarka, zaś ich wielkość, wpływy, znaczenie, a i osobiste dochody zależą od wielkości tego, czym bezpośrednio rozporządzają. Tylko dlatego cała ta struktura zarządzająca jest potrzebna jakiejś części przemysłu węglowego. Kopalnia, która byłaby w stanie z zyskiem sprzedać swój węgiel, jeszcze więcej by zarobiła, nie opłacając niepotrzebnych jej „gwarków" i dyrektorów. To kopalnie są potrzebne administracji, by uzasadnić jej istnienie, co zresztą nie jest specyfiką tylko tego resortu...

Ernest SKALSKI

Wytrwali

ANDRZEJ JERZEWSKI: — *Od sierpniowych strajków górniczych upłynęło już parę miesięcy, a ciągle jeszcze wzbudzają one zainteresowanie i spory. Pani była w Jastrzębiu w czasie strajku. Czy naprawdę było tak, że górnicy byli pozostawieni sami sobie?*

ELŻBIETA MISIAK: — Jeśli chodzi o sprawnie zorganizowaną pomoc z zewnątrz, to tak. Wyraźnie takiej brakowało. Było natomiast wiele gestów pomocy, często spontanicznych. Rację mają więc ci, co mówią o pozostawieniu górników, ale nie wszyscy pozostawili ich samych. Wiele pracy włożyli studenci, pracując bardzo ofiarnie w służbie informacyjnej, nieocenionej pomocy udzielał ksiądz Czarnecki i punkt pomocy humanitarnej, zorganizowany w parafii Najświętszej Marii Panny Królowej Pokoju, czyli jak mówią w Jastrzębiu, w kościele „Na górce". Była przywożona żywność od rolników aż z Białegostoku, tyle, że była to kropla w morzu potrzeb. Najgorzej było z łącznością. Telefony nie działały, innych środków łączności nie było, a łącznicy nie mieli do dyspozycji ani jednego samochodu. Do Jastrzębia nie przyjechał żaden artysta, nie wsparła strajku inteligencja. Poza kopalnią „Manifest Lipcowy", dokąd dobrnęli Bogdan Lis, Jan Lityński, Janek Górny, nieoceniony mec. Nowicki, gdzie od początku była Danusia Skorenko, dokąd wrócił z Australii Tadek Jedynak, na terenie innych strajkujących kopalń nie było nikogo. A pomoc była bardzo potrzebna, szczególnie pomoc fachowa. Jak wiadomo, strajkowali wyłącznie górnicy. Pozbawieni pomocy dozoru musieli uporać się z bardzo trudnym problemem zabezpieczenia kopalni. Kopalni nie można zamknąć na kłódkę i strajkować. Doniesienia prasowe z terenu strajkujących kopalń sugerowały, że wszystkie kopalnie się zawalą, zapalą i w ogóle grozi kataklizm.

A.J.: — *A nie było niebezpieczeństwa?*

E.M.: — Oczywiście było. I o tym strajkujący wiedzieli bardzo dobrze. Główne niebezpieczeństwo było jednak ze strony dyrekcji. Obserwując rozwój wydarzeń, dochodziłam do wniosku, jakoby dyrekcjom zależało na tym, aby doszło do jakiejś katastrofy, aby potem móc zwalić winę na strajkujących górników. Są na to liczne dowody. W jednym przypadku strajkujący wnieśli nawet sprawę do prokuratora. Górnicy stanęli przed bardzo trudnym problemem: jak utrzymać stan zabezpieczenia kopalni i nie dopuścić, aby pod pozorem prac zabezpieczających ruszył urobek. W dużym uproszczeniu mówiąc, jeśli przerywa się eksploatację ściany, wówczas powstają naprężenia, które mogą spowodować samozapłon. Aby do tego nie dopuścić, trzeba ścianę „przejechać". Górnicy bardzo troszczyli się o bezpieczeństwo kopalń. Oni mają bardzo osobisty stosunek do tego specyficznego miejsca pracy. A było im naprawdę trudno. Mieli przecież przeciwko sobie wykształcony dozór. Jak widać, radzili sobie doskonale, bo mimo prób sabotażu, nigdzie nie doszło do awarii. Ale nerwy były. I pomoc była bardzo potrzebna, czasem choćby po to, aby napisać pismo do dyrektora. Tu chciałabym zacytować, jak dyrektor kopalni „Jastrzębie" tytułował pisma do komitetu strajkowego: „Komitet Strajkowy Nielegalnego Strajku Części Załogi KWK „Jastrzębie".

A.J.: — *A jaka była prawdziwa liczba strajkujących?*

E.M.: — Strajk zawsze zaczynała jedna zmiana, to znaczy mniej więcej jedna trzecia załogi. Z chwilą wybuchu strajku, dyrekcje uniemożliwiły dojazd pozostałej części górników, którzy po prostu nie mieli jak dojechać, ani jak przedostać się na kopalnie, bo przecież kopalnie natychmiast otaczał kordon milicji. Oczywiście te kordony nie były tak szczelne, jakby sobie władze tego życzyły, ale o masowym przyłączaniu się do strajku nie można było mówić. Jest naturalne, że z tej części, która zastrajkowała, nie wszyscy mogli i chcieli wytrwać do końca. Poza tym, cała załoga nie miałaby się gdzie podziać.

A.J.: — *No, właśnie, a jak wyglądały warunki bytowe? Gdzie strajkujący spali, co jedli?*

E.M.: — Strajk na kopalni jest niesłychanie trudny. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam ludzi śpiących na gołym betonie, to doznałam szoku. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Na wszystkich kopalniach, gdzie byłam, strajkujący zajmowali cechownie i łaźnie. Nie ma tam za dużo miejsca. Luksusem był kawałek deski pod plecy, czy papierowy worek do okrycia. Nie było koców ani śpiworów. Jedzenie dostarczały głównie rodziny, plus pomoc z „Górki". Nie brakło oczywiście sytuacji humorystycznych. Żona przynosi górnikowi do płotu obiad. Ten prosi ją, aby nie przynosiła tyle jedzenia, bo nawet w sześciu nie mogą tego zjeść. Ilu was jadło? — pyta żona. No, sześciu — odpowiada górnik. Przecia ja to dla dwudziestu gotuje — krzyknęła rozsierdzona

kobieta. Dzielne bardzo były te kobiety, które z garnkami przedzierały się do płotów. Dzielne i zawzięte. Czasami twardsze od swoich chłopów. Przychodzi taka jedna z obiadem i koledzy jej mówią, że jej mąż wyszedł już ze strajku: „Co, wyszedł? Ale obiad to tutaj mu będę dawać" — powiedziała żona. Oczywiście, były i takie żony, co namawiały do wyjścia ze strajku, ale we wspomnieniach, w anegdocie pozostaną tamte, dzielne. Podobnie jak ten młody górnik, który przyszedł do komitetu strajkowego po przepustkę na trzy godziny. Przepustkę dostał, dokładnie po trzech godzinach wrócił i pokazał świadectwo ślubu, na który potrzebna mu była przepustka.

A.J.: — *A dlaczego strajki zaczęły się właśnie w Jastrzębiu?*

E.M.: — Trudno mi jest odpowiedzieć na pytanie, do jakiego stopnia była to akcja zaplanowana, a do jakiego spontaniczna. Z moich rozmów z górnikami mogę wysnuć wniosek, że był to wybuch rozpaczy. Nie mamy wyobrażenia, jak potwornie ciężkie są warunki pracy górników, jak bardzo źle są traktowani. Jastrzębie jest bardzo specyficznym regionem. Tutaj nie ma niczego poza kopalniami. Dla mężczyzn miejsca pracy są tylko na kopalni, mieszkają w domach kopalnianych. Uzależnienie od kopalni jest całkowite. Na kopalni jest też tysiąc sposobów, aby niepokornych przywołać do porządku. Wyższy też, niż gdzie indziej, był tu poziom strachu. Jeśli w tych warunkach wybuchły strajki, to rozumiem, że inaczej po prostu górnicy z tego zagłębia nie mogli zareagować. Przez wiele godzin słuchałam opowieści, od których włos się jeżył na głowie. Ciśnienie na maksymalne wydobycie węgla jest tak wielkie, że człowiek, jego bezpieczeństwo, jego zdrowie nie liczy się zupełnie. Jest to zaiste diabelski system. Począwszy od płac. Górnicy muszą, chcąc wyżywić rodzinę, pracować w soboty i niedziele. Są do tego zmuszeni ekonomicznie, ale także są przymuszani bardziej bezpośrednio, jeśli na przykład z jakichś własnych powodów w sobotę czy niedzielę pracować nie chcą. Z kolei jest tak, że jeśli dozór chce kogoś ukarać, to mu nie daje pracy w soboty. A trzeba pamiętać, że za soboty i niedziele górnicy otrzymują około połowy tego, co w całości zarabiają. A nie jest tego tak dużo, jak się potocznie sądzi. Za bardzo ciężką pracę przez siedem, czy nawet tylko sześć dni w tygodniu 80-90 tys. to nie jest tak dużo, jeśli się zważy, że żony przeważnie nie pracują, a górnik nie dorobi na boku, nie ma możliwości robienia „fuch". Dozór natomiast zarabia rzeczywiście bardzo dużo. I to jest powód, dla którego dozór wypełni każde polecenie dyrekcji, nie licząc się zupełnie z ludzkimi możliwościami podległych sobie górników. Rozmawiałam z dwoma „białymi" — tu konieczne jest wyjaśnienie, że w przeciwieństwie do czarnych, brudnych i przepoconych łachów, w jakich pracują górnicy, dozór ma ubrania czyściutkie i białe i jeszcze wiążą sobie pod szyją białe szaliczki, który to drobiazg bardzo irytuje czarnych górników — otóż ci biali usiłowali nawet dyskretnie wesprzeć strajkujących. Ale na moje pytanie, dlaczego nie przyłączą

się do strajku, odpowiedzieli: „A pani wie, ile my zarabiamy? To pani wie, dlaczego nie strajkujemy". Jak słyszałam w Jastrzębiu, w lipcu dyrektor kopalni „Manifest Lipcowy" podjął 750 tys. — 350 tys. z kasy i 400 tys. przekazane na rachunek rozliczeniowy. A przecież do tego dochodzą jeszcze premie i nagrody w proporcjonalnej wysokości. Za takie pieniądze można, jak się okazuje, kupić ludzkie sumienia. Usłyszałam też od tych samych białych, że oni traktują górników tak, jak sami są traktowani. Ten nacisk idzie z góry. Władza ciśnie na dyrekcję, dyrekcja na dozór, dozór na górników. Tylko górnicy już nie mają na kogo przenieść tego nacisku. Stąd te dramatyczne strajki.

A.J.: — *Ale przecież jako pierwszy i najważniejszy postulat górnicy wysunęli sprawę „Solidarności".*

E.M.: — Tak, bo pamiętali że za „Solidarności" było lepiej. O tym mówiło mi wiele osób. Wtedy były dużo lepsze stosunki pomiędzy białymi a czarnymi, mniej było wypadków przy pracy. Zresztą, żeby moja relacja była uczciwa, to muszę powiedzieć, że górnicy stawiali mi pytanie, czy to koniecznie musi być „Solidarność", czy ich niezależny związek nie mógłby się nazywać inaczej, byle by tylko był ich własny, niezależny. Ale wtedy zawsze odzywały się głosy innych górników, którzy tłumaczyli, że pierwszy warunek niezależności związku zawiera się już w nazwie. Jeśli nawet nazwa nie będzie zależeć od nas — mówili — to jaka to będzie niezależność?

A.J.: — *A jak kończyły się strajki na kopalniach, bo na ten temat też jest wiele sprzecznych informacji?*

E.M.: — Moje zdanie jest takie, że najważniejszym powodem, dla którego strajki „siadały" był brak perspektywy wygrania tych strajków. To bardzo osłabiało morale strajkujących. Uważam, że gdyby była szansa na wygranie, to wszystkie te inne powody, takie jak potworna zupełnie kampania zastraszania, próby sabotażu, zmęczenie, zimno, czy też nacisk rodziny miałyby mniejsze znaczenie. Na tych kopalniach, gdzie strajk trzymał się mocno, stosowano wariant siłowy. Ale to nie było tak, że wdzierało się ZOMO czy wojsko. Nie. Schemat był podobny — najpierw wdzierali się pracownicy dozoru i kopalniane służby ORMO, a dopiero za nimi było ZOMO. To była taka zagrywka, żeby osłabić wolę obrony u strajkujących. Najbardziej brutalnie przebiegało to w kopalni „Morcinek", gdzie dozór po prostu bił górników. Jeden górnik uderzony kluczem w głowę doznał bardzo poważnego urazu. Inny zaś, przewodniczący komitetu strajkowego, Andrzej Andrzejczak od uderzenia pałką doznał uszkodzenia płuc. Natychmiast po zakończeniu strajków posypały się represje — zwolnienia z pracy, branie do wojska, eksmisje z mieszkań. Wtedy też stało się jasne, że jedyną formą obrony przed represjami jest kontynuowanie strajku w kopalni „Manifest Lipcowy", aż do uzyskania gwarancji zaniechania represji.

Tym bardziej, że trwał strajk w Stoczni, w Szczecinie, w Stalowej Woli. W Stalowej Woli nawet się rozszerzał. Tuż przed decyzją Wałęsy o przerwaniu strajków stanęła cała Stalowa Wola. Był to fakt o ogromnym znaczeniu, ze względu na charakter zakładu. Górnicy byli już bardzo blisko uzyskania żądanych gwarancji bezpieczeństwa, bo o to już tylko chodziło. Komitet strajkowy przyjął bowiem taką taktykę, że postulat rejestracji „Solidarności" scedował na Lecha Wałęsę, a inne postulaty godził się negocjować po zakończeniu strajku. Natomiast, jeśli chodzi o warunki bezpieczeństwa, to nie było żadnej skłonności do ustępstw, co wobec rozwoju sytuacji było zrozumiałe. Chodziło o bezpieczeństwo dla wszystkich strajkujących, ze wszystkich kopalń, nie tylko z „Manifestu". Na „Manifest" dotarło wielu górników z innych, rozbitych kopalń i byli oni szalenie zdeterminowani. W ostatnim tygodniu strajku było tak, że już nikt nie wychodził ze strajku, było natomiast bardzo wielu powracających, nieraz po licznych próbach przedarcia się przez kordon milicyjny. Co mnie najbardziej uderzyło, to zwartość tej grupy i szalona determinacja. Do końca nie wiedziałam, co naprawdę oni szykują i do czego są zdolni. Ale zdaje mi się, że byli przygotowani na najgorsze. Zresztą można było wiedzieć, do czego są zdolni górnicy po tym, jak na „Moszczenicy" zamknęli się pod ziemią w składzie materiałów wybuchowych, w środowisku metanowym, a metan jest bardzo groźny dla zdrowia i życia. Na „Boryni" zaś zeszli szybem awaryjnym 580 m w dół. Schodzili przez trzy godziny po niepewnych szczeblach, bez możliwości zatrzymania się czy odpoczynku. Potem dłonie mieli popuchnięte jak banie i nie byli w stanie stanąć na nogach. Tak więc ta grupa ponad dwustu osób, którzy do końca trwali w kopalni „Manifest Lipcowy" była twarda, zawzięta, gotowa walczyć w obronie swoich kolegów z innych kopalń. Był taki moment, że było już bardzo blisko podpisania gwarancji bezpieczeństwa przez dyrekcję, milicję i prokuraturę, kiedy doszła wiadomość o przerwaniu strajku w Stoczni Gdańskiej. Mówiąc obrazowo, dyrekcji wypadły długopisy z ręki, niczego nie podpisali i na żadne rozmowy już nie przychodzili. W piątek, 2 września przyjechał Lech Wałęsa w towarzystwie ks. Jankowskiego. Chciałabym to zrelacjonować bez emocji, czy oceniania, ale to bardzo trudne. Był to dziewiętnasty dzień strajku. Morderczego strajku. Ludzie byli bardzo zmęczeni i zwyczajnie głodni. Doszło do tego, że neozwiązki zdobyły się na humanitarny gest i przekazały strajkującym parówki i grochówkę. Najbardziej zawzięci nie chcieli jeść darów od czerwonego. Ale dla wielu, także, wstyd przyznać, i dla mnie głód był silniejszy. A więc przyjeżdża Lechu i proponuje wyjście ze strajku bez żadnych gwarancji bezpieczeństwa. Jego argumenty są takie: „gwarancje wymuszone są bezwartościowym świstkiem papieru, prawdziwą gwarancją jesteśmy my, „Solidarność"; jako przewodniczący związku muszę wykazać, że panuję nad sytuacją, inaczej nie będę wiarygodny dla władzy; macie gwarancje ze strony Episkopatu i Kiszczaka". Argumenty strajkujących były następujące: „jeśli podpisane gwarancje są

niczym, to jeszcze mniej znaczy słowo Kiszczaka; do pracy będzie nas przyjmował dyrektor, a nie Glemp, czy Kiszczak; podpisane gwarancje mogą być jakimś argumentem dla sądu, gdyby doszło do takiej ewentualności (przyp. — doszło, bez tego sąd by ich nie przywrócił do pracy w listopadowej rozprawie), a poza tym, to bardziej słuchaj Lechu tego, co ci mówią ludzie i przekazuj to Kiszczakowi, a mniej tego, co ci Kiszczak każe przekazać ludziom". Wałęsa nikogo przekonać nie zdołał. W tym czasie, kiedy trwały burzliwe rozmowy, najpierw w bardzo małym gronie, potem w szerszym, potem ze wszystkimi strajkującymi, ks. Jankowski udał się do dyrekcji, połączył się z Episkopatem i z Kiszczakiem. Wałęsa zaś zwyczajnie się obraził i chciał natychmiast wyjeżdżać. Była to godzina czwarta po południu, a o szóstej ks. Jankowski miał mieć ponowne połączenie telefoniczne z Episkopatem i Kiszczakiem. Na szczęście Wałęsa nie wyjechał, ale poszła wieść wśród strajkujących — ja nie wiem skąd się wzięła — że do godziny ósmej wieczorem Wałęsa ma wyprowadzić strajk. Oczywista dla mnie stała się w tej sytuacji reakcja ze strony dyrekcji, to znaczy zaniechanie rozpoczętych już negocjacji z ks. Jankowskim i wyczekiwanie na bieg wypadków. Wałęsie nie udało się wyprowadzić strajku. Wtedy powiedział, że on wcale tego nie chciał, on chciał tylko wypróbować strajkujących. Zrobił wreszcie to, na co czekali strajkujący, to znaczy oświadczył, że nie ruszy się z Jastrzębia, dopóki górnicy nie otrzymają żądanych gwarancji. No i wtedy stało się jasne, że skoro nawet Wałęsie nie udało się zakończyć strajku, to dyrekcja musi jednak ustąpić. Mówię dyrekcja, bowiem upoważnieni przedstawiciele milicji i prokuratury byli skłonni dać takie gwarancje już wcześniej. Zupełnie nieskłonna do ustępstw w tej mierze była dyrekcja wspólnoty węgla, z upoważnienia której występował jeden z dyrektorów gwarectwa, Jan Jadczyk. Po parogodzinnych rozmowach, które w imieniu strajkujących prowadzili mec.mec. Piotrowski i Nowicki, górnicy otrzymali na piśmie gwarancje bezpieczeństwa i zobowiązanie do prowadzenia zasadniczych negocjacji po zakończeniu strajku. Była godzina 1,15 3 września, akurat w rocznicę podpisania porozumień jastrzębskich z '80 roku. Strajk zakończył się o szóstej rano, pierwsza zmiana mogła przystąpić do pracy.

A.J.: — *A kto wybrał delegata górników do rozmów przy okrągłym stole?*

E.M.: — Po przyjeździe Wałęsy odbyły się rozmowy w gronie czterech osób, wśród nich był wiceprzewodniczący MKS, już wtedy Międzyzakładowego Komitetu „Solidarności" Alojzy Pietrzyk. Po rozmowie tej Wałęsa powiedział: „wiecie, jak on (Pietrzyk) na mnie napadł? On mi się podoba. Nie przestraszył się Wałęsy, nie przestraszy się Kiszczaka. Kupuję go do okrągłego stołu". Na to Pietrzyk odparł, że po pierwsze, to on jest nie do kupienia, a poza tym, o tym, kto będzie reprezentował górników niech zadecydują sami górnicy, a nie Lechu. I górnicy wybrali Alka

Pietrzyka, bo po prostu był dobry. Mogę powiedzieć, że Pietrzyk był na pewno wiodącą postacią strajku, choć oczywiście nie on sam i nie on jeden. Jeśli już wymieniam nazwiska, a chciałam tego uniknąć, bo nie chciałabym się przykładać do lansowania nowych „gwiazd", to nie mogę nie wspomnieć o „Laluni", czyli Janku Piłacie, którego uśmiech, humor, utrzymywanie służb wartowniczych i „laluni" w garści były na pewno filarem strajku. Lalunie, to były sztyle od kilofów, którymi górnicy byli gotowi się bronić w wypadku ataku.

A.J.: — *Czy strajkujący mieli poczucie zwycięstwa?*

E.M.: — O, tak, ogromne, wytrwali przecież wbrew wszystkim.

Z Elżbietą MISIAK rozmawiał Andrzej JERZEWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Pogląd

Miesięcznik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność" e.V.
Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE ■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z PODZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedyńczego egzemplarza w RFN DM6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu". Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd", Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

Dzień, który będą wspominać

Stanąłem przed płotem i patrzyłem na dom. Lokal był wymarzony. Tu — wyobraziłem sobie — stanie nasz offset, nasza maszyna do drukowania książek. Wielkie podpiwniczenie. Okienko zabije się dyktą. Ogród, drzewa, krzewy. Spokój. Dom jest duży. Ma garaż, do którego będzie wjeżdżał samochód z papierem.

Willa sąsiadów z lewej — cisza. Tylko z jednego okna widać wjazd do garażu. Willa jest odwrócona. Niczym się nie interesuje.

Willa sąsiadów z prawej — duży, wielki ogród. Dalekie okna. Spokój. Wysoki żywopłot na granicy ogrodów.

Willa naprzeciwko — białe, śpiące firanki. Bezludny ogród.

Wąska, boczna uliczka. Pusto. Tą uliczką regularnie chodzi tylko słońce.

Tu, w tym domu, będziemy pracować — myślę, głaszcząc chłodny płot. Będziemy tutaj, jakby nas nie było.

Wchodzę na ścieżkę z chodnikowych płyt. Wyobrażam sobie właściciela: pięćdziesięcioletni człowiek, spokojny. Na pewno będzie mnie pamiętał. Pracuje w spokojnym miejscu, jest niezbyt odważny, dlatego też niezbyt rzuca się w oczy. Pracował kiedyś na kontraktach za granicą, stąd ten dom. Dom, spokojny jak i jego właściciel, nie krzyczał, kiedy rozwiązywano „Solidarność". W tym domu nigdy nie było milicji. Przed tym domem nigdy nie stali w białym, dużym samochodzie szpicle w ciemnych okularach.

Ten dom — to raj, myślę wchodząc po schodach do drzwi.

Ten człowiek — co za spokój, myślę mówiąc dzień dobry. Mieszkają tu tylko on i jego żona. Mijamy puste pokoje o zapachu nieodwiedzanych dywanów, pełne łóżek które zapomniały już o miłości.

Taki dom jest najlepszy. Siadamy przy stole. Zdmuchuję resztki niepokoju z warg. On nie powie nie. Znał mnie kiedyś. Teraz! Teraz trzeba zacząć mówić, kiedy oczy jego są pełne radości przypomnienia, brwi jego uniesione są do góry, ręce poruszają się żwawo i swobodnie. Kiedy ma jasność pojmowania.

— Zajmuję się teraz niezależną poligrafią — mówię. — Poszukuję miejsca do pracy — mówię. Mówię dalej, spokojnie, zdecydowanie, nawet promienie słońca wpadają przez okno, ale nie przerywam, nie daję mu czasu na wtrącenie zbędnych słów. Mówię, cały czas gotowy do reanimacji jego lepszej części.

— Potrzebne nam jest jedno pomieszczenie w piwnicy — mówię i czuję w jego oczach ból. Ta piwnica jest częścią jego ciała. Ta piwnica to praca jego rąk, zapchana latami przyzwyczajenia. Ta piwnica, ten dom — oni mu go zabiorą, jak się dowiedzą. Oni wyrwą to ciało z jego ciała, uczucie z jego uczuć.

— Będą przychodziły tylko trzy osoby — mówię dalej spokojnie, pewnie. — Najważniejsza rzecz to transport papieru. Samochód będzie przyjeżdżał raz w tygodniu, można rzadziej. Będzie wjeżdżał do garażu (przecież nie ma pan samochodu — myślę) i wyjeżdżał następnego dnia, o różnych porach, by nie zwracać uwagi — mówię i patrząc w jego oczy czuję, jak z sąsiedniego domu wychyla się sąsiad. Ten sąsiad — mógłby donieść. Gorzej: mógłby zapytać. Jego ciekawe oczy wertują co dzień sąsiednie posesje — mógłby zaciekawić się, co to za samochód przyjeżdża do pana, a po co? I co mu na to odpowiedzieć? Że handluję? Czym? Że wynajmuję garaż? A komu i za ile, bo ja też chciałbym. On patrzyłby mi w oczy, niedowierzająco uśmiechając się. Nie, nie chcę — myśli on, a ja widzę lekko uchylone firanki w domu naprzeciw. Czuję otchłanie rzeczy, które człowiek w domu naprzeciwko mógłby pomyśleć. Czuję te czarne kroki, które mógłby uczynić, te nieznane kierunki, w których mógłby pójść. Te szmery, które mógłby usłyszeć, gdyby nagle cisza stała się absolutna, gdyby muchy zamarzły, a słońce przestało oddychać, gdyby (przecież ściany będą obite gąbką) gdyby gąbka oderwała się w którymś miejscu, gdyby nagle ktoś zainteresował się zwiększeniem poboru prądu albo tym, że do domu wnosi się więcej siatek z artykułami spożywczymi, mogłaby przecież, czuję, przyjść inspekcja przeciwpożarowa i powiedzieć: proszę otworzyć piwnicę, musimy zobaczyć wszystkie pomieszczenia, mogłaby przyjść milicja szukać złodzieja, który okradł sklep, teraz — proszę bardzo, wchodźcie, patrzcie, jestem uczciwy, nie mam nic do ukrycia (czy być uczciwym, to nie mieć nic do ukrycia?! Czy być uczciwym, to nie myśleć?!), ale tak, gdyby tam, tego, co bym im powiedział? jak wytrzymałbym wzrok sąsiada, który kopiąc ogród podniesie głowę i powie: Co — zaczęli wreszcie państwa odwiedzać młodzi ludzie? — powie i to nie będzie pytanie, ale jeśli nie odpowiem, w sercu sąsiada, w kąciku jego myśli może zalęgnąć się maleńkie podejrzenie, że nie jestem całkiem uczciwy. Co potem? Ach, tego się już nie da objąć myślą. Sąsiad mógłby przyjść na przykład i powiedzieć, że chciałby obejrzeć mój piec w piwnicy, bo chce zamontować taki sam, albo jego żona mogłaby przyjść i z pewnością zauważyłaby, że młody człowiek, który przed chwilą wszedł, nie siedzi z nami przy stole, ani nie ma go w żadnym z pokojów, a więc gdzie jest?

Wszystkie rzeczy, które są możliwe, odbijają się echem od ścian i pokój wpada w rezonans, od którego ręce pana Andrzeja, mojego znajomego, zaczynają lekko drżeć i ja sam, tłumacząc mu wszystkie nasze zabezpieczenia, tłumacząc sposób postępowania w razie wpadki, która przecież nie zdarzyła się nam od tylu lat, widzę, wymieniając nazwiska adwokatów, którzy będą go bezpłatnie bronić, widzę w jego oczach przywiązanie, ukochanie domu, zaczynam rozumieć, że gdyby wnieść w te mury maszynę drukarską, stałby się to nagle inny, obcy jego właścicielowi dom, zaczynam wierzyć, że ciepły, przywiązany do właściciela dom mógłby z wrażenia zrzucić tynk, a jego ściany mogłyby się stać przezroczyste. Przed oczami mnie-domu przechodzą tłumy gapiów, którzy z przypadkowych, pojedynczych osób stali się systematycznymi obserwatorami, potencjalnymi donosicielami. Ja-dom zaczynam nerwowo oglądać się za każdym przechodniem-obserwatorem, wzdragam się, kiedy na ulicy zatrzymuje się samochód, staję się nieufny wobec właściciela. Ja-dom słucham, czy przez ciszę nie przebija stukot drukarni, która z nieoficjalnej stała się w moim wnętrzu Tajną, Nielegalną, Poszukiwaną Przez Organy Bezpieczeństwa. Po mojej piwnicy stąpają Ludzie Ścigani Przez Prawo (dawniej zwyczajni, młodzi ludzie). To wszystko męczy mnie i nie mogę spać. Mrugam czerwonymi, bezsennymi powiekami i oto znowu widzę przed sobą właściciela domu.

— Chcę... — zająknął się. — Chciałbym wam pomóc... — zająknął się. Tylko jak? Oczy właściciela biegają po całym pokoju, jakby szukał co może mi dać, jak mi pomóc. Może szafę? Nie. Ja nie potrzebuję szafy. Powiedziałem już, czego potrzebuję.

Właściciel domu jąka się i widzę już, że nic się nie da zrobić. Uśmiecham się i bardzo mu dziękuję. Kiedy wstaję, jego szara, pocięta zmarszczkami twarz prosi o przebaczenie. Krzesło rozpaczliwie skrzypi i stół chwieje się na nogach. Chora żona leży w łóżku. Jeszcze raz kłaniam się i schodzę po drżących stopniach do ogrodu. Odnoszę wrażenie, że ścieżka prowadząca do furtki biegnie zakosami, jakby i ona, chcąc mi przecież pomóc, nie potrafiła wybrać prostej drogi. Kwiatki przy ścieżce więdną ze wstydu. Wszyscy oni tak by mi przecież chcieli pomóc.

Zamykam furtkę i ostatni raz patrzę na dom. Nie warto tu już przychodzić. Dom przez czas mojej obecności postarzał się,

u góry trochę skurczył, za to podpiwniczenie obrzydliwie spuchło i nadawało się już tylko do wycięcia. Pręty płotu poskręcały się bezradnie. Nie były już żadnym oparciem.

Kiedy ktoś nie chce pomóc i nie pomaga — nie jest to dla niego żadnym przeżyciem. Ale jeśli ktoś chce pomóc, a nie pomaga — jest to dla niego wyniszczająca męczarnia.

„Nie — to nie", pomyślałem jak zwykle, odwróciłem się i zacząłem odchodzić od domu, właściciela, ogrodu, zdając sobie sprawę, że wniosłem w ich życie tragedię, która się nigdy nie skończy.

Wojciech BOLANOWSKI

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe oraz wszelkie inne prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

Wiersze

Filip ISTNER

TO JUŻ

Przychodzi dzień, kiedy słowa:
„stary, staruszek, starowina, starzec"
i sto jeszcze innych deformujących twój świat
zaczynasz odnosić z rosnącym zdumieniem do siebie.

Tamto wypaczone, staczające się ku dołowi,
to ja?
Najbardziej wstrząsające: Nikt się nie dziwi.
Wszyscy uważają to zubożenie świata,
to wklęśnięcie, za naturalne —

Przechodzą obok ciebie, jak gdyby nigdy nic,
Jakby to wynikało z istoty rzeczy:
nieuchronne, podyktowane obrotem ciał niebieskich.

Wyzbyci wstydu, wyrażają się nieprzyzwoicie,
ględzą o „radosnej", „mającej uroki"
(swoje); i do tego „dostojnej" —

właśnie kiedy nadciąga
przerażający kataklizm.

I tak wśród arktycznych bezmiarów obojętności
najbardziej umiłowany statek schodzi nieuchronnie
na dno.

Przyglądasz się żałosnemu widowisku,
i gdy z ogłuszającym łomotem napierają bryły lodu —
ze źle maskowanym przerażeniem, osłanianym
tak zwaną godnością własną, przyjmujesz ciosy,

Do końca niewyzwolony z pychy,
usiłujesz wytrwać w kłamstwie, powtarzając:
ziemia zawsze będzie ziemią, świat światem,
słońce świecić nie przestanie.
Znowu wiosną wszystko zazieleni się.

Nawet nie poczujesz jak nicość zjedna się z wiecznością,
wolność z koniecznością.
choćbyś po stokroć kłamał sobie uniesiony pychą,
powtarzając o „nieuchronnym", „koniecznym",

wiesz w gruncie rzeczy:
czeka cię nicość
przed którą nikt i nic nie obroni.

czerwiec 1988

POSŁOWIE

„Lubię widzieć agonię
bo wiem, że to nie fałsz,
nikt nie symuluje konwulsji,
nie udaje skurczu ciała".

Emily DICKINSON

(Przekład Kazimiery IŁŁAKOWICZ)

Maria KURECKA

ZMIERZCH

Jeszcze tutaj jesteś,
Jeszcze z tobą mówię —
wiesz?

Przedwiośnie i chmury
ciężkie idą górą —
Zmierzch.

Przeleciały lata
i przeszłość łaciata
dni, nocy sypki deszcz —

Sama teraz stoję,
słyszę słowa twoje
I zapada
i zapada
Zmierzch.

Maria KURECKA

Agata MAMOŃ

WIDOK Z OKNA

najważniejszy jest widok z okna

niebo to nie kolor ciemniejący wieczorem
w tafli matowej szyby
ale wolna struga powietrza
błękitna nad niedościgłą linią horyzontu
nieprzekreśloną pionem i poziomem krat

ostrze światła nie przeciska się szparami
pozostawionymi przez nieuważnych strażników
lecz rozświetla oczywistość pokoju
rysując kontur stołu i krzesła
przedmiotów z pozoru zwyczajnych

deszcz znany jedynie z dźwięku
pozbawiony kropel i szarości
teraz mokry jak oczyszczenie
głaszcze zmęczoną twarz ulicy

czerń gałęzi za oknem zdaje się
japońskim rysunkiem na jedwabiu ciszy
równie nietrwałym pięknem
kiedy przymknąć oczy

tylko pamięć nieco mniej śmiertelna
w skłębionych zwojach myśli pisze
znak powietrza i niewoli

styczeń 1987

Agata MAMOŃ

Tadeusz NOWAK

SIÓDMY PACIERZ AZJATYCKI

W tym czołgu anioł mieszka
a w tamtym mieszka Bóg
Mówi anioł do Boga
twój orzeł moja reszka
Za orłem i za reszką
płonie w kopalni Wujek
zimowy głóg

Podejdź do głogu chłopcze
ścięty salwą na pół
Bóg pragnie z tobą mówić
Anioła usta obce
sypią na twoje nogi
na głowę twoją sypią
pacierza siny muł

Bóg mówić z tobą pragnie
przez węgiel i przez muł
Bóg ci przyniósł z Jastrzębia
anioł przyniósł z Wybrzeża
tablice dwie — trupięgi
żebyś je przed odejściem
na bose stopy wzuł

JEDENASTY PACIERZ DIABELSKI — IMPERIALNY

Imperium jest chore Sinieją
po lasach czerwone rakiety
i czołgi się topią na wosk
i zamiast bylinnych mołojców
po domach chleb rodzą kobiety

Imperium jest chore Z lotniska
skrzydlate startują ikony

i zamiast granatów dziadkowie
gotują w szynelach tysięczne
ziemniaków spieczonych szwadrony

Imperium jest chore I z łagrów
wychodzą z harmonią ludkowie
i uchę gotują nad Wołgą
i z pszenic kubańskich do syta
ustami wymiona ssą krowie

Imperium jest chore Na budach
psy czują gorączki tej zapach
I zorza polarna odmarza
i niedźwiedź ubrany w jej szubę
jak człowiek podchodzi na łapach

i rybę nam niesie wyjętą
z podobnej do dzwonu głębiny
I jemy z niej wszyscy I tylko
ościami się dławi nasz pradziad
i synek truchleje nam siny

Tadeusz NOWAK

HASKOBA Ltd.

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A" DEWIZOWE
Zwykłe i Telegraficzne
LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOŚĆ - TELEWIZORY - VIDEO
EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE
42 LATA DOŚWIADCZENIA
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

Archiwum polityczne

Od Reagana do Gorbaczowa

ROZMOWA Z JOHNEM LENCZOWSKIM

John Lenczowski jest profesorem Georgetown University oraz pracownikiem waszyngtońskiej Council for Interamerican Security. W latach 1983-1987 pełnił funkcję doradcy do spraw sowieckich i europejskich w Radzie Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przy Białym Domu. John Lenczowski jest synem profesora Jerzego Lenczowskiego, znanego specjalisty od spraw bliskowschodnich.

ROBERT KOSTRZEWA: — *Jak Pan ocenia amerykańską politykę zagraniczną w okresie ośmiu lat prezydentury Ronalda Reagana? Jakie były jej dobre strony? Na czym polegały najpoważniejsze błędy?*

JOHN LENCZOWSKI: — Myślę, że zanim dokonamy oceny polityki amerykańskiej w ostatnich ośmiu latach, warto przypomnieć, w jakich okolicznościach Ronald Reagan obejmował urząd prezydenta USA w styczniu 1981 roku. Pod koniec lat siedemdziesiątych Stany Zjednoczone przeżywały wyraźny kryzys tożsamości. Złożyło się na to wiele powodów: bezładna polityka rządu Cartera, będąca rezultatem nieustannej walki pomiędzy różnymi zwalczającymi się ugrupowaniami w administracji, ciągle obecne widmo wojny wietnamskiej, resztki kaca po Watergate i wreszcie fiasko polityki *détente*. Słabość Ameryki na arenie międzynarodowej symbolizował fakt, że nikomu nieznany islamski duchowny mógł całkowicie bezkarnie poniżać Stany Zjednoczone, ośmieszając Amerykanów, którzy co wieczór, tydzień po tygodniu, śledzili w telewizji los zakładników w Iranie.

Jasna stawała się też pogłębiająca się izolacja Ameryki w świecie. Amerykanie mieli coraz większe trudności w uzyskaniu zgody na utrzymanie baz wojskowych w państwach sojuszniczych. Na forum ONZ Stany Zjednoczone musiały korzystać z prawa veta w Radzie Bezpieczeństwa, podczas gdy jeszcze dwadzieścia lat wcześniej rezolucje z inicjatywy USA przechodziły większością głosów. Okazało się też, że Związek Sowiecki osiągnął ogromną przewagę wojskową nad Ameryką właściwie we wszystkich rodzajach broni. Wszystko to razem doprowadziło do poważnego osłabienia pozycji nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego Zachodu.

Ronald Reagan w momencie kiedy został prezydentem USA zdawał sobie sprawę, że aby skutecznie bronić interesów amerykańskich w świecie, trzeba wpierw wiedzieć dokładnie, kto tym interesom najbardziej zagraża. Największa zasługa Reagana polegała więc na tym, że przynajmniej w pierwszych latach swej prezydentury nie miał złudzeń co do tego, że Związek Sowiecki zagraża nie tylko Ameryce, ale całej zachodniej cywilizacji. Mówienie prawdy o sowieckim zagrożeniu było w tych pierwszych latach bodaj największym sukcesem prezydenta. Reagan miał też inne zasługi. Pokazał całemu światu, że ze Związkiem Sowieckim należy rozmawiać z pozycji siły i że tylko wtedy Sowieci traktują takie rozmowy poważnie. Jak wiadomo, ta twarda linia polityki amerykańskiej doprowadziła do podpisania umowy INF. Osobiście mam w tej sprawie mieszane uczucia. Z jednej strony faktem jest, że ekipa Reagana zmusiła Sowietów do pewnych koncesji w dziedzinie ograniczenia zbrojeń czy nawet redukcji istniejących arsenałów. Bilans końcowy umowy INF to jednak powrót do *status quo ante* czyli sytuacji, która istniała przed instalacją rakiet balistycznych w Europie.

Największym błędem politycznym było jednak coś innego, coś o wiele poważniejszego. Jak już wspomniałem, w pierwszych latach administracji Reagana wydawało się, że prezydent i przynajmniej kilku jego głównych doradców zdają sobie dokładnie sprawę z tego, czym jest Związek Sowiecki i jaką prowadzi politykę zagraniczną. Polityka Reagana wobec Sowietów miała być oparta na realizmie, sile i dialogu. Realizm w stosunkach ze Związkiem Sowieckim miał być warunkiem *sine qua non* amerykańskiej strategii. Okazało się jednak, że realizm polityczny Waszyngtonu oparty jest na fałszywych założeniach. Poziom wiedzy o systemie sowieckim i sowieckiej polityce zagranicznej osiągnął po prostu na Zachodzie takie dno, że największa nawet fantasmagoria uznana być może za realistyczne posunięcie polityczne.

Najtrudniej zrozumieć fakt, że Związek Sowiecki jest ciągle państwem komunistycznym i że marksizm-leninizm jest ciągle

obowiązującą ideologią, niezależnie od tego, czy wszyscy w partii przyjmują wszystkie założenia doktryny. Największym nieporozumieniem jest dopatrywanie się konfliktu pomiędzy sowiecką ideologią a sowieckim pragmatyzmem. Wynika to z całkowitego niezrozumienia marksizmu-leninizmu. Według Lenina ktoś kto nie jest pragmatykiem nie jest dobrym marksistą, lecz nieskutecznym awanturnikiem. Skuteczność jest w pewnym sensie miarą ideologicznej czystości. Ilekroć Związek Sowiecki wycofuje się na pozycje obronne, zachodni „realiści" obwieszczają całemu światu, że Kreml odrzuca marksizm-leninizm. Zachód ciągle nie może zrozumieć, że Sowieci wycofywali się w przeszłości wiele razy (począwszy od pokoju w Brześciu w 1918 roku) i że każdy z tych kroków wstecz podyktowany był jedynie taktyczną koniecznością.

Przewaga Związku Sowieckiego nad Zachodem polega między innymi na tym, że Sowieci mają pełną jasność co do swoich strategicznych celów. To oni definiują pole walki na arenie międzynarodowej (siły wojenne to my — siły pokojowe to świat komunistyczny), to oni wybierają broń, za pomocą której walka ta ma być toczona, to oni stawiają warunki w międzynarodowych debatach politycznych. Związek Sowiecki jest w związku z tym w ciągłej ofensywie politycznej, podczas gdy Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie pozostają w defensywie i jedynie reagują na posunięcia sowieckie. Nawet wtedy, gdy Sowieci popełniają jakiś błąd, to i tak są oni w stanie błąd ten skorygować zanim Zachód zorientuje się, że został on w ogóle popełniony.

Według narzuconej przez Sowietów retoryki, do trzeciej wojny światowej dojdzie tylko w przypadku, kiedy Zachód ośmieli się zakwestionować sowieckie *status quo*. Związek Sowiecki ma natomiast pełne prawo do łamania wszelkich konwencji i umów międzynarodowych. Problem polega na tym, że taka interpretacja konfliktu z Sowietami nie jest traktowana na Zachodzie poważnie. Nawet na najwyższych szczeblach rządowych tego rodzaju rozważania traktuje się jak wołanie na puszczy. Efekt tego jest taki, że Sowietom udało się przekonać świat, że głównym powodem napięć między Wschodem a Zachodem jest wyścig zbrojeń. Zgadzając się na to, aby rozbrojenie stało się kwestią centralną w stosunkach sowiecko-amerykańskich przyznajemy jednocześnie, że Stany Zjednoczone są w równym stopniu odpowiedzialne za główny problem współczesnego świata.

Podstawowym błędem administracji Reagana była więc zgoda na to, aby ograniczenie zbrojeń było podstawowym celem amerykańskiej polityki zagranicznej. Prawda o zasadniczym konflikcie politycznym i ideologicznym między Zachodem a Sowietami została prawie całkowicie zagłuszona.

R.K.: — *Amerykańską politykę zagraniczną w okresie ostatnich ośmiu lat nazywa się często doktryną Reagana. Czy mógłby Pan ją zdefiniować i ocenić, do jakiego stopnia została ona wprowadzona w życie?*

J.L.: — Doktryna Reagana polega na pomocy rządu USA dla ruchów antykomunistycznych w tych krajach, w których albo już doszło do komunistycznego przewrotu, albo dojść może w najbliższej przyszłości. Głównie chodzi o Afganistan, Nikaragwę, Angolę i Kambodżę. Nawiasem mówiąc polityka ta powinna była być wprowadzona w życie wiele lat temu w stosunku do Europy środkowo-wschodniej.

Doktryna Reagana była oczywiście jakimś krokiem naprzód, ale nigdy, niestety, nie stała się częścią oficjalnej polityki rządu Stanów Zjednoczonych. Nie zapominajmy, że nawet samo określenie „doktryna Reagana" wprowadzone zostało do słownika politycznego nie przez polityków, ale przez dziennikarzy. Oficjalnie rząd USA właściwie nigdy nie traktował doktryny Reagana jako drogowskazu w polityce zagranicznej. Owszem, w tym czy innym przypadku udzielano pomocy ruchom antykomunistycznym, ale nigdy nie miało to charakteru dalekosiężnej strategii. W sytuacjach konfliktowych dochodziło przeważnie do kompromisu z komunistami. Próbowano tworzyć rządy koalicyjne, zapominając o gorzkim historycznym doświadczeniu, że rządy koalicyjne i tak kończą się zawsze całkowitą komunizacją danego państwa.

R.K.: — *Los nikaraguańskich* Contras, *przyjęcie planu Ariasa, zgoda na niektóre klauzule „umowy pokojowej" w Afganistanie czy wreszcie zabiegi dyplomatyczne Departamentu Stanu w Namibii, które skończą się najpewniej zwycięstwem SWAPO i przejęciem władzy przez komunistów, to przykłady politycznych kompromisów, dzięki którym Sowieci — nawet jeśli przegrywają wojnę — wygrywają pokój. Bilans lat osiemdziesiątych nie jest oczywiście aż tak tragiczny, jak poprzedniej dekady, kiedy Związek Sowiecki „pozyskał" sobie dziesięciu nowych sojuszników. Czy polityka powstrzymywania Sowietów na arenie międzynarodowej — a doktryna Reagana nie wykracza nawet na milimetr poza założenia* containment — *jest dostatecznie skuteczną metodą oporu przeciwko Związkowi Sowieckiemu?*

J.L.: — Po pierwsze ma Pan całkowitą rację, że doktryna Reagana nie wykracza poza założenia polityki powstrzymywania. *Containment* zakłada, że ilekroć Sowieci przekraczają magiczną granicę, dzielącą świat na strefy wpływów, Zachód ma pełne prawo do obrony zagrożonych terytoriów i że to zupełnie wystarcza. Polityka powstrzymywania jest pod pewnymi względami słuszna, ale ma jedną ogromną wadę, którą już wspomniałem, a mianowicie

fakt, że tylko Sowieci określają pole walki i że konflikt między Wschodem a Zachodem odbywa się zawsze w naszej „strefie wpływów". Związek Sowiecki jest w ciągłej ofensywie, Zachód w ciągłej defensywie. Ktoś, komu nigdy nie udaje się przedostać na pole przeciwnika, nigdy nie strzeli gola.

James Burnham powiedział kiedyś, że polityka powstrzymywania jest wymyślonym przez biurokratów określeniem na zachodnią niemoc i brak woli zwycięstwa. Rzeczywiście wiara w *containment* jest w dużym stopniu formą oszukiwania samego siebie. Jeśliby Sowieci wiedzieli, że odpowiedzią na inwazję Afganistanu czy pomoc dla partyzantki komunistycznej na Filipinach albo w którymś z państw Ameryki środkowej będzie analogiczna ofensywa zachodnia, wtedy być może wykazywaliby dużo więcej umiaru. Bezczelność Sowietów i ich sojuszników, jak choćby Kuby, jest czasem nie do uwierzenia. Na forum ONZ pada ciągle oskarżenie o to, że Stany Zjednoczone prowadzą imperialistyczną politykę wobec Puerto Rico. Z inicjatywy sowieckiej wpłynął do komitetu d/s dekolonizacji wniosek o ustanowienie niezależnego państwa Puerto Rico, podczas gdy 98 % Puertorykańczyków opowiada się albo za utrzymaniem obecnego statusu wspólnoty z Ameryką, albo za ustanowieniem na Puerto Rico 51-szego stanu USA. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby Stany Zjednoczone złożyły w komitecie d/s dekolonizacji wniosek w sprawie krajów Europy wschodniej, Uzbekistanu, Tadżykistanu czy Gruzji.

Wracając do polityki powstrzymywania, wydaje mi się, że jedyną skuteczną formą *containment* jest gotowość — w przypadku agresji sowieckiej w różnych częściach świata — do politycznej, a może nawet więcej niż politycznej pomocy dla ugrupowań niepodległościowych zniewolonych narodów sowieckiego imperium.

R.K.: — *W ciągu ostatnich ośmiu lat stosunki amerykańsko-sowieckie uległy dość zasadniczej zmianie — od złowrogich okrzyków o Imperium Zła do nucenia „Moskiewskich nocy" w Białym Domu, od ostentacyjnego zrywania przez ZSSR rozmów w Genewie do podpisywania umów rozbrojeniowych i wieczornych spacerów państwa Reaganów po Placu Czerwonym. Czy jest to początek wieloletniej* détente *i miłości* między dwoma wielkimi narodami, czy też jest to tylko tymczasowe zawieszenie broni?*

J.L.: — Myślę, że znajdujemy się obecnie w samym środku

* **Grudniową wizytę Gorbaczowa w Nowym Jorku porównywano z wizytami w tym mieście, w latach 60-tych, bardzo popularnych wówczas w narodzie amerykańskim braci Kennedy, Johna i Roberta, a także z wizytą Jana Pawła II jesienią 1979 roku. Prawdą jest też, że nowojorczycy wykrzykiwali do przejeżdżającego Gorbaczowa** ***„Misza, we love you!"***.

détente. Prędzej czy później przekonamy się oczywiście po raz kolejny o katastrofalnych skutkach tego rodzaju polityki. Osobiście uważam, że spotkania na szczycie między przywódcą wolnego świata a przywódcą świata totalitarnego (ten drugi to oczywiście nie żaden przywódca, a tylko *primus inter pares* kremlowskiego gangu) są ogromnie niebezpiecznym błędem strategicznym. Spotkania takie nie przyniosły Zachodowi niczego dobrego ani w rozgrywkach z Hitlerem, ani w rozgrywkach ze Stalinem, Chruszczowem czy Breżniewem. Nie przyniosą też niczego dobrego w rozgrywkach z Gorbaczowem. Kiedy przywódca najstarszej na świecie demokracji przechadza się po Placu Czerwonym, zasiada do stołu, uśmiecha się, wznosi toasty i podaje rękę dyktatorowi państwa, w którym cztery i pół miliona ludzi ciągle żyje w gułagu, jest to sygnał dla całego świata, że jest to akt słuszny nie tylko politycznie, ale również moralnie. Spotkania na szczycie stwarzają fałszywe wrażenie pokojowych stosunków między supermocarstwami. Ludziom wydaje się nagle, że konflikt między Zachodem a Sowietami jest jakimś gigantycznym nieporozumieniem i że jeśli tylko dwaj przywódcy mogli będą rzeczowo porozmawiać, to na pewno jakoś się dogadają. Efekt jest natychmiastowy: coraz większa rzesza wyborców dochodzi do wniosku, że Związek Sowiecki już nie zagraża zachodnim demokracjom i nagle 40 czy 50 posłów Kongresu USA głosuje przeciwko wydatkom wojskowym.

R.K.: — *Według ostatniego raportu, przedłożonego w Kongresie przez sekretarza obrony, w ciągu ostatniej dekady Stany Zjednoczone wyprodukowały 7.600 czołgów na 25.300 czołgów sowieckich. (W bieżącym roku budżetowym Amerykanie dodają do swojego arsenału około 600 czołgów na około 2.500 czołgów sowieckich). W artylerii statystyka wygląda następująco: Stany Zjednoczone — 3.200, Sowieci — 27.300. Amerykanie wypadają trochę lepiej w kategorii myśliwców i bombowców, gdzie przegrywają tylko dwa do jednego: 3.600 na 7.700. Sytuacja wygląda jednak dużo gorzej w kategorii artylerii przystosowanej do pocisków z ładunkiem atomowym, gdzie USA przegrywają siedemnaście do jednego. Są to tylko przykłady na sowiecką przewagę w broni konwencjonalnej. W innych rodzajach broni sytuacja wygląda podobnie. Czy osławiona „zimnowojenna" polityka zbrojeniowa Reagana była tylko mitem?*

J.L.: — Oczywiście, że była mitem. Zbrojenia Reagana to propaganda, uprawiana zarówno przez Moskwę jak i przez lewicę na Zachodzie. Tego samego propagandowego języka używał, niestety, również i Biały Dom, aby udowodnić rzekomy sukces Stanów Zjednoczonych w dogonieniu ZSSR w dziedzinie wojskowej.

Zaczęło się to w czasie kampanii przedwyborczej w 1984 roku. Prezydent ogłosił wówczas, że Ameryka jest znowu silna i bezpieczna. Owszem, w ciągu pierwszych trzech czy czterech lat administracji Reagana odbudowano częściowo amerykański arsenał. Nie zapominajmy jednak, że od 1984 roku budżet wojskowy USA był ciągle obcinany. Wiązało się to, tak jak już wspomniałem, z załamaniem się w Kongresie *consensus*'u w kwestiach obronnych.

R.K.: — *Używa Pan często w swoich artykułach określenia „sowiecki bluff strategiczny". Na czym on polega? Jaki wpływ na obecny układ sił ma nowy styl Gorbaczowa w sowieckiej polityce zagranicznej?*

J.L.: — „Sowiecki bluff strategiczny" to wszelkie wysiłki ZSSR, mające na celu zamaskowanie sowieckich globalnych celów strategicznych. Głównym wątkiem jest tu oczywiście ciągła próba przekonania Zachodu, że tak naprawdę Związek Sowiecki nie kieruje się założeniami marksizmu-leninizmu i że ideologiczny mesjanizm wykreślony został raz na zawsze z sowieckiego słownika politycznego. Uznając, że ideologia odgrywa dziś w ZSSR rolę marginalną, przyznajemy jednocześnie, że ZSSR jest niczym więcej jak tylko kontynuacją starej imperialistycznej Rosji. A jak wiadomo, z państwem tego typu można się jakoś dogadać. Można podzielić świat na strefy wpływów i ugodzić się, że my będziemy szanowali to co wasze (np. dominację polityczną nad Europą wschodnią) a wy nie będziecie wtrącać się w nasze sprawy (np. w Nikaragui). Nie chciałbym być źle zrozumiany — nie twierdzę, że podział taki zapewniłby pokój na świecie, pewna równowaga sił mogłaby być jednak zachowana. Ci na Zachodzie, którzy ulegają sowieckiej propagandzie i uznają że ideologia przestała być ważna, a Związek Sowiecki jest normalnym państwem jak wszystkie inne, są najlepszym materiałem do dalszego prania mózgu.

Kolejny wątek sowieckiej propagandy to słynne „gołębie" i „jastrzębie" na Kremlu. Staliniści i umiarkowani, liberałowie i twardogłowi, ideolodzy i pragmatycy — przyjmując istnienie wszystkich tych kategorii właściwie musimy dojść do wniosku, że pragmatyczni umiarkowani liberałowie w żaden sposób nie mogą być komunistami. Tak właśnie chce być przyjmowany Gorbaczow — jako „gołąb" walczący ze stadem „jastrzębi" pod wodzą Ligaczowa. Pomóżcie nam, ratujcie naszą zrujnowaną gospodarkę, bo inaczej zwycięży „beton". Nie oznacza to, że wewnątrz partii sowieckiej nie ma w ogóle różnic zdań. Owszem, są różnice zdań, ale nie mają one charakteru tego rodzaju polaryzacji, jaką im się przez analogię z zachodnimi demokracjami przypisuje. Partia komunistyczna zbudowana jest na leninowskiej samodyscyplinie. Różnice zdań dotyczą taktyki i układu sił wewnątrz partii, ale nigdy dalekosiężnych celów strategicznych.

Następnym fałszerstwem jest twierdzenie, że to jednostka, a nie partia, odgrywa jakąś wyjątkową rolę w życiu sowieckiego państwa. Wszystko zależy więc od Michała Dobrego i jego politycznych poglądów, a nie od Biura Politycznego. Byłby to może i dobry żart, gdyby nie to, że nonsensowi temu dają wiarę politycy zachodni na najwyższych szczeblach rządowych.

R.K.: — *Od kiedy Gerald Ford ogłosił w 1976 roku podczas kampanii przedwyborczej, że Polska jest wolnym krajem (niektórzy twierdzą, że za stwierdzenie to zapłacił prezydenturą) politycy amerykańscy unikają tematu Europy wschodniej w tak ważnych momentach ich politycznej kariery. Rzeczywiście, w dwu telewizyjnych debatach między Georgem Bushem i Michaelem Dukakisem nie mówiono w ogóle o Europie wschodniej poza marginesową uwagą Busha o Polsce. Należy chyba powtórzyć smutną prawdę, że Europa wschodnia nie jest specjalnie ważną kwestią w debatach o amerykańskiej polityce zagranicznej. Układ sił między Zachodem a Związkiem Sowieckim w dużym stopniu zależy jednak od rozwoju wydarzeń w Polsce, na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Jak Pan sądzi, czy Stany Zjednoczone prowadzą właściwą politykę zagraniczną wobec Europy wschodniej?*

J.L.: — Oczywiście, że nie. Myślę jednak, że amerykańska polityka zagraniczna wobec Europy wschodniej nie ulegnie żadnej zmianie dopóty, dopóki nie ulegnie zmianie polityka wobec Sowietów. Trudno też sobie wyobrazić, że przypominające konkursy piękności spotkania na szczycie wpłyną w pozytywny sposób na politykę pomocy amerykańskiej dla ruchów niepodległościowych w krajach Europy wschodniej.

R.K.: — *Przypomina mi to problem jajka i kury. Politycy zachodni nie rozumieją, że Europa wschodnia jest kluczową sprawą w rozgrywkach z Sowietami, bo nie rozumieją istoty sowieckiego zagrożenia i odwrotnie — Zachód nie wypracował skutecznej polityki wobec Związku Sowieckiego między innymi dlatego, że nie rozumie istoty problemu wschodniej Europy.*

J.L.: — Jest to rodzaj dobrowolnej ślepoty politycznej. Na trzeci dzień po sowieckiej inwazji Afganistanu Jimmy Carter oświadczył, że w czasie tych trzech dni dowiedział się więcej o celach sowieckich, niż w czasie trzech lat swej prezydentury. Problem polega na tym, że zbyt często zapominamy, że sowiecka dominacja w krajach Europy wschodniej również zaczęła się od inwazji i że okupacja tych krajów trwa do dzisiaj.

Sprawa wschodniej Europy powinna być ciągle podnoszona na forum międzynarodowym. Zachód powinien jasno oświadczyć Sowietom, że nie może być mowy o *détente* bez niepodległości dla krajów Europy wschodniej. W czasie rządów Reagana dużo było mowy o tym, że sprawa konfliktów lokalnych stać się musi — obok kontroli zbrojeń, stosunków wzajemnych i kwestii praw człowieka — nieodłączną częścią rozmów amerykańsko-sowieckich. Trudno było sobie jednak wyobrazić, że negocjacje w sprawie konfliktów lokalnych kończyć się będą kompromisami. Kompromis w tych sprawach sam w sobie oznacza zgodę na to, że Związek Sowiecki rzeczywiście ma jakieś strategiczne interesy w Ameryce środkowej czy południowo-wschodniej Azji.

R.K.: — *Wróćmy jednak do kwestii wschodniej Europy. W rozmowach sowiecko-amerykańskich nie uzyskała ona nigdy statusu konfliktu lokalnego.*

J.L.: — Zachód ma bardzo krótką pamięć i stąd ta gotowość do uznania raz na zawsze, że dominacja sowiecka w krajach Europy wschodniej jest czymś nieodwracalnym. Niech Pan też nie zapomina, że nam nie wolno stwarzać „napięć" na świecie.

Nie chcę przez to wszystko powiedzieć, że polityka amerykańska wobec Europy wschodniej godna jest całkowitego potępienia. Nasze moralne wsparcie dla ruchu Solidarności było z pewnością bardzo wartościowe. Z drugiej strony wiadomo mi o pewnych działaniach podejmowanych przez rozmaitych przedstawicieli i wysłanników rządu Stanów Zjednoczonych (upoważnionych do tego czy nie) które postawiły przywódców Solidarności w niezwykle trudnej sytuacji. Wywierano na nich nacisk, aby zajęli w pewnych kwestiach określone stanowisko, którego w innym wypadku być może by nie zajęli. Miało to, jak rozumiem, bardzo demoralizujący wpływ na związek. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że prawdopodobnie najważniejszym celem Sowietów po sprawie rozbrojenia była właśnie demoralizacja i zniszczenie Solidarności, ruchu, który był dla Moskwy paradygmatem śmiertelnego niebezpieczeństwa grożącego całemu imperium.

Innym pozytywnym posunięciem była, moim zdaniem, gotowość pomocy dla polskiego rolnictwa mimo, że osobiście byłbym bardzo ostrożny w takich sytuacjach. Pomoc taka dostać się może przecież z łatwością w ręce komunistów.

Inną ważną decyzją był plan technicznej modernizacji Radia Wolna Europa, Radia *Swoboda* i Głosu Ameryki. Kiedy pracowałem w Departamencie Stanu odkryłem, że nikt się tam nie zajmuje rozgłośniami. Osobiście zgadzam się ze zdaniem Sołżenicyna, że ludzie na Zachodzie nie potrafią nawet wyobrazić sobie

roli, jaką słowo w eterze odgrywa w podtrzymywaniu ducha wolności. Na szczęście znalazło się w rządzie Reagana kilka osób, które rozumiały to bardzo dobrze i walczyły o fundusze na techniczne usprawnienie rozgłośni.

R.K.: — *Nie jestem pewien, czy techniczne niedomagania to największy problem nękający radiostacje.*

J.L.: — Oczywiście, że można by usprawnić pracę wielu rozgłośni narodowych. W przypadku Radia Wolna Europa jest to o tyle trudne, że pracownicy RWE podlegają niemieckiemu prawu pracy. Bardzo trudno jest wyrzucić z posady niekompetentnego dziennikarza. Poza tym większość nowo zatrudnionych pracowników to nikomu nieznani świeżo upieczeni emigranci. Czasami nie wiadomo, kogo się przyjmuje do pracy. A nie można przecież popadać w paranoję i działać w atmosferze ciągłej nieufności. Ograniczenia budżetowe stwarzają kolejne problemy, jak choćby sprawa uczciwego podziału czasu na antenie np. dla różnych ugrupowań opozycyjnych w Polsce. Wewnątrz Solidarności dochodzi przecież czasem do ogromnych różnic zdań, nie mówiąc już o rozmaitych polskich grupach opozycyjnych, z których wiele powinno mieć większą szansę przedstawienia swych pomysłów politycznych na antenie zachodnich radiostacji.

R.K.: — *Era Reagana dobiega końca. Czego możemy się spodziewać po nowym prezydencie?*

J.L.: — Jak wiadomo, Pan Bóg ma w swojej opiece dzieci pijaków. Po moich doświadczeniach w rządzie USA wierzę w to bardziej, niż kiedykolwiek przedtem. Obawiam się jednak, że jeśli Amerykanie w porę nie otrzeźwieją, to ta boska opieka nad Ameryką może się w pewnym momencie skończyć. Niestety nie mogę być optymistą. Nie zapominajmy, do jakich wniosków doszedł ostatecznie Ronald Reagan — Związek Sowiecki nie jest już Imperium Zła, za represje w Związku Sowieckim odpowiedzialna jest nie partia komunistyczna, ale biurokracja (a jak wiadomo, biurokracja jest tak samo okropna na całym świecie), Gorbaczow „jest moim przyjacielem". George Bush jak dotąd dystansował się od tego rodzaju stwierdzeń, wnosząc element realizmu do ostatnich dyskusji na temat amerykańskiej polityki zagranicznej. Wkrótce dowiemy się, czy stoi za tym coś więcej niż tylko retoryka.

R.K.: — *Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.*

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Widziane z Brukseli

HAMLET BEZ OFELII

Nie lubię starych dowcipów, ale nie mogę się oprzeć wizji Franca Fiszera: kiedy na cmentarzu wzruszony mówca pomylił się nad grobem i wymienił błędnie imię nieboszczyka, Franc głośno westchnął: „No i cały pogrzeb na nic". Ta przygnębiająca analogia narzuciła mi się w chwili, kiedy Michaił Gorbaczow opuszczał Nowy Jork po pobycie na sesji zgromadzenia ogólnego ONZ. Nie mogłem oderwać spojrzenia od jego pantofli, patrzyłem, jak wszyscy dziennikarze w Nowym Jorku, czy nosi mokasyny, śledziłem jego gesty, ruchy, reakcje. Wszyscy wstrzymali oddech. Zwłaszcza weterani, ci którzy pamiętali Nikitę Chruszczowa w akcji, która przeszła do historii ONZ. Chruszczow był pierwszym szefem partii sowieckiej, który zjawił się osobiście na sesji tej pogardzanej przez Moskwę organizacji międzynarodowej. Zjawił się, aby zostać już na zawsze. Znaczy się w jej kronikach.

A było to tak: 12 października 1960, dzień jak co dzień w ONZ, przelewanie z pustego w próżne. Przemawiał właśnie delegat filipiński, którego nie słuchał nikt z wyjątkiem Chruszczowa. I ten właśnie moment wybrał sobie nasz człowiek z Manili, aby upomnieć się o prawa narodów, „połkniętych", jak się niedelikatnie wyraził, przez ZSSR. Chruszczow, który się z tym nie zgadzał, a nie wiedział jeszcze (działo się to przed *głasnostią*), że można poprosić o głos, zdjął but i zaczął wyrażać oburzenie energicznym biciem w pulpit. Ponieważ było to w rok po tym, jak Chruszczow ostrzegł Zachód, że „my was pogrzebiemy", zainteresowanie jego sposobami uprawiania polityki było ogromne. Historia jednak milczy, jaki to był pantofel (chyba nie sowieckiej produkcji, bo by się rozleciał), lewy czy prawy. Niektórzy historycy twierdzą zresztą, że w ogóle był to but nie Chruszczowa, a Gromyki, który siedział obok, a jeszcze inni uważają, że Chruszczow przyniósł ten pantofel w teczce, specjalnie w celu bicia w pulpit.

Tylko przyszłość wyjaśni te tajemnice. Dziś jest ważne to, że historia się nie powtórzyła. Gorbaczow niczego nie zdjął. Cała sesja na nic. Nie te czasy, łza się w oku kręci. Inny sekretarz generalny partii (teraz mówi się prezydent Gorbaczow), inne priorytety dyplomacji sowieckiej.

Mimo to obecność Gorbaczowa na sesji ONZ też zostanie w historii. Po pierwsze, potwierdziła zmianę stosunku Moskwy do ONZ. De Gaulle, i słusznie, uważał ONZ za zwykły *machin*, po lwowsku *wichajster*, i ją lekceważył. Kreml podszedł do *machin* inaczej. Też nie szanował ONZ, ale jej nie lekceważył. Wykorzystywał dla propagandy instytucję, która jest największym bębnem i najdroższą trybuną świata, a także

idealnym instrumentem szpiegowania i dezinformowania Ameryki i reszty globu. Nic tak nie kryło przecież czerwonych James Bondów, jak trzy sowieckie misje w Nowym Jorku (ZSSR, Ukraina i Białoruś). Przy czym szpiegowanie odbywało się za cudze, przeważnie amerykańskie, pieniądze.

Gorbaczow postanowił ulepszyć system. Nie rezygnując ani z propagandy, ani ze szpiegowania, postanowił wykorzystać ONZ także dla celów, dla których została powołana, a mianowicie do dyplomacji. ZSSR zapłacił zaległe składki, sporo milionów dolarów, a ONZ zaczęła ratować, na ile to możliwe, twarz Sowietów i ułatwiała procedurę w załatwianiu konfliktów w Afganistanie, może Angoli i na Bliskim Wschodzie, a do końca daleko.

Po drugie, ONZ dała mu ogromną trybunę dla dokonania największej w jego krótkiej, ale bogatej karierze, operacji *public relations* (nie ma dobrego polskiego odpowiednika) i wpędzenia świata w niezdrową euforię wywołaną decyzjami Kremla o jednostronnej redukcji części sił zbrojnych ZSSR (będzie jeszcze o tym mowa).

Po trzecie, decyzja wygłoszenia przemówienia w ONZ dała Gorbaczowowi pretekst do przyjazdu do Nowego Jorku czyli do USA i do zmuszenia Reagana, a przede wszystkim Busha do spotkania na tzw. szczycie w absolutnie nie przewidzianym trybie i terminie. Ostatnie widzenie z Reaganem ma znaczenie sentymentalne, chodzi wszak o pożegnanie i rozstanie dwóch przyjaciół, którzy jeszcze niedawno padali sobie w objęcia przed telewizją na Placu Czerwonym w Moskwie.

Z Bushem chodzi jednak nie o sentymenty, a o politykę. Jeszcze niedawno Bush się zastrzegał, że nie ma mowy o szczycie przed 20 stycznia, dniem jego oficjalnego wkroczenia do „owalnego biura" w Białym Domu, że zanim spotka się na szczycie z Gorbaczowem, to spotkają się ich ministrowie spraw zagranicznych, i że przede wszystkim sam odbędzie konsultacje z sojusznikami z NATO.

No i co? Ano nic. Wiem, że Jaruzelski też był w Nowym Jorku pod tym samym pretekstem, ale go prezydent amerykański nie przyjął. No, ale to nie to samo. 13 listopada, a była to niedziela, ambasador sowiecki w USA Dubinin zażądał nagle spotkania z Shultzem. Do spotkania naturalnie doszło, ambasadorowi ZSSR się nie odmawia. W opustoszałym Departamencie Stanu zdumiony i zaskoczony Shultz dowiedział się, że Gorbaczow nie chce zmarnować okazji powiedzenia Reaganowi *good by*, a Bushowi *hello*.. Dubinin dodał, że Gorbaczow uważa początek grudnia za odpowiedni moment dla tych ceregieli. Resztę państwo znają. Sprawy potoczyły się nie tak, jak chciał Bush, a tak, jak sobie to wykoncypował Gorbaczow.

Skąd taki ruch i dlaczego taki pośpiech? Dlaczego, spytacie, Gorbaczow, który ma tyle zmartwień w domu, od Bałtyku po Morze Czarne i nawet Białe, objeżdża, prawie jak Papież, pół świata?

Pytanie jest nieprawidłowo sformułowane. Gorbaczow objeżdża świat nie mimo, a z powodu zmartwień w domu.

Ile kosztuje Rosja?

Zmartwienia są prawdziwe. *Pieriestrojka* stoi właściwie w miejscu. Jak sam Gorbaczow zauważył, „nasza gospodarka jest w stanie chaosu, we wszystkich dziedzinach jesteśmy za innymi, im bliżej spojrzeć, tym gorzej to wygląda". Diagnoza trafna. To dlatego Mitterrand powiedział z uznaniem o Gorbaczowie, że jest to pierwszy przywódca sowiecki, który zdaje sobie sprawę z ogromu bankructwa gospodarki komunistycznej. W języku bardziej konkretnym oznacza to, że dystans między ZSSR a USA, Europą zachodnią czy Japonią nie tylko nie maleje, ale się zwiększa. Kolos wojskowy ciągle więc opiera się o gospodarkę trzecioświatową.

Otóż tak być nie może. Ten proces trzeba powstrzymać, inaczej superpotęga sowiecka wejdzie w XXI wiek jako państwo na drodze niedorozwoju.

Oczywiście, proces naprawy może i musi być dziełem przede wszystkim samych obywateli sowieckich. Nikt ich nie wyręczy w zmianie stosunku do pracy, dyscypliny społecznej, wydajności itd. Ale, i to jest dziś dla nas ważne, świat zachodni ma w koncepcji Gorbaczowa sporą rolę do odegrania. Nawet jeżeli w proporcjach absolutnych może to być udział właściwie niewielki, to w niektórych dziedzinach, np. rozwiniętej technologii, informatyki, towarzystw mieszanych, nowoczesnego zarządzania, kredytów dewizowych, Zachód może się poważnie przyczynić do wyplątania ZSSR z obecnego impasu.

Gorbaczow, jak Garp, ma swoją wizję świata. Z jego punktu widzenia, świat zachodni dzieli się w tej chwili na dwie części. Obie są, to jasne, przychylnie ustosunkowane do ZSSR, *pieriestrojki* i Gorbaczowa osobiście, ale są także niuanse.

Pierwsza grupa — nazwijmy ją entuzjastyczno-poputczykowską — której prorokiem jest p. Genscher, minister spraw zagranicznych RFN, skłonna jest już od razu, z zamkniętymi oczyma, zainwestować serca i portfele w *pieriestrojkę*. Jest to, powiada Genscher, historyczna szansa, nie wolno jej zmarnować. P. Genscher oraz ci wszyscy, którzy się do niego przyłączyli zakładają, że zreformowany *pieriestrojką* ZSSR stanowić będzie czynnik pokoju i stabilizacji na świecie. Włoski premier de Mita nie zawahał się zaproponować czegoś w rodzaju zaktualizowanego Planu Marshalla. Został dość szybko wyśmiany, wystarczy przecie przypomnieć, że jeden dolar Marshalla zainwestowany w Europę zachodnią przyniósł plon wartości sześciokrotnie wyższej. Czy ktoś zna gospodarkę komunistyczną zdolną do takiej rentowności? Trzeba jednak powiedzieć lojalnie, że Genscher i de Mita nie są osamotnieni.

Za słowami istotnie poszły czyny. Kiedy kanclerz RFN Helmut Kohl został w październiku 1988 nareszcie wpuszczony na salony Kremla, nie przybył z pustymi rękoma. W ciągu siedmiu dni Moskwa uzyskała 7 miliardów dolarów kredytów (więcej niż w ciągu

poprzednich trzech lat), głównie zachodnioniemieckich. Kiedy prezydent Mitterrand pojechał niedługo po tym do Moskwy, nie wypadało wypaść gorzej niż Niemcy: bankierzy francuscy przygotowali czek na 2 miliardy dolarów kredytów nisko oprocentowanych, poniżej stopy procentowej obowiązującej normalnego śmiertelnika i podatnika.

Druga grupa jest lekko sceptyczna. Nie, nie jest, broń Boże, niechętna Gorbaczowowi, ale uważa, że warto się głębiej zastanowić, zanim się zaangażuje wielki kapitał w dewizach i w zaufaniu. A nuż, powiada np. pani Thatcher, ideolog tego umiarkowanego sceptycyzmu, nie chodzi o *pieriestrojkę*, a raczej o *pieriedyszkę*, o leninowski krok do tyłu, aby móc zrobić, a jeszcze lepiej skoczyć, dwa kroki do przodu? P. Thatcher stwierdziła przytomnie, że nie widzi powodu, dla którego podatnik brytyjski miałby finansować absurdy gospodarki komunistycznej, co nie znaczy, że potrafiła, jeżeli w ogóle chciała, poskromić własnych bankierów, którzy się także w Moskwie zjawili, wcale nie gorzej wyposażeni niż ich niemieccy czy francuscy konkurenci.

Ale ZSSR jest w takim położeniu, że nawet lekkie wątpliwości zachmurzają gorbaczowowskie czoło. Jego grudniowa podróż do USA i Wielkiej Brytanii była wpisana w tę właśnie dwoistość świata. Gorbaczow zgwałcił Busha, albowiem obawiał się, że proces przekazywania władzy z rąk Reagana w ręce Busha opóźni proces zbliżenia. Kuszenie w Londynie miało przynieść podobny rezultat. Prezydent Gorbaczow chciał nawet zaprosić królową Wielkiej Brytanii do Moskwy, gdzie jej rodzina nie bywa od czasu wymordowania Romanowych, z którymi była spowinowacona.

Żeby do końca uwieść Zachód, potrzebna jest ostra, energiczna, pomysłowa, dynamiczna, inteligentna dyplomacja, ta normalna, oraz ta nowa, którą wymyślili Amerykanie, nazywając ją *public diplomacy*, czyli po prostu dobra i skuteczna propaganda. Miło mi zawiadomić moich czytelników, że Michaił Gorbaczow jest prawdziwym mistrzem w obu tych dziedzinach. W Moskwie drzwi się nie zamykają przed mężami stanu i kupcami. Po prostu ktoś, kto nie jest przyjmowany w Moskwie, przestaje się liczyć w eleganckim świecie.

Tyle, jeżeli chodzi o dyplomację klasyczną. No, a co z „publiczną"? Nie można się skarżyć. Badania opinii publicznej w USA wykazały, że w popularności u Amerykanów Gorbaczow ustępuje — na razie — tylko Papieżowi i pani Thatcher, a w RFN bije Reagana o całe dwie długości i zajmuje pierwsze miejsce. Mówiąc w skrócie, polityka zagraniczna jest na razie jedyną dziedziną *pieriestrojki*, w której Gorbaczow może popisać się sukcesami.

Na takie wyniki trzeba popracować. To właśnie tłumaczy, dlaczego Gorbaczow nie zawahał się przed wywołaniem i w tej dziedzinie prawdziwej rewolucji: obok normalnych dyplomatów wprowadził do akcji wysłanników naprawdę specjalnych i ambasadorów naprawdę nadzwyczajnych.

Ile kosztuje inteligencja?

Nie są dyplomatami, nie mają wielu cech wspólnych. Pochodzą z krajów komunistycznych, ale bardzo różnych; należą do bardzo odmiennych grup społecznych, różnią się wykształceniem, karierą, poglądami, doświadczeniami. Jeden jest wybitnym naukowcem, drugi nigdy nie przestał być aparatczykiem. Andriej Sacharow chyba nigdy nie był w partii komunistycznej, Aleksander Dubček nigdy nie przestał uważać się za komunistę. A przecież, co za dziwny zbieg okoliczności, kiedy obaj, w tym samym czasie i po długiej przerwie, wyjechali po raz pierwszy na Zachód, do krajów odnoszących się na ogół bez przesadnego entuzjazmu do kremlowskiego kuszenia, nieśli właściwie to samo posłanie na temat Gorbaczowa.

Sacharow został przyjęty w Białym Domu i oświadczył, że zachodnie hasło „nie przeszkadzać Gorbaczowowi" już nie wystarczy. „Świat zachodni, powiedział Sacharow, powinien obawiać się nie sukcesu *pieriestrojki*, a jej klęski", która stanowiłaby „zagrożenie nie tylko dla ZSSR, ale także dla Zachodu".

Dubček w Bolonii, gdzie otrzymał doktorat *honoris causa*, wezwał Zachód do zaangażowania się „w walkę między tymi, którzy pragną zmiany, a tymi, którzy chcą utrzymania starego porządku w Europie wschodniej" i do udzielenia pomocy „wysiłkom Gorbaczowa, odpowiadającym interesom wielkiego domu europejskiego".

Sacharow ostrzegł, że alternatywą *pieriestrojki* byłby nawrót przywódców Kremla do ekspansji zewnętrznej, znacznie bardziej niebezpiecznej niż to wszystko, co świat już poznał w tej dziedzinie.

Dubček uprzedził, że alternatywą *pieriestrojki* i Gorbaczowa byłby neostalinizm w ZSSR „ze wszystkimi tego konsekwencjami, które trudno sobie nawet wyobrazić".

Do tych dwóch ambasadorów nadzwyczajnych można jeszcze dołączyć Paradżanowa, filmowca gruzińskiego, który także dzięki Gorbaczowowi nie tylko wyszedł z więzienia i zaczął kręcić filmy, ale również wyjechał pierwszy raz na Zachód, gdzie był, jak zresztą obecnie wszyscy goście z ZSSR, przyjmowany entuzjastycznie i bardzo, w tym wypadku zasłużenie, honorowany i pieszczony. Otóż Paradżanow jest artystą i sięga do swego naturalnego, niepolitycznego arsenału argumentów na rzecz Gorbaczowa. On porównał obecnego szefa partii bolszewickiej do Hamleta, Kreml do Elsynoru, a Raissę naturalnie nie do zwariowanej Ofelii, a do Kordelii z „Króla Lira", postaci symbolizującej czułość i oddanie rodzinne.

Nie należy, naturalnie, przeceniać wpływu argumentów tych bardzo specjalnych wysłanników na decyzje odpowiedzialnych zachodnich przywódców politycznych. Trudno także mówić o jakiejś manipulacji politycznej czy dezinformacyjnej. Te trzy osobistości dały dosyć dowodów wielkości ducha, aby nie wolno ich było posądzać o odgrywanie roli marionetek.

To powiedziawszy z całym szacunkiem dla moich przedmówców, osobiście uważam, że dla *pieriestrojki*, wbrew poglądom Sacharowa czy Dubčeka, nie ma żadnej realnej alternatywy. Z Gorbaczowem czy bez, ZSSR musi pójść drogą reform, inaczej zawali się szybciej, a zwłaszcza gwałtowniej, niż nawet my tego pragnęlibyśmy.

Ale pojawienia się tych i przyszłych nowych ambasadorów nie należy nie doceniać. Wszyscy oni mają w oczach zachodnich polityków ogromny autorytet moralny. Tym większy, że wraz z propagowaniem *pieriestrojki* wzywają, jak np. Sacharow, Zachód do ostrożności, do patrzenia Sowietom na ręce, i że nie ukrywają krytycznego stosunku do Gorbaczowa osobiście, w związku np. ze skupieniem w jego rękach właściwie całej władzy w ZSSR. Ich posłanie jest wobec tego znacznie bardziej wiarygodne i przekonywujące niż najbardziej nawet misterne noty dyplomatyczne, przekazywane w dyskretnej atmosferze ministerialnych kancelarii, nie mówiąc już nawet o przeciekach, nieudolnie fabrykowanych przez urzędników MSZ czy KGB.

Stąd należy z jednej strony podziwiać inteligencję Gorbaczowa, który potrafił przekonać, pośrednio czy bezpośrednio, ludzi tego kalibru do słuszności swej polityki i potrafił ich wprząc w akcję na jej rzecz. Z drugiej strony warto zastanowić się, czy i jak można sprawdzić, w jakim stopniu intencje Gorbaczowa zasługują rzeczywiście na poparcie.

Ile kosztuje historia?

Kiedy ja, skromny i lojalny obywatel i podatnik, proszę mój bank o pożyczkę w wysokości 1.000 dolarów, muszę wypełnić dziesiątki kwestionariuszy, więcej nawet niż na paszport w ZSSR, złożyć tyleż podpisów, przedstawić gwarancję, że nie grozi mi szybka śmierć, a przede wszystkim podpisać hipotekę, to znaczy zastawić wszystko co mam (jeżeli mam) na wypadek, gdybym się okazał z jakiegoś powodu niewypłacalny.

Gorbaczow nie musi nawet prosić o pożyczkę, wystarczy mu mrugnąć okiem, a już bankierzy się pchają, i żaden z nich nie ośmieli się nawet wspomnieć o gwarancjach czy hipotekach. A chodzi nie o 1.000, a o miliardy dolarów. Dlaczego? W czym Michaił Gorbaczow jest bardziej wiarygodnym i wypłacalnym obywatelem ode mnie? Ja, jak dotąd, wszystkie moje długi spłacałem rzetelnie i w terminie. A Gorbaczow lub jego koledzy? Jakie są szanse na odzyskanie któregoś dnia choćby centa z 40 miliardów dolarów utopionych w Polsce? Może warto wobec tego posłać Gorbaczowa także na badanie lekarskie, aby sprawdzić, jakie są szanse jego długowieczności, również politycznej?

A przecież, spyta czytelnik, pan Genscher twierdzi, że historia nam nie wybaczy, jeżeli przegapimy tę okazję. Na to odpowiem, że Genscher nie pierwszy. I nie ostatni. I nie największy. Czyż Churchill nie powiedział, że żaden rząd nie respektuje swych

zobowiązań bardziej skrupulatnie niż rząd sowiecki? No a Roosevelt? „Sądzę, powiedział, że jeżeli ja Stalinowi dam coś bez domagania się czegoś w zamian, to, *noblesse oblige*, on nie podejmie nawet próby zaanektowania czegokolwiek i będzie współdziałał w budowie pokojowego i demokratycznego świata". Obaj panowie doszli do tych wniosków tuż po zakończeniu konferencji w Jałcie, o której losach nie warto tu nawet wspominać.

Może więc warto, i należy, poprosić Gorbaczowa także o hipotekę? Ktoś mi zasugerował hipotekę w postaci elektrowni w Czarnobylu, ktoś inny fabrykę samochodów osobowych typu Wołga. Mam inny pomysł. Przyjaciel Gorbaczowa, Ronald Reagan, kilka razy powtórzył, że należy wierzyć, ale należy sprawdzić. No to sprawdzajmy. Hipoteka Gorbaczowa powinna polegać na faktach, na rzeczowym udowodnieniu jego dobrej wiary. W kilku podstawowych dziedzinach, w których, mimo zapewnień Genschera, dobrze byłoby mieć jeszcze pewne wątpliwości.

Ile kosztuje asymetria?

Zacznijmy, bo to logiczne, bo wszystkim nam leży na sercu, bo tutaj błąd byłby najbardziej niebezpieczny — od rozbrojenia. Gorbaczow ma wprost nieograniczone możliwości przeprowadzenia dowodu prawdy i czystości swych intencji. Teoria brzmi zachęcająco. „Wojna atomowa, powiada, jest nie do wygrania. Bezpieczeństwo, powiada, nie może już dalej być zapewnione tylko środkami wojskowymi... Obowiązywać powinna doktryna 'wystarczającego bezpieczeństwa' i 'defensywnej obrony'... Jedyna droga do bezpieczeństwa prowadzi poprzez decyzje polityczne i rozbrojenie".

Słowa Gorbaczowa są nie do odparcia. Są wyrazem aksjomatu, że wysiłek zbrojeniowy ZSSR musi odpowiadać możliwościom gospodarki sowieckiej. Czerpanie z rezerw i liczenie na nieskończoną cierpliwość ludzi sowieckich nie stanowią trwałych kategorii ekonomicznych. Budżet wojskowy ZSSR sięga obecnie 17 do 20 % PNB, którego stopa wzrostu wynosi prawdopodobnie około zera. *A la longue* taka sytuacja wydaje się nie do utrzymania.

To są słowa. A praktyka?

Gorbaczow, powiedzmy to od razu, poczynił pewne kroki, które wydawały się niemożliwe za jego poprzedników. Podpisał układ o demontażu rakiet średniego zasięgu (INF). Żeby zrozumieć wielkość zaskoczenia, wystarczy powiedzieć, że projekt demontażu tych rakiet i związany z nim postulat weryfikacji na miejscu, po obu stronach, znajdowały się od 1981 roku na amerykańskiej liście tzw. „propozycji nie do przyjęcia", zakładających z góry nieuniknione sowieckie „niet". Zgoda Gorbaczowa w tej dziedzinie to więc nie błahostka i na pewno jego generałowie nie byli jednomyślnie szczęśliwi.

Jeżeli jednak zapewnienia Gorbaczowa w dziedzinie politycznych gwarancji wojskowego bezpieczeństwa mają być poważnie

potraktowane, to powinny pójść znacznie dalej. Pomińmy bardzo skomplikowane sprawy nuklearnych broni strategicznych. Porozmawiajmy o Europie, a w tym o Europie środkowej, gdzie rzekomo leży Polska. O grudniowych propozycjach Gorbaczowa nie należy naturalnie zapominać. Nie należy ich też lekceważyć, choć nie są one aż tak altruistyczne, jak się niektórym zachodnim gazetom wydaje. Ale w chwili druku i czytania tych słów, będą to ciągle pobożne życzenia. Za dwa lata wprowadzimy odpowiednie korekty. Na razie jednak 30 dywizji sowieckich jest rozlokowanych w Europie wschodniej, a 12 dywizji w zachodnich rejonach ZSSR, i wszystkie są nastawione na błyskawiczny atak i okupację zachodniej Europy.

Niby normalna rzecz, bo wszak do czego mają te dywizje być szkolone, ale robi się zimno. Spójrzmy na bilans ogólny. Wiem, że statystyki są względne i nudne, ale coś w nich musi być, skoro ich ogłoszenie przez NATO spotkało się z ogromnym oburzeniem i *dementi* Moskwy.

Otóż przewaga sił Paktu Warszawskiego wydaje się kolosalna.

— Czołgów na wschodzie, między Łabą a Uralem, jest 51.500, na zachodzie Europy — 16.300;

— Dział przeciwpancernych na wschodzie — 43.700, na zachodzie — 18.200;

— Samolotów bojowych, na wschodzie — 8.250, na zachodzie — 4.077;

— Systemów przeciwlotniczych na wschodzie — 24.400, na zachodzie — 10.309;

— Czołgów saperskich kładących mosty (nie znam polskiej nazwy) wschód ma 2.550, a zachód — ... 454;

— Żołnierzy na wschodzie — 3.090.000 (w tym 2.200.000 Sowietów i 230.000 Polaków), na zachodzie — 2.213.000, w tym 216.000 Amerykanów, 267.000 Francuzów, 351.000 Niemców zachodnich i... 295 Luksemburczyków.

Naturalnie są czynniki nie objęte taką statystyką, które te nierówności w pewnym, ale tylko w pewnym stopniu korygują. Jakość i precyzja broni np. to ważny element, to samo dotyczy *credibility* żołnierza, jego przekonania o sensie walki, ale są to elementy nie do uwzględnienia w spisie inwentarza. Nie zmienia to generalnego stwierdzenia kolosalnej dysproporcji sił, i wobec tego, konieczności nie równej i jednakowej, a właśnie nierównej tzn. asymetrycznej redukcji arsenałów po obu stronach. Zresztą, jeżeli nawet wprowadzić — choć to przedwczesne — poprawki zapowiedziane przez Gorbaczowa, to rozumowanie powyższe pozostanie aktualne. 50.000 czy 40.000 czołgów, to oczywiście nie to samo, ale zginąć można tak samo, bo różnica nie zmienia realnej przewagi i nie powinna upoważnić nas do poczucia pełnego bezpieczeństwa.

Rokowania w sprawie broni klasycznych niebawem się zaczną. I to właśnie będzie pierwsza (ewakuacja Afganistanu nie jest zakończona) wspaniała okazja dla Gorbaczowa do zaproponowania przekonywującej hipoteki. Na początek mógłby przyjąć propozycję

NATO sprowadzenia liczby czołgów do 20.000 po obu stronach Europy, lub też sugestii Brzezińskiego przekształcenia szerokiego pasa wzdłuż linii dzielącej Europę w „strefę bezczołgową" w ogóle. Że bolesne? Że zakładałoby to wycofanie części czołgów sowieckich z krajów Paktu Warszawskiego? Naturalnie. Ale takie jest życie.

Gorbaczow proponuje nam budowę „wspólnego domu europejskiego". Już kiedyś napisałem, co myślę o domu przedzielonym murem, betonowym i ideologicznym, w którym pokój dla Polski np., a może i Belgii (nie daj Boże) zależeć będzie od kwaterunku sowieckiego. Teraz chcę tylko dorzucić, że jeżeli Gorbaczow rzeczywiście chce taki dom budować, to powinien zacząć od wyniesienia z pokojów już zamieszkałych przez ZSSR i jego sąsiadów nadmiaru materiałów wybuchowych, wystarczających do wysadzenia w powietrze nie tylko jego domu, ale i całego miasta wraz z okolicą. Na taką hipotekę warto będzie kilka miliardów nawet bezzwrotnie pożyczyć.

Ile kosztuje człowiek?

Ale właściwe negocjacje i prawdziwe rozbrojenie nie powinny się ograniczać do spraw wojskowych. Powinny objąć sferę polityki i moralności. To nie zbrojenia wywołują wszak nieufność; to nieufność powoduje zbrojenia. Nieufność wynikająca z łamania umów, zobowiązań, obietnic w stosunkach z zagranicą i w stosunkach z własnymi obywatelami. Dziedziną, w której Gorbaczow może bardzo poprawić wiarygodność swojej hipoteki, są więc prawa człowieka, i to wszystko co się kryje pod tym wytartym i tak nadużywanym pojęciem.

Tu także trzeba zacząć od stwierdzenia, że od chwili pojawienia się Gorbaczowa, bardzo wiele się pod tym względem zmieniło. Jego *głasnost'* wprowadziła zamieszanie, o którym trzy lata temu śnić mógł tylko największy marzyciel. Obywatele ZSSR odkrywają własną historię, trwa niekończący się festiwal rehabilitacji, powstaje sowiecki „Yad Vashem", gdzie młodzi ludzie próbują ustalać pierwsze spisy ofiar stalinowskich kaźni, prasa moskiewska jest ciekawsza od zachodniej... Mniejsza o powody koniunkturalne i systemowe tego *jamborée*, ważne, że polityczny i psychiatryczny gułag pustoszeje, że skończyło się buczenie na Monachium, że Żydzi, Niemcy czy Ormianie emigrują itd.

Tego wszystkiego nie należy lekceważyć, choć oklaskiwać naturalnie należy bez złudzeń. Do praworządnego państwa Związkowi Sowieckiemu bardzo daleko, trwa coś, co jest rewolucją z góry, *show* jednego człowieka. Jeżeli coś ważnego nadchodzi z dołu, to wtedy stosuje się siłę, fizyczną jak na Kaukazie, polityczną jak u Bałtów. Inaczej mówiąc, wszystko, albo prawie, tak jak zostało nakazane w sekundę, tak może w sekundę zostać odwołane. Trzeba więc gwarancji. Jakich? Lista byłaby za długa. Wystarczy spojrzeć, co w tej dziedzinie robi od dwustu lat normalna zachodnia demokracja oraz zastosować się do rady pani

Thatcher, która w czasie wizyty w PRL powiedziała generałowi Jaruzelskiemu, że kiedy chce się budować nowe domy, to często trzeba zacząć od burzenia starych murów. Tego np., który tkwi w sercu Europy od 1963 roku.

Na razie, zanim zaczniemy burzyć mury, możemy przeprowadzić zajęcia praktyczne na przykładzie Konferencji na temat Praw Człowieka, jaką Gorbaczow bardzo pragnie zorganizować w Moskwie w 1991 roku. Wiem, że ma swoje powody, że to byłby dla niego ogromny atut prestiżowy w ZSSR i za granicą, że konferencja taka obaliłaby najgorszy pręgierz międzynarodowy, spod którego Kreml nie jest w stanie się wyrwać. A mimo to jestem za tym. Na pewnych warunkach naturalnie. Oto niektóre:

a) Moskwa powinna dać gwarancje wolnego dostępu do trybuny i udziału w konferencji dla wszystkich swych obywateli. Nie chodzi mi naturalnie o dopuszczenie 270 milionów obywateli ZSSR do głosu w Moskwie, ale o wszystkich tych, także tzw. dysydentów, którzy z jakiegokolwiek tytułu zostaliby zaproszeni przez oficjalnie uczestniczące w konferencji rządy, organizacje, grupy czy osobistości.

b) Wszyscy więźniowie polityczni, według kryteriów zachodnich, a w tym np. uczestnicy ruchu helsińskiego, będą na wolności w dniu otwarcia konferencji.

c) Będzie wychodzić także po rosyjsku, niecenzurowany biuletyn konferencji z tekstami wygłoszonych przemówień i dyskusji.

d) Nie będzie już, z wyjątkiem przypadków niewątpliwych także dla Zachodu, *otkazników* czy innych siłą zatrzymywanych kandydatów na emigrację.

e) Nastąpi całkowity koniec zagłuszania w ZSSR, w bloku (Czechosłowacja, Bułgaria) i w Afganistanie.

f) Przed konferencją nastąpi zasadnicza reforma ustawodawstwa w sensie demokratyzacji systemu sprawiedliwości.

g) Zagwarantowana będzie akredytacja przy konferencji przedstawicieli wszystkich zachodnich uznanych środków przekazu drukowanych i elektronowych, które o to poproszą.

Nie jest to wszystko, o co warto by się potargować, ale to już byłby także początek hipoteki.

Ile kosztuje imperium?

No i wreszcie przechodzimy do trzeciego stopnia tej hipotecznej rakiety, który dla naszych czytelników powinien być właściwie pierwszym, a mógłby być i jedynym. Chodzi mi o to, co świat zachodni nazywa (jego słownictwo zmienia się w zależności od oddalenia) blokiem wschodnim, sierotami po Jałcie, imperium sowieckim, krajami demokracji ludowej, Europą wschodnią, Europą środkową... Pamiętamy zapewne jeszcze, że w okresie chwały i przytomności Reagan nazywał to wszystko „imperium zła", ale w chwili wzruszenia to odwołał i pozostawił nas sam na sam po prostu już tylko z imperium.

Otóż najbardziej przekonywującą hipotekę, taką prawdziwą gwarancję swych szlachetnych intencji Gorbaczow mógłby ofiarować zachodniemu światu w zamian za jego pomoc materialną i duchową, gdyby ogłosił, że doktryna jego poprzednika Breżniewa, na mocy której Moskwa uzurpowała sobie prawo do ingerencji gdziekolwiek za Łabą, kiedy tylko uzna, że jej interesy są zagrożone, że ta doktryna była i jest nieważna, że inwazje, interwencje, najazdy, szantaże, „dobrosąsiedzkie pomoce", bratnie odpowiedzi na apele o ratunek są wykreślone ze słownika i z praktyki ZSSR.

Gorbaczow, jak pamiętamy, miał wiele okazji do wypowiedzenia tych kilku słów ostatecznej gwarancji (jedna z najlepszych powstała na zamku w Warszawie), ale z żadnej nie skorzystał. Polakom obiecał odpowiedź na piśmie, ale jeszcze nie nadeszła. Obawiam się, że szybko nie nadejdzie.

Gorbaczow ogromnie rozluźnił zakres samodzielności ekip rządzących w stolicach krajów kierowanych przez komunistów. Jedni z tych możliwości korzystają, jak Polska czy Węgry, inni, jak Czesi czy Niemcy, wolą poczekać. Sądzę np., że choć sprawa likwidacji stoczni była w Moskwie dyskutowana, (największy klient), to sama decyzja została podjęta suwerennie w Warszawie. Nie wiem, czy dopuszczenie Wałęsy do telewizji było konsultowane w Moskwie, ale wydaje mi się, że w obecnym stanie rzeczy, mimo ryzykownego charakteru (i to bardzo, jak się po dyskusji okazało) tego eksperymentu, takich konsultacji ta decyzja nie wymagała. To samo zapewne dotyczy paszportu dla Wałęsy na podróż do Paryża. Przypuszczam, że Rakowski w ogóle zadaje mniej pytań w Moskwie niż jego poprzednicy, a zresztą interpelowanie Kremla w sprawie wyjazdu Wałęsy, w czasie kiedy Sacharow objeżdża Stany, byłoby po prostu śmieszne.

Nikt jednak nie zna granic tolerancji sowieckiej. Filozofia Gorbaczowa w odniesieniu do państw bloku (jaki to blok, nic się tam nie trzyma kupy!) sprowadza się dziś (być może na razie) do postulatu utrzymania pokoju i spokoju wewnętrznego. Chodzi o to aby jakaś nagła i niespodziewana destabilizacja w jednej z prowincji i spowodowana tym konieczność sowieckiej interwencji nie zagroziły zachodniej strategii Gorbaczowa. Choć jednak próg interwencji sowieckiej rzeczywiście szalenie się przesunął, to nie sądzę, aby interwencję taką można było w ogóle spisać na straty, albo raczej na zyski.

Otóż, i tu dochodzimy do sedna rzeczy, ten stan niepewności paraliżuje inwencję i inicjatywę, stanowi hamulec w dziele dopasowywania fatalnie funkcjonujących reżimów komunistycznych do wymagań nowoczesnego świata. To nie zmiana i postęp, ale właśnie upór przy *status quo* zagraża planom Gorbaczowa.

Stąd bierze się moje przekonanie, że ogłoszenie końca doktryny Breżniewa stanowiłoby najlepszy interes, jaki Gorbaczow mógłby dziś zrobić ze światem, jego własnym i zachodnim. To byłaby hipoteka warta wielu miliardów dolarów. Wystarczyłoby, aby Gorbaczow spróbował odpowiedzieć na kilka pytań.

1) Czy ZSSR byłby skłonny pozwolić na odideologizowanie Paktu Warszawskiego? Czy możliwy byłby Pakt Warszawski, grupujący kraje na zasadzie nie ideologicznej, a geopolitycznej, wiążący w jedną organizację wojskową kraje o bardzo odmiennych strukturach politycznych, tak jak, *à rebours*, było z Turcją czy Grecją, kiedy mimo prawicowej dyktatury wojskowej należały obie do NATO?

2) Czy ZSSR byłby skłonny uznać, iż demokratyczna reforma, ustanawiająca system pluralistyczny w jednym z krajów bloku wschodniego nie musi automatycznie stanowić naruszenia strategicznych interesów sowieckich?

3) Czy ZSSR byłby skłonny uznać, że przekształcenie bloku państw zmuszonych do „jedności" w blok związany świadomością geopolitycznej konieczności jest jedyną szansą doczekania dnia, kiedy będzie otoczony nie pasem wrogich narodów, a państwami wolnymi, ale lojalnymi wobec prawdziwych wymagań bezpieczeństwa ZSSR?

Brzmi to wszystko bardzo skomplikowanie, ale jest w istocie bardzo proste. Chodzi o wybór między „braterskim blokiem" Polaków, Węgrów czy Czechów, nienawidzących Rosjan i komunistów, a strefą złożoną z kilku Finlandii, niekoniecznie zresztą całkowicie „sfinlandyzowanych", rządzonych ewentualnie przez koalicję z udziałem komunistów.

Ile kosztuje utopia?

Utopia? Dziś na pewno. Ale jutro? Pomarzyć nie wolno? Zresztą — podobnie zdaje się rozumować Brzeziński, który na pewno nie jest marzycielem. Wystąpił on, bardzo umiejętnie podsumowując niedawną sowiecko-amerykańską konferencję politologiczną w Waszyngtonie. Sformułował tam sporo myśli o dużej skali wyobraźni, ratując powagę Zachodu, która, jeżeli sądzić na podstawie jedynego dostępnego referatu amerykańskiego, znalazła się na granicy kompromitacji.

Ja wiem, że nikt z polityków zachodnich takiej wschodnioeuropejskiej hipoteki dziś od Gorbaczowa nie zażąda. A szkoda, bo właśnie na takiej zasadzie można by się skutecznie potargować. Jeżeli bowiem założyć, że Gorbaczow ma szanse realizacji swego programu, to jest to projekt gigantyczny, liczony nie na lata, a na dziesięciolecia, a nawet pokolenia. Nawet mały udział Zachodu w takim przedsięwzięciu musiałby zostać opłacony wielu miliardami dolarów w rozmaitych formach.

Nikt nie wie dziś, czy się to opłaci. Ale ryzykować warto. Tylko trzeba wiedzieć, jak. W 1947 roku George Kennan, były ambasador USA w Moskwie, sformułował strategię wojskowego i ideologicznego „powstrzymania" ZSSR poprzez budowę siły państw zagrożonych sowiecką ekspansją. Połączenie amerykańskiej i zachodnioeuropejskiej determinacji w uniemożliwieniu zdobycia przez ZSSR decydującej przewagi wojskowej, z jednej strony, i ogromne sukcesy gospodarki wolnorynkowej z drugiej

strony, sprawiły, że nadszedł czas kiedy na czele ZSSR musiał stanąć człowiek świadom wielkości bankructwa komunistycznego systemu.

Nie wiem, jakie są prawdziwe intencje Gorbaczowa, nie mam do niego zaufania. Ale wiem, że dziś formuła „powstrzymania" nie wystarczy. Powinna powstać teoria i strategia „ponaglania", nie tyle reform w ZSSR i w reszcie obozu, to nie nasza sprawa, co procesu budowania i weryfikowania gwarancji, że te reformy idą we właściwym kierunku. Niektóre elementy „ponaglania" nakreśliłem w tym artykule. Dalsze wysyłamy na zamówienie...

Strategia „ponaglania" zakłada utrzymanie siły Zachodu na odpowiednim poziomie odstraszania, wymaga istnienia ambitnie wyznaczonego celu i precyzyjnego planu operacyjnego. Hasło niepodległości nie powinno oczywiście nigdy zniknąć z programu zasadniczego, ale finlandyzacja czy jakiś typ neutralizacji Europy wschodniej mogłyby się stać jednym z ważnych elementów tej strategii. Zgoda Gorbaczowa na rozpatrzenie takiej hipotezy stanowiłaby hipotekę uzasadniającą poważne koncesje zachodnie gospodarcze i technologiczne oraz wielomiliardowe inwestycje.

Wtedy ja bym się też dołożył. I innych namawiał.

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 9 grudnia 1988

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Wraz z milionami poddanych dzielę paniczny lęk przed urzędem i, podobnie jak oni, gdy zły los mnie tam rzuci, stoję z żołądkiem w gardle i gram rolę pokorną lub arogancką, czyli jestem ofiarą lub oprawcą. Obie postawy czasami sprawdzają się, chociaż niewątpliwie najskuteczniejsze jest pójście za kulisy i danie łapówki. Ostatnio, kiedy zdarzyło mi się być oprawcą, urzędniczka popłakała się. Była to dramatyczna scena, gdyż jadła właśnie bułkę popijając herbatę i zdawało się, że płacze bułką rozpuszczoną w herbacie. Miałem nawet wyrzuty sumienia, ale okazało się potem, że to najwidoczniej takie czasy — płaczliwe. Nazajutrz bowiem w sklepie spożywczym popłakała się sprzedawczyni, chyba z powodu kolejki, w której stałem. Łkała dzierżąc w ręku długi nóż, którym już nikomu nie wygrażała, ani kolejce, ani sobie, ani chudemu serowi, który właśnie zamierzała ukroić, gdy dopadła ją rozpacz. Wrócić muszę jednak znowu, chociaż czynię to niechętnie, do tego urzędu, bo tam właśnie miał miejsce akcencik sowiecki, do którego nieuchronnie zmierzam. A więc w następnej sali, do której udało mi się przecisnąć dzięki załamaniu nerwowemu kobiety z bułką, siedziała trójka urzędników. Dwóch płci męskiej, reszta żeńskiej. Kobieta parzyła herbatę, ale miała jedną rękę wolną i nie patrząc na mnie przyjęła mój papier. Zupełnie niezależnie od tego zdarzenia jeden z urzędników zwrócił się do kolegi ze słowami:

— Szwagier pracuje na kolei, opowiadał, że znowu cały transport mięsa ruskie ukradli.

— Wszystko kradną — potwierdził kolega.

Miałem teraz okazję, by włączyć się solidarnie do rozmowy, co znacznie zwiększyłoby moje szanse na załatwienie sprawy, ale przegapiłem i znowu odezwała się kobieta:

— Stałam trzy godziny w sklepie mięsnym z kartką i nic nie kupiłam.

Przyjrzałem się bacznie całej trójce. Byli wyblakli jak jesień za oknem. I mógłbym się założyć, że już ich gdzieś widziałem. I owszem, widziałem: w opowiadaniach Czechowa. Ale zarazem byłem równie pewien, że jakoś nie mieszczą się do końca w dawnej i nowej Rosji, bo mają kawałek duszy rogatej, szlacheckiej. A więc jednak mutanty.

Wkrótce potem jestem na wsi i rozmawiam z chłopem stojąc przy drodze, którą, jak przed wiekiem, jeżdżą konne furmanki. Chłop rozejrzał się pilnie na boki, czy aby w krzakach nie siedzi jakiś sąsiad, i rzekł pełnym zaufania szeptem:

— Ruskie, panie, wszystko zabierają, zboże, krowy, mleko, a nawet jaja.

— Co tam jaja — mówię — problem w tym, że oni nam system narzucili — głupotę i bezsens.

— Ale jaja też kradną — upierał się chłop — wszystko tam, panie, idzie.

No i masz babo placek. Niegdyś każda niechęć do ZSSR była jak miód na moje serce. Teraz widzę, że ta niechęć jest ślepa i bywa formą sowietyzacji.

Przyjechał do Warszawy Rosjanin, przyjaciel moich przyjaciół Moskali, tych co nauczyli się w 1980 polskiego języka, by czytać naszą prasę. Kiedy stan wojenny zniszczył polskie tygodniki, zaczęli słuchać polskojęzycznych rozgłośni zachodnich. Dzięki nim uczestniczyli w naszych manifestacjach ulicznych, potem wpadli razem z Bujakiem, zaś na początku 1985 roku przestali do mnie pisać. Potem dowiedziałem się, że zapadli na ciężką depresję. Obudziła ich *pieriestrojka*. Teraz dziwią się, że własna nadzieja może mieć w sobie tyle mroku i lęku.

Z moim Rosjaninem spotykam się w jednym z warszawskich hoteli, wypełnionym zapachem gotowanych kartofli. Pod jakimś pretekstem wyprowadza mnie z pokoju. Kolega, z którym mieszka, jest chyba porządnym człowiekiem, ale przecież do końca nigdy nie wiadomo.

Na korytarzu pytam go, co myśli o *pieriestrojce*.

— U nas mawia się teraz tak: nie wierzymy, ale mamy nadzieję.

Jak widzi Warszawę? Był tu dwadzieścia lat temu.

— Wtedy to była wielka różnica, a teraz... no może kolejki trochę u was krótsze, może w sklepach troszeczkę więcej towaru. A przecież była kiedyś taka anegdota o dwóch ludziach. Jeden, mieszkaniec Paryża, jechał do Moskwy, zaś moskwiczanin udawał się do Paryża. Obaj przez pomyłkę wysiedli w Warszawie i obaj

byli pewni, że są u celu podróży. No a dzisiaj — ciągnął Rosjanin nie patrząc mi w oczy — dzisiaj to moskwiczanin pewnie by się już nie pomylił.

W Warszawie największym przeżyciem były dla niego odwiedziny w kościele św. Stanisława Kostki. Transparenty „Solidarności", kwiaty, znicze, napis na grobie ks. Popiełuszki, to wszystko zrobiło na nim duże wrażenie, ale najbardziej był poruszony ludźmi, tymi, co przychodzą, a przychodzą właściwie wszyscy.

— U nas — powiedział — na takie miejsce przychodziłaby tylko elita.

Uważa, że *pieriestrojkę* popiera tylko wąziutka grupka wywodząca się z inteligencji. A w głębi Imperium jest mrok i wielka bezkształtna masa pełna ksenofobii, nienawiści, której macki już pełzną.

Ode mnie dowiedział się o niesubordynacji Estonii. Zmartwił się: to może być początek końca Gorbaczowa. „Już sami nie wiemy, czego chcieć. Każdy gwałtowny ruch w kierunku wolności może zniszczyć nasze nadzieje. Ale jak ruszyć górę lodu bez gwałtownych ruchów? Nie wiem, czy pan nas rozumie, ale jesteśmy bardzo nieszczęśliwi i bardzo wam zazdrościmy".

W dyskotece nagle poczułem, że mój wiek wypływa na wierzch gwałtownie jak zanurzony korek. Wokół nasze rodzime punki z bajecznie kolorowymi czubami i skiny z błyszczącymi łysinami, młodzi, zbuntowani na wzór zachodni ludzie, którzy w naszych warunkach nie protestują wobec komercyjnego świata, a po prostu upodobniają się do wszechobecnej brzydoty. Niespodziewanie wpadł na mnie wielki chłop — ani skin, ani punk — podobnie jak ja w latach, a na dodatek z koszulą na wierzchu i z fragmentami wydatnego brzucha.

— *Izwinitie kolega* — rzekł niespodziewanie miękko.

— To dyplomata sowiecki, stały bywalec, zalany w pestkę jak zwykle — rzekł mi na ucho kolega student, też zresztą pijany. Po czym wdał się z dyplomatą w dyskusję, której temat dotyczył sztuki. Nie wiadomo kiedy z dyskusji zrobił się spór. Dyplomata brał się nawet do bicia, ale jego gniew zgasł równie szybko jak zapłonął i nagle zaczął całować studenta, a przy okazji również tych, co stali obok. Potem było to i owo — nie mogę się wdawać w szczegóły, bo żal mi chłopa i nie chcę go dekonspirować, chociaż pewnie na to zasłużył. Faktem jest natomiast, że z pijaną grupką wylądowaliśmy na sowieckiej dyplomatycznej wyspie, otoczonej wysokim murem i oświetlonej reflektorami jak podwórzec więzienny. Klatka schodowa śmierdziała zupełnie przeraźliwie, ściany się łuszczyły, winda była zepsuta, żona w szlafroku i rozpaczy. W mieszkaniu meble ubogie, podłogi gołe, ale za to stał triumfalnie japoński telewizor i aparat video z zestawem kaset

z filmami z Rambo. Na parapecie piętrzyły się zapalniczki, zapewne na handel. Dyplomata otworzył szampana, celując z korka w ekran telewizora.

Cóż za łagodna dzikość emanowała z tego człowieka i jaka okrutna serdeczność. Tylko tym, co nie znają Rosji, może się wydawać, że Dostojewski wymyślił swoje postacie. Ci zaś, co mają jakieś większe nadzieje związane z *pieriestrojką,* powinni sobie obejrzeć taki fragmencik nomenklatury Imperium. Nie jest to wcale straszne, ale jakby beznadziejne, otrzeźwi nawet pijanego, a trzeźwego upije.

W klubie studenckim pokaz przedwojennych filmów dokumentalnych: kicali legioniści na konikach, kapelani święcili armaty, Marszałek bawił się z córkami w Sulejówku. Bardzo to było wzruszające, chwilami nawet za bardzo. Bo dałbym głowę, że czuję mdły zapach koszar wojskowych i słodycz bajek o Leninie Zoszczenki. Po raz pierwszy pomyślałem, że żyjąc w przedwojennej Polsce, byłbym niewiele weselszy niż obecnie.

Po filmach miała miejsce dyskusja z udziałem młodego przedstawiciela KPN-u i Kazimierza Koźniewskiego, czyli podpory intelektualnej podupadłego dworu PZPR. Koźniewski, jak przystało na jednego z ostatnich żołnierzy partii wszedł z marszu w konflikt z młodym KPN-owcem i oświadczył:

— Pan jest przedstawicielem nielegalnej partii. Ja z panem w ogóle nie będę dyskutować, pan jako nielegalny nie istnieje.

Po czym Koźniewski wyjaśnił, że zawsze stoi na gruncie polskim i zawsze uznaje tylko to, co legalne. Ktoś z sali pozwolił sobie zauważyć, że w tej sytuacji likwiduje przedwojennych komunistów, których jest dzisiejszym późnym i smętnym wnukiem. Koźniewski poprawił nerwowo okulary, skrzywił się i rzekł: — Być może. Nie dane mu było jednak zaznać spokoju. Sala zauważyła bowiem, że gdyby przeniósł się na grunt niemiecki w latach trzydziestych, to przy swojej postawie byłby zwolennikiem Hitlera. — Być może — odparł Koźniewski. I miałem wrażenie, że po raz pierwszy zerka w kierunku drzwi. Ale póki co obrał bardzo nam znaną taktykę — nie słuchaj innych, sam gadaj — i z właściwą sobie swadą wyjaśnił, że była Jałta, że los nas rzucił w to miejsce, gdzie teraz jesteśmy i w ramach nieuchronnego stanu rzeczy trzeba się jakoś urządzić. Poza tym jest zwolennikiem silnego państwa, a przeciwnikiem sytuacji, kiedy o ważnych dla narodu sprawach decyduje głos kucharek. Te kucharki w tym wywodzie były szczególnie wzruszające.

Partyjny pisarz wygłosił jeszcze kilka niezwykle głębokich myśli, jak na przykład: „My, komuniści, znakomicie radziliśmy sobie w ciągu tych czterdziestu lat z rozwiązywaniem problemów politycznych, ale bardzo źle ze sprawami ekonomicznymi".

Poczułem, że lewituję wraz z krzesłem. Nie gniew mnie jednak unosił, a jakiś dziwny rodzaj radości. Takie przeżycia zdarzają się biologom, gdy odkryją żywy gatunek zwierzęcia, który — zdawało się — wyginął ostatecznie. Sala podzieliła moje uczucia i podziękowała Koźniewskiemu. Zauważano trafnie, że jego sposób myślenia wyrażony tak esencjonalnie nawet mało pojętnym wyjaśnia, czemu toniemy i czemu trudno mieć nadzieje na przyszłość.

Czołowy partyjny pisarz zdawał się być zupełnie odporny na pociski, które raziły weń z wielu stron. Uśmiechał się tylko krzywo i kpiąco, jakoś wielki w swoim osamotnieniu. Wydawało się nawet, że zasnął, ale nagle zerwał się z miejsca, rozejrzał, ale ponieważ nigdzie nie było widać twardych narzędzi, jakich użyto 13 grudnia, ruszył w kierunku wyjścia swoim charakterystycznym drobnym kroczkiem i wydając z siebie dźwięki wyrażające oburzenie, wyszedł — ale nie na zawsze. Można go było wkrótce potem obejrzeć w telewizji w programie, który sam nazwał „Ociosywaniem mgły". Wszystkiego dobrego w tej żmudnej pracy.

Towarzysz Stanisław Gabrielski, piastujący funkcję kierownika wydziału polityczno-organizacyjnego KC, dał wywiad *Trybunie Ludu,* gdzie oświadczył między innymi: „Powinniśmy się zatroszczyć o ukształtowanie sylwetki socjalistycznego prywatnego przedsiębiorcy". Ciekawe słowa, szczególnie gdy wypowiada je towarzysz z trybuny do ludu.

Pamiętam jak przed laty przesłuchiwał mnie kapitan SB, stanowczo przemęczony, bo czasy były ciężkie. Zapewne dlatego jego monolog wewnętrzny wyszedł zupełnie niespodziewanie na zewnątrz: „Za kilka latek na wcześniejszą emeryturkę, prywatny biznesik, pieniążki tłuc...". Głowa funkcjonariusza kołysała się sennie w obłokach marzeń, a w tle jaśniały gołe pupy panienek z zachodnich kalendarzy. Te kalendarze w świątyni państwowego bezpieczeństwa to też był znak, że idą nowe czasy.

A co do sylwetki socjalistycznego przedsiębiorcy, to radziłbym sylwetkę możliwie aerodynamiczną, gdyż ostre przeciągi będą plagą nadchodzących miesięcy i lat.

Kontrrewolucja w PRL jest jawna, odgórna, nie pełza, ale podskakuje i bełkoce. A ja nie mogę tylko odżałować, że nie ma już w Polsce komunistów, którzy mogliby z tego powodu cierpieć.

Trwa oto akcja propagandowa na rzecz bezrobocia. Bo to dyscyplinuje klasę robotniczą. Największym marzeniem PZPR zdaje się być stworzenie kapitalistycznego rynku. Lansuje się postać Józefa Piłsudskiego, a więc już nie Feliks Dzierżyński jest największym Polakiem.

Współczesnym wzorem politycznym stała się pani Margaret Thatcher, między innymi dlatego, że zgwałciła związki zawodowe i dokonała masowych reprywatyzacji.

Prezydent Ronald Reagan z „mordercy polskich kur" i „marnego aktorzyny" stał się niespodzianie wielkim mężem stanu.

A orzeł? Co z oskalpowanym orłem? Otóż ten problem też się rozważa z pełną powagą i pojawiły się głosy, że należałoby mu oddać koronę.

Właściwie to jest wszystko bardzo śmieszne, tylko aby móc się śmiać, trzeba najpierw odgarnąć gnój, co już włazi do ust.

Zamykanie fabryk stało się w PRL modne. Przy okazji rozgorzała dyskusja i oto niemal wszyscy są zgodni, że należałoby właściwie zamknąć wszystkie zakłady. Wniosek następny, który nawet słyszałem w radiu z ust ekonomisty — powinno się zamknąć całą PRL. Ekonomista, który to powiedział, nie został zamknięty, współdyskutant zgodził się z nim, ale stwierdził, że „to się jednak nie da, no bo jak to tak zamknąć kraj". Otóż da się, ale niebanalnie. Nasi rodacy znaleźli sposób. Pakują manatki, zatrzaskują kłódkę i wio w szeroki świat.

Inteligencję połączyła z innymi grupami społecznymi wspólna praca nad budową „Solidarności". Potem wspólny opór. Ale upływ czasu i ostry klimat zrobiły swoje. I znowu zdaje się, że jesteśmy wszyscy osobno, może nie tak jak niegdyś, ale wystarczająco. I ponownie słyszę intelektualistę, który mówi o robotniku jak o jakimś dziwnym gatunku człekopodobnym, z którym pogadać byłoby ciekawie, ale jakoś strasznie. Obszar opozycyjny nadal duży, ale przede wszystkim w sferze ilości tytułów pism. Ich liczba od paru lat utrzymuje się na poziomie pięciuset, dzisiaj co prawda ledwo dychają, ale jednak są. Kilkaset komitetów założycielskich „Solidarności", które powstawały lawinowo po tegorocznych strajkach, zdaje się nie krzepnąć, ale zastygać. Najlepsze pole do obserwacji mam jednak na działce kulturalno-społecznej. I co widać? Tu też wszyscy zdają się być osobno, zamarł nawet zwyczaj, by redakcje wymieniały się numerami swoich pism. A przecież ci ludzie znają się towarzysko. Króluje samotność z pawim — co prawda — ogonem. Jakoś nie mamy już serca dla siebie nawzajem. Co się stało z naszym sercem? Czy to dlatego, że nasza wojna przekształciła się w pozycyjną, że już nie ma kolorowych szarż, nawet możliwość odwagi zgniła, a wokół błoto i pachnie nudą.

I jak tu się dziwić, że różne środowiska nie próbują dzisiaj, kiedy są na to szanse, odebrać tego, co im zabrano. Na przykład pisarze — ZLP. Nie mogła się nawet narodzić nasza pamięć.

Mój znajomy zainicjował przed rokiem zbieranie materiałów o zbrodniach dokonanych przez komunistów w Polsce w czasach stalinowskich. Inicjatywa zdechła, gdyż nie miał kto się tym zająć. A gdzie się podziała charyzma, którą zdawali się mieć niektórzy działacze „Solidarności"? Dzisiaj, kiedy ich słyszę, jak przemawiają publicznie, mam wrażenie, że słucham inteligentnych i poczciwych nauczycieli z małego miasteczka. Skłócenie działaczy ma już od dawna charakter chorobliwy. Celuje w tym zresztą od lat Gdańsk. Ania Walentynowicz pokazuje uczernione dłonie, nie ma z czego żyć, więc najęła się do zbierania orzechów. I nadal nie wybacza Wałęsie. Przygasł Gwiazda, nawet Borusewicz narobił sobie wrogów.

Najsmutniejszy wydaje się los Andrzeja Kołodzieja, którego tak podziwialiśmy w roku '80. Słusznie krytykuje koterie w „Solidarności", ale poszedł tak daleko, że niespodziewanie znalazł się na poziomie *Żołnierza Wolności*. „Solidarność" została według niego opanowana przez różne spiskowe grupy, które się uwzięły, by ją zniszczyć, a przede wszystkim wykończyć „Solidarność Walczącą", której Kołodziej jest jednym z kół napędowych. Gdzie indziej posunął się nawet do twierdzenia, że doradcy związku wydali jednego z działaczy „Solidarności Walczącej" w ręce SB. Wolałbym nie być nigdy w rękach Andrzeja Kołodzieja.

Coraz częściej podejrzewam, że następuje u nas autokastracja myślenia politycznego. Nie jestem tego tak całkiem pewien, ale coraz wyraźniej chodzi mi to po głowie. Bo oto nieustannie słyszę naszych opozycyjnych polityków, jak mówią: „najważniejsze, żeby być solidarnym z Wałęsą. Co on, to i my". Potem, kiedy wypiją za dużo, narzekają: „to jednak baran, ale co robić". A ostatnio trzęsą się ze strachu, że przegra pojedynek telewizyjny z ubogim umysłowo Alfredem Miodowiczem, szefem neozwiązkowców. Co się u licha dzieje? Czy to „Solidarność" zjada myślenie polityczne? „Solidarność", symbol symboli, firma firm, dinozaurus, któremu wystawała tylko malutka głowa, ale jak nagle wstał, okazał się olbrzymem; smok, któremu obcięto sto głów, ale nadal gadał, a głowy zaczęły odrastać. I już nie dojdziesz, czy wszystko, co jest, jest dzięki „Solidarności", czy też przez nią różnych rzeczy nie ma.

Ja w każdym razie coraz częściej widzę intelektualistów, którzy przede wszystkim próbują usadowić się wygodnie w fotelu i patrzeć, jak tonie statek, na którym płyną.

Na dworcu autobusowym pomagam nieść bagaż kobiecie, która przedstawiła się jako mieszkanka Grudziądza. Pytam, jak tam w jej mieście, czy ludzie wierzą, że coś się zmieni na lepsze.

— Nikt, panie, nie wierzy. Każdy tylko patrzy swego, bo wie, że będzie gorzej.

— To co robić?

— Siedzieć, czekać, robić zapasy — mówi kobieta z Grudziądza — i modlić się, żeby ich szlag trafił.

I pomyślałem, że wyczerpanie zasobów energetycznych i nadziei przyszło w chwili, gdy otwarły się drzwi. A może właśnie dlatego je otworzono, że brakuje nam tchu?

I oto, jakby na przekór moim diagnozom, 11 listopada nastąpiła erupcja społecznej energii. Na niezależnych obchodach w Warszawie pojawili się umundurowani harcerze, KPN z licznymi insygniami, sztandary „S" i nawet sztandar z Wołomina, zaś NZS paradował z pochodniami. Uderzył mnie radykalizm młodzieży; żadnych nabożnych pieśni, chociaż pochód ruszył spod katedry. Tłum jednym głosem ryczał: „Precz z komuną", aż Zamek Królewski dostał dreszczy. Pochód (co najmniej 20 tysięcy) szedł Krakowskim Przedmieściem, które nie zamykało okiennic, jak przed ponad wiekiem. Nastrój zrobił się szybko plebejsko-ludyczny — krzyczano: „Znajdzie się pała na dupę generała" oraz „Młodzież z partią, młodzież z partią, młodzież z partią... się rozliczy".

Władza wykazała się — typowym ostatnio — brakiem konsekwencji, co zdaje się stawać metodą. Bito w Gdańsku, prawie nie w Warszawie, zupełnie nie w Krakowie, bardzo w Katowicach. A poza tym manifestacje odbyły się w licznych nawet niewielkich miastach, o czym dowiedzieliśmy się później, albo nie dowiedzieliśmy się wcale. 11 listopada był po raz pierwszy obchodzony oficjalnie i niemal z równą pompą jak niegdyś rocznica rewolucji październikowej. Nic dziwnego, że po niezależnych obchodach propaganda załkała: rzucono wam taki duży ochłap, a wy go nawet nie powąchaliście...

Wizyta pani Thatcher sypnęła anegdotami. Rzecz dotyczy jednak angielskiej damy, więc nie chcę powtarzać plotek, choćby smakowitych. Do śmiechu wystarczyło mi to, co widziałem w telewizji: zakochany wzrok towarzysza Rakowskiego czy sposób, w jaki pani premier rozmawiała z naszą władzą jak nauczycielka z nierozgarniętymi dziećmi.

Szczególnym jednak spektaklem była wizyta pani premier w Hali Mirowskiej, gdzie kupiła pomidory. Już o szóstej rano wysłano tam kompanię cywilów z obowiązkowymi siateczkami na „zakupy". Było zimno, więc niektórzy urwali się na herbatę do pobliskich urzędów. Mój krewniak mógł dzięki temu pogadać z jednym z nich. Cywil z siatką bardzo był spłoszony, gdyż — jak twierdził — zupełnie nie dostali instrukcji, jak się zachować, gdyby pani premier przez przypadek podeszła do któregoś z nich i o coś zapytała. „Czy mamy mówić, że jest dobrze, czy że jest źle. Dzisiaj takie czasy, że już nie wiadomo, czego od człowieka wymagają".

Za to Hala Mirowska została odpowiednio przygotowana. Wypucowano podłogę (na malowanie ścian nie starczyło czasu), ekspedientki odświeżono przy pomocy zupełnie nowych fartuchów, zaś owoce wypolerowano niemal do pestek. Rzucono niedostępne towary w postaci kwasku cytrynowego i cukru waniliowego. Słyszałem, jak ktoś się potem żalił, że nie „rzucili" mączki kartoflanej. Najdonioślejsze jednak rzeczy miały miejsce w dziale mięsnym. Tam wszystko aż się uginało pod ciężarem niewidywanych szynek i schabów, a także przysmaku śniadaniowego w puszkach.

Po wizycie pani Thatcher tłum pracowników wspierany dodatkowymi posiłkami rzucił się, by wszystko ładować z powrotem na samochody, inni wypychali zrozpaczonych i zaślinionych klientów. I stoisko zostało zamknięte. Nazajutrz pojechała tam moja żona w nadziei, że coś kupi. W dziale mięsnym były jedynie ekspedientki. A więc nasze wsie potiomkinowskie też nędzne i krótki mają żywot.

Za to długo trwało pożegnanie pani premier, co pokazywała telewizja. I mogliśmy zobaczyć, jak generał podarował pani Thatcher album fotograficzny o I Armii Wojska Polskiego. Prezentując swój wspaniały prezent, otworzył album, a wtedy wszyscy drgnęli, gdyż wychyliła się z niego armatnia lufa wycelowana w panią Thatcher i telewidzów. Były też róże w prezencie — nie powiedziano, czy ścięte serią karabinową. Wiem, że niełatwo dać prezent angielskiej damie, ale po stanie wojennym generał zaskoczył nas — rzec można — po raz drugi.

Jakoś nie potrafię demonizować nowego premiera. I nie sądzę, żeby był idiotą, co słyszę wokoło, chociaż wierzę, że obok Urbana jest najbardziej nielubianym człowiekiem w kraju. Sąsiad robotnik, który pochodzi ze wsi i przysięga, że się na wsi zna wyśmienicie, uważa, iż najgorsze jest to, że Rakowski — jak na jego oko — wcale nie pochodzi z prawdziwych chłopów, tylko z dworskich fornali. „Ci z dworu byli zawsze najgorsi, fałszywi, chorzy na ambicję, bez zasad". Nie mam pojęcia o dworach i fornalach, ale mogę się założyć, że miał ciężkie dzieciństwo, co tłumaczy jego niezwykłą wrażliwość na sytuacje, kiedy może poczuć się odtrącony. Emocje są wtedy tak wielkie, a uraz tak silny, że potrafi się mścić po latach. Tak stało się ze Stocznią, gdzie kiedyś został wykpiony przez robotników. Doprawdy, nie da się w inny sposób wytłumaczyć tej decyzji, zdaje się niezwykle kłopotliwej dla wszystkich. Ma jednak w sobie również zdrowy rozsądek. Bo przecież tylko rozsądny człowiek mógł dojść do wniosku, że w Polsce wszystko powinno stać na nogach, a nie na głowie jak dotychczas. Mam tylko tutaj trzy pytania. Po pierwsze: kto

stawiał wszystko na głowie i czy nie warto tego kogoś wziąć za łeb. Dalej, czy przy okazji tego przestawiania wszystko się nie wysypie, bo przecież to wszystko przystosowało się do swej niebywałej pozycji. I na koniec najstraszniejsza obawa. Czy tam są jeszcze jakieś nogi, bo póki co nawet jak się zrobi z dłoni daszek nad czołem, to ich wcale nie widać tam na górze.

No, ale zobaczymy, jeśli — rzecz jasna — przeżyjemy, co nie jest pewne, bo operacja ma być poważna, pacjent ledwie żywy, nikt się go nie pyta o zgodę na zabieg, chirurga nienawidzi, a czasu — zdaje się — jest mniej niż mało.

Coraz mniej u nas wstydliwych tematów, mały handelek nie hańbi, cóż dopiero mówienie o pieniądzach. Dobry przykład dał ostatnio sam premier, który wyraził punkt widzenia rządu, mówiąc, że „pieniądze leżą na ulicy". Zwykle tak jest, że jak leżą pieniądze, to obok leży również władza, ale o tym lepiej nie mówić. Póki co na ulicach leżą tylko śmieci.

Zdaje się, że złotówka pomału wychodzi z użycia na rzecz dolara. Mieszkania są już tylko za dolary, podobnie samochody. Na czarnym rynku cena dolara doszła do 3.000 złotych. Jako że przeciętna pensja wynosi u nas 52 tysiące, to stanowi to w przeliczeniu niespełna 20 dolarów. Nic więc dziwnego, że dla tych, co mogą choćby krótko pracować na Zachodzie, każde wynagrodzenie krajowe jest śmieszne. A więc praca w kraju staje się śmieszna.

Dlatego wszyscy patrzą na Zachód. Kolega poeta pojedzie z żoną zrywać winogrona w Szwajcarii, kolega lekarz na budowę do RFN, a znajomy aktor odrzucił główną rolę w polskim filmie, by malować mieszkania w Sztokholmie. Zdaje się, że najbardziej godną sytuację mają u nas prostytutki; sprzedają się po stawkach europejskich i do tego na miejscu.

Chciałbym jednak przejść na podwórko słowa pisanego, do czego poniekąd skłoniło mnie surowe oświadczenie Redaktora w 9-tym numerze *Kultury*. Mówi się tam w tonie ostrym, aby teksty wysyłane do pisma nie były jednocześnie drukowane w innych pismach na Zachodzie ani w *niezależnej prasie w kraju*. Rozumiem znakomicie gniew Redaktora, każdy z prawdziwego zdarzenia redaktor żąda pierwszeństwa druku, ale zaniepokoił mnie ton, w którym było jakby lekceważenie uwarunkowań krajowych.

Drugi obieg dusi się, a i przyzwoitym pismom oficjalnym też brakuje tekstów, pomału zaciska się pętla finansowa, ale kto wie, czy nie największym zagrożeniem staje się właśnie obieg emigracyjny. To on wykupuje teksty krajowe. Przebicie w wynagrodzeniu jest kilkunastokrotne! Całe szczęście — można rzec — dzięki temu jakoś da się żyć. Ale jest to chore życie. Obecnie dla tych, którzy mają przyczółki pisarskie na Zachodzie każde

pisanie dla kraju jest pracą społeczną. Warto zobaczyć minę człowieka, do którego zwraca się — już coraz bardziej nieśmiało — redaktor pisma podziemnego z prośbą o tekst. Ta mina jest skomplikowana i stanowi wynik nałożenia się dwóch uczuć: silnej niechęci z powodu możliwości utraty kilkunastu tysięcy złotych polskich (a przecież kilo gruszek dla dziecka to już 600 złotych), a jednocześnie poczucia moralnego obowiązku wobec zdychających niezależnych wydawnictw i głodnych pism katolickich. W tej niewesołej sytuacji autorzy zachowują się rozmaicie. Zdarza się, że mówią ostro „nie dam", ale to rzadkość. Zwykle słyszy się „nie mam". Są jeszcze tacy, co jednak dają, chociaż cierpią. Najwygodniej bodaj ma Józef Kuśmierek, który, jak się wydaje, wyciągnął do końca wnioski z tej zwariowanej sytuacji. Wrzuca swoje teksty we wszystkie możliwe miejsca i robi na dodatek awanturę, kiedy ktoś ma o to do niego pretensje. Na ogół jednak panuje zwyczaj, że daje się tekst równolegle za granicę i dla krajowego obiegu w nadziei, że ukaże się tu i tam mniej więcej w jednym czasie i trudno będzie ustalić, kto był pierwszy. Dzięki temu autor godzi rozdarcie sumienia, ale jakże często skazuje się na niepokój, czy ta równoległość się uda.

Mówiąc krótko, stoimy dzisiaj pisarze, dziennikarze, publicyści na rogach intelektualnych ulic. A czy jest z tego jakieś rozsądne wyjście? Ja go nie widzę. Podciągam zalotnie kieckę i piszę patrząc tęsknie w kierunku Paryża.

Witold CHARŁAMP

Krajobraz po lawinie

Ogrom zniszczeń i spustoszeń, jakie niesie ze sobą lawina, ocenić można dopiero, gdy stopnieją masy śniegu. Podobnie teraz, kiedy topnieje represyjność systemu, ukazują się ogromy zniszczenia, jakich ten system dokonał w ludziach, w ich świadomości i mentalności.

Trudno doprawdy zrozumieć, skąd bierze się przekonanie, że porozumienie z władzą pozwoli dzisiaj i zaraz poprawić stan środowiska, lecznictwa, wyżywienia i paru innych bied nękających Polaków. Skąd bierze się przeciwstawianie dalekosiężnych celów politycznych działaniom doraźnym, za jakie uchodzi obecnie sprawa rozmów przy „kanciastym" stole? Czy kiedykolwiek w historii PRL osiągnięto cokolwiek gotowością do ustępstw? Czy sie-

dem lat względnego spokoju przyniosło jakąkolwiek poprawę warunków bytowych? Czy poszukiwanie sposobów na poprawianie systemu, na jego rozmiękczanie dało efekty w sferze materialnej? Liberalizacja systemu objawia się nie w sferze materialnej i nie poprzez instytucjonalne gwarancje, ale przez łaskawość władzy, która zechce np. dawać paszporty, ale może w każdej chwili tę łaskawość cofnąć. Podobnie jak cenzura w każdej chwili może zdjąć dowolny artykuł, choć obecnie bardzo jest łaskawa. Czyli pogadać można, a zjeść nie ma co, jak mówią ludzie w kolejkach. I nic doprawdy nie wskazuje na jakieś zmiany w tym względzie. Nie ma żadnych przesłanek, które pozwoliłyby przypuszczać, że zmiany takie w istniejącym systemie nastąpią. Powtarzanie zaś tezy, że socjalizm reformować trzeba, bo nie ma innego wyjścia, choć już każde dziecko wie, że jest to formacja niereformowalna, prowadzi tylko do stanu społecznej schizofrenii, do bezsilnej szamotaniny, w której wypala się wola walki i działania.

Obecnie działanie polega na organizowaniu struktur zakładowych „Solidarności" i na organizowaniu stowarzyszeń. Co może zrobić najbardziej wolny nawet związek zawodowy wmontowany w realny socjalizm, przekonaliśmy się już podczas euforycznych szesnastu miesięcy. Niewiele więcej mogą zdziałać powstające różne kluby i stowarzyszenia, niezależne, lub w miarę niezależne od władzy. Działacze tych klubów i stowarzyszeń *gros* energii tracą na to, aby się zarejestrować. Potem zaś, kiedy rejestracja wreszcie zostanie dokonana, okazuje się, że nie bardzo wiadomo, jak działać, bo po pierwsze — przerwana została tradycja działalności klubowo-stowarzyszeniowej i już dzisiaj niewiele osób wie, jak to się robi i po co; po drugie, w każdym najdrobniejszym nawet przedsięwzięciu napotyka się na bariery niemożliwe do pokonania, a wynikające z systemu; po trzecie członkowie wstępujący do stowarzyszenia prezentują wykształcone przez lata systemu postawy roszczeniowe, to znaczy oczekują, że ktoś coś zrobi czy wymyśli za nich, po czwarte zaś do działalności stowarzyszeniowej potrzeba troszkę wolnego od obowiązków czasu i trochę luźnych pieniędzy, a tego nikt nie ma — szczególnie czasu. Stąd garstka aktywnych miota się z jednego zebrania na drugie, z jednego spotkania na inne, i w sumie z tego miotania się niewiele konkretów wynika. Ale taki etap przejść się musi i na to nie ma rady.

Sprawą o pierwszorzędnym dzisiaj znaczeniu stała się relegalizacja „Solidarności". O ile jednak w roku osiemdziesiątym szanse na istotne zmiany drogą walki o prawa związkowe dostrzegała absolutna większość społeczeństwa, o tyle obecnie nie jest to tak widoczne. Hasło wolnego związku zawodowego straciło swoją moc porywającą do walki, wyrzeczeń i poświęceń.

Wolny związek zawodowy uchodzi raczej za jeden z elementów wolności, nie za wystarczający warunek wolności. Jest to bardzo znaczące przesunięcie w społecznej świadomości. Wiąże się ono z charakterem związku zawodowego, siłą rzeczy ograniczonego do rewindykacji pracowniczych. I choć zorganizowane grupy pracownicze mogą bardzo istotnie wpływać na sytuację pracowników, to ta perspektywa nie jest powszechnie uważana za zadowalającą, szczególnie po minionych doświadczeniach. Tym bardziej zaś, że elity przywódcze związkowe i opozycyjne — przynajmniej tej słyszalnej części opozycji — nie przedstawiają spójnego, logicznego i przekonywującego programu działania. Można nawet powiedzieć, że nie wychodzą poza hasła i slogany, tworząc znowu rodzaj nowomowy, skierowanej raczej do władzy, niż wyrażającej społeczne oczekiwania i aspiracje. Bywa, że audycje radia Wolna Europa wywołują wcale nie mniejszą irytację, niż dziennik telewizyjny.

Sytuacja wytworzyła się bowiem taka, że po stronie opozycji zadziałały takie same mechanizmy, jak po stronie władzy. To znaczy brak procedur politycznych i demokratycznych, umożliwiających wpływ na to, co robią i mówią jedni i drudzy. I jedni i drudzy nie podlegają weryfikacji w procesie wyborów. I tu i tam walka toczy się raczej o wpływy i znaczenie, niż o konieczne poparcie. Co bardziej zjadliwi twierdzą wręcz, że opozycyjna czołówka bardzo lubi grywać w ping-ponga z „czerwonym" i że wcale nie jest zainteresowana doprowadzeniem do wygranej, bo wówczas musiałaby przestać zajmować się zawodowym uprawianiem ping-ponga. Gdyby zaś ta czołówka czuła nacisk od dołu na swoje pozycje, to może wtedy, w obawie, że jakiś młody wyskoczy z rewelacyjnym pomysłem, musiałaby wymyślić coś nowego, poza powtarzaniem tezy o miękkim podbrzuszu władzy. Wydawałoby się, że przez minione osiem lat można było stworzyć coś w rodzaju sztabu, przygotowującego plany taktyczne i strategiczne, złożonego z fachowców, a nie ideologów, przynajmniej nie tylko ideologów. Że nic takiego nie istnieje, okazało się dowodnie w czasie majowych i sierpniowych strajków. Owszem, było mnóstwo obrad i narad, było nawet gremium nazywane „sejmem Wałęsy", tyle tylko, że obrady nie wychodziły poza jałowe „bicie piany", nie owocowały oświadczeniami czy propozycjami, które wyszłyby choć o krok dalej niż to, co wszyscy już do znudzenia znają na pamięć. Sierpniowe strajki przypominały raczej walkę rozproszonych, pozbawionych dowództwa, zaplecza, łączności i zaopatrzenia oddziałów, niż element zorganizowanego działania. Robotniczy protest, wyrażony w słowach „tak dalej przecież nie można żyć" nie został przełożony na język postulatów, dających szanse na wygranie strajku. Można, oczywiście, cieszyć się z tego, że w sierpniowych strajkach żądano relegalizacji „Solidarności", że nie chodziło tylko o podwyżki. Trzeba jednak spoj-

rzeć prawdzie w oczy i zobaczyć, że strajki topniały nie tylko dlatego, że nie było woli walki. Strajki topniały i wygasały, bo nie było perspektywy zwycięstwa, nie było nadziei, że jak strajk się zakończy, to coś się wyraźnie zmieni, albo choćby ukaże się możliwość zmiany. I tu właśnie wychodzi na jaw spustoszenie umysłów, stan impotencji intelektualnej. Oto skutki dwójmowy i dwójmyślenia. W polityce gabinetowej można, a może i należy posługiwać się językiem wieloznacznym, o czymś innym mówić, do czegoś innego dążyć, zwodzić przeciwnika, jak w pogoni za lisem. Nie sposób jednak sterować zbiorowymi zachowaniami ludzi podobną metodą, na zasadzie „wicie, rozumicie", bo prowadzi to do społecznej schizofrenii, do tego, że o działaczach opozycji zaczyna się mówić per „oni". W czasie strajków wcale nierzadko słyszeliśmy: „oni sami nie wiedzą, czego chcą, wzywają do strajku, a potem każą kończyć strajk bez niczego", albo „mnie nie chodzi o związek zawodowy, mnie chodzi o wolną Polskę". Były też i takie głosy: „tylko związek zawodowy, niech oni nie zajmują się polityką". Takie to skutki wywołuje brak jednoznacznie formułowanych celów. Gubi się tożsamość ruchu, a przywódcy tracą autorytet.

Spustoszenie, jakiego dokonał system w naszych głowach i osobowościach przejawia się niemożnością czy raczej nieumiejętnością przejścia z pozycji domagającej się tego czy tamtego na pozycję twórczą. Widać to w bardzo wielu dziedzinach, także w hasłach skandowanych podczas demonstracji, w których wyraża się głucha nienawiść do systemu, ale nic poza tym. „Precz z komuną" i „Jaruzelski smok wawelski" brzmi dzisiaj trochę infantylnie. Być może to też trzeba z siebie wykrzyczeć, ale można jednak iść dalej. Zazdroszczę Węgrom, którzy w czasie manifestacji domagali się wolnych wyborów.

Co może wyniknąć z tak niewesołego obrazu sytuacji? Jeśli nie nastąpi zmiana w myśleniu i działaniu, to chyba niewiele. Będzie, jak jest, tylko jeszcze gorzej. To znaczy wierchuszka opozycyjna będzie rozgrywała swoje wewnętrzne gierki, naród będzie klął, złorzeczył i gonił za kawałkiem chleba, młodzież będzie wiała, gdzie tylko można, a starcy będą gnić we własnych ekskrementach w szpitalach, pozbawieni już nie tylko leków, ale nawet najprostszej opieki. O możliwości niekontrolowanego wybuchu, który wszyscy wykrakują nie wspominam, podobnie jak o kompletnym załamaniu się gospodarki, bo tego wyobraźnia moja nie obejmuje.

Na czym zaś miałaby polegać zmiana? Wydaje mi się, że w obecnej sytuacji są dwa manewry do wykonania — gospodarczy i polityczny. Pisząc „manewr gospodarczy" mam na myśli nie tyle śmiałą i natychmiastową reformę uwłaszczeniową, choć uważam ją za pilną i niezbędną, ile przeformułowanie celów i skupienie społecznego nacisku wokół tych celów. Podobnie z manewrem politycznym. Hasło wolnych wyborów pojawia się coraz częściej w niezależnej publicystyce i w oświadczeniach opozycji niepodległościowej. Tak się szczęśliwie składa, że wolne wybory ani nie naruszają porządku konstytucyjnego, ani układu jałtańskiego, ba, są raczej wykonywaniem tego układu. Organizowanie działań w kierunku wolnych wyborów może skupić wszystkie nurty opozycji, ludzi środka, a także tych, którzy deklarują „stanie na gruncie konstytucyjnych zasad". Może skupić tych, którzy Jałtę odrzucają i tych, którzy domagają się wypełnienia postanowień jałtańskich. Wolne wybory są zrozumiałe dla wolnego świata, mają nośność dla wszystkich kierunków politycznych i mogą być poparte przez cały wolny świat. Skupienie działań wokół wolnych wyborów ma jeszcze tę wielką wagę dla polskiej podzielonej i poszufladkowanej opozycji, że może stworzyć pole dla aktywności tych wszystkich, którzy obecnie zaniechali działania, nie chcąc opowiadać się politycznie, ani wiązać z jakimkolwiek kierunkiem, a którzy „wyrośli" już z „Solidarności" i z działań tylko związkowych.

Wcale nie uważam, że wolne wybory są możliwe tu i teraz. Uważam jednak, że działania w tym kierunku są konieczne, choćby po to, aby być gotowym, kiedy taka możliwość powstanie. Są konieczne także po to, aby zacząć wychodzić z zapaści politycznej, aby do społecznej świadomości wprowadzać pojęcia z normalnego świata, abyśmy nie tylko cywilizacyjnie, ale także politycznie przestali być czwartym światem

Protesty po decyzji o likwidacji stoczni gdańskiej ujawniły, że nie potrafimy wyjść poza protest, który władza może bardziej czy mniej spokojnie zlekceważyć. Tymczasem właśnie w sprawach gospodarczych można wywierać bardzo kłopotliwy dla władzy nacisk. Trzeba tylko wyjść wreszcie poza zaklęty krąg „dalszego reformowania" i mieć odwagę wyraźnie opowiedzieć się po stronie reformy uwłaszczeniowej, postulowanej przez wielu wybitnych ekonomistów, najwyraźniej chyba przez Rafała Krawczyka. Istnieje już kilka dokładnych projektów, jak można dokonać takiej reformy. Można o nich usłyszeć na jakiejś konferencji, na spotkaniu, a poza tym cisza. Żadnego poparcia, lub choćby rzeczowej dyskusji. Trudno wymagać od robotnika w stoczni, czy w jakimś innym zakładzie, żeby wiedział, na czym polega akcjonariat i żeby rozumiał, że społeczną własność środków produkcji można próbować potraktować dosłownie, choć inaczej, niż pojmują ją komuniści. Czyż spółki akcyjne nie są właśnie formą własności społecznej? Tyle tylko, że akcjonariat jest własnością rzeczywistą, a nie teoretyczną. Nacisk w kierunku reformy uwłaszczeniowej uważam za konieczny manewr gospodarczy.

Kto jednak w Polsce teraz będzie miał siły i odwagę, aby od

pustosłowia przejść do konkretu? Gdzież jest łączność pomiędzy inteligencją, do której należy sformułowanie programu, a robotnikami, którzy stanowią siłę nacisku? Czy przywódcy opozycji, okopani na zdobytych pozycjach, bardziej zainteresowani polityką wewnątrz okopów niż walką na froncie, zechcą ruszyć do ataku, narażając się na utratę zdobytych pozycji? Obawiam się, że na wszystkie te pytania odpowiedź jest tylko negatywna. Po przejściu lawiny życie bowiem odradza się z dużym trudem.

Elżbieta MIKA

W Polsce - rozproszone notatki

Wopista niczego nie rozumiał i w oszołomieniu o coś mnie wypytywał złą angielszczyzną, ale odpowiadałam wyłącznie po francusku. Wreszcie odwrócił w moją stronę formularz z podkreślonym (znów po angielsku) słowem „obywatelstwo", na co ponownie odpowiedziałam po francusku: uchodźca we Francji. Chwycił za telefon:

— Słuchaj, tu... dokument podróży*... a urodzona w tym — tu zrobił złowieszczą pauzę — w Związku Radzieckim...

Jego rozmówca niczego mu nie umiał powiedzieć; wtedy prawdopodobnie zadzwonił do zwierzchnika wyższej rangi; ten przyszedł, rzucił okiem na paszport — nie widziałam na którą stronę, z wizą czy z moimi danymi personalnymi — wzruszył ramionami i kazał przepuścić.

Celnik spojrzał okrągłymi oczami na mój niebieski dokument, obejrzał się na budkę wopisty — przepuszczono? — i dziarsko machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: przechodź. Przeszłam więc przez ostatni kordon i wpadłam w objęcia przyjaciół.

Rzeczywiście, pytać, dlaczego w mój „paszport nansenowski" wbito wizę należało w konsulacie albo i wyżej. W przeddzień wyjazdu dowiedziałam się, że Bukowski też dostał wizę (potem mu ją anulowano, ale to inna sprawa: rzecz działa się w najgorętszym momencie strajków, a ja wyjechałam w przeddzień pierwszego z nich. „Przywiozłaś nam strajki — powiedział jeden z moich starych przyjaciół przed moim odjazdem z Warszawy do

* „Dokument podróży" — paszport wydawany uchodźcom, niegdyś, a i dziś tradycyjnie zwany paszportem nansenowskim.

Wrocławia — może na twój wyjazd zalegalizują 'Solidarność'?" Nie, takiego prezentu nam nie zrobili. A i celnicy przy wyjeździe nie machnęli ręką na mój plecak.

Po co (dlaczego) wpuścili mnie do Polski? To pytanie padało w drugiej kolejności, najpierw trzeba było odpowiedzieć, po co jadę do Polski. (Mój starszy syn nadał temu pytaniu formę maksymalistyczną: „Po co jedziesz do komunistów?". Na tak postawione pytanie odpowiedź była łatwiejsza: jechałam nie do komunistów. A jednak...).

Celem mojej podróży, którego nie wpisałam w przedstawiony mi w konsulacie formularz wizowy, była krakowska międzynarodowa konferencja praw człowieka. W formularzu napisałam „urlop", co nie mijało się z prawdą, a to, że z dwóch tygodni urlopu zamierzam kilka dni odpoczywać uczestnicząc w konferencji, to moja sprawa. Za to jestem niemal pewna, że mnie i Bukowskiemu dali wizę z pełną świadomością, że zamierzamy uczestniczyć w konferencji. Władze PRL niewątpliwie chciały wykorzystać konferencję jako okno wystawowe swojego „liberalizmu" — świadczą o tym fakty, o których dowiedziałam się już w Warszawie.

Do Zbigniewa Romaszewskiego, jednego z organizatorów konferencji, przyszli do domu ubecy by wezwać go na rozmowę. Ponieważ go nie zastali, zabrali Zofię Romaszewską. Rozmawiał z nią stały „opiekun" Romaszewskich w randze pułkownika. Chciał się dowiedzieć, dlaczego organizatorzy nie zarejestrowali konferencji. Zosia wyjaśniła, że nie ma powodu prosić o rejestrowanie. Pułkownik nie nalegał, za to spytał, czy mógłby dostać zaproszenie. Odmówić mu również nie było powodu. Kilka dni potem prezydent miasta Krakowa zaoferował organizatorom konferencji salę krakowskiej filharmonii. Należy sądzić, że pytanie pułkownika o rejestrację zawierało obietnicę zarejestrowania. W obu przypadkach prób przyhołubienia konferencji organizatorzy odmówili. Wszystko to działo się w tygodniu poprzedzającym mój przyjazd — i strajki. Wybuch strajków przykrócił liberalne ambicje władz, choć nie do końca, jeśli sądzić po pseudoobiektywnych komunikatach w prasie (pisałam o tym w artykule „Powiew wolności nad starym Krakowem i Nową Hutą" w *Russkiej Mysli* z 2 września, tamże o tych ubekach, którzy nie zostali zaproszeni, ale nie spuścili konferencji z oka).

Jest to przypuszczalna odpowiedź na pytanie, dlaczego i po co mnie wpuszczono do Polski. Domniemywując, że o to właśnie chodzi, musiałam się skupić na zadaniu, które na szczęście nie okazało się zbyt trudne: nie dać się wykorzystać.

Inne pytanie: czy dla mnie samej krakowska konferencja była jedynym celem podróży? Oczywiście nie.

Co do Polski, to czasami wydawało mi się, że przypominam

tych sowieckich naukowców (etnografów i innych specjalistów od egzotycznych krajów), którzy — mimo iż *niewyjezdnyje* (nie dostają paszportów) — wszystko o „swoim" kraju wiedzą, a przecież nigdy go nie widzieli na oczy. Jeśli o mnie chodzi, byłam raczej „nie-wjazdową". Zresztą szczerze mówiąc nigdy nie próbowałam składać podania o wizę. Pamiętam, jak w pierwszych dniach grudnia 1981 roku powiedziałam do przebywającego wówczas w Paryżu Karola Modzelewskiego: „No, chyba już pora, żebym poprosiła o wizę do Polski..." Karol z zadumą odpowiedział: „Nie, jeszcze za wcześnie...". Kilka dni później wrócił do Polski, a po następnych kilku dniach został wraz z tysiącami innych ludzi internowany. Mówiąc „jeszcze za wcześnie" nie wiedział, jak bardzo miał rację.

W 1987 roku znowu zaczęłam się zastanawiać, czy nie czas już prosić o wizę. Ale właśnie po blisko sześciu latach ukrywania się aresztowano Kornela Morawieckiego, jednego z najbliższych moich (choć zaocznych) przyjaciół w Polsce. „Powiedzmy, że mi dadzą wizę — rozmyślałam — że okażą liberalizm. Ładnie będę wyglądać, bawiąc się w Polsce, podczas gdy Kornel siedzi". Zwolnienie Kornela i jego wyjazd na Zachód w maju tego roku zbiegły się z zaproszeniem na krakowską konferencję. Wtedy postanowiłam spróbować.

Jechać znaczyło spotkać przyjaciół, których — to wiedziałam — mam tam więcej niż znajomych, a których okazało się jeszcze więcej, niż myślałam. Znaczyło to zobaczyć kraj, który niby znałam jak swoje pięć palców, ale abstrakcyjnie, teoretycznie, z materiałów i dokumentów. Zobaczyć go nie na zdjęciach, nie na ekranie telewizora, nie w dwóch wymiarach, ale namacalnie. Poznać osobiście przyjaciół, których nigdy nie widziałam. Temu towarzyszyły i pojedyncze rozczarowania, ale niewiele.

◆

Jak wygląda Polska? Mniej więcej tak, jak ją sobie wyobrażałam. Może tylko Warszawa zrobiła na mnie bardziej przygnębiające wrażenie, niż się spodziewałam. Poza Starym Miastem i Krakowskim Przedmieściem cała stolica wygląda jak ogromne przedmieście prawdziwego wielkiego miasta. Zwłaszcza centrum. Marszałkowska — stalinowska architektura końca lat 40-tych, ale zamiast piaskowca jak w Moskwie ciemnoszara, obdrabana, osypująca się sztukatura. Wpadłam do znajomej mieszkającej w jednym z domów na Marszałkowskiej (uprzywilejowanym, typu naszych „generalskich"). Gospodyni opowiedziała mi, że mieszkanie im zalewa kilka razy do roku: odkąd odbudowano stolicę po wojnie, ani razu nie remontowano rur, nie tylko w tym domu, ale w całym mieście.

Warszawa jest rozkopana: budują metro. Co dzień pojawia się gdzieś jakiś nowy objazd. Taksówkarze klną na czym świat stoi. Jeden z nich powiedział mi: „Podjedziesz, a tam dwóch pracuje, a trzech pilnuje...". Budowę metra zaczęto w 48-mym roku. Zaczęto, potem przerwano, teraz znowu się za nią zabrali.

Pałac Kultury i Nauki, eks imienia Stalina, rodzony brat moskiewskich drapaczy chmur (architektura obozowych wież strażniczych, jak zauważył Szałamow, tyle że w Moskwie postawiono ich siedem, a dla stolicy priwislanskiego kraju dość było jednej). Jeden z głównych bohaterów „Małej Apokalipsy". Dokumentalny film Andrzeja Titkowa o Konwickim też zaczyna się od różnych ujęć Pałacu Kultury. Tak że znałem go i dzięki moskiewskim *wysotkom,* i dzięki zdjęciom jak własną kieszeń. A jednak, gdy go ujrzałam, serce mi się ścisnęło: nagle uprzytomniłam sobie, co to znaczyło — podarunek Związku Sowieckiego dla Polski. „*Mój* podarunek — powiedziałam polskiej przyjaciółce, obwożącej mnie pierwszego dnia po Warszawie. — Jest w nim i kropla mojego wiecznie głodnego dzieciństwa".

W Warszawie więcej chodziłam po ulicach niż w innych miastach (i chodziłam sama; potem, zwłaszcza w Krakowie, po anulowaniu wizy Bukowskiego, nigdzie nie puszczano mnie samej — może i zbytnia ostrożność, ale czort wie...). Na szyi wisiał mi bezczynnie aparat fotograficzny. Fotografować zabytki nie ma sensu — wszystkie figurują w albumach i sfotografowane lepiej, niż ja bym umiała. Fotografować kolejki, puste półki w sklepach albo wystawy prywatnych sklepików z oszałamiającymi cenami — nie miałam sumienia. Na to trzeba być jednym z dwojga — albo kimś z takiej kolejki, albo zachodnim turystą. Ja nie byłam ani tym, ani tym.

◆

Skrajnej nędzy nie widziałam. Biedę tak, wszędzie. Przyjaciele obiecali mi pokazać „egzotyczny" rynek na Polnej, gdzie „wszystko jest", a kupują „tylko dyplomaci". Potem sama tam trafiłam. Dyplomatów nie widziałam (może o tej porze? było pod wieczór), a w ogóle kupujących było co kot napłakał, mniej niż sprzedawców. Towary (od egzotycznych i nie egzotycznych owoców do jogurtów i czekoladek) zachodnie. Ktoś kupuje je hurtem i przywozi — co tłumaczy ceny, dostępne tylko dla dyplomatów i posiadaczy dużych ilości dewiz. Dolarów.

— W Polsce — tłumaczą mi — ludzi nie dzieli się na źle lub dobrze zarabiających, ale na tych, którzy posiadają dolary i którzy ich nie posiadają.

— Wiesz — usłyszałam w innej rozmowie — wiem już, skąd ci ludzie mają tak dobrze urządzone mieszkanie. Mają krewnych w Stanach, a w zeszłym roku matka tam jeździła.

— Zarabiam jedenaście tysięcy złotych — mówi nauczycielka szkoły podstawowej. — Pięć i pół dolara.

Przed wyjazdem przeczytałam w krakowskiej gazecie, że pensje nauczycieli wzrosły do 14-16 tysięcy, zależnie od stażu.

Przeliczanie na dolary nie odpowiada oczywiście żadnej rzeczywistości, za pięć i pół dolara na Zachodzie człowiek nie przeżyje ani dnia, kilo mięsa nie kosztuje w Ameryce i Europie półtorej dolara (3 tysiące złotych). Ale za jedenaście tysięcy złotych też więcej niż kilku dni przeżyć się nie da. Przy mnie ogłoszono, że oficjalna średnia pensja wynosi 47.000 złotych (jeszcze przed moim przyjazdem wynosiła czterdzieści). Spotkałam jednego człowieka, wybitnego inżyniera, który zarabiał 120.000. Wszyscy inni, których pytałam — 27, 33. Nie wiedzieć dlaczego szczególnie często słyszałam liczbę 27.000. Jest to suma łączna, pensji podstawowej i wszystkich dodatków i rekompensat.

Ale bywali w ZSSR Polacy, zwłaszcza ci, którzy tam pracowali, z przerażeniem i współczuciem mówią o panującej tam nędzy (z ich punktu widzenia nie jest to już ubóstwo). Dużo Polaków pracuje teraz w ZSSR, zwłaszcza na rozmaitych budowach. Tam nawet oni są cudzoziemcami.

— Mieliśmy własny sklepik, to miejscowi omal ze łzami w oczach prosili, żeby im masła kupić.

◆

Najbardziej kafkowską „dolarową" historię opowiedziano mi o Gdańsku, do którego nie dojechałam (ale nie tracę nadziei, że za następnym pobytem dojadę).

Stocznia Remontowa nie mogła sobie poradzić z jakimś szwedzkim zamówieniem. Szwedzi zaproponowali, że będą stoczniowcom płacić w dolarach — sto na miesiąc. Władze PRL z oburzeniem odrzuciły tę propozycję. Wtedy Szwedzi przywieźli Tajlandczyków i Chińczyków (z Tajwanu). Im oczywiście trzeba było płacić nie sto, a czterysta dolarów na miesiąc. Ale obywatele Trzeciego Świata nie w ciemię bici: wynajęli Polaków na murzynów, zapłacili im sto dolarów, a za pozostałe trzysta żyli jak królowie w wynajętych sopockich willach w towarzystwie dam wiadomej profesji (w Warszawie nazywają je „kurwami dewizowymi", innych zdaje się już nie ma).

Do tej absurdalnej historii pracowici Azjaci dopisali pointę: w ramach „wolnego czasu" postawili w Gdańsku za darmo kościół na miejsce kapliczki. Wszystko to razem w pełni zasługuje na miano „surrealizmu socjalistycznego".

◆

Termin „surrealizm socjalistyczny" wymyślił i wprowadził w obieg Waldemar Fydrych, zwany Majorem — inicjator i *spiritus movens* wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy. Na Świdnickiej, gdzie odbywają się jej słynne happeningi, znalazłam się w cichy, — chciałoby się rzec „bezludny" — dzień. A tak naprawdę, to ulice Wrocławia były bezludne. Wypiliśmy kawę w barze „Barbara", gdzie w wigilię rocznicy rewolucji październikowej Pomarańczowa Alternatywa zamierzała pić CZERWONY barszcz. Ale w dniu, w którym ja tam zawitałam Major i jego drużyna byli daleko — poprzedniego dnia przeprowadzali na polsko-czeskiej granicy manewry pt. „Bratnia pomoc", gdzie zostali zatrzymani i jeszcze nie dojechali do domu. Moi wrocławianie dopiero dzień później znaleźli mi Majora.

Spotkaliśmy się, zagadali, siedząc w domu, w którym mieszkałam, potem wałęsaliśmy się po mieście, potem pojechaliśmy do Majora, który chciał mi dać swoje opowiadania. Przyjeżdżamy, a tu gospodyni mieszkania mówi: Była policja, zabrali teksty, fotografie i ramkę.

Gdybyśmy się nie zagadali, wpadłabym wprost na bezpiekę.

Major spokojnie ocenia rozmiary katastrofy: kopie tekstów są gdzieś pochowane, fotografie można zrobić jeszcze raz...

— A ramka była nie moja, tylko PPS-u. Gdzieżbym własną ramkę w domu trzymał! Podrukowałem na niej, to fakt...

PPS to wskrzeszona w 1987 roku Polska Partia Socjalistyczna. Pomarańczowa Alternatywa (dla której, jak mówi się, nie ma niczego świętego i dlatego, chwalić Boga, wprowadza trochę zabawy i odprężenia nie tylko w szare codzienne życie, ale i w opozycyjną rutynę) natychmiast wskrzesiła PPR i zapowiedziała rychły zjazd zjednoczeniowy. A kiedy aresztowano Józefa Piniora, Major bez zjazdu, samorzutnie ogłosił zjednoczenie obu partii i powstanie PZPR.

— A Major — mówię w kuluarach krakowskiej konferencji jednemu z warszawskich działaczy PPS-u — już was zjednoczył z PPR-em.

Poważni warszawscy politycy na takie prowokacje naturalnie nie reagują. Pytam zatem o rozłam w PPS-ie.

— To trockiści! — wykrzykuje mój rozmówca.

Przy moich zachodnich doświadczeniach gotowa jestem wziąć to na poważnie: na Zachodzie trockiści wiecznie wciskają się do partii socjalistycznych. Dopiero później przypominam sobie, że na początku konfliktu przywódcy PPS-u oskarżali rozłamowców o to, że zakradli się w ich szeregi agenci SB...

Dla mnie są bardziej atrakcyjne zabawne demonstracje Pomarańczowej Alternatywy niż te zabawy na serio, bez szczypty

łagodnej drwiny wobec samych siebie, gotowe przerodzić się w parodię opozycji politycznej. Być może zresztą nie należy wyciągać daleko idących wniosków z jednej przypadkowej i krótkiej rozmowy.

◆

Opozycja nie jest środowiskiem bezkonfliktowym: istnieje konflikt pokoleń, konflikt między dawnymi i nowymi działaczami, konflikty między rozmaitymi organizacjami i ugrupowaniami.

Na schodach, prowadzących od osiedla Tysiąclecia do kościoła, w którym odbywa się konferencja widnieją napisy: „Chcemy Szewczuwańca! Chcemy Macha! Handzlik do roboty! Gil do pługa!". Szewczuwaniec i Mach to nowi przywódcy „Solidarności" z Nowej Huty. O Machu nie wiem niczego, Andrzej Szewczuwaniec wydaje mi się z wszystkiego co o nim wiem (i z fotografii) bardzo sympatyczny. Sześć lat (w tym okres legalnej „Solidarności") przesiedział w więzieniu za zamiar wysadzenia w powietrze pomnika Lenina w Nowej Hucie. W kwietniu tego roku stanął na czele komitetu strajkowego. Natomiast Stanisław Handzlik i Mieczysław Gil są mi dobrze znani z działalności w legalnej i podziemnej „Solidarności". O co chodzi? Może to ubecy powypisywali?

Nie, tłumaczą mi koledzy. Handzlik i Gil zostali wyrzuceni z Huty za działalność związkową. Wielu nowych ludzi ich nie zna — i nie chce znać. Gil kupił działkę i gospodarzy na niej — stąd hasło „Gil do pługa!".

Mimo prawdopodobieństwa tego wyjaśnienia wciąż wątpię: zanadto te hasła przypominają partyjne apele „pisarze do pióra" z 1968 roku. Na dodatek na tych samych schodach widnieje napis „Solidarność bez złodziei". Czy nie przedobrzono?

Co było najpierw, jajko czy kura? Czy to ubeckie podszepty podsyciły nieufność do „starych" przywódców, czy też rzeczywista nieufność nadaje takim napisom cechy autentyzmu?

A Szewczuwaniec nie zjawił się na konferencji, chociaż Huta im. Lenina akurat nie strajkowała.

◆

Dla mnie samej najboleśniejsza okazała się otoczka konfliktu między (bardzo umownie mówiąc) Warszawą i Wrocławiem. Konkretnie chodzi mi o stosunek pewnych warszawskich przywódców, doradców „Solidarności", publicystów, intelektualistów do Solidarności Walczącej. Stosunek ten nie był dla mnie nowością, ale uderzyła mnie jaskrawa u niektórych domieszka nienawiści i złośliwej satysfakcji. Ta ostatnia wyrażała się w komentarzach do wyjazdu Kornela Morawieckiego na Zachód. Kornelowi powiedziano w więzieniu, że aresztowany po nim Andrzej Kołodziej choruje na raka, że musi wyjechać na leczenie na Zachód, ale bez Kornela go nie puszczą. Był to czysty szantaż (na dodatek okazało się, że Andrzej nie ma raka, chociaż poza więziennymi lekarzami taką samą diagnozę postawiła komisja lekarska Episkopatu), a szantażowi, jak wszyscy wiemy, ulegać nie należy.

Będąc już w Polsce dowiedziałam się, że nie tylko ja, ale i niektórzy bliscy Kornelowi uważają jego wyjazd — tj. poddanie się szantażowi za błąd. W warszawskich rozmowach na ten temat nie ukrywałam mojego zdania, ale częściej milczałam. Trudno jest powiedzieć komuś, kogo się widzi pierwszy raz w życiu, ale zwykło się go szanować z racji byłych zasług: „Ależ głupstwa wygadujesz!". Najważniejsze jednak, że nie były to zwyczajne głupstwa, a jakaś zapiekła złość, z którą trudno podjąć normalny ludzki spór, pełna słów formalnie „cenzuralnych", ale jednak nie nadających się do druku. Kiedy mi potem ktoś w Krakowie powiedział: „Oni nienawidzą Solidarności Walczącej bardziej niż władzy komunistycznej", wcale się nie zdziwiłam. To, co widziałam było właśnie nienawiścią, groźną nie tylko dla aktualnego jej przedmiotu, bo nienawiść ma to do siebie, że znajduje sobie wciąż nowe pożywki.

Zupełnie co innego, to uczucie goryczy, które odczuwałam w rozmowach z ludźmi, opowiadającymi się w tym konflikcie po stronie Solidarności Walczącej (nie wiem, kto z moich rozmówców był członkiem SW; być może wszyscy, być może nikt — nie pytałam o to). Kiedy mówili o stosunku — znów umownie mówiąc — grupy warszawskiej do SW, czy też o jej nie do przyjęcia i dla mnie, i dla moich rozmówców zachwycie dla Gorbaczowa, ani razu nie omieszkano mi wspomnieć o tym, o czym sama dobrze wiem — o ogromnym wkładzie tych ludzi w działalność podziemną lat 80-tych, a w wielu przypadkach w działalność opozycyjną sprzed „Solidarności". Można więc mieć zasadniczo, skrajnie odmienne poglądy, a jednak obejść się bez nienawiści.

◆

Kościół św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Poprosiłam, żeby mnie tam zawieziono w pierwszy dzień mojego pobytu w Warszawie, w poniedziałek — w rozkładzie mszy przeczytałam, że w piątek (tj. w przeddzień mojego wyjazdu do Wrocławia) odbędzie się msza w intencji zwycięstwa miłości nad nienawiścią. Słynna comiesięczna msza za ojczyznę przypadała na koniec miesiąca, wtedy już będę w Paryżu, ale ta była dla mnie droższa

i ważniejsza: mnie też czasem niełatwo opanować podchodzącą do gardła nienawiść. „Dobrem zło zwyciężajcie!", powtarzał niezmordowanie w swych kazaniach ksiądz Jerzy Popiełuszko. Przykazanie trudne, ale prawdopodobnie tędy prowadzi jedyna droga do zwycięstwa nad złem.

Prosiłam, aby mnie tam zawieziono, choć sama się bałam. Wiedziałam, że ten kościół jest miejscem kultu męczennika „Solidarności" i bałam się martwicy „kultu", „propagandy na odwrót". Ale za ogrodzeniem i wewnątrz kościoła (gdzie na galerii jest wystawa poświęcona księdzu Jerzemu) wszystko okazało się autentyczne, wszystko żyło. Postawić kwiaty na płycie nagrobnej było naturalne, tak jak naturalne było przyklęknięcie i przeżegnanie się, nikt nie zwracał uwagi na to, że kreślę krzyż „nie od tej strony", jak prawosławna. Po tej stronie, gdzie leży ksiądz Jerzy, na całej długości ogrodzenie obwieszone jest transparentami „Solidarności" z wszystkich stron Polski. Hasła strajkowe z różnych okresów, aż po kwietniowo-majowe bieżącego roku (teraz na pewno wiszą już następne, sierpniowe — za mojego pobytu oczywiście ich jeszcze nie było). „Solidarność" jednego z małych prowincjonalnych miast zaniosła prośbę do św. Stefana, patrona Węgier: „Przebudź się, święty Stefanie! Niszczą Koroz Varen (Siedmiogród)!". Na jednym z transparentów widniał napis „Kornel Morawiecki też ma prawo do ojczyzny". To obwieszone transparentami ogrodzenie wygląda jak wysepka wolności: tu nikt nie miał prawa ich zrywać, konfiskować jako dowód rzeczowy ani aresztować ludzi, którzy je wieszali.

Nieraz czytałam w podziemnych gazetach, tłumaczyłam i cytowałam w moich cotygodniowych przeglądach wydarzeń polskich w *Russkiej Mysli* krytyczne głosy pod adresem Kościoła w Polsce, przede wszystkim jednak przeciw Prymasowi i części najwyższej hierarchii. Stąd też wiedziałam, że nie każdy polski kościół jest taką wysepką wolności i nie każdy proboszcz gotów jest stawić czoło oskarżeniom o to, że toleruje „politykę" (czy płomienne kazania księdza Popiełuszki, przeniknięte motywem zwycięstwa dobra nad złem, były „polityką"? Widać były groźniejsze od „polityki", skoro zgotowano mu tak straszną, męczeńską śmierć).

Ale to, co zobaczyłam na własne oczy, choć tego było niewiele, przekonało mnie, jak żywy jest w Kościele duch wolności i jak realnie Kościół podtrzymuje tego ducha w społeczeństwie. Po warszawskim kościele św. Stanisława Kostki znalazłam się w krakowskim kościele Dominikanów (bo we Wrocławiu poszłam do cerkwi). Mieścił się tam punkt informacyjny i przyjmowano uczestników konferencji. Tam też spędziłam później, już w czasie konferencji, cały wieczór na opowiadaniu o sobie, o trzydziestu

dwu latach w sowieckiej historii (od 1956 roku), które były tłem mojego życia, o spotkaniu z Achmatową, o naszej demonstracji w 1968 roku, o Polsce na kartach naszych pism i o tym, co się dziś dzieje w Związku Sowieckim. Nie zdziwiło mnie, że moja opowieść była bez dodatkowych komentarzy zrozumiała dla dwóch wybitnych historyków, o. Aleksandra Hauke i o. Piotra Kłoczowskiego, ale fakt, że z takim samym żywym zrozumieniem słuchało mnie kilkunastu chłopczyków (proszę mi wybaczyć, ale takie na mnie zrobili wrażenie mimo mnisich habitów), fakt, że nie musiałam im wyjaśniać tysiąca rzeczy, które koniecznie trzeba wyjaśniać w rozmowie z cudzoziemcami — głęboko mnie poruszył. Najstarszy z nich liczył na oko 25 lat, ale nie musiałam im wyjaśniać, czym dla nas był 1956 rok i dlaczego mnóstwo moich rówieśników zaczęło wtedy czytać po polsku.

Moim głównym „kościelnym" przeżyciem — a może w ogóle jednym z głównych przeżyć w Polsce — było spotkanie z księdzem Mieczysławem Jancarzem, który gościł krakowską konferencję w kościele św. Maksymiliana Kolbe w Mistrzejowicach. „Dostanie mu się od biskupa!", powiedział ktoś w kuluarach konferencji („kuluary" znajdowały się za drzwiami kościoła, na świeżym powietrzu, gdzie oczywiście spędzałam więcej czasu niż na sali, poznając wciąż kogoś nowego lub ponownie spotykając „starych" przyjaciół, z trzy- lub czterodniowym stażem, szczególnie „moich wrocławian"). Nie odważyłam się spytać księdza, czy to możliwe, żeby urządził w swoim kościele liczną i na dodatek międzynarodową konferencję nie pytając biskupa o zgodę. Albo jest to możliwe — i wówczas, czy mu się dostanie czy nie, ma dość szerokie pole swobody, albo biskup wiedział o tym i zaaprobował to, co także świadczy o stopniu wolności wewnątrz Kościoła.

Księdzu Jancarzowi zawdzięczam jedno z najbardziej niezapomnianych wrażeń — Jasną Polanę. Przyprowadzono mnie tam wieczorem ostatniego dnia mojego pobytu w Polsce, po tym, jak uczestnicy konferencji pojechali do Oświęcimia. Tu należy wspomnieć również o kościele Franciszkanów w Oświęcimiu, w którym odprawiono mszę w intencji praw człowieka — bardziej niż ekumeniczną, z udziałem wierzących Żydów i rabina.

Jasna Polana to po prostu leśna polana w górach, na której stoją niewykończone jeszcze, ale już doprowadzone pod dach zręby czterech domów (piąty zbudowano wcześniej) i kapliczki. Budowę zaczęto półtora miesiąca wcześniej — w chwili, kiedy piszę te słowa, na pewno jest skończona.

Ksiądz Jancarz zaprosił mnie „na ognisko", co zrozumiałam dosłownie. Rzeczywiście płonęło ognisko, ale „ognisko" znaczy po polsku także skupisko, ośrodek. Tu będzie ośrodek dla ludzi potrzebujących pomocy, zwłaszcza dzieci — chorych, słabych, głodnych, zatrutych (jeszcze w łonie matki) odpadami przemysło-

wymi w powietrzu, glebie i wodzie, upośledzonych często już w chwili narodzin. Japońska komisja, która niedawno odwiedziła Polskę, ustaliła, że tu *nie może być życia* (jakby odpowiedź na pytanie, „czy może być życie na Marsie"). Jednym z najgroźniejszych pod względem ekologicznym miejsc jest Kraków. „Ognisko" na Jasnej Polanie nie zapobiegnie oczywiście powszechnemu zatruciu, do którego te dzieci będą musiały wrócić, ale da im kilka tygodni miłości, troski i szczęścia. Szczęścia, jakiego zaznałam podczas tych kilku godzin na Jasnej Polanie.

Tego wieczoru w kaplicy po raz pierwszy odprawiano mszę. Nie zapamiętałam dokładnie słów kazania, ale ksiądz Jancarz też przypomniał słowa księdza Jerzego o miłości, zwyciężającej nienawiść i nie znającej granic państwowych, narodowych ani wyznaniowych. W kaplicy stoi kilka ławek. Dorośli, dla których nie starczyło miejsc stali, dzieci siedziały na podłodze przed ławkami, przy samym ołtarzu. Nikt ich nie trzymał za rękę, nikt im nie mówił, kiedy wstać, kiedy klękać, kiedy się przeżegnać. Razem ze wszystkimi wypowiadały słowa modlitwy i śpiewały. Zamiast organów grano na gitarze.

Kiedy ksiądz — o czym mnie wcześniej nie uprzedził — powiedział: „A teraz 'pani Natasza' opowie nam"... o czym? — byłam tak zmieszana, że nie pamiętam, jak sformułował, o czym będę opowiadać. Stanęłam przed pulpitem i zbierając myśli (bo do gardła podchodziły mi łzy szczęścia... i zawiści), zaczęłam mówić, starając się, żeby słowa trafiły przede wszystkim do tych dzieci — jakimi my nie byliśmy, wyrastając na bezbożników i do dwudziestego-trzydziestego roku życia uważając religię za przesąd, a Kościół za przybytek niepiśmiennych staruszek. Opowiadałam o prześladowaniu wierzących, o Lubie Cygankowej, którą spotkałam w kazańskim więzieniu psychiatrycznym, o sile jej wiary, zdolnej pokonać nawet neuroleptyki. O tym, że wyrosły nowe pokolenia... — i sama nagle uprzytomniłam sobie, że nasi neofici z lat 60-tych mają już dorosłe dzieci, wyrosłe w rodzinach prawosławnych, że one same wkrótce już będą miały podrastające dzieci. „Mam nadzieję — powiedziałam — że miną lata i dzieci te (tu wskazałam na siedzącą na podłodze dzieciarnię, najmłodsze rodzice trzymali na rękach, ale i te zdawały się uważnie słuchać), kiedy podrosną, spotkają się ze swoimi rosyjskimi rówieśnikami jako ludzie, należący do dwóch... — tu mnie coś powstrzymało przed zbyt optymistycznymi prognozami — społeczeństw może jeszcze nie wolnych, ale dwóch społeczeństw chrześcijańskich.

◆

— Ten ustrój upadnie, ale jeszcze nieprędko — powiedział jeden z moich polskich rozmówców.

— A kiedy? — z zainteresowaniem spytał inny.

— Za jakieś trzy-cztery lata.

— To przecież bardzo prędko! — zakrzyknął tamten.

— Ja mam już sześćdziesiąt lat, dla mnie to nieprędko.

◆

Podczas pobytu w Polsce udzieliłam kilkunastu wywiadów różnym podziemnym czasopismom. No powiedzmy dziesięciu. Będą się stopniowo ukazywać. Jeden już się gdzieś ukazał (powiedzieli mi to we wrześniu przez telefon). Niemal zawsze pytano mnie, co myślę o *głasnosti* i *pieriestrojce*. Spierać się prawie nie musiałam: zwolenników progorbaczowowskiej warszawskiej publicystyki spotkałam mniej niż palców u jednej ręki. Z publicystów o takim nastawieniu rozmawiałam tylko z Janem Lityńskim, który wiosną napisał, że Gorbaczow będzie być może „ponad głową partii polskiej" szukał „poważnych partnerów" wśród polskiej opozycji. Kiedy go za to zrugałam, tłumaczył się zmieszany, że nie było to wyrazem nadziei, tylko hipotezą. Po powrocie do Paryża przeczytałam w *Kulturze* komentarz Lityńskiego do wizyty Gorbaczowa w Polsce — rozumny i ostry — i zrozumiałam, że jeszcze przed rozmową ze mną jego „hipotezę" oblał zimną wodą sam Gorbaczow.

Mimo że temat *głasnosti* i *pieriestrojki* wracał we wszystkich wywiadach, pytania stawiano rozmaicie, co pozwalało mi nie powtarzać się. Jedną myśl powtarzałam często i w wywiadach, i w rozmowach. Chodzi o to, że od połowy lat 70-tych toczyła się w Polsce walka o stworzenie społeczeństwa obywatelskiego. Cel ten formułowały szczególnie jasno dokumenty KOR-u i artykuły publicystów należących do KOR-u lub bliskich mu. Z chwilą powstania „Solidarności" narodził się w Polsce nowy, bardzo ważny i trudny do przełożenia termin — „podmiotowość" społeczeństwa, tj. jego dążenie do statusu podmiotu, a nie przedmiotu historii. I oto teraz, kiedy — przyznaję, że dzięki polityce *głasnosti* i *pieriestrojki* (przyświecają jej własne cele, ale w ich imię ludziom pozwolono chwilowo odetchnąć) — społeczeństwo Związku Sowieckiego także stara się zdobyć „podmiotowość" (niekiedy po myśli, ale najczęściej wbrew pomysłom władzy), garstka polskich publicystów o dobrych, słynnych nazwiskach i zasłużonej reputacji ludzi odważnych w działaniu i w myśleniu (wystarczy wymienić Adama Michnika, którego mimo tego — jak myślę — chwilowego zamroczenia uważam nadal za przyjaciela) zajmuje się tylko działaniami władz sowieckich, a o społeczeństwie sądzi na podstawie tego, co ukazuje się w oficjalnej sowieckiej prasie — umiejętnie dawkowane, jak w podłych *Mos-*

kowskich nowostiach, albo mocno przebijające się, jak, powiedzmy, w dawniej szarym *Kniżnom obozrienii,* albo pół na pół, jak w *Ogońku.* Jeżeli ci publicyści nie dostają wprost sowieckiej prasy niezależnej, to mogą się z nią zaznajomić chociażby na łamach *Russkiej Mysli,* która Bogu dzięki dociera do Polski dość obficie. Niestety, kiedy tych kilku publicystów zaczyna pisać o społeczeństwie w ZSSR, to nierzadko po to, by ubolewać nad jego biernością, nad tym, że nie dość popiera gorbaczowowskie „reformy". To tak, jakby ktoś z niezależnych publicystów w ZSSR przeczytał uchwałę PZPR o „drugim etapie reformy" („drugi etap" na papierze posuwa się znacznie dalej aniżeli — także na papierze — „reformy" Gorbaczowa) i zaczął krytykować polskie społeczeństwo, że nie popiera reformatora Jaruzelskiego.

Mniej więcej to mówiłam, krytykując ten rodzaj publicystyki. Spotykałam się z całkowitym zrozumieniem, kiedy tłumaczyłam, że moim zdaniem celem *głasnosti* i *pieriestrojki* jest stabilizacja albo wręcz reanimacja władzy centralnej, do czego dojść można wyłącznie przez częściową i chwilową destabilizację sytuacji w kraju. „Wyścig z czasem — mówiłam. — Kto kogo? Czy władza zdąży ożyć i ustabilizować się na tyle, aby mieć siłę na odebranie tego, na co pozwoliła? Czy też społeczeństwo pójdzie tak daleko naprzód, że nie da sobie odebrać zdobyczy?".

— Wiecie — mówiłam — jestem niemal pewna, że w sowieckim KC siedzi grupa specjalistów od Polski. Zarówno w dziedzinie *głasnosti* jak i *pieriestrojki* Polska daleko wyprzedza Związek Sowiecki. Oni siedzą, studiują doświadczenie polskie i wydają zalecenia, na co można pozwolić bez ryzyka „zburzenia podstaw". Oczywiście, przenosząc doświadczenia z polskiej „działki doświadczalnej" (tak wyrażał się Józef Mackiewicz) na pole sowieckie, można się omylić: gleba jest inna. Daj Bóg. Ale przykład Polski niewątpliwie jest brany pod uwagę w najrozmaitszych dziedzinach. Chociażby wprowadzone zupełnie niedawno grzywny, kara wypróbowana w Polsce, gdzie zaczęto ją szeroko stosować w 1986 roku, po wrześniowej amnestii, której analogią było w ZSSR zwolnienie w 1987 roku (tytułem „ułaskawienia") dużej liczby więźniów politycznych.

Przypominałam, że w niektórych dziedzinach ZSSR wyprzedza Polskę, nie wiedząc jeszcze, jak bardzo mam rację. Po powrocie dowiedziałam się, że wysokość grzywien bardzo w ZSSR wzrosła, przewyższając niekiedy cztero- albo i pięciokrotnie „średnią" miesięczną pensję, a realną niemal piętnastokrotnie (na przykład sprawa Jewgienii Diebrianskiej, zarabiającej 70 rubli, a skazanej na 1.000). W Polsce najwyższe grzywny dochodzą na razie do 80.000 (czyli ok. 40 dolarów; w tym przypadku przeliczanie jest uzasadnione, bo bez pomocy z Zachodu grzywien by nie zapłacono,

obywatele PRL mają prawo posiadać dewizy, a czarny rynek dewizowy działa niemal swobodnie).

◆

Pomocą prześladowanym — w danej chwili przede wszystkim zwracaniem grzywien i skonfiskowanych dóbr, głównie samochodów — zajmuje się Komisja Interwencji i Praworządności „Solidarności", szerzej znana jako „komisja Romaszewskiego" albo nawet „komisja Romaszewskich".

Mogę wyciągać mylne wnioski, ponieważ Zbigniewa nie było w Warszawie, kiedy tam przyjechałam, i spotkaliśmy się tylko w Krakowie. Może dlatego odniosłam wrażenie, że w pracach komisji Zbyszek pełni raczej funkcję stratega, ministra spraw zagranicznych i ministra finansów w jednej osobie, a motorem codziennej, czarnej, niemal biurowej roboty jest Zosia. (Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić, choć nie uważam, by któraś z tych ról była mniej ważna). Kobiety z natury lepiej wykonują potrzebne ale nudne prace, wiem to z własnego doświadczenia opozycyjnego. W mieszkaniu Romaszewskich, w którym byłam trzy dni pod rząd (z pięciu spędzonych w Warszawie) oglądałam starannie wypełnione ankiety ofiar represji z dołączonymi kopiami wyroków i uchwał sądów kasacyjnych, egzemplarze wydawanego przez komisję biuletynu informacyjnego, ludzi (znów przeważnie kobiety) z różnych stron Polski, zajętych pracą dla komisji albo przyjeżdżających ze świeżymi informacjami. Wtedy kiedy tam byłam, strajki były już w toku.

Poprzedniego dnia wieczorem byłam po raz pierwszy u Jacka Kuronia. Jacek siedział „na telefonie", do którego dopiero co wmontowano tzw. reponder, i telefonował do korespondentów rozmaitych agencji, odtwarzając im nagrane na reponderze lub opowiadając osobiście informacje o wiecu w kopalni miedzi w Polkowicach, gdzie górnicy grozili strajkiem, jeśli nie zostaną ponownie przyjęci do pracy zwolnieni działacze „Solidarności". Do strajku w efekcie tam nie doszło, dyrekcja obiecała zatrudnić wyrzuconych *(à propos,* zasiłki dla zwolnionych i dniówki za nieopłacone przez fabryki dni strajków również spoczywają na barkach komisji Romaszewskiego).

Kiedy następnego dnia znów przyszłam pod wieczór do Jacka, przywitał mnie radośnie:

— Strajk...

— ... w „Manifeście Lipcowym" — przerwałam mu w pół słowa.

— Skąd wiesz? — zdenerwował się prawie jak dziecko.

— Mam swoje źródła — odparłam zagadkowo.

— No skąd? Chcę wiedzieć, czy informacja pochodzi ode mnie, czy nie.

— Od Zosi Romaszewskiej — zlitowałam się.

— Znaczy ode mnie — uspokoił się Jacek.

Nie wiem, nie jestem pewna. Niejeden raz widziałam w tych dniach, jak do mieszkania Romaszewskich przyjeżdżali kurierzy ze strajkujących miejscowości. Kiedy tego samego dnia wróciłam od Jacka do Zosi, doszła wiadomość, że mu wyłączyli telefon. Natychmiast zaczęto przekazywać informacje zagranicznym korespondentom z telefonu Romaszewskich — jednak i on został wyłączony następnego ranka, mimo to informacje napływały nadal. Także dla mnie znaleziono inny, neutralny telefon, z którego mogłam korzystać — dodzwaniać się do Moskwy (wykręcać numer, póki ręka nie zdrętwieje: z Warszawy znacznie trudniej dodzwonić się do Moskwy niż z Paryża) i nagrywać na magnetofon teksty wysyłane z Moskwy na konferencję krakowską. Potem wciąż przywoływałam Zosię na świadka, że nie zbijałam bąków i byłam nie tylko honorowym gościem (omal na rękach mnie nie noszono, a ja pławiąc się w tej serdeczności wciąż miałam uczucie, że może niezasłużenie, że może to za innych zbieram — choćby za Bukowskiego, za którego nawet składałam autografy na jego wydanych w podziemiu książkach), ale też popracowałam dla wspólnej sprawy. Zosia się śmiała i potwierdzała.

Myśląc o nowych przyjaciołach w Polsce, myślę oczywiście o Zbyszku i Zosi, o kobietach z komisji Romaszewskiego, które widziałam przy pracy w Warszawie, a potem w Krakowie: Ewie, Basi, Kasi, Ani i wszystkich innych.

◆

I jeszcze „moi wrocławianie". W Krakowie, w przerwie między dwoma wywiadami stałam koło kościoła, paliłam i czułam, że więcej nie mogę mówić. Podeszło do mnie dwóch wrocławian, stanęli obok i o nic nie pytali. Pomilczeli, a potem powiedzieli:

— No to nie będziemy się do ciebie odzywać.

Z wdzięcznością kiwnęłam głową i komuś powiedziałam: jacy ci moi wrocławianie delikatni. Potem się okazało, że oni myśleli, że mam ich już dość (zrobili ze mną wywiad jeszcze we Wrocławiu i muszę powiedzieć, że męczyli mnie długo, ale w Krakowie już nie męczyli) i chcę, żeby mnie zostawili w spokoju. Chwała Bogu, nietrudno było im wyjaśnić, że nie o to chodziło.

We Wrocławiu zdążyłam w trzy dni spotkać mnóstwo ludzi — zapewne nie należy ich wyliczać ani podawać nazwisk. Było wśród nich kilkoro starych przyjaciół i wielu, wielu nowych.

Wieczorem drugiego dnia zawieziono mnie do Anki Morawieckiej-Kowal, córki Kornela Morawieckiego. Weszliśmy do mieszkania akurat w chwili, kiedy Anka rozmawiała z ojcem, dzwoniącym z Ameryki. Strajki były w pełnym toku: strajkowało około dwudziestu kopalni na Górnym Śląsku, port i przedsiębiorstwo transportu miejskiego w Szczecinie, zdaje się że strajkowała też już huta w Stalowej Woli, na następny dzień (poniedziałek) był zapowiedziany strajk stoczni gdańskiej.

Odkąd Kornel znalazł się na Zachodzie rozmawiałam z nim kilkakrotnie przez telefon i mówiliśmy sobie per „pan" i „pani", a tu od razu na „ty". Po wstępnych okrzykach padło pierwsze pytanie Kornela:

— Jak myślisz, co powinienem teraz zrobić?

Niemal szorstko, bez chwili zastanowienia odpowiedziałam:

— Moim zdaniem powinieneś natychmiast wracać.

Zamierzał wracać we wrześniu przez Paryż. Jeszcze się ani razu nie widzieliśmy.

— Znaczy, nie spotkamy się?

— No cóż, nie spotkamy się — odpowiedziałam równie surowo.

Podeszła Anka, powiedziała ojcu, że w domu są ludzie i myślą tak samo, jak „pani Natasza". Kornel obiecał zastanowić się i podjąć decyzję — 23 sierpnia miał jeszcze lecieć do Toronto na wiec z okazji rocznicy paktu Ribbentrop - Mołotow.

28 sierpnia Kornel wrócił do Polski przez czechosłowacką granicę. Wylatywałam 29-go i oczywiście już się nie spotkaliśmy. To nic, grunt, że wrócił — i nie do więzienia, a do podziemia. Jeszcze się spotkamy.

◆

Ostatniego wieczoru, już po Oświęcimiu i po Jasnej Polanie, siedzieliśmy do trzeciej w nocy we wiejskim domu pod Krakowem. Byli tam przeważnie ludzie z komitetu organizacyjnego konferencji, krakowianie i wrocławianie. Wpadli na krótko Romaszewscy, wypili z nami i pojechali dalej. Ja, bezgranicznie zmęczona, prawie nie piłam. Ale w ogóle oczywiście piliśmy. Miesiąc wcześniej oni postanowili nie pić, dopóki nie skończy się konferencja. Po pracy, jaką odwalili (widziałam to na własne oczy: przyjmowanie i rejestrowanie uczestników konferencji, cała jej organizacja „materialno-techniczna" łącznie z nieustającym drukowaniem materiałów dla prasy w dwóch językach — polskim i angielskim — wszystko to zajmowało tyle czasu i sił, że ludzie spali najwyżej po trzy godziny na dobę, a bywało, że w ogóle nie zmrużali oka (drukarnia na przykład pracowała nocą) mieli prawo wypić, choć nie skończył się jeszcze sierpień, „miesiąc bez

alkoholu". Rozgadaliśmy się, wspominaliśmy (mieliśmy już wspólne wspomnienia), jeden Pan Bóg wie, ile razy pili za moje zdrowie, i w którejś chwili czy to powiedziałam, czy pomyślałam (potem w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć, czy powiedziałam i gwoli prawdy powtórzyłam to w którymś z wywiadów radiowych):

— Już nigdy w życiu nie będę taka szczęśliwa...

Natalia GORBANIEWSKA

Wywiad z Grzegorzem Nawrockim

RENATA GŁOWACKA: — *Ukazała się ostatnio w kraju w podziemnej oficynie „Pokolenie" Twoja książka „Struktury nadziei", zawierająca dwadzieścia pięć rozmów z wydawcami, redaktorami, animatorami kultury niezależnej, działaczami politycznymi. Jest to swoista panorama polskiego podziemia. Przeprowadzasz przekrój przez środowiska opozycyjne całego kraju. Jakie zastosowałeś kryteria doboru rozmówców?*

GRZEGORZ NAWROCKI: — Zależało mi na tym, żeby była to możliwie jak najszersza panorama polskiej konspiracji, żeby przedstawić liczące się pisma (jak choćby kwartalnik *Krytyka),* liczące się wydawnictwa (jak NOW-a, czy „Krąg"), tajne struktury „Solidarności", komitety (jak Komitet Kultury Niezależnej, czy Komitet Helsiński), które pełnią rolę podziemnych ministerstw, ale także Teatr Domowy, który jest mniej znany.

Chodziło mi o to, żeby pokazać wysiłek bardzo złożony — pracę intelektualną, pracę organizacyjną i często niezwykle ciężką, wręcz morderczą, pracę fizyczną. Dlatego np. zrobiłem wywiad z drukarzem, który pracuje dla kilku struktur, w przerażających warunkach i bez uznania salonów.

W sytuacji konspiracyjnej — pewnego chaosu — trudno było wszystkie rozmowy zaplanować. Chciałem zrobić ich znacznie więcej. Pewnych wywiadów nie udało mi się przeprowadzić, inne nie zostały autoryzowane... Prawdę mówiąc, pracowałem od wywiadu do wywiadu, starając się, żeby w tej książce zostały pokazane fundamenty konspiracji, to, co się w podziemiu liczy.

R.G.: — *I dlatego unikasz słynnych nazwisk?*

G.N.: — Książka z założenia miała być poświęcona strukturom tajnym i dlatego prawie nie ma w niej nazwisk, aczkolwiek już po opublikowaniu jej w kraju ujawniła się redakcja *Krytyki,* a także ujawnił swój skład Komitet Helsiński. Z powodu takiego założenia nie robiłem wywiadów z organizacjami i osobami, które działają jawnie.

R.G.: — *Jak ma się do tego celu Twoje założenie, które zamieszczasz we wstępie autorskim do książki: „Jestem programowym zwolennikiem jawności działań politycznych i osób je podejmujących. (...) Do konspiracji czuję szczerą niechęć"?*

G.N.: — W konspiracji szerzą się mitomania, podejrzliwość i najrozmaitsze choroby. W końcu cały ten nasz system realnego socjalizmu wyrósł z konspiracji i opiera się na konspiracji. Władza cały czas konspiruje przeciwko społeczeństwu. Bolszewicy — to byli zawodowi konspiratorzy. Natomiast w Polsce, w latach osiemdziesiątych, konspiracja zrodzona z konieczności odegrała ogromną rolę w przetrwaniu niezależnej świadomości, w tym, że naród nie stracił swoich celów — suwerenności i demokracji. Należało udokumentować ten wysiłek tajny, konspiracyjny.

R.G.: — *Jak docierałeś do swoich rozmówców? Jakie były największe trudności przy pisaniu tej książki — czy tylko kłopoty z autoryzacją?*

G.N.: — Były niemałe kłopoty z autoryzacją. Na przykład rozmowę z NOW-ą autoryzowano wieloszczeblowo: najpierw jej szef, potem jeden z redaktorów, zaakceptowała także rada wydawnicza. Na koniec redaktor *Krytyki* poczynił zmiany w tekście i zablokował wydanie książki w Instytucie Literackim w Paryżu — w moim imieniu, a jakże. Po dwóch miesiącach otrzymałem nową wersję, żeby było śmieszniej, różniącą się od poprzedniej o dwa bodajże akapity.

Były także kłopoty z przeprowadzeniem samego wywiadu, z namówieniem do jego udzielenia. Ale kiedy *Krytyka* udzieliła mi wywiadu, który opublikowałem w *Vacacie,* było już łatwiej. *Tygodnik Mazowsze* zgodził się na rozmowę i szef „NOW-ej". Szkoda, że „Głos" jest tak bardzo niezależny, bo dwukrotnie jego szef obiecywał udzielić wywiadu i nie zjawił się niestety. To jest właśnie jedna z chorób konspiracji (polskiej, współczesnej): niesolidność jest cnotą. Kto na przykład nie zjawi się na umówione spotkanie, ten ustawia się wyżej w hierarchii konspi-

racji. Ten zwyczaj zaraża już młodą emigrację: okazać lekceważenie — to podkreślić rangę swej pozycji. Jeśli chodzi o dobór rozmówców, to często byli to po prostu moi znajomi, o których działalności podziemnej wiedziałem, dotrzeć do nich nie było więc trudno. Trudniej natomiast — namówić ich na rozmowę...

R.G.: — *Co najbardziej przeszkadzało Ci w pracy?*

G.N.: — To, że nie wiedziałem, czy dobrnę do końca, czy wywiady złożą się na całość, wartą wydania w książce, czy ta panorama będzie na tyle szeroka, żeby warto ją było opublikować. Wydaje mi się, że jest na tyle szeroka.

R.G.: — *Przy lekturze „Struktur nadziei" nasuwały mi się pewne analogie do słynnej swego czasu „Konspiry" Łopińskiego, Moskita i Wilka. Czy chciałeś nawiązać do tej książki?*

G.N.: — W samym pomyśle nie nawiązywałem, ponieważ zacząłem robić wywiady w 1984 roku z zamiarem publikacji książkowej, kiedy „Konspira" jeszcze się nie ukazała. Był to pomysł równoległy. Mnie zależało na tym, żeby przeprowadzić rozmowy nie z „generałami" — Frasyniukiem, Bujakiem — ale z „armią".

R.G.: — *Obie książki uzupełniają się jakoś...*

G.N.: — To dobrze.

R.G.: — *Autorzy „Konspiry" niejednokrotnie spotykali się z zarzutem, że książka podaje za dużo faktów. Nazywano ją w kręgach podziemnych „Dekonspirą". Czy nie wydaje Ci się, że w Twojej książce za dużo zostało powiedziane?*

G.N.: — Sądzę, że nie. Powiedziane zostało tyle, ile można powiedzieć w tej chwili. Oczywiście, że jakiś pułkownik może traktować te wywiady jako instruktaż, jako podręcznik dla swoich chłopców. Ale mogą je tak traktować i ci, którzy chcą działać, chcą tworzyć nowe pisma, nowe wydawnictwa. Sądzę, że raczej tej stronie książka będzie służyła.

R.G.: — *Którą z tych rozmów wspominasz najlepiej? Która z nich najwięcej wniosła do Twojego obrazu podziemia?*

G.N.: — Większość rozmów dobrze wspominam. Rozmowa z *Krytyką*, która była bardziej burzliwa niż jej zapis książkowy, dużo mi dała, zobaczyłem z bliska to bardzo liczące się środowisko — sposób myślenia, program polityczny. Bardzo cenię sobie także np. rozmówcę z „Wyzwolenia", z którym wywiad miał

charakter bardzo kulturalny, autoryzacja przebiegła spokojnie, mimo że rozmówca dopuścił polemikę — i był to rzeczywisty spór, a nie tylko pozorny. Najtrudniej rozmawiało się z *Tygodnikiem Mazowsze*, może dlatego ta rozmowa ma w druku najostrzejszy charakter.

R.G.: — *Których rozmów zabrakło?*

G.N.: — Przede wszystkim z chłopami. Chłopi narzekają, że się ich nie widzi. Zwracałem się o ten wywiad niejednokrotnie — obiecywano mi, umawiano się, ale do spotkania nie doszło.

R.G.: — *Kto miał reprezentować chłopów?*

G.N.: — Chciałem rozmawiać z przedstawicielami Ogólnopolskiego Komitetu Oporu Rolników, który przez parę lat wyraźnie zaznaczył swoją obecność w polskiej panoramie politycznej. Zwracałem się też do redakcji niezależnych pism chłopskich. Może zabrakło jeszcze przedstawicieli prawicy. Jest „Wyzwolenie" (które deklaruje się jako ruch prawicowy), jest Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ale przyznaję, że zabrakło np. członków Konfederacji Polski Niepodległej, redakcji ich tajnego pisma. Zwracałem się do nich, ale też nie udało mi się namówić ich na rozmowę. Raz potraktowano mnie niemal jak ubeka. To jest następna choroba konspiracji: im bardziej ktoś jest podejrzliwy wobec swego rozmówcy, im bardziej manifestacyjnie objawia swój brak zaufania, tym stawia się wyżej, udzielając sobie stuprocentowej wiarygodności.

Zabrakło rozmowy z „Głosem", bardzo prężnym środowiskiem. Robią gazetę, wydawnictwo, prowadzą ośrodek analiz społecznych i od czasów posierpniowych do dziś zachowują odrębność programową i ideową. Robią rzeczywiście bardzo dużo i szkoda, że nie ma ich w mojej książce.

R.G.: — *Jaki jest Twój obraz konspiracji, uzyskany w wyniku tych rozmów? Książka nie zawiera komentarza. Ostatnia rozmowa (z szefem NOW-ej) nagle się urywa, tak jakby miał nastąpić ciąg dalszy. Czy nastąpi?*

G.N.: — Istotnie, ciąg dalszy następuje w rzeczywistości, każdego dnia. Aczkolwiek coraz więcej inicjatyw ujawnia się, poszerza się stale obszar życia politycznego, o charakterze niezależnym, co oczywiście popieram, bo przecież konspiracji nie można zlikwidować z dnia na dzień. Jawne działanie ludzi ze słynnymi nazwiskami, zasłużonymi dla podziemia, jest jak najbardziej sensowne, jak najbardziej potrzebne. Przez cały czas wciąż możliwe jest jednak takie uderzenie, jak to, które spadło

w nocy z 12 na 13 grudnia 1981. Następuje zmęczenie konspiracją. Po pięciu, sześciu latach szarpania, ukrywania się, ludzie się wyczerpują. Oczywiście różni ludzie pracują z różnym wysiłkiem — jeden podpisuje apele, drugi nosi dziesiątki, setki kilogramów, a nawet tony wydruku. Część działaczy to zmęczenie odczuwa, ale... przychodzą nowi.

R.G.: — *Czy zauważasz zjawisko wygasania aktywności pracy konspiracyjnej?*

G.N.: — Na pewno. Cały czas jedni emigrują, inni przechodzą do pracy jawnej. Przychodzą jednak nowi ludzie, młodzi, nie zmęczeni. Powstają nowe pisma, nowe wydawnictwa. Jestem za wychodzeniem z tym, co można, na powierzchnię — tak jak to robi WiP czy Pomarańczowa Alternatywa.

R.G.: — *Gdybyś jeszcze raz przystąpił do pisania tej książki...*

G.N.: — ... Nie przystępowałbym. A na pewno nie zabierałbym się za wywiady. Jest to bardzo trudna forma. Trudno uzyskać rozmowę i trudno ją autoryzować. Łatwiej jest pisać od siebie, np. opowiadania.

R.G.: — *Rozmawiałeś z przedstawicielami wydawnictw — „Kręgu", „Oficyny Literackiej", NOW-ej. A teraz rozmowa z szefem wydawnictwa „Słowo". Jaki charakter ma to wydawnictwo?*

G.N.: — W różnych okresach miało różny charakter. Początkowo, w 1982, było to wydawnictwo „walki" — wydawaliśmy broszury „sowietologiczne", tłumaczenia (np. z *Problems of Communism* czy z *Times*'u). Wydawaliśmy także pamiętniki internowanych. Do końca 1984 wydaliśmy kilkadziesiąt pozycji. Były i szkice Bieńkowskiego i „Szopki satyryczne" (które później były przedrukowywane przez inne wydawnictwa w kraju i na emigracji). Ogromnym sukcesem była książka „O Białorusinach, Litwinach i Ukraińcach", której drugie wydanie ukazało się w „Przedświcie", trzecie w londyńskim „Pulsie". Ukazało się też tłumaczenie ukraińskie, później jeszcze jedno wydanie krajowe, po którym autor dostał nagrodę „Solidarności" (przez pomyłkę w komunikacie figurował „Przedświt"). Wielkim sukcesem były też homilie ks. Jerzego Popiełuszki, które wydaliśmy pierwsi w kraju (dwa tygodnie po pogrzebie były już kolportowane, dosłownie — rozchwytywane).

R.G.: — *Średnia nakładu?*

G.N.: — Od 1,5 tys. do siedmiu tysięcy (homilie Popiełuszki

właśnie miały na nas 7-tysięczny nakład). Uprzednio wydawaliśmy ok. 3 tys. jednego tytułu, czasem 4 tysiące, ostatnio nakłady spadły do 2 tysięcy. Jako jedyni wydawaliśmy przedruki książek paryskiej *Kultury,* takich jak „Grudzień 1970" Zygmunta Korbutowicza, czy „Ukraina 1956-1968" Iwana Koszeliwca, czy książkę Leopolda Tyrmanda „Cywilizacja komunizmu". Wydawaliśmy pisma publicystyczne grupy, która później pojawiła się jako *Res Publica,* teksty Lityńskiego, „Zapis protestu" Kropiwnickiego (o jego głodówce w Barczewie). Tych książek było sporo.

R.G.: — *A pismo* Słowo?

G.N.: — Pismo było robione inaczej niż inne pisma, było stosunkowo mało martyrologiczne. Pozwalało ludziom odreagowywać, nabierać optymizmu. Miało charakter popularnej dzisiaj Pomarańczowej Alternatywy.

R.G.: — *Na czym polega analogia?*

G.N.: — Czasy „groźne" w naszym piśmie były traktowane jako coś zabawnego. Komunizm był pokazywany jako pewien absurd, a nie tylko jako system zadający cierpienia. Zamieszczaliśmy w piśmie sporo rysunków satyrycznych, krótkie humorystyczne teksty.

R.G.: — *Ile osób było zaangażowanych w* Słowo?

G.N.: — Zwykle ma się takie poczucie, że „robiłem to sam". Jakby jednak policzyć, ile osób uczestniczyło, to okaże się, że za każdym razem kilkadziesiąt (redakcja, wydruk, kolportaż, zaopatrzenie, skrzynki, skład, maszynistki). Przez cały ten okres na pewno kilkaset osób wzięło w tym udział. Wiele z nich było związanych tylko z tym wydawnictwem, z tą redakcją. Z tym, że „ciągnęło" imprezę zawsze kilka osób, a czasem jedna.

R.G.: — *Technika?*

G.N.: — Nigdy nie mieliśmy offsetu. Drukowaliśmy na powielaczach białkowych, ale ważniejsze numery były drukowane na cudzych offsetach (CDN nam wydrukował jeden numer, kilka „Krąg"). Książki robiliśmy na tzw. „dużym" offsecie, na „dojściach", w większości w państwowych drukarniach.

R.G.: — Słowo *dziś?*

G.N.: — Ukazuje się właśnie kolejna książka (następne wyda-

nie „Zapisu protestu" Kropiwnickiego). O planach trudno mówić. Naprawdę trudno powiedzieć, czy wydawnictwo będzie działało. Nie wiadomo, czy nie będzie to ostatnia pozycja. Zależy to od pomocy — czy uzyskamy ją czy nie. Nie staramy się o nią za bardzo.

R.G.: — *A teraz rozmowa z Grzegorzem Nawrockim — działaczem niezależnym. Powtórzę pytanie, które zadałeś jednemu ze swoich rozmówców: „Jaki przewidujesz rozwój sytuacji międzynarodowej i w kraju? Czy widzisz siebie na tym tle?"*

G.N.: — Sytuacja międzynarodowa i sytuacja w kraju bardzo często zależą w dużej mierze od drobiazgów. Oczywiście, że wypadki do czegoś tam zmierzają, ale czy to nastąpi, czy nie — o tym bardzo często decydują drobne sprawy, w związku z czym trudno przewidywać co nastąpi, a większość przewidywań po prostu się nie sprawdza, ponieważ w przewidywaniach bazuje się na dzisiejszej sytuacji, a na politykę wpływa głównie to, co będzie jutro, pojutrze, za moment. W kraju obecnie trwają strajki. Te strajki akurat przewidzieć było łatwo. Spora część działaczy podziemnych „czekała" na to, czekała, aż jeszcze trochę skruszy się ten system. Strajki musiały wybuchnąć, bo w kraju następuje ciągła pauperyzacja, bieda, nędza. W nędzy żyje większość społeczeństwa polskiego, prawie cały naród (ale oceniam, że ok. 70-80 %). Ten wybuch nastąpił w maju, powtórzył się w sierpniu i będzie się powtarzał, ponieważ władza zdecydowała się kiedyś na użycie siły i będzie tej siły używała. Wydaje mi się, że legalizacja „Solidarności" jednak tak czy inaczej nastąpi. Jaruzelski będzie się musiał na nią zgodzić, legalizacja „Solidarności" zostanie przez strajki wymuszona. To nie rozwiąże jednak polskich problemów, np. podstawowego — kryzysu ekonomicznego i gospodarczego. W tym systemie brak jest wolnej konkurencji, wolnego rynku. Każdy o tym wie — wszystko podporządkowane jest centralnemu planowaniu i ideologii, które dławią inicjatywę ludzką, dławią społeczeństwo. W ciągu siedmiu lat, które minęły od wprowadzenia stanu wojennego Jaruzelski nic nie zrobił — czy ściślej: niewiele — żeby pchnąć Polskę w stronę zdrowej, normalnej gospodarki. Gdyby nawet chciał, niewiele może, bo do tego potrzebne są pieniądze, potrzebny jest kapitał. Jeżeli nie nastąpią jakieś rozwiązania międzynarodowe, to Polska nadal będzie się zapadać. Polsce potrzebny jest plan Marshalla, te pieniądze, których nie dostała, ponieważ tak zdecydował Stalin i zdecydowała Jałta, przesuwając Polskę pod dominację Związku Sowieckiego. Bez nowego planu Marshalla dla Polski, z jednoczesnym przesunięciem Polski na tory gospodarki wolnorynkowej, nic na lepsze się nie zmieni. Będą się

szerzyły strajki, gdyż robotnicy nie mają innej broni. W interesie Europy i świata leży generalne rozwiązanie problemów Polski. Wydaje mi się, że niezbędny jest kolejny szczyt: Anty-Jałta. Polska jest elementem bloku sowieckiego, który cały trzeszczy w szwach. Ten system się sypie i rozpadnie na pewno. Ofiary mogą być znaczne...

Tekst rozmowy autoryzowany.
Rozmawiała i tekst opracowała
Renata GŁOWACKA

Paryż, 23 sierpnia 1988

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sprawy i troski

Tu i tam

W głębokim i niepodzielną całość stanowiącym związku tych co żyją w kraju pozbawionym wolności i tych co żyją poza krajem dla kraju odkryto różnice geograficzne. Powstało TU i TAM. Zaczyna się podkreślać to czego TU i TAM dokonano, tak jakby można było podzielić nieprzerwany, od utraty niepodległości trwający, ciąg myśli, dzieł, czynów i nadziei, i powiedzieć co bardziej zasłużone. Mówi się językiem przodowników pracy o „działalności ideowej", wyliczanej w „roboczogodzinach".

Próbuje się wyznaczać granice temu co dozwolone TU by nie zakłócać tego co dziać się ma TAM.

Tomasz Mann, pisząc o swoich latach wojennej emigracji, wspomina, że za swój obowiązek uważał wówczas by żyć przyzwoicie i mówić to co myśli. Program na pozór skromny i z pewnością niewystarczający, ale jakże nieodzowny, zarówno dla emigracji jak i dla kraju.

Emigracyjne spojrzenie było i wciąż jest tym drugim okiem umożliwiającym trójwymiarowe widzenie, biegunem utrzymującym w żywym napięciu większość polskich spraw.

Samotność, los i godność emigranta Nicola Chiaromonte nazwał w liście, napisanym przed dwudziestu laty, istotną cząstką „soli ziemi". Soli, której goryczy sam zaznał w okresie faszyzmu.

Tym bardziej więc dziś, w chwili gdy, jak mówił Lech Wałęsa, „coś się w Polsce rusza", mówienie tego co się myśli nabiera szczególnej wagi. Przyszłość wykaże co słuszne a co błędne. Ważne żeby nie było niedomówień, żeby nie dać się uwikłać w norwidowskie „fałszywe położenia nie znoszące szczerych i prostych zapytań".

Plan, polegający na ratowaniu się przed ostateczną katastrofą ekonomiczną wprowadzaniem elementów wolnorynkowych, nie jest zaskakująco nowy. Otwiera on jednak skrawki wolnego rynku tylko dla produkcji i usług, kategorycznie zeń wykluczając świat pracy.

Demokracje zachodnie zawdzięczają swój dobrobyt i względną sprawiedliwość społeczną konfliktowym i nawzajem się korygującym rolom wolnego kapitału i swobodnie organizującej się siły roboczej. Bez tych dwóch podstawowych elementów nie ma pluralizmu ekonomicznego i wolnego rynku w pełnym znaczeniu. Razem, pozostając w bezustannym napięciu, pozwalają one wydobyć z rynkowego żywiołu energię ekonomiczną i społeczną.

Kruchość władzy komunistycznej, pozbawionej wszelkich uzasadnień ideowych i jakiegokolwiek własnego programu ekonomicznego, zmuszać będzie rządzących coraz bardziej do NEP-owskich ustępstw wobec prywatnej inicjatywy, z równoczesnym utrzymywaniem świata pracy w warunkach niewolniczych.

Komuniści przy władzy nigdy zresztą nie byli w stanie sprostać żądaniom niezależnego związku zawodowego. Na to trzeba wojska albo wolnego kapitału. W 1921 roku, 15 marca 1921 roku X zjazd partii zatwierdził NEP, a w nocy z 17-go na 18-go szturmowano Kronsztad. Warto przypomnieć, że strajkujących zabijał Lenin z Trockim bez pomocy Stalina.

Dziś czasy są inne i strzela się znacznie mniej. Tradycja jednak przetrwała i komuniści dalej boją się i unikają sytuacji, których nie są wyłącznymi panami. Dlatego niełatwi to partnerzy do kompromisów.

Jeśli mówimy że władza komunistyczna jest krucha to nie znaczy, że jest ona słaba. Po prostu nie jest elastyczna i nie może się z nikim dzielić. Boi się, że dzieląc się naprawdę straciłaby identyczność, przestałaby być sobą, rozkruszyłaby się, stając się czymś innym.

Najśmielszym jej wydaniem jest samorząd jugosłowiański. Kraj w którym można wszystko powiedzieć niczego nie zmieniając. Ponury zaułek historii godny zastanowienia.

Dla opozycji w kraju nie są to żadne odkrycia. Coraz częściej jednak niektórzy jej przedstawiciele wypowiadają się tak jakby żyli w demokracji zachodniej. Nie chodzi tu o domaganie się uznania Solidarności, które jest walką dla przyszłości Polski najważniejszą. Ale gdy mowa o opozycji konstruktywnej, o ewentualności rządów koalicyjnych, o gotowości do kompromisu z władzą, która jako podstawę proponuje „pluralizm socjalistyczny", czy o nowych instytucjach, o jakich nikomu się jeszcze nie śniło ani na Wschodzie, ani na Zachodzie, to trudno odgadnąć czy działa tu czar *pieriestrojki* czy nieprzenikniona strategia.

Określając perspektywę zmiany ustroju w Polsce jako rewolucję, ujmuje się sprawę niewłaściwie, tym bardziej gdy się dodaje, że rewolucja prowadzi nieuchronnie do despotyzmu. Czy zmiana ustroju komunistycznego na demokrację parlamentarną musiałaby być rewolucją totalitarną? Dlaczego nie nazywano rewolucją przywrócenia demokracji w Hiszpanii, Grecji czy Portugalii? Właśnie! Było to bowiem przywrócenie demokracji a nie rewolucja.

W „Pytaniach Polskich", w przejmująco prawdziwym fragmencie poświęconym kompromisowi, przestrzega Adam Michnik

przed kompromisem w dziedzinie języka, przeobraża on bowiem ugodę w kłamstwo i wiedzie do zaprzaństwa.

W jaki sposób kompromis ma stać się ojcem demokracji wewnątrz komunistycznego systemu?

Samo słowo podoba się władzy. Listopadowy numer warszawskiej gazety wychodzącej w języku angielskim *The Warsaw Voice* sugeruje, że z rozmów okrągłego stołu może narodzić się „kompromis historyczny". Niewłaściwie w kontekście polskim użyte określenie narodziło się we Włoszech. Włoski kompromis historyczny, do którego dążył Enrico Berlinguer i który miał doprowadzić do koalicji rządowej między Demokracją Chrześcijańską i Partią Komunistyczną, łączył dwie największe partie polityczne w kraju, z których każda zdobyła w wyborach około 30 % mandatów parlamentarnych. Porozumienie to nie doszło wprawdzie do skutku, ale słowo kompromis w tym wypadku używane było pełnoprawnie, bez konieczności uciekania się do kompromisu w sferze języka.

Innym zjawiskiem godnym uwagi jest stosunek opozycji krajowej do życia społeczeństw zachodnich. Z tekstów i wypowiedzi niektórych jej przedstawicieli wyłania się marzenie o uduchowieniu polityki, o świecie połączonym więzią przyjaźni, bardziej przepojonym duchem, bardziej romantycznym, mniej bezwzględnym. Przesadzając można by powiedzieć że patrzą oni na tutejszy świat z poczuciem nawiedzonej wyższości.

To prawda że tracąc marzenie człowiek wyzbywa się człowieczeństwa, ale człowieczeństwo gubi się też w upadlającej, od lat trwającej, wojennej niemal rzeczywistości, w której, z dala od środowiskowych dyskusji, na marzenia często nie ma już sił. Dlatego tylu decyduje się na to co, wbrew pozornej łatwości, okazuje się często najcięższe — na opuszczenie ojczyzny i przyjaciół w nadziei na znośniejsze życie.

Po mszy świętej, przed kościołem polskim w Paryżu, Lech Wałęsa powiedział do kardynała Lustigera że widział tu dużo bogactwa materialnego ale nie widział Ducha w większym nasileniu. Zapytał on też kardynała czy przy tak olbrzymiej ilości komputerów nie można by części z nich przeznaczyć na wytwarzanie miłości. Czy należy przez to rozumieć, że TU, poza bogactwem materialnym nie ma Ducha czy serc zdolnych do uczuć i pomocy? Że są one tylko TAM?

Faktem jest, że demokracja może skazać człowieka na całkowite zamknięcie w kręgu własnej samotności. Tradycja i hierarchia, na których opierały się związki ludzkie — rodzinne, plemienne czy narodowe — pozostają w sprzeczności z uniwersalistycznymi filarami demokracji — wolnością i równością. To rozdarcie trwa i stanowi kondycję dorosłego człowieka, odpowiedzialnego za własny los. Dla pewnych, wcale nie tak rzadkich, jednostek oznacza ono życie pojmowane jako napięcie. Mówiąc za Pascalem, „Człowiek nie pokazuje swej wielkości przez to, iż pozostaje na jednym krańcu, ale przez to, że dotyka dwóch na raz i wypełnia przestrzeń między nimi". Ludzi takich, serce i Ducha znaleźć można z pewnością i TU i TAM.

Nie jest natomiast możliwe w demokracji przywrócenie ludzkiemu życiu utraconego sensu tylko przy pomocy środków polityczno-prawnych. Nie jest to sprawa polityki lecz jednostek. W kraju jednak często łączy się, może nawet podświadomie, jedno z drugim, bo jedyne co pozwala znieść codzienność to resztki minionych i zalążki nowych uniesień. W Polsce żyje się od jednego stanu charyzmatycznego do drugiego, od jednej nadziei na odnowę do drugiej, w systemie który uniemożliwia przetworzenie tych wzlotów w normalnie funkcjonującą codzienność.

Nowa więź społeczna czy rodzinna powstaje zawsze z uniesienia, z poczucia że rodzi się coś nowego, coś co zawiesza na jakiś czas zwykły bieg rzeczy i sprawia że osoby tym stanem objęte czują wzajemną bliskość, zapominają o stronie ekonomicznej codziennego życia i skłonne są do wszelkich poświęceń. Znają ten stan zakochani i walczący. Stan ten musi jednak znaleźć ujście w budowaniu nowej codzienności. Trzeba móc zacząć tworzyć ją z dnia na dzień, cierpliwie, ale tę nową, własną, taką która może być kochana. Do tego jednak władza nie chciała za żadną cenę dopuścić i uporem swoim zrujnowała kraj. Dziś, wołająca z przepaści o zachodnie kredyty, oskubana z ideologicznego pióropusza i zagrożona strajkami, daje do zrozumienia, że pragnie zmian. Ale jakich? Jak daleko idących?

W wywiadzie opublikowanym przez niemiecki dziennik *Die Welt* Mieczysław Rakowski zapowiada możliwość utworzenia opozycyjnych partii politycznych, co odbierze, jego zdaniem, znaczenie hasłu „nie ma wolności bez Solidarności" a uznanie samej Solidarności uczyni zbędnym.

Łatwo jest udawać przed opinią międzynarodową, że coś się rusza, tworząc partie polityczne które i tak nie zagrożą władzy, gdyż nie zgodzi się ona na konfrontację w wolnych i powszechnych wyborach. Trudniej natomiast dopuścić do głosu wolny ruch związkowy, który stałby się prawdziwym i przez to kłopotliwym obrońcą ludzi pracujących.

Udawać ruch, broniąc bezruchu. Jeśli taki jest zamiar władzy to musi ona szukać wspólników do urzeczywistnienia go. Nie powinna ich znaleźć ani TU, ani TAM.

Bohdan PACZOWSKI

Polskojęzyczna rozgłośnia w Kolonii

Dwadzieścia pięć lat temu, w roku 1963, rozgłośnia Deutschlandfunk (DLF) w Kolonii wysłała w eter pierwszą półgodzinną audycję zredagowaną przez polski zespół. Jednocześnie nadano

audycje w języku czeskim i serbo-chorwackim. Po nich powstawać zaczęły inne redakcje europejskie. Obecnie DLF nadaje w 11-tu językach, z których prawie połowa to języki narodów wschodnioeuropejskich.

Audycje polskojęzyczne DLF różnią się nieco od „konkurencji". Redakcja polska DLF jest nie tylko dużo mniejsza niż np. Wolnej Europy, ale także posiada o wiele mniej czasu antenowego (nadaje w sumie 2 i pół godziny programu dziennie w pięciu audycjach na falach średnich i krótkich). Główną jednak różnicą są zadania, jakie mają do spełnienia poszczególne europejskie redakcje. Celem każdej sekcji, w tym także polskiej, jest ukazanie możliwie pełnego obrazu Niemiec słuchaczom w Europie. Trzeba tu od razu dodać, iż nie chodzi tylko o Republikę Federalną Niemiec, ale również o drugą część — tę za murem. Konsekwencją tak sformułowanego celu działalności kolońskiej rozgłośni jest i było prezentowanie przede wszystkim politycznych, społecznych, kulturalnych i gospodarczych aspektów obu państw niemieckich. Oczywiście waży tu także historia i pewne uprzedzenia narodowościowe, nieobce tak Polakom jak Niemcom. Stąd też zadanie postawione przed redakcją polską było o wiele bardziej skomplikowane niż w zespole węgierskim czy francuskim.

Przy opracowywaniu programu polskiego redaktorzy napotykają na dwa kolidujące często ze sobą obszary tematyczne. Z jednej strony mają obowiązek prezentowania polskiemu słuchaczowi obrazu Niemiec, z drugiej zaspokoić muszą oczekiwania polskich słuchaczy. A oczekiwania te są jednoznaczne. Ludzie w PRL od zachodnich rozgłośni oczekują przede wszystkim rzetelnej i wiarygodnej informacji o wydarzeniach w kraju i na świecie (w tej właśnie kolejności).

Słuchacze w kraju są głównymi odbiorcami audycji redakcji polskiej Deutschlandfunku. Nie oznacza to jednak, iż program nastawiony jest wyłącznie na tego odbiorcę. Spora część słuchaczy to Polacy mieszkający na terenie RFN, przede wszystkim przesiedleńcy ze Śląska. Największe skupisko słuchaczy Deutschlandfunku za granicą to Zagłębie Ruhry, z którego redakcja otrzymuje większą część listów. Rozgłośnia DLF spełnia tu także bardzo specyficzną, ale i ważną rolę: pewnego rodzaju pośrednika między Polakami w kraju oraz ich rodzinami na terenie RFN. Szczególnie w okresie świątecznym bardzo popularny jest koncert życzeń, którym słuchacze mogą przesyłać sobie nawzajem pozdrowienia.

Redakcja polska DLF od pewnego czasu bardzo zintensyfikowała tematykę wewnętrznych konfliktów politycznych w PRL. Program polski Deutschlandfunku wzbogacił się o bezpośrednie relacje z Polski, a przede wszystkim o rozmowy z przedstawicielami polskiej opozycji. Coraz częściej na antenie rozbrzmiewają telefoniczne i bezpośrednie rozmowy z czołowymi działaczami „Solidarności" i innych grup opozycyjnych.

Obok stałych pozycji programu polskiego nadawane są również audycje cykliczne, dotyczące obszerniejszych zakresów tematycznych takich jak: kultura *(Kronika kulturalna, Z ekranu i sceny)*, gospodarka *(Notatnik gospodarczy, Ze świata wiedzy i techniki, Perspektywy gospodarcze)*, polityka *(O Polsce i Polakach w Niemczech i na Zachodzie, Nowości literatury politycznej, Bońska polityczna kronika tygodnia)*, religia *(Informacje z życia Kościoła, Chrześcijanin a świat)*. Nadawane są również kursy języka niemieckiego, do których słuchacze otrzymać mogą specjalne podręczniki (ich liczba dochodzi do kilku tysięcy).

DLF jest obecnie jedyną niemiecką radiostacją polskojęzyczną. Do roku 1977 audycje w języku polskim nadawała także rozgłośnia Deutsche Welle. Jedenaście lat temu zlikwidowano tę dwutorowość, pozostawiając jedynie rozgłośnię polską w budynku Deutschlandfunk. Jednak nie wszystko co wysyłane jest w eter z budynku przy Raderberggürtel 40 w Kolonii zasługuje na pozytywną ocenę. Zarzuty, które można sformułować dotyczą raczej ram organizacyjnych, niż merytorycznej zawartości programu. Mankamentem numer jeden jest zbyt mały czas antenowy oddany do dyspozycji polskiej redakcji. W dwu i półgodzinnym programie podzielonym na trzydziestominutowe audycje nie sposób poruszyć wszystkich ważnych tematów. Stąd też podczas słuchania audycji DLF odnosi się często wrażenie pewnej powierzchowności prezentowanej problematyki. Być może byłoby lepiej (przy tym ograniczonym czasie antenowym) skupić się na kilku wybranych tematach (sprawy polskie, stosunki niemiecko-polskie, emigracja, najważniejsze wydarzenia w Europie) pozostawiając inne tematy Wolnej Europie czy BBC. Wymagałoby to jednak likwidacji pewnych audycji, czemu zapewne towarzyszyłby spadek liczby słuchaczy, a tego żadna rozgłośnia na świecie nie lubi. Mankament numer dwa to brak komentarzy opracowanych po polsku przez członków redakcji. Najważniejsze wydarzenia na świecie i w Polsce omawiane są przez dziennikarzy niemieckich. Komentarze te tłumaczone są później na języki wszystkich europejskich redakcji. Nie zawsze ludzie piszący te teksty potrafią utrafić w sedno omawianego problemu z perspektywy polskiej. Zbyt duża ilość tłumaczeń z niemieckiego powoduje, że rozgłośnia DLF mija się niekiedy z oczekiwaniami.

Wiktor GROTOWICZ

Polonia sowiecka*

« ● *Panie konsulu, długi okres pracy w ZSRR i wieloletnie kontakty z przedstawicielami Polonii radzieckiej dają podstawy do pewnych refleksji i uogólnień. Ostatnimi czasy o obywatelach radzieckich polskiego pochodzenia napisano dość dużo, nie będziemy więc mówić o sprawach zaliczanych do elementarnych. Natomiast pragnę zapytać, co zdaniem pana w obecnym stanie rzeczy — mam na uwadze sytuację Polonii w ZSRR — można zrobić pożytecznego dla naszych rodaków, zamieszkałych w różnych zakątkach Kraju Rad?*

— Uważam, że jednym z najważniejszych posunięć w zakresie regulacji sytuacji prawnej Polaków zamieszkałych w Związku Radzieckim byłby dekret Rady Najwyższej ZSRR o rehabilitacji polskiej grupy etnicznej, analogicznie do tego, jaki w 1964 roku został uchwalony w odniesieniu do grup narodowościowych — niemieckiej i tatarskiej.

● *Czyli polska grupa etniczna jest w tej mierze pozostawiona w opóźnieniu 24 lata... A czego powinna dotyczyć ta rehabilitacja Polaków zamieszkałych w ZSRR?*

— Niesłusznych zarzutów, jakie stawiano niegdyś polskiej grupie etnicznej. Nie zapominajmy bowiem, że Polacy jako pierwsi byli deportowani — już w 1928 roku. Kwalifikowani byli wówczas do kategorii „oporni przy wstępowaniu do kołchozów". Druga fala prześladowań Polaków to lata 1934-1937. I znów nastąpiły deportacje, aresztowania, zamykanie szkół polskich, m.in. w Żytomierzu, Kijowie, w obwodzie winnickim... Kolejny tragiczny okres dla Polaków w ZSRR to lata 1939-1941. Deportacje Polaków od-

* Rozmowa z Romanem Brożem, konsulem generalnym PRL w Moskwie przeprowadzona przez Tadeusza Samborskiego, zamieszczona w *Dzienniku Ludowym* nry z 16 i 17 listopada 1988.

bywały się wówczas w oparciu o dekret MSW. W tym kontekście należy wspomnieć, że mimo istnienia stosunków dyplomatycznych między ZSRR i Polską były to w okresie międzywojennym dwa sąsiadujące ze sobą państwa „niezbyt się kochające".

● *Jaki, zdaniem pana, był powód lub chociażby pretekst do tego rodzaju postępowania wobec Polaków?*

— Nie było wówczas jawnego oskarżenia, ale fakty mówią jedno: w odniesieniu do Polaków zastosowano najbardziej drastyczne formy. To pozostało w ich psychice, w ich pamięci. Ugruntowało się wśród nich przekonanie, że jedyną przyczyną ich przesiedlenia był fakt, że mają polskie pochodzenie. I dlatego też po to, żeby ci ludzie nie ukrywali swojego rodowodu, żeby mogli bez obawy do niego się przyznawać, bardzo potrzebny jest taki dekret, jaki został wydany dla ułatwienia życia niemieckiej grupie narodowościowej.

● *Czy z tego co pan mówi można wnosić, że sytuacja ludności niemieckiej zamieszkującej w Kazachstanie jest lepsza niż żyjących w tej republice Polaków?*

— W wynikach spisu ludności z 1979 roku nie ma wyszczególnionej w Kazachskiej SRR ani polskiej grupy etnicznej, ani też niemieckiej. To także swoisty znak czasu. Jest np. wymieniona grupa koreańska licząca 92 tys. osób. Najprawdopodobniej grupa polska i niemiecka liczące po kilkaset tysięcy osób weszły do rubryki „inne narodowości", przy której podana jest liczba 1 mln 414 tysięcy. I mimo że — jak widzimy — niemiecka grupa etniczna nie jest wyszczególniona w tabeli, to w rzeczywistości ona istnieje, posiada swój teatr zawodowy, szkoły z niemieckim językiem nauczania, gazetę w języku niemieckim, czas antenowy w lokalnej rozgłośni itd. Polacy mieszkający w Kazachstanie tego nie mają. Przyczyny tego stanu rzeczy upatruję właśnie w tym, że wspomniany dekret Rady Najwyższej z 1964 roku stworzył podstawy prawne dla tworzenia niemieckich instytucji kulturalno-oświatowych, co daje tej grupie możliwość pielęgnacji i rozwoju właściwości narodowych. Tych możliwości nie mają Polacy, którzy — pomijając wszystkie inne przesłanki — wnieśli swój niemały wkład w rozwój cywilizacyjny Kazachstanu.

● *Z pana wypowiedzi zrozumiałem, że od ewentualnego dekretu Rady Najwyższej w sprawie rehabilitacji polskiej grupy etnicznej zależy bardzo wiele w dziedzinie zaspokojenia potrzeb kulturalno-oświatowych i sytuacji prawnej Polaków w ZSRR. Wiadomo także, że w Kraju Rad przygotowuje się szereg rozwiązań prawnych dotyczących kwestii narodowościowych, a punktem wyjścia dla nich będzie Plenum KC KPZR na ten temat. Jaki by był dla Polaków mieszkających w ZSRR optymalny rezultat tych zabiegów?*

— Wiele wskazuje na to, że może powstać sytuacja, w której

obywatele radzieccy polskiego pochodzenia i obywatele polscy na paszportach konsularnych nie będą traktowani gorzej niż inne narodowości czy mniejszości narodowe w ZSRR. Być może będzie to także oznaczać, że Polacy będą mogli mieszkać, pracować i przemieszczać się na całym terytorium ZSRR, mieć szkoły podstawowe i średnie, w których nauczanie będzie prowadzone w języku polskim, lub będą mieć możliwość zorganizowania nauki języka polskiego dla dzieci w wieku szkolnym. Chodzi tu także o audycje radiowe i telewizyjne oraz gazety w języku polskim, a także o możliwość organizowania imprez i różnych przedsięwzięć kulturalnych dla ludności polskiej, np. klubów otwartych.

● *Słyszy się ostatnio o tym, że władze oświatowe Kazachskiej SRR wydały okólnik skierowany do szkół, zalecający przeprowadzenie wstępnej sondy, czy są wśród dzieci chętni do nauki w języku polskim. Czy może to być zapowiedzią zmiany na lepsze w tym zakresie?*

— Teoretycznie tak. Ale skądinąd wiemy, że dokument ten nie dotarł wszędzie lub — jeśli dotarł — to rodzice nie zostali z nim zapoznani. A w tych sprawach osiągnięto już taki stan krytyczny, że żadne działania pozorne nie wystarczą.

● *Domyślam się, że mówiąc o stanie krytycznym, ma pan na uwadze stan świadomości narodowej i poziom znajomości języka polskiego wśród obywateli radzieckich polskiego pochodzenia?*

— Istotnie o tym właśnie myślę. Analiza danych statystycznych wskazuje wyraźnie, że następuje niepokojący i szybki proces wynarodawiania się polskiej mniejszości narodowej w ZSRR, w porównaniu z innymi narodowościami czy mniejszościami narodowymi Kraju Rad. Świadczy o tym m.in. zmniejszanie się liczby osób mających polską narodowość, a wśród tych, które ją nadal deklarują, zmniejsza się liczba posługujących się językiem ojczystym. Natomiast zwiększa się liczba Polaków podających język rosyjski lub inny język narodów ZSRR jako język, którym posługują się wyłącznie. W 1959 roku 45,2 % osób narodowości polskiej podało język polski jako ojczysty, w 1970 roku — 32,5 %, a w 1979 roku już tylko 29,1 % obywateli radzieckich narodowości polskiej podało język polski jako ojczysty. Warto dodać, że wśród Niemców wskaźnik ten wyniósł 57 % (1979 rok). Wśród innych żyjących w ZSRR mniejszości wskaźniki są następujące: 95,4 % Węgrów posługuje się głównie językiem węgierskim, 68 % Bułgarów posługuje się bułgarskim i 55,4 % Koreańczyków posługuje się językiem koreańskim.

● *Na tle powyższych danych wskaźnik 29,1 % Polaków uznających polski za ojczysty rzeczywiście daje podstawy do mówienia o stanie krytycznym. Jak, zdaniem pana, można zmienić ten stan rzeczy i zahamować tę ze wszech miar szkodliwą tendencję?*

— Za niezwykle pilną uważam sprawę języka polskiego, a raczej szkolnictwa dla polskiej mniejszości narodowej w ZSRR. Z moich obserwacji i doświadczeń wnoszę, że bez odpowiedniego zarządzenia centralnych władz radzieckich sprawa nie ruszy z miejsca. Np. wieloletnie starania działaczy polonijnych u władz republikańskich w Kazachstanie nie dały dotychczas żadnego rezultatu. A przecież jest to republika, w której znajduje się jedno z największych skupisk Polaków i w której takie mniejszości jak niemiecka i koreańska mają od dawna swoje szkoły lub też nauczanie języka ojczystego w szkołach rosyjskich bądź kazachskich.

● *Wiele wskazuje na to, że w kolejnym spisie ludności, jaki wkrótce odbędzie się w ZSRR, każdy obywatel będzie mógł zadeklarować narodowość, jaką sam uzna za stosowną. Czy można przewidywać, że spowoduje to pewne korekty w danych statystycznych dotyczących polskiej grupy etnicznej?*

— Z pewnością stworzy to możliwość wielu Polakom skorygowania (w dowodach osobistych i w statystyce także) swojego pochodzenia narodowego, ponieważ — jak wiadomo — „warunki życiowe" zmusiły ich do ukrycia swojej prawdziwej narodowości lub też w drodze administracyjnej narzucono im narodowość ukraińską, białoruską, litewską czy inną. Dotyczy to szczególnie tych Polaków, którzy zostali przesiedleni z Zachodniej Ukrainy, Zachodniej Białorusi i Litwy do republik środkowoazjatyckich i na Syberię. Dzisiaj ci obywatele radzieccy zaczynają przyznawać się do swojego polskiego pochodzenia, zaczynają szukać kontaktów z krajem, poszukują swoich krewnych, a są również i tacy, którzy chcą odzyskać obywatelstwo polskie.

● *Wydaje się, że jednak nie wystąpi zjawisko masowego żądania umożliwienia powrotu do obywatelstwa polskiego, ale sporadyczne takie prośby na pewno się pojawią. Jak pan konsul widzi tę kwestię?*

— Sądzę, że należy stworzyć w praktyce możliwość powrotu do obywatelstwa polskiego z prawem dalszego pobytu stałego w ZSRR tym osobom, które zdecydowanie się tego domagają.

● *Ostatnimi czasy nastąpił gwałtowny wzrost liczby listów, jakie napływają do Wydziału Konsularnego od osób prywatnych. Czego te listy dotyczą?*

— Wyróżnię tu kilka grup spraw, z jakimi zwracają się do nas zainteresowani. Pierwsza z nich — to listy od dzieci komunistów polskich represjonowanych w latach 30-tych. Były to często małżeństwa mieszane — ojciec Polak, matka Rosjanka, Ukrainka, rzadziej odwrotnie. Dzieci tych ludzi tragicznych losów szukają w Polsce krewnych swoich ojców lub matek. Przy okazji tych poszukiwań miałem okazję czytać też dawne grypsy przesyłane przez polskich komunistów z więzień do swoich żon i

dzieci. Trzeba podkreślić, że poszukiwania nasiliły się właśnie teraz, w okresie jawności i *pieriestrojki*.

Inna grupa spraw to prośby o potwierdzenie pobytu na zesłaniu, w łagrach, w kopalniach itp. Chodzi tu głównie o ludzi, których objęły deportacje. Ten problem narasta i chyba trzeba będzie wspólnie ze stroną radziecką znaleźć jakieś wyjście ».

W sowieckiej prasie

Trzęsienie ziemi w Armenii. Według prowizorycznych danych jest 60.000 zabitych i dziesiątki tysięcy rannych. Domy w Leninakanie i Spitaku — nowe budynki, zbudowane w ostatnich dziesięcioleciach — rozpadły się jak domki z kart, bo betonowe płyty były piaskiem (cement rozkradziono podczas budowy). Dokładna liczba ofiar najpewniej nigdy nie będzie znana. Na tereny objęte trzęsieniem ziemi niedługo przed nim napłynęły dziesiątki tysięcy ormiańskich uciekinierów z Azerbejdżanu.

Katastrofa ukazała oczom świata obecny stan Związku Sowieckiego: całkowitą dezorganizację (tysiące ludzi zginęło dlatego, że przez kilka dni nie dowożono dźwigów, by unieść zwały betonu, spod których dobiegały słabnące z każdym dniem głosy), całkowity brak leków, instrumentów lekarskich itd., itp. Szczególne wrażenie zrobiła postawa wojska: żołnierze otoczyli leżące w gruzach domy i przez dwa dni nie dopuszczali nikogo. Czekali na rozkaz, a rozkaz kazał na siebie czekać. Francuski lekarz, który przybył na miejsce katastrofy z lekami i innymi lekarzami, opowiada, że spodziewał się chmary latających nad gruzowiskiem helikopterów wywożących rannych, ciężkich dźwigów wojskowych odgruzowujących miejsca katastrofy... Niczego takiego nie było. Trzeba było osobistego rozkazu Gorbaczowa, który przyleciał do Armenii 10 grudnia (trzęsienie ziemi miało miejsce 7 grudnia), aby armia włączyła się do akcji ratunkowej.

Piszę „katastrofa ukazała oczom świata". Otóż bez zgody Moskwy oczy świata nie ujrzałyby niczego, ale Moskwa dała zielone światło. Zakochana w Gorbaczowie zachodnia prasa nie ustaje w zachwytach: „Po raz pierwszy od 1917 roku" Moskwa powiadomiła świat o katastrofie i otwarła drzwi przed zachodnią pomocą. To nie jest ścisłe. Kiedy w sierpniu 1921 roku władza sowiecka uprzytomniła sobie, że na tereny zamieszkałe przez nie mniej jak 20 % ludności spadł straszny głód i że władza sowiecka nie nakarmi głodujących, Lenin zgodził się przyjąć pomoc Zachodu. Mniej więcej przez trzy lata zachodnie filantropijne organizacje (przede wszystkim amerykańska ARA) karmiły

miliony ludzi. Fakt, że dziś zgodzono się przyjąć pomoc świadczy o głębokim kryzysie, któremu musi stawić czoła władza sowiecka. Dowodzi go też inna paralela. Dnia 26 kwietnia 1966 Taszkient padł ofiarą silnego trzęsienia ziemi. Mam wrażenie, że dwadzieścia lat temu pomoc dla ofiar był zorganizowana lepiej i sprawniej.

Z jednej strony można mówić o pechu Gorbaczowa. Najpierw Czarnobyl, teraz trzęsienie ziemi. Z drugiej jednak strony wypada odnotować jego niepowszedni dar obracania katastrof na swoją korzyść. *Washington Post* z 13 grudnia pisze, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. „Kryzys miesza karty i powoduje, że nowe podejście jest nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne". Gazeta wylicza: pierwotna próba ukrycia katastrofy w Czarnobylu stała się trampoliną dla wielkiego skoku w *głasnost'*; lądowanie Rusta na Placu Czerwonym pozwoliło Gorbaczowowi rozprawić się z wyższym dowództwem Armii Czerwonej.

Trzęsienie ziemi spadło Gorbaczowowi wprost z nieba. Cały świat zaczął mu współczuć. Korespondent *Le Monde* w Moskwie Bernard Guetta pisze z przejmującą czułością o łzach w oczach generalnego sekretarza na widok trupów dzieci. Na pewno pisze prawdę: któżby nie zapłakał? Ale po otarciu łez Gorbaczow zajął się aresztowaniem członków komitetu Górnego Karabachu, który oskarżył o ekstremizm i aspiracje do władzy.

Gorbaczow wyleciał 6 grudnia do Nowego Jorku z wielu powodów. Chciał raz jeszcze ujrzeć prezydenta Reagana i uścisnąć dłoń przyszłego prezydenta Busha. Przypomnijmy, że jest to piąte spotkanie generalnego sekretarza z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Chruszczow przez jedenaście lat widział się z amerykańskim prezydentem dwa razy (podobnie jak Stalin), Breżniew — pięć razy, ale na osiemnaście lat władzy. Gorbaczow zawiózł Amerykanom (całemu światu!) „noworoczny podarek" — wiadomość o redukcji liczby i uzbrojenia sowieckich sił zbrojnych. Miał jednak jeszcze inne powody do podróży, m.in. chciał, żeby problem kaukaski „się odleżał".

W drugiej połowie listopada na Kaukazie znowu polała się krew. Zaczęły się pogromy Ormian w Azerbejdżanie i ucieczki ludności — azerbejdżańskich Ormian do Armenii i ormiańskich Azerbejdżan do Azerbejdżanu. Postawa władz była dziwna: pogromom Ormian nikt się nie sprzeciwiał, w najlepszym razie chroniono ich domostwa, ale poza tym do niczego się nie mieszano. W Baku zaczęto ich wyrzucać z pracy, nakłaniając w ten sposób do emigracji.

Wina polityki Gorbaczowa nie ulega kwestii. Leżący u źródeł konfliktu problem Górnego Karabachu mógł być bez trudu rozwiązany rok temu, zanim polała się krew. Gorbaczow swoim zwyczajem dał się problemowi „odleżeć" i „nabrzmieć", licząc, że wszystko się samo uspokoi. Na lipcowym posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR, które transmitowała telewizja, Gorbaczow dał wyraz oczywistej niechęci wobec ormiańskich żądań.

1 grudnia Gorbaczow i sześciu innych działaczy partyjnych

spotkali przedstawicieli Azerbejdżanu i Armenii. Generalny sekretarz jasno wyłożył swoje zdanie. Przede wszystkim — zauważył — partyjne i sowieckie organy obu sowieckich republik utraciły kontrolę nad sytuacją. Utraciły ją „nie przez zwykły popłoch, a przez brak zasad... Część aktywu partyjnego zeszła z pozycji internacjonalistycznych". Innymi słowy stanęła na pozycjach nacjonalistycznych. Główny cios Gorbaczow zarezerwował dla Armenii: „... Problem Górnego Karabachu stał się wygodnym parawanem dla przestępczej działalności antypaństwowej"; „pod przykrywką żądań sprawiedliwego rozstrzygnięcia kwestii Karabachu toczy się jawna walka o władzę"; „siły wrogie *pieriestrojce*, skorumpowane elementy...". Gorbaczow zażądał, aby „wszystkie nasze kadry zmieniły postawę w kluczowych sprawach". Przypomniawszy w ten sposób słynną stalinowską formułę „kadry decydują o wszystkim", Gorbaczow dał jasno do zrozumienia, że albo kadry zmienią postawę, albo on zmieni kadry. Przykazał też „bezkompromisową walkę z tymi, którzy podjudzają naród do nieporządków, szerzą pogłoski, sieją wrogość między narodami" i karać — także sądownie — tych, „którzy zwalniają z pracy ludzi z powodów narodowościowych". Wreszcie padło ostatnie słowo: nie będzie „zwycięzców" ani „zwyciężonych", odpowiednia komisja ma „znaleźć optymalne, prawdziwie internacjonalistyczne rozwiązanie problemów bez zmiany przynależności terytorialnej autonomicznego obwodu Górny Karabach". Już latem zdecydowano, że Karabach zostanie w Azerbejdżanie.

Trzęsienie ziemi zmusiło Gorbaczowa do powrotu z Nowego Jorku do domu. Tam odkrył, że nawet katastrofa nie rozwiązała konfliktu azerbejdżańsko-ormiańskiego. Postanowił uderzyć pięścią — aresztować członków komitetu Górnego Karabachu i zaostrzyć godzinę policyjną w Erywaniu. Rozmiary katastrofy i bałaganu pokazano światu oczywiście po to, by wzbudzić współczucie dla „ojca *pieriestrojki*", zwiększyć obawę o jego losy („wrogie *pieriestrojce* siły" tylko czyhają na okazję, by go obalić), uzyskać pomoc dla ofiar, której Związek Sowiecki nie jest w stanie im udzielić, i wzbudzić ciepłe uczucia we własnym narodzie. Przede wszystkim jednak chodzi o pokazanie, że Związek Sowiecki wymaga twardej ręki. Moskiewski korespondent *Le Monde* kończy swoją relację 14 grudnia słowami: „W tym całym koszmarze Kreml zdaje się dobrze wiedzieć, do czego zmierza".

To prawda. Gorbaczow wie, do czego zmierza. Rozjeżdża na prawo i lewo. Podejmuje mnóstwo pospiesznych, nieprzemyślanych decyzji, które wszystkie kończą się fiaskiem. Taki był los „kampanii antyalkoholowej", ustawy o przedsiębiorstwach państwowych, o spółkach itd. Do jednego celu tylko zmierza uparcie, cierpliwie (chociaż ostatnimi czasy zaczął się spieszyć) i nie odstępując od wytyczonej linii. Tym celem jest totalna osobista władza. Tak jakby upatrywał w tej władzy — maksymalnie pełnej — jedyną szansę na uratowanie socjalizmu. W kwietniu 1985 roku mówił w pierwszym programowym przemówieniu o „sytuacji przedkryzysowej". W listopadzie 1988 powiedział, że należy

koniecznie wyjść z kryzysu i podkreślił: „Nazywam rzeczy po imieniu" (*Prawda* z 29 listopada 1988).

O kryzysie mówił też na posiedzeniu prezydium Rady Najwyższej ZSSR, na którym omawiano propozycje poprawek do konstytucji i bunt Estonii przeciwko nim. „Stanęliśmy wobec sytuacji — powiedział generalny sekretarz i przewodniczący prezydium Rady Najwyższej Gorbaczow — w której uchwały najwyższego organu jednej z republik znalazły się w sprzeczności z konstytucją ZSSR, i to nie w kwestiach drugorzędnych, a w kwestiach, dotyczących losu naszego Związku".

Ogromna większość sowietologów ochoczo uznała, że epoka totalitaryzmu odeszła bezpowrotnie w przeszłość; zdaniem jednych, nastała era pluralizmu, zdaniem innych — post-totalitaryzmu. Jest rzeczą charakterystyczną, że najbardziej wnikliwi (i odważni) sowieccy dziennikarze nadal mówią (bo wiedzą, co mówią) o totalitaryzmie, systemie wciąż — choć źle — działającym. Ja sam uważam obecną epokę za epokę dojrzałego totalitaryzmu. Zajmujący się totalitaryzmem sowietolodzy z reguły wychodzą od definicji, przyjętej pod koniec lat 40-tych. Hitleryzm trwał wszystkiego dwanaście lat. System sowiecki istnieje już lat siedemdziesiąt. Sowiecki totalitaryzm przeszedł kilka stadiów. Obecna faza jest owocem oszałamiających sukcesów, które w nowych warunkach okazały się słabościami. W przemówieniu nt. reformy politycznej (*Prawda* z 30 listopada 1988) Gorbaczow mówił, że od początku lat 30-tych zakorzenił się „nakazowo-biurokratyczny system rządzenia" i dodał, że system ten „nie mógł w pełni związać energii narodowej", choć energia ta — wbrew systemowi — przekształciła ZSSR „w jedno z najbardziej rozwiniętych i wpływowych państw na świecie", pozwoliła mu odnieść zwycięstwo „w najcięższej wojnie, jakiej zaznał świat". Gorbaczow się — delikatnie mówiąc — myli. Związek Sowiecki odniósł wszystkie swe zwycięstwa dzięki, a nie wbrew systemowi, i należy sądzić, że Gorbaczow o tym wie. Tylko totalna władza pozwoliła nie liczyć się z żadnymi ofiarami, zmobilizować wszystkie siły i rzucić je na wielkie budowy, a potem na wojnę z Niemcami. Dążąc do jednego jedynego celu — siły — partia przeniknęła do każdej komórki kraju, prowadziła, dokąd chciała, zmuszała do tego, co uważała za potrzebne. Aż nadszedł czas zadań, których już nie mogła rozwiązać starymi, wypróbowanymi metodami. Okazało się, że w praktyce nie może wszystkim rządzić tak totalnie, jak miała w zwyczaju. Drobną część władzy musiała scedować na innych, np. powierzyć sporządzanie coraz bardziej skomplikowanych ogólnonarodowych planów komisji planowania oraz republikom. W systemie totalitarnym każda władza dąży do totalnego panowania. Każdy satrapa władzy centralnej staje się jej konkurentem. Wszechmocna partia zaczęła tracić władzę, choć bezspornie ją sprawuje. Ekonomista Anatolij Strielanyj zapewnia, że gdyby dziś ktoś napisał „skoro partia jest jedna i rządząca, to niech rządzi" (*Russkaja Mysl* z 25 listopada 1988), cenzura by takiego artykułu nie puściła. Zdarzyło mi się jednak już czytać takie apele: niech rządząca partia rządzi. Ona

jednak nie może rządzić. Tradycyjny mechanizm rządzenia doszedł przez ostatnie dwadzieścia lat do stanu paraliżu. Chcąc rządzić wszystkim, partia traciła władzę w gospodarce, w stosunkach z republikami. Miejscowi przywódcy, pierwsi sekretarze partii republikańskich, zdobywali coraz większą władzę. Była to władza jednoosobowa, zajmowali się gromadzeniem bogactw dla siebie i swojego dworu, ale w niektórych obwodach zależność od Moskwy była coraz mniejsza. Szaraf Raszidow, szef uzbeckiej mafii, rozkradł całą republikę, ale nigdy nie wchodził w spór z Moskwą, która przekształciła Uzbekistan w jedno wielkie pole bawełny. W nowej sytuacji niektóre republiki postanowiły skorzystać z gorbaczowowskiej reformy zarządzania, by rozszerzyć swoje prawa.

Gorbaczow odparł — „nie". Odrzucił uchwałę estońskiej Rady Najwyższej o przywróceniu republice suwerennych praw do surowców naturalnych, wód, lasów, przedsiębiorstw przemysłowych, transportu itp. Kategorycznie odrzucił uchwałę o „prywatnej własności", która wzbudziła w nim „szczególną troskę". Jak wiadomo, Związek Sowiecki zna tylko dwie formy własności: socjalistyczną (tj. państwową i kołchoźniczo-sowchozową) oraz osobistą (przedmioty użytku osobistego i domowego). Własność prywatna — przypomniał Gorbaczow — „jest jak wiadomo podstawą wyzysku człowieka przez człowieka i po to dokonaliśmy rewolucji, żeby ją zlikwidować i wszystko oddać na własność narodowi".

Odrzucając żądania Estończyków, generalny sekretarz powoływał się na fakt, że klasa robotnicza jest przerażona „knowaniami ekstremistów nacjonalistycznej maści": „Coraz głośniej brzmi żądanie, zwłaszcza ze strony klasy robotniczej, że należy poskromić demagogów, tych, którzy spekulują politycznie na procesach demokratyzacji i *głasnosti*" (*Prawda* z 29 listopada 1988). Gorbaczow przytoczył jeszcze jeden argument. Uznając niektóre pretensje Estończyków za słuszne, np. ich skargi na „dyktat resortów", stawia pytanie: „A czyż w Rosji tego nie czujemy?". W centrum Rosji, w strefie bez czarnoziemu, tam „gdzie są korzenie narodu rosyjskiego i państwa rosyjskiego", sytuacja też jest katastrofalna, ale republika rosyjska — chce powiedzieć generalny sekretarz — na razie się nie skarży.

Gorbaczow obiecuje, że na letnim plenum KC zajmie się problemami narodowości, „w ramach następnego etapu reformy politycznej" opracuje „system środków i mechanizmów państwowo-prawnych", które na nowo określą stosunki między republikami a centrum. Na razie należy się zająć „zharmonizowaniem centrum i republik". Przemawiając przed Radą Najwyższą o zmianach w konstytucji, Gorbaczow raz jeszcze wspomniał o „zharmonizowaniu" i dodał: „Wszystkie republiki są żywotnie zainteresowane w istnieniu silnego centrum" (*Prawda* z 30 listopada 1988).

Sowiecka literatura nie przestaje mnie zdumiewać. Era *głasnosti* nie zrodziła ani jednego wybitnego pisarza, ani jednego wybitnego dzieła. Hurmem za to stawili się cwaniacy i spryciarze.

Ci zawsze mają na nowe czasy długą powieść, a w niej portret nowego generalnego sekretarza i jego ulubione powiedzonka. Pismo *Oktiabr* wydrukowało w numerach 8 i 9 długą powieść Aleksandra Prochanowa. Nie raz już o nim pisałem, i nie bez racji — jest najwybitniejszym dziś „pisarzem politycznym". Z jego pióra spłynęła pierwsza powieść o inwazji Afganistanu, o którym i potem wiele pisał, podobnie jak o innych „zapalnych punktach planety" — Mozambiku, Namibii, Nikaragui, Kambodży. Inteligentny krytyk literacki Ałła Łatynina nazwała go „słowikiem sztabu generalnego". W rzeczy samej — opiewał „brzemię człowieka sowieckiego", niosącego światu socjalizm, w razie potrzeby na lufach automatów i czołgów.

Tymczasem pojawiły się nowe hasła i nowe liczmany, a w ślad za nimi nowa powieść Prochanowa, „Sześćset lat po bitwie". Zawiera ona krytykę ery Breżniewa i błędów Stalina oraz pewne nowe elementy. Główny bohater zrozumiał, że problemem socjalizmu jest zarządzanie. Wymyśla więc fantastyczną teorię pod nazwą „Triust", skrót od „Triumf stulecia". Socjalizm skupia energię społeczną wszystkich ludzi i śmiało rusza do przodu. Pojawia się jednak — i to mnie właśnie zachwyca w literaturze sowieckiej — bohater, skromnie zwany „Harmonizatorem". Jest to neologizm, ale piękny. Dla „Harmonizatora" nie ma rzeczy niemożliwych: „Każcie mu rządzić państwem, a w ludziach natychmiast budzi się wiara, nie straszne im już jutro, nie straszny im potężny wróg, sądy sądzą sprawiedliwie, woda w jeziorach i rzekach staje się czyściejsza, książki, jak przykazania, uczą dobra, naród mówi to, co myśli, a myśli o przyszłości swojego państwa" (*Oktiabr* nr 8/1988, str. 116). Wykapany portret. Pewne pytania jednak pozostają bez odpowiedzi. Co znaczy „Każcie mu rządzić"? Kto ma kazać? To zresztą nie ma już może wielkiego znaczenia, odkąd zatwierdzono poprawki do konstytucji. Szczególnie ciekawe są artykuły 120 i 121. Traktują one o przewodniczącym Rady Najwyższej — funkcji, której dotychczasowa konstytucja nie przewidywała. Będzie to „najwyższe stanowisko w państwie sowieckim... reprezentant ZSSR w kraju i w stosunkach międzynarodowych". Przewodniczącego wybierać się będzie z grona deputowanych w tajnym głosowaniu na nie więcej niż pięć lat i nie więcej niż dwie kadencje pod rząd. Jego uprawnienia są niezmierzone: ogólny nadzór nad przygotowaniem kwestii, przewidzianych do rozpatrzenia przez najwyższe organy władzy, wygłaszanie mów o sytuacji w kraju oraz ważnych zagadnieniach polityki wewnętrznej i zagranicznej, proponowanie kandydata na stanowisko pierwszego zastępcy i członków Komisji Kontroli Konstytucyjnej, proponowanie kandydatów na stanowiska przewodniczącego Rady Ministrów, przewodniczącego Komisji Kontroli Ludowej, prezesa Sądu Najwyższego, prokuratora generalnego, głównego rozjemcy państwowego, a także przewodnictwo Rady Obrony ZSSR oraz prowadzenie pertraktacji i podpisywanie umów międzynarodowych ZSSR. Artykuł 121, który wylicza uprawnienia przewodniczącego, nie wspomina o tym, że jest on równocześnie generalnym sekretarzem KC KPZS. Wy-

bory na stanowisko przewodniczącego odbędą się pod koniec marca albo na początku kwietnia. Można bez większego ryzyka błędu odgadnąć, kto zostanie wybrany w „tajnym głosowaniu". Czteroletnia wspinaczka M. S. Gorbaczowa na szczyty wkrótce zostanie formalnie zakończona.

Jeśli Gorbaczow jest „Harmonizatorem", to istotnie wszystko jest jak najlepiej. Doczekaliśmy się, nastał dzień szczęścia i chwały. A jeśli nie jest? Niedawno nadeszły z Moskwy wieści o scenie, jaką Michaił Siergiejewicz urządził Załyginowi w związku z zapowiedzią książek Sołżenicyna, umieszczoną na ostatniej stronie *Nowego mira*. Pisałem o tej historii w poprzednim przeglądzie. Teraz mogę dorzucić, że według godnych całkowitego zaufania źródeł „Harmonizator" wpadł w wielki gniew. Tupał nogami. Jak jednak nie przyznać, że wszystko się zmieniło? Publikacja książek Sołżenicyna została zakazana, za to w Moskwie, w Domu Filmowców (nie w Domu Pisarza!) pozwolono (organizator podkreślił, że pozwolono) zorganizować wieczór z okazji siedemdziesiątych urodzin Sołżenicyna. 11 listopada 1988 wielki pisarz skończył siedemdziesiąt lat. Mówcy — najwierniejsi z wiernych zwolenników *pieriestrojki* — wyrażali się o Sołżenicynie bez entuzjazmu. Mieli jednak argumenty na jego korzyść: nawet jeśli jest antykomunistą, to przecież rozmawiamy też z panią Thatcher i z Ronaldem Reaganem! Dlaczegóżby nie z Sołżenicynem? Wieczór upłynął pod znakiem harmonii...

Adam KRUCZEK

14 grudnia 1988

Kronika czeska i słowacka

Wspólne oświadczenie w dwudziestą rocznicę inwazji na Czechosłowację podpisali obywatele pięciu krajów: Czechosłowacji, Związku Sowieckiego, Węgier, NRD i Polski. Wyrażają oni życzenie, *„aby ZSSR dotrzymał obietnicy i wycofał swe wojska z okupowanych krajów"*, stwierdzają konieczność przebudowy Układu Warszawskiego i jego demokratyzacji oraz domagają się osądzenia inwazji na Czechosłowację przez wszystkie kraje, które brały w niej udział, jak też wyjaśnienia przez Związek Sowiecki *„nie tylko brakujących faktów dotyczących stosunków sowiecko-polskich, ale i swej roli w represjach przeciw robotnikom berlińskim w roku 1953, w dławieniu powstania węgierskiego w roku 1956, w zdławieniu czechosłowackiej demokratyzacji z roku 1968 i w polskim puczu z roku 1981"*. ■ Tysiące Czechów wyszło 28 października na ulice Pragi w 70-tą rocznicę powstania Czechosłowacji. Do udziału w niezależnych obchodach wezwało pięć organizacji: Czeskie Dzieci, Inicjatywa Demokratyczna, Karta 77, Niezależne Ugrupowanie Pokojowe oraz Towarzystwo Przyjaciół USA. Przeciw demonstrantom skierowane zostały zmasowane oddziały czeskich sił bezpieczeństwa. Władze

CSRS pokazały dobitnie, na czym polega *přestavka*. ■ Po raz pierwszy od 1948 roku dzień 28 października był obchodzony jako święto państwowe. Przedstawiciele władz złożyli wieńce na grobie twórcy państwa Tomaša Masaryka w Lanach. Ogłoszono też amnestię, na mocy której 7.000 osób zostało zwolnionych, 160 tysiącom więźniów obniżono zaś wymiar kary, wśród nich — o połowę — Ivanovi Polanskiemu, skazanemu na cztery lata za posiadanie wydawnictw religijnych. Na zebraniach partyjnych KPCS pouczano potem, że sowieckie flagi wywieszać należy przy innych okazjach, niż święto niepodległości. ■ 11 listopada rano czeski dramaturg Václav Havel otworzył w praskim hotelu „Pařyž" międzynarodowe sympozjum *Czechosłowacja 1988*, które miało być poświęcone roli, jaką ten kraj spełniał przez siedemdziesiąt lat swego istnienia w losach Europy. Okazją była czterokrotna rocznica: powstania państwa czechosłowackiego (1918), układu monachijskiego (1938), komunistycznego puczu Gottwalda (1948), w końcu „praskiej wiosny" i sierpniowej inwazji wojsk Układu Warszawskiego (1968). Organizatorzy (Karta 77, Niezależne Ugrupowanie Pokojowe, Inicjatywa Demokratyczna, Towarzystwo Przyjaciół USA oraz Sekcja Jazzowa) liczyli na to, że po podobnych imprezach w Moskwie, Belgradzie i Krakowie władze czeskie również nie zdecydują się na akcję przeciw sympozjum. Tymczasem już dwa dni wcześniej zaczęła się policyjna łapanka na co znamienitszych czechosłowackich dysydentów. Wśród zatrzymanych znaleźli się m.in. były minister spraw zagranicznych z okresu „praskiej wiosny" Jiří Hájek oraz wszyscy trzej rzecznicy Karty 77, Stanislav Devátý, Miloš Hájek i Bohumir Janát. Václavowi Havlowi, który przewodził komitetowi organizacyjnemu sympozjum, udało się uniknąć aresztowania, dlatego mógł się pojawić na umówionym miejscu. Szereg osób zaproszonych zza granicy nie otrzymało wiz wjazdowych, a dr Erhard Busek z Wiednia wobec groźby aresztowania po przybyciu do Pragi zrezygnował z udziału w sympozjum. Wkrótce po rozpoczęciu obrad wkroczyli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, którzy aresztowali Havla i około dwudziestu innych czechosłowackich uczestników sympozjum. Goście zagraniczni, wprawdzie ostrzeżeni, iż uczestniczą w nielegalnej imprezie, ale pozostawieni na wolności, postanowili na wniosek Timothy Gartona Asha kontynuować rozpoczęte obrady. Wśród nich znajdowali się oprócz wymienionego już dziennikarza angielskiego m.in. były minister spraw zagranicznych Holandii i przewodniczący holenderskiego komitetu helsińskiego Max van der Stoel oraz sekretarz generalny Międzynarodowej Federacji Helsińskiej Praw Człowieka Gerald Nagler. Skierowali oni również protest do rządu czechosłowackiego oraz poinformowali o zdarzeniach, których byli świadkami, delegacje krajów uczestniczących w pohelsińskiej konferencji przeglądowej KBWE w Wiedniu. Władze praskie zwolniły uwięzionych dopiero w poniedziałek 13 listopada. ■ Przewidując przedstawiony powyżej rozwój wypadków Międzynarodowa Federacja Helsińska Praw Człowieka zorganizowała w Wiedniu równoległe sympozjum, w którym wzięli udział zagraniczni uczestnicy spotkania w Pradze, jak też poseł do Parlamentu Europejskiego, wydawca miesięcznika *Listy* Jiří Pelikan, wydawca kwartalnika *Svědectvi* Pavel Tigrid, dyrektor Czechosłowackiego Ośrodka Kultury Niezależnej dr Vilém Prečan oraz przewodniczący Fundacji Karty 77, František Janouch ze Sztokholmu. ■ 5 listopada 1988 powstał Czechosłowacki Komitet Helsiński. Jego przewodniczącym wybrany został prof. Jiří Hájek. 1 grudnia Międzynarodowa Federacja Helsińska Praw Człowieka przyjęła komitet czechosłowacki (i polski) w poczet swoich członków. ■ 8 października 1988 r. 32-osobowa grupa obywateli CSRS powołała do życia Inicjatywę Obrony Społecznej. Ma ona w przyszłości nieść pomoc wszystkim tym, *„którzy są dyskryminowani czy też w inny sposób pokrzywdzeni w różnych kwestiach socjalnych"*, a zatem również i tym, których nie obejmuje działalność już istniejących podobnych organizacji, jak np. Komitetu Obrony Niesłusznie Prześladowanych *(VONS)*. Obejmować ma ona te

wszystkie problemy, gdzie na styku państwo-obywatel dochodzi do naruszania obowiązującego ustawodawstwa lub międzynarodowych zobowiązań Czechosłowacji: w miejscu pracy czy nauki, w sprawach rodzinnych, mieszkaniowych, opieki zdrowotnej. Sygnatariusze deklaracji założycielskiej Inicjatywy Obrony Społecznej powołują się na przykład skandynawskiego *ombudsman*'a, austriackiego *Volksanwalt*'a czy polskiego rzecznika praw obywatelskich. ■ Władze czechosłowackie zezwoliły Alexandrovi Dubčekovi po raz pierwszy od 18-tu lat na wyjazd za granicę. Były I sekretarz KPC otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu w Bolonii. W przemówieniu podczas uroczystości w Bolonii wystąpił w obronie „praskiej wiosny". Podczas pobytu we Włoszech Dubček spotkał się również z Papieżem, a także wystąpił w dyskusji telewizyjnej, w której ostrzegał przed nawrotem neostalinizmu w wypadku porażki *pieriestrojki*. ■ W końcową fazę wchodzi budowa gigantycznej elektrowni wodnej na Dunaju Gabčikovo-Nagymaros, wspólnego przedsięwzięcia Czechosłowacji i Węgier, w którym uczestniczy też szereg firm austriackich. Przeciw tej budowie protestują od dłuższego czasu działacze ekologiczni na Węgrzech i w Austrii, obawiający się, że może ona spowodować nieodwracalne zmiany w środowisku naturalnym na Węgrzech. ■ Reforma gospodarcza w Czechosłowacji ma się rozpocząć z dniem 1 stycznia 1990 roku, rok wcześniej, niż dotychczas planowano. Wprawdzie sytuacja wewnętrzna jest tam mniej napięta i zadłużenie w twardych walutach bardzo niskie (3,8 miliarda dolarów amerykańskich, mniej niż wartość eksportu w walutach wymienialnych — 4,4 mld dolarów), jednakże inne czynniki, jak przestarzały park maszynowy, brak mieszkań, kiepska infrastruktura, poważne problemy ekologiczne mogą spowodować, że i Czechosłowacja dołączy do swych sąsiadów. Jednym z pierwszych pociągnięć nowego rządu CSRS są kroki w kierunku wymienialności korony. Jej kurs nie będzie bazował w przyszłości na kursie rubla i złota, ale ma odzwierciedlać wyniki gospodarki kraju. Ostatnio weszła w życie ustawa o przedsiębiorstwach o mieszanym kapitale *(joint ventures)*, przygotowywana jest także ustawa o małych przedsiębiorstwach prywatnych. ■ W Bratysławie oddano do użytku fabrykę aparatury video *Avex AG*, powstałą jako *joint ventures*, w którym 20 % udziału ma holenderski koncern *Philips*, 70 % czechosłowacka *Tesla* i 10 % również czechosłowacka centrala handlowa *Transakta*. Fabryka zatrudnia 500 pracowników i ma produkować rocznie 100 tysięcy, a później nawet pół miliona aparatów video, przede wszystkim na rynek wschodni. Nie jest to pierwsze wspólne przedsięwzięcie *Philipsa* i *Tesli*. W zakładach *Tesli* w Litovelu produkowane są już od 1983 odtwarzacze płyt CD. ■ Władze czechosłowackie wprowadziły w ostatnim czasie drakońskie ograniczenia wywozu wszelkich produktów z tego kraju. Ponieważ w ślad za tym poszły zaostrzone kontrole celne, czas oczekiwania na granicy z Polską znacznie się wydłużył, dochodzi też do wielogodzinnych opóźnień pociągów. Mess-media obu krajów oskarżają wzajemnie przybyszy zza pobliskiej granicy o masowe wykupywanie towarów.

(amp)

We Wiedniu, 4 grudnia 1988

LIST 271 CZECHOSŁOWACKICH OBYWATELI

(za *Informace o Chartě* 77, nr 17/1988)

Do

Ministerstwa Sprawiedliwości CSRS
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych CSRS
Rządu CSRS
Federalnego Zgromadzenia CSRS

Po Zwycięskim Lutym w tzw. walce klasowej skazaliście i zabiliście 8.000 ludzi, 217.000 swych bliźnich posłaliście do obozów koncentracyjnych, większość z nich przed skazaniem czy też odesłaniem do obozu torturowaliście, zabiliście Zavišę Kalendrę,
zabiliście dr Horákovą, chociaż przeciw temu oburzał się cały cywilizowany świat,
w każdej wiosce unicestwiliście przynajmniej jedną wybraną chłopską rodzinę, aby poprzez nią zastraszyć pozostałe,
okradliście po roku 1948 całe rzemiosło i zniszczyliście je,
nikt już nie zliczy waszych ofiar, które odeszły ze świata w wyniku waszego fizycznego i psychicznego terroru,
cząstkę tych ofiar rehabilitowaliście, pozostałe objęliście groźnym eufemizmem błędów lat pięćdziesiątych, kto zliczy dzieci i dzieci tych dzieci, którym nie wolno było się kształcić i wykonywać dla naszego kraju pracy, która by im sprawiała radość?

Ale nawet jeślibyśmy się zgodzili, że była to sytuacja rewolucyjna,
Teraz jesteście u władzy już czterdzieści lat,
Dwadzieścia lat od inwazji wojsk Układu Warszawskiego,
od początku lat siedemdziesiątych, kiedy zaczęliście twierdzić, że sytuacja w naszym kraju się znormalizowała,
zabiliście w Valdici, Ostrově nad Ohří i innych więzieniach ludzi, których nazwisk nie znaliśmy i w większości nie znamy, a których wtedy nie mogliśmy lub baliśmy się odnaleźć.
W końcu zabiliście Pavla Wonkę.
Pavla Wonkę, więźnia sumienia.
To nieistotne, czy umarł — jak to mówicie — śmiercią naturalną, czy zamęczony waszym więzieniem.

Dość tego!

Nie jesteście w stanie zapewnić ludziom, których wam czasowo zawierzyła jurysdykcja, podstawowego ludzkiego prawa, prawa do życia,
żądamy:
Natychmiast uwolnijcie wszystkich więźniów sumienia i wszystkich więźniów politycznych!
żądamy:
Natychmiast wypuście na wolność:

Jiřiego Bohčča, Vladimira Červenia, Viktora Dederę, Petra Hauptmanna
Ondřeja Hocha, Michaela Kellera, Milana Obodę, Petra Obšila, Kamila Petrovickiego, Ivana Polanskiego, Jaroslava Popelku, Josefa Römera, Františka Veisę, Jiřiego Wolfa i dalszych więźniów sumienia i więźniów politycznych, których nazwisk nie znamy.

Natychmiast znowelizujcie prawo karne!

Funkcjonariuszy SNV[1], którzy dopuścili się czynów terrorystycznych (jak spalenie dyrektora opawskiego teatru w Ostrově nad Ohří na początku lat siedemdziesiątych), karzcie przynajmniej tak samo twardo, jak gdyby nigdy nie nosili munduru!

Natychmiast umożliwcie niezgłoszone i nieuzgodnione kontrole lekarzy, Amnesty International, FIDH[2] i podobnych niezależnych inicjatyw oby-

1. *SNV (Sbor Napravné Výchovy)* — czechosłowacka służba więzienna.
2. *FIDH* — Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka.

watelskich z jakiegokolwiek kraju w celu obiektywnego zbadania sytuacji w naszych więzieniach.

Tych, którym nasze żądania wydają się niezręczne, odsyłamy do Kurta Vonnegutta Jr.: *„O masakrze nie da się nic inteligentnego powiedzieć"*.

W Pradze dnia 15 sierpnia 1988

1 załącznik: list z 271 podpisami. Za autentyczność podpisów ręczą Ivan M. Jirous, 588 67 Stara Říše 33 i Jiří Tichý, Rybalkova 51, 101 00 Praha 10.

Kronika białoruska

W sierpniu 1988 przywódcy nieformalnego klubu patriotycznego „Talaka" w Mińsku, Siargiej Wituszka i Walancin Wiaczorka, wezwali do przywrócenia biało-czerwono-białej flagi narodowej Białorusi i jej herbu „Pogonii". Mimo że jest to postulat identyczny z wówczas wysuwanym, a dziś już zrealizowanym w Nadbałtyce, komentarze oficjalnej prasy Białorusi na ten temat były jednak wysoce nieprzychylne. Władze utrzymywały, że narodowe barwy i herb Białorusi są skompromitowane, ponieważ posługiwali się nimi narodowi działacze białoruscy, współpracujący w czasie ostatniej wojny z Niemcami. Sierpniowe zebranie „Talaki" opisano wrogo i wyśmiano jej żądania. Jednocześnie jednak z listu czytelnika opublikowanego w gazecie *Zwiazda* mogliśmy się dowiedzieć, iż nieformalna białoruska grupa „Alternatywa", prawdopodobnie działająca w Wilnie, na zebraniu nieformalnych grup w tym mieście wystąpiła pod biało-czerwono-białą flagą białoruską. „Talaka" opublikowała „Platformę ideologiczno-polityczną", w której domaga się 1) Przywrócenia białoruskiej autokefalicznej Cerkwi prawosławnej i białoruskiej Cerkwi katolickiej, 2) utworzenia białoruskich jednostek wojskowych z komendą białoruską, 3) wprowadzenia obywatelstwa białoruskiego, do którego uprawniałaby znajomość języka białoruskiego, 4) oficjalnego uznania herbu i hymnu narodowego Białorusi, 5) wolności informacji, 6) usunięcia z KK artykułu 186-1 („umyślne rozpowszechnianie oszczerstw, które znieslawiają sowieckie państwo i porządek społeczny"). ■ Na łamach *Literatury i Sztuki* — organu Związku Pisarzy Białorusi — historyk Dumin wezwał do ponownego zbadania roli, jaką odegrała Białoruś w dziejach Wielkiego Xięstwa Litewskiego i później w międzywojennej Rzeczpospolitej. Dumin starał się też udowodnić niesłuszność oficjalnej tezy sowieckiej, że masy białoruskie przez wieki dążyły do połączenia się z Rosją. Jego zdaniem Białoruś odgrywała zawsze samodzielną rolę. ■ Jak wynika z badań statystycznych opublikowanych (po prawie dziesięcioletniej zwłoce) we wrześniu tego roku, stołeczny Mińsk utracił białoruski charakter. W 1979 roku Białorusini stanowili około 68 %, Rosjanie 22 %, a pozostali ponad 9 % mieszkańców Mińska. Wprawdzie odsetek Białorusinów w latach 70-tych wzrósł o 3 %, a Rosjan i Żydów spadł o półtora procent, ale są to tylko pozory, gdyż w tym samym czasie odsetek Białorusinów deklarujących rosyjski jako swój język ojczysty wzrósł z 35,4 % do 39,3 %, co w rzeczywistości oznacza, że już przed dziesięciu laty rosyjskojęzyczna ludność stanowiła większość mieszkańców białoruskiej stolicy. Jeśli doliczymy do nich Żydów, którzy z reguły posługują się rosyjskim, okaże się, że odsetek ludności rosyjskojęzycznej wynosił 60 %. W ciągu następnych lat stosunek ten z pewnością jeszcze się pogorszył na niekorzyść Białorusinów, tym bardziej, że już w 1979 roku 54 % Białorusinów deklarowało, iż swobodnie posługuje się językiem rosyjskim. Już w roku szkolnym 1972/1973 — 97,6 % dzieci w wieku szkolnym z ośrodków miejskich pobierało naukę w języku rosyjskim. W 1986 roku zlikwidowano ostatnią miejską szkołę z białoruskim językiem wykładowym. Opisane tendencje sprawiają, że wprawdzie procent mieszkańców Białorusi deklarujących narodowość białoruską wzrasta, lecz jednocześnie spada odsetek Białorusinów uważających język białoruski za ojczysty. ■ W 1979 roku 14,5 tys. mieszkańców Mińska podało narodowość polską. Stanowiło to wówczas nieco ponad 1 % ludności białoruskiej stolicy. W 1970 383 tys. mieszkańców Białorusi deklarowało narodowość polską (w 1959 roku — 539 tys.), ale jednocześnie tylko 13,1 % Polaków podawało polski jako język ojczysty. W lipcu *Grodnienskaja Prawda* doniosła, że przy obwodowym oddziale Białoruskiego Funduszu Kultury powstała polska sekcja kulturalno-oświatowa. Działa ona na terenie Grodna i Lidy oraz w sześciu powiatach (rejonach): brzostowickim, wołkowyskim, werenowskim, grodzieńskim, świsłockim i szczuczyńskim. Adres sekcji: 230023 Grodno, ul. Elizy Orzeszkowej 3. Ponadto powstały kluby kultury polskiej, dwa w Brześciu i po jednym w Mińsku i Lidzie. W Nowogródku działa salon literacko-muzyczny grupujący miłośników twórczości Adama Mickiewicza. Od czerwca 1988 Anatol Kulesz zaczął prowadzić w Lidzie kurs języka polskiego. Polacy w Sopoćkiniach (Polacy stanowią tu 80 % mieszkańców) skierowali petycję do władz, by wprowadziły naukę języka polskiego w szkole. Odpowiedzi brak. ■ Uczniowie pierwszych klas w miastach będą mogli od roku szkolnego 1988/1989 pobierać naukę w języku białoruskim, a także 40 przedszkoli w stolicy przejdzie na ten język. Niestety dotychczas brak informacji dotyczących liczby białoruskich uczniów, którzy zgłosili chęć nauki w języku ojczystym. Już w zeszłym roku wprowadzono, przynajmniej w teorii, naukę języka białoruskiego do szkół rosyjskich począwszy od klasy drugiej. Zważywszy, że od 1973 roku około 98 % dzieci w miastach pobierało naukę w języku rosyjskim, a w zeszłym roku do szkół białoruskich chodziło tylko 32 % dzieci w republice, jest to ważna decyzja. Teraz zapowiedziano wprowadzenie białoruskiego języka wykładowego dla większości studentów filologii białoruskiej oraz zwiększenie godzin nauki białoruskiego w instytutach pedagogicznych, otwarcie studiów wieczorowych na filologii białoruskiej, zwiększenie liczby przedszkoli z językiem białoruskim, wprowadzenie telewizyjnych kursów języka, białoruskiego wydania trzech gazet republikańskich i wojewódzkich, które dotychczas ukazywały się wyłącznie po rosyjsku. Ponadto rozważa się wydanie nowych książek i serii wydawniczych, a także periodyków w języku białoruskim poświęconych historii narodowej. Być może ukazywać się będzie w języku białoruskim miesięcznik historyczny *Spadszczyna*. Wszystkie te zmiany odbywają się pod hasłem dwujęzyczności, co w obecnych okolicznościach oznacza równouprawnienie z rosyjskim języka ojczystego. ■ Na konferencji partyjnej, która pod koniec czerwca tego roku obradowała w Moskwie, przewodniczący Związku Pisarzy Białorusi Maksym Tank podkreślał, iż Białoruś dzięki osiągniętemu poziomowi życia gospodarczego może przejść do „autonomii w rozwoju ekonomicznym". Tank był jednak bardzo strożny i wypowiedział się przeciwko zerwaniu przez Białoruś i republiki bałtyckie więzów ekonomicznych łączących cały Związek Sowiecki. ■ 19 czerwca 1988 w Kuropatach z inicjatywy „Talaki" odbyła się, bez przeszkód ze strony władz, wielotysięczna manifestacja. Uczestnicy demonstracji nieśli plakaty z hasłem „Stalin — katem". W swoim wrześniowym numerze *Ogoniok* zamieścił artykuł Adamowicza, który stwierdził, iż czerwcowa demonstracja stanowiła protest nie tylko przeciwko zbrodniom Stalina, ale również przeciwko powstrzymywaniu „przebudowy" przez pewną część kadr społecznych i ideologicznych Republiki Bia-

łoruskiej. ■ 19 października 1988 na pierwszym zebraniu założonego właśnie towarzystwa „Martirolog", białoruskiego odpowiednika rosyjskiego Towarzystwa Pamięci Ofiar Stalinizmu, przegłosowano wniosek o utworzeniu Grupy Inicjatywnej Białoruskiego Frontu Ludowego. We Froncie działają aktywnie również członkowie „Talaki". Wzorem dla niego są podobne Fronty działające za przyzwoleniem i pod pośrednią kontrolą władz w republikach bałtyckich. Do „Martirologu" należy wielu intelektualistów mińskich, w tym wybitny pisarz białoruski Wasylij Bykau. Przewodniczącym Towarzystwa został historyk Zianon Pazniak, który był współautorem pierwszego artykułu opublikowanego na temat zbrodni w Kuropatach. Moskiewskie Towarzystwo Pamięci Ofiar Stalinizmu zostało powołane celem postawienia pomnika ofiarom terroru stalinowskiego (ale nie leninowskiego) i zorganizowania ośrodka studiów nad terrorem. Cieszy się ono poparciem władz i działa zgodnie z aktualnymi wytycznymi propagandy. Na 30 października Białoruski Front Ludowy, klub literacki „Tutejszyja" i klub „Talaka", a także rosyjski klub socjalistyczny „Sowremiennik" i Komitet Paragrafu 58 zwołały wiec na Cmentarzu Moskiewskim. Władze miejskie Mińska wyraziły ustnie zgodę na wiec w dniu 30 października i zawiadomienie o nim ukazało się oficjalnie w *Sowietskoj Biełarusi*. Dwa dni przed wiecem władze wycofały jednak swą zgodę, twierdząc iż Mińsk nie ma tradycji tego typu zgromadzeń, a w dniu demonstracji zamknięto pobliską stację metra, by uniemożliwić dojazd na Cmentarz Moskiewski. Po wydaniu zakazu również białoruski oddział Towarzystwa Pamięci Ofiar Stalinizmu wycofał się ze sponsorowania wiecu i uznał, że jego członkowie mogą uczestniczyć w nim indywidualnie bądź podporządkować się oficjalnemu rozporządzeniu. 29 października policja dokonała aresztowań prewencyjnych. 30 października, w niedzielę po południu, co najmniej 10 tys. ludzi — niektóre szacunki mówią nawet o 30 tys. — zebrało się w Mińsku, by uczcić pamięć ofiar stalinizmu, w tym ofiar masakr dokonanych w pobliskich Kuropatach. Początkowo ludzie gromadzili się w pobliżu Cmentarza Moskiewskiego, ale zostali rozpędzeni przez specjalne oddziały policji przy użyciu gazów łzawiących, armatek wodnych, pałek i psów. Mimo to na sam cmentarz udało się przedostać około 4 tysiącom manifestantów, których również zaatakowała tam policja. Niektórzy, prowadzeni przez Zianona Pazniaka, próbowali przenieść wiec do lasu w Kuropatach, ale policja otoczyła las kordonem. Z. Pazniakowi udało się jednak odczytać deklarację Frontu. Aby rozpędzić ludzi, którzy gromadzili się na pobliskim polu, ponownie użyto gazów łzawiących i pałek. Według jednych świadectw zatrzymano około 80 osób, a według innych 14, spośród których dziesięcioro zatrzymanych skazano na grzywny wysokości stu rubli, a czterech zwolniono. W poniedziałek 31 października władze oświadczyły, że pięć osób zostało uwięzionych, a pięć znalazło się na wewnętrznym zesłaniu na podstawie ustawy zakazującej działalności antysowieckiej i religijnej. Jednym z zatrzymanych okazał sdię Zianon Pazniak. Ponadto wśród zatrzymanych wymieniono też Walerego Orłowa, członka „Martirologu" i znanego pisarza białoruskiego Konstantina Tarasawa. ■ W wydawanych dla inteligencji moskiewskiej i Zachodu *Moskiewskich Nowostiach* wybitny pisarz białoruski Wasylij Bykau ostrzegał, że sytuacja na Białorusi jest „bardzo niepokojąca" i stwierdzał, że w czwartym roku „przebudowy" prasa podjęła kampanię przeciwko samoświadomości narodowej Białorusinów. Adamowicza określono jako „najemnika Tel-Avivu", zaś członków „Talaki" oskarżono o „burżuazyjny nacjonalizm". ■ *Nowa Koalicja* w numerze 6/1988 poświęca dużo miejsca „przebudowie" na Białorusi oraz publikuje artykuł Kazimierza Podlaskiego, polemizujący z książką Sokrata Janowicza „Białoruś, Białoruś" (Warszawa 1987).

Józef DARSKI

Grudzień 1988

Kronika litewska

Na Uniwersytecie Poznańskim powstał wydział lituanistyki. ■ W czasie uroczystości watykańskich z okazji konsekrowania arcybiskupa Bačkisa Papież zaprosił na obiad biskupów litewskich. Ponieważ wielu z nich nie włada już językiem polskim, Papież rozmawiał przeważnie z biskupem wileńskim Stepanovičiusem, absolwentem Uniwersytetu Batorego. Bp Stepanovičius (kardynał *in pectore?)* odnosi się do Polaków przychylnie, chociaż jego ojciec, działacz litewski na Wileńszczyźnie, siadywał podobno w więzieniu na Łukiszkach. ■ Wileński *Czerwony sztandar* z dnia 20 października 1988 ostrzega: „Zadajemy więc pytanie: komu są potrzebne pogłoski o jakoby planowanych w tych dniach na placach naszej stolicy wiecach Polaków, gdzie ma być wypowiedziana walka *sajudisowi* (ewentualnie Litwinom)? Komu jest potrzebne kłamstwo, że Polacy ogłosili (a nawet wydrukowali w gazecie) program swej autonomii politycznej? Kto rozpowszechnia pogłoski, że odbył się wiec przy grobie Piłsudskiego, gdzie Polacy żądali przyłączenia Wilna do Polski?". ■ W związku z wprowadzeniem języka litewskiego jako państwowego słychać głosy: „Jakie są gwarancje, że człowiek (...) nie znający języka litewskiego będzie mógł swobodnie porozumieć się, załatwić sprawę, uzyskać potrzebne informacje? Wypadki nietolerancji w stosunku do innych narodowości już się w praktyce zdarzają". Rosjanie wskazują na niski poziom nauczania i brak podręczników języka litewskiego dla Rosjan i Polaków. ■ Na Litwie odezwały się apele o wystawienie pomników przywódcom powstania 1863 roku, ks. Mackiewiczowi i Sierakowskiemu. Na Litwie niepodległej takich głosów nie było, gdyż powstanie zaliczano do „polskich czasów". ■ Dnia 11 listopada 1988 miał zostać otwarty w Wilnie przy ulicy Wielkiej nr 37 konsulat PRL. W 1988 roku odwiedziło Litwę 80 tys. polskich turystów. W Kownie i Wilnie pracuje 300 polskich specjalistów przy zabezpieczaniu i restaurowaniu zabytków. Polacy mają krótki program w wileńskiej telewizji, ale domagają się nadawania programów z PRL, które można odbierać bezpośrednio tylko na małym skrawku Litwy. Zezwolenie na retransmisję zagranicznych programów zależy od Moskwy. ■ Polskie Towarzystwo Kulturalne z siedzibą w Wilnie otworzyło oddziały w Trokach, Solecznikach, Święcianach i Malatach. ■ Sytuacja mniejszości litewskiej w sąsiednich krajach: ok. 24 tys. Litwinów okręgu kaliningradzkiego nie ma żadnych litewskich szkół ani nabożeństw; w republice białoruskiej — żadnych szkół, nabożeństwa bardzo sporadyczne, bodaj jeden ksiądz. Litewskie zespoły nie są tam wpuszczane. Na Łotwie nie ma szkół, ale odbywają się gdzieniegdzie co drugą niedzielę nabożeństwa. W PRL są nabożeństwa litewskie, szkoły podstawowe i gimnazjum, występy zespołów artystycznych z Litwy nie napotykają trudności. ■ Liczne kluby ekologiczne na Litwie połączyły się na spotkaniu w Kiejdanach w jeden ruch Zielonych. ■ Na Litwie zebrano tysiące podpisów pod petycją o międzynarodową inspekcję zakładów atomowych w Ignalinie. ■ Rewelacje o zakłamaniu sowieckich podręczników historii Litwy spowodowały podobno czasowe skreślenie tego przedmiotu w szkołach. Popularny miesięcznik litewski zaczyna druk w odcinkach przedwojennego podręcznika historii Litwy prof. Szapokasa, dotychczas zakazanego. ■ *Sajudis* utrzymuje, że żadna organizacja polityczna nie ma prawa uzurpować sobie władzy politycznej w republice. *Sajudis* żąda gwarancji konstytucyjnych nietykalności osobistej, własności, mieszkania, tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych, swobody słowa, druku i zgromadzeń, zwrócenia Kościołowi należących do

niego dóbr, w tym bezprawnie zarekwirowanych budynków. *Sajudis* zmierza do przywrócenia chłopom prawa do ziemi, odbudowania gospodarki indywidualnej i spółdzielczej. ■ Kard. Sladkievičius zalecał w czasie pierwszego nabożeństwa w odzyskanej katedrze, aby nauczyć się czekać, gdyż ziarno dopiero posiano, a jesień i plon daleko i nie wiadomo, jakie. Było to powiedziane do rozentuzjazmowanego tłumu zaraz po powrocie kardynała z Rzymu. Kardynał Sladkievičius został przed kilkunastu laty konsekrowany na biskupa-sufragana, ale odbyło się to bez wiedzy i zgody władz sowieckich, za co nielegalnie konsekrowanego biskupa na długie lata odosobniono przy małym kościółku poza jego diecezją.

E. ŻAGIELL

Pożar w rezerwacie breżniewizmu

KOMUNIKAT UKRAIŃSKIEGO ZWIĄZKU HELSIŃSKIEGO W KIJOWIE

Redakcja Kultury *otrzymała od Ukraińskiego Związku Helsińskiego opis pierwszej niezależnej masowej manifestacji w Kijowie, która odbyła się 13 listopada 1988 roku.*

Czy to strażacy zmęczyli się, lejąc zimną wodę na gorące szeregi zwolenników przebudowy, czy też ktoś „z góry" tupnął na nich nogą, ale faktem jest, że parkany breżniewizmu w Kijowie zapłonęły.

13 listopada w niedzielę prawie 10 tysięcy kijowian przybyło na wiec ekologiczny w pobliżu stadionu republikańskiego. Przestarzały aparat władzy nie miał już odwagi podkopywać przebudowy i zmuszony był zgodzić się na zorganizowanie wiecu. Udało mu się tylko zabronić strasznych dla „uszu narodu" haseł „Za bezatomową Ukrainę", „Odpowiedzialnych — do odpowiedzi", „Klub 'Spadszczyna' za ekologię języka, kultury, przyrody", „Głasnist' — bez nadruku 'tajne' ", „Zieloni jednoczmy się". Już na samym początku wiecu tajemniczo zniknął sponad głów transparent z napisem: „Hiroszima, Nagasaki, Czarnobyl, Czehryń?".

Wiec, zorganizowany przez Klub Ukrainoznawczy „Spadszczyna", „Hromadę" — stowarzyszenie studentów Uniwersytetu Kijowskiego imienia Tarasa Szewczenki, nieformalną grupę „Noosfera" i stowarzyszenie „Zełenyj Swit", rozpoczął znany poeta Dmytro Pawłyczko. Wezwał on społeczeństwo do utworzenia narodowego frontu popierania przebudowy. Pisarze ukraińscy Jurij Szczerbak, Wołodymyr Jaworywśkyj i Rostysław Bratun zwrócili się do słuchaczy z płomiennymi przemówieniami, przesiąkniętymi bólem z powodu zniszczonej przyrody kraju ojczystego. O działalności klubu ochrony środowiska naturalnego na Łotwie mówiła Anda Aukoka. Przedstawiciel społeczności ukraińskiej w Wilnie, Wasyl Kapkan, opowiedział o sukcesach ruchu narodowego na rzecz przebudowy na Litwie. Wysłannik z Armenii odmalował groźny obraz sytuacji ekologicznej kraju oraz przebieg wydarzeń związanych z Górnym Karabachem. Odezwę Komitetu Wykonawczego Ukraińskiego Związku Helsińskiego do obywateli Ukrainy przeczytał Ołeś Szewczenko.

Kierownik laboratorium badań biosfery Akademii Nauk ZSSR Wasylij Giepunow kompetentnie oświadczył: „Przyjechałem, żeby Wam powiedzieć, że naród Ukrainy zbliża się obecnie do katastrofy ekologicznej. Cały naród Ukrainy żyje teraz faktycznie we wspólnym reaktorze atomowym. Uważam, że jest to jedna z najstraszniejszych zbrodni popełnionych wobec narodu ukraińskiego. Nad naszymi miastami i Kijowem zawisła groźba strefy martwego powietrza. Nasze obserwacje dokonane za pośrednictwem sputników wykazały, że nad Kijowem, Moskwą i Dniepropietrowskiem w ciągu ostatnich trzech lat powstały niebezpieczne zmiany w koncentracji ozonu, mogące prowadzić aż do rozerwania się pola ozonowego nad Kijowem. Powinniśmy znać prawdę, a jest ona taka: w ciągu najbliższych kilku lat koniecznie trzeba usunąć cały przemysł i energetykę atomową z obszaru Ukrainy. Oprócz tego naród ukraiński powinien natychmiast zrekonstruować kaskadę GEF. Wszystkie systemy należy przywrócić do stanu naturalnego. Jeśli dochód z energetyki stanowi obecnie sto milionów rubli, to straty wynoszą ponad 25 miliardów rocznie".

W. J. Giepunow wzywał naród ukraiński, aby tworzył ekologiczne komitety ratunkowe. Troskę kolegi podzielili ukraińscy akademicy D. Chrobdzynśkyj i W. Smyrnow. Czerkaszczanin Wysokin opowiedział o tym, jak tępota zacofanej biurokracji partyjnej prowadzi do kryzysów ekologicznych, a jego krajanka Ludmyła Taranenko podkreśliła, że czynownicza wierchuszka boi się słów „Front Narodowy" jak diabeł święconej wody.

W ulotkach stowarzyszenia „Hromada", kolportowanych wśród zebranych, wzywano: „Żadnego posła — zwolennika elektrowni atomowych!".

Po przyjęciu posłania przedstawicieli ruchu Zielonych, do mikrofonu zaczął przedostawać się właśnie zwolniony z aresztu lwowski inżynier Iwan Makar. Powitano go oklaskami i okrzykami: „Chwała"! Ale nerwy zgorszonych tym „skandalem" i osłabionych organizatorów masówek nie okazały się z żelaza: na pół godziny przed zakończeniem wiecu mikrofony wyłączono. Mimo to jednak do wystąpienia Iwana Makara doszło, a jego słowa odbijały się wielokrotnym „Front Narodowy!", „Front Narodowy!"...

SŁUŻBA PRASOWA
UKRAIŃSKIEGO ZWIĄZKU HELSIŃSKIEGO

Komunikat numer 36 Służby Prasowej Ukraińskiego Związku Helsińskiego z dnia 14 listopada 1988 roku.

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM KRONIKI NIEMIECKIEJ

Ks. Prałat J.J.K. (Nowy Jork, USA). — Z głębokim smutkiem zapoznałem się z treścią listu Księdza Prezesa. Wynika bowiem z pisma, prezentującego stanowisko *Rady PAIRC*, że wrażliwość organizacji określającej się jako charytatywna ulokowana jest w sferze przepisów, konieczności administracyjnych, biurokratycznych zasad. Ja pisałem o ludziach, uchodźcach, Polakach, którzy w trudnych, często tragicznych początkach życia emigracyjnego nie mogą liczyć na prawie żadną pomoc ze strony amerykańsko-polskiej organizacji. Po wywodach poświęconych subwencjom rządowym i polityce oszczędnościowej Ksiądz Prezes stwierdza, że *PAIRC* jest organizacją działającą dzięki ofiarności Polonii Amerykańskiej. Czy nie byłoby uczciwiej napisać, że ofiarność ta jest mocno ograniczona, że nie istnieje w USA *lobby* polskie, które byłoby w stanie

uzyskać zwiększenie kwot imigracyjnych dla Polaków? Jakim argumentem dla organizacji charytatywnej Polonii Amerykańskiej jest decyzja rządu USA w sprawie finansowania wyjazdów Polaków do Australii, RPA i Kanady? Jaki wpływ na wydawanie zaświadczeń o fakcie złożenia podania o imigrację w amerykańskiej instytucji może mieć zachodnioniemiecki *Urząd do spraw Cudzoziemców* i od kiedy ten urząd ma prawo wydawać dyrektywy organizacji charytatywnej Polonii Amerykańskiej? Polityka azylowa RFN jest w porównaniu już nie tylko z polityką imigracyjną USA, ale z zasadami udzielania Polakom pomocy przez *PAIRC* — bardzo liberalna. Nawiasem mówiąc zupełnie niezrozumiałe jest utrzymywanie *Biura PAIRC (HQ)* w Monachium, gdzie być może instytucji tej trudniej jest ułożyć współpracę z rządem Bawarii, niż miałoby to miejsce w Północnej Nadrenii-Westfalii. Podział Niemiec na strefy okupacyjne jest już dość dawno zniesiony i nie istnieje przymus utrzymywania biura amerykańskiej organizacji w byłej amerykańskiej strefie okupacyjnej. W kwestii wypłacania zapomóg i domagania się ich zwrotu z listu Księdza Prezesa dowiedzieć się można niemal o wszystkim, nie wyłączając orzeczenia *Sądu Najwyższego*, z wyjątkiem tego, czy skargi wnoszone przez niektórych, osobiście dotkniętych imigrantów mają podstawy realne. Reasumując — nie pieniądze są ważne i nawet nie zaświadczenia, tylko generalny stosunek polsko-amerykańskiej organizacji do polskich uchodźców. Nie mając pełnych możliwości działania, powinna ona energicznie zabiegać i w Waszyngtonie i w Bonn, aby jej takie możliwości stworzono.

Andrzej J. CHILECKI

Z powodu choroby Andrzeja Chileckiego nie ma w tym numerze jego „Kroniki niemieckiej" — REDAKCJA.

Kronika kulturalna

Tajemnica Stawiska

Nie wiem, kto narysował tę karykaturę. Wywieszono ją pośród wielu innych w hallu teatralnym podczas uroczystości wręczania nagród młodym literatom. Pociągnięta zręczną kreską, zachowując doskonałe podobieństwo twarzy, przedstawiała dwie postacie: pochylonego nad kartką papieru Jarosława Iwaszkiewicza, z którego ust wybiegał „dymek" z napisem: „Jak słusznie powiedział Stasiek", oraz moją, wyciągniętą w geście żurawia ku wystającemu z jego kieszeni zwojowi manuskryptów. Dla większości moich przyjaciół była to dość czytelna aluzja. W ten sposób grafik przypominał artykuł pisarza, w którym w ostry jak na niego sposób wziął mnie w obronę przed napadami grupy krytyków skupionych wokół Towarzystwa Patriotycznego „Grunwald". Jego stanowczy głos zakończył dziwaczną i dwuznaczną dyskusję nad prawami i obowiązkami pisarza, nad granicami artystycznej wolności. Obiektem ataku stałem się po opublikowaniu szkicu, w którym optowałem za indywidualizmem i prawem do „wymierzania niesprawiedliwości widzialnemu światu", a przeciwko niewoleniu twórcy przez demagogię zbiorowego, kolektywnego odczuwania. Posypał się na mnie grad. Za nieznanym nazwiskiem nie stał nikt — żadna grupa, żaden autorytet indywidualny ani zbiorowy. Tymczasem problem był tylko zastępczą etykietą dyskusji znacznie poważniejszej: o granice niezależności pisarza wobec partii. Pierwsze wstrzelenie się w zagadnienie opozycyjnej inteligencji.

Szczerze mówiąc nie do końca orientowałem się, jakie tryby polityki kulturalnej mnie gniotą. Po prostu cieszyłem się, że pojawił się potężny sojusznik, który osłonił mnie swoją obszerną

kapotą. Jego wypowiedź uznałem z jednej strony za uznanie mojej racji, z drugiej za oznakę pamiętającej życzliwości.

Naiwny, nieskończenie naiwny! Oczywiście Iwaszkiewicz nie pamiętał mojego nazwiska dłużej niż dzień po naszym dawnym spotkaniu, a mój obecny sąd był tylko drobnym elementem, który przypadkowo wkomponował się w znacznie większą i znacznie ważniejszą układankę.

Karykatura zapadła mi jednak w pamięć z zupełnie innego powodu. Otóż rysownik jakimś przedziwnym impulsem podświadomości wychwycił „z powietrza" aurę chorobliwej ciekawości, podglądactwa, niepohamowanego wścibstwa, które przed laty pchnęły mnie na Stawisku do gestu oględnie mówiąc nieeleganckiego. Lata późniejsze miały przynieść charakterystyczny rezonans. Balistyka powracającego bumerangu, grawitacja odkrytej tajemnicy, która choć błaha prowokuje do niepokoju, woła o odsłonięcie tym silniej, im więcej wokół niej mroku i niedopowiedzenia.

Tajemnica jednak, najbardziej nawet eteryczna, lubi narrację, opowieść. Trudno się od niej wykręcić. Iwaszkiewicza poznałem w początkach lat siedemdziesiątych, w trakcie poszukiwania spuścizny po jednym z młodych pisarzy, który w latach wojennych — jak i wielu innych — przytulił się do pisarza, znajdując w nim preceptora, powiernika, ostoję oraz zapewne kochanka. Szedłem przejęty i zdenerwowany, pełen uczniowskiej tremy. Ostatecznie miałem stanąć nos w nos z autorem książek, które były moimi lekturami obowiązkowymi w szkole i na studiach. Pierwszy w życiu kontakt z wielkim pisarzem, z mamutem wyjętym wprost z podręcznika historii literatury.

Byłem umówiony na godzinę 14-tą w Stawisku; w ręku ściskałem szkic drogi od stacji WKD do domu Iwaszkiewicza. Gdy doszedłem do bramy otwierającej dostęp do niby to lasku, niby parku, w gęstwinie zamajaczył dach domu. Uzbrojony przezornie w kij do odganiania psów — byłem uprzedzony, że biegają luzem — zbliżałem się do dużego, beżowego dworku z dwiema kolumnami i tarasem na piętrze. Przy bocznym wejściu stał nowiutki Fiat 125. Od frontowej strony rozpościerał się ogromny ogród pokryty poszarzałą trawą. Najpierw wątpliwość: z której wejść strony? Boczne drzwi zdyskredytowałem dość łatwo. „To pewnie wejście dla służby, atakujemy od przodu" — pomyślałem. Odrzuciłem kij i zadzwoniłem. Wewnątrz domu rozległo się gwałtowne szczekanie. Upłynęła długa chwila. Nikt nie wychodził. Nacisnąłem jeszcze raz. Tym razem dały się słyszeć jakieś głosy, hałas rozsuwanych drzwi, a potem głośne polecenie: „Aniu, zamknij psy"! Otworzyły się drzwi. Stanął w nich autor „Brzeziny". W całej okazałości, trudno pomylić. Spod zmarszczonych, krzaczastych brwi niecierpliwie spoglądały groźne oczy.

Milczał. Przedstawiłem się i przypomniałem o liście oraz umówionym spotkaniu. Długa cisza. Nie doczekałem się żadnej reakcji. Skonsternowany, bełkotliwie raz jeszcze powtórzyłem to samo. Znów upłynęła długa, bardzo długa chwila.

— Istotnie, ale ja teraz jem obiad.

Po czym zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Ani słowa więcej. Stałem jak otępiały, nie wiedząc co robić. Irytacja połączona z zawstydzeniem, rosnące poczucie urażonej dumy. Sytuacja co najmniej idiotyczna. Obrazić się czy uderzyć w pokorę? Wybrałem to pierwsze, lecz zanim odszedłem, znów rozległ się hałas i uchyliły się drzwi.

— Niech Pan wejdzie. Proszę zostawić płaszcz i pójść na górę do gabinetu.

Wskazał mi drogę i zniknął. Obok mnie stał wielki wypchany niedźwiedź z tacą na wizytówki. Powierzyłem mu kurtkę (co za nietakt) i wspiąłem się po skrzypiących schodach na piętro. Wejścia do trzech pokoi stały otworem: który z nich to gabinet? Sztubackie *entrée en scène* i sztubacka rola. Przysiadłem więc w korytarzyku na krzesłach. Z lewej strony szafka z książkami. Przykucnąłem i zacząłem przeglądać tytuły. Na ścianach wisiały stare portrety i rysunki. Szczególną uwagę przyciągała karykatura, przedstawiająca całą „piękną plejadę": Lechoń, Tuwim, Słonimski, Wierzyński i oczywiście Iwaszkiewicz. Najlepsze lata Skamandra. Jak niewiele z nich dzisiaj zostało. Przegrali o kilka okrążeń z awangardą krakowską i wileńską. Ale może tak naprawdę ludzie wciąż jeszcze czytają skamandrytów, a na awangardę się tylko stylizują? Dla inteligentnych przyjaciół. Na pokaz.

Rzuciłem okiem do pokoju na wprost schodów. Jedna ściana była całkowicie zapchana książkami. W końcu nie wytrzymałem, wszedłem i zacząłem przeglądać. Mój Boże, jakie bogactwo! Spora biblioteka wojewódzka mogłaby pozazdrościć tych zbiorów. Wielka ilość pozycji w językach obcych, a szczególnie — rzecz zastanawiająca — w duńskim. Trudno było się powstrzymać od złośliwej myśli: żeby nikt nie kradł i nie pożyczał. Trudno nie przyznać racji pragmatyzmowi gospodarza. Któż zna tak egzotyczny język?

Ciekawa postać odchodzącej epoki. Swobodnie przekłada z angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego, francuskiego i duńskiego. Istny relikt dawnych czasów, starej kultury, członek formacji, która w całej Europie czuła się jak u siebie w domu. Podobno Tuwim, Słonimski i Lechoń podrwiwali z ciężkiej głowy i inteligencji Iwaszkiewicza. Daj Boże takie ograniczenie! Dziś wszyscy jesteśmy językowymi analfabetami. Jakoś dziwnie szybko wyprowadzono nas z Europy: tracimy więzi z Zachodem, podupadamy,

karlejemy, znikamy. Ciężkie rozmyślania spłoszyły kroki na schodach. Wyszedłem i oparłem się o barierkę, która niebezpiecznie zaskrzypiała. Wchodziła stara kobiecina w fartuchu.

— Niech Pan wejdzie do gabinetu i tam zaczeka. To już niedługo.

Był to spory pokój ze stojącym pośrodku ogromnym ministerialnym biurkiem, zawalonym papierami i pootwieranymi książkami. Spory wazon z wydartymi wprost z krzaka gałązkami. Duża biblioteczka. Po prawej stronie stara kanapa pokryta spłowiałą, pluszową kapą. Nie wzbudzała specjalnego zaufania. Kłębki sierści wyraźnie świadczyły, że psy gospodarza miały tu swoje legowisko. Siadłem z najwyższą ostrożnością. Większość mebli tego domu spokojnie można by przenieść do najbardziej kapryśnej Desy. Pół wieku wcześniej zapewne wszystko musiało wyglądać tu tak samo. Czas się zatrzymał. To nieco przygnębiające wrażenie rozwiewały jednak książki, mówiąc o tętniącym tu jeszcze życiu. W końcu nie wytrzymałem i zacząłem rozglądać się po biurku. Najpierw rzut oka na lekturę: monografia J. S. Bacha pióra Zawarsky'ego. Obie strony pobazgrane czerwonym ołówkiem lub flamastrem: „Idiota!" „Zdecydowanie prymitywne ujęcie!" „Rażąca symplifikacja!". Przerzuciłem kilka kartek. Wszędzie to samo. Na marginesach obelgi pod adresem autora.

Szczególną jednak uwagę przykuwał rozłożony maszynopis. Bez wątpienia dziennik Iwaszkiewicza. Zapisy prowadzone co prawda kapryśnie, niezupełnie trzymające się kalendarza, lecz nie ma najmniejszych wątpliwości, że to ostatnia korekta diariusza. Zapiski z lat sześćdziesiątych. Ostre, zdecydowane, pikantne. Nazwiska całego literackiego i politycznego parnasu. Plotkarskie i agresywne, pełne sądów brutalnych i ostatecznych. Ich ilość wskazywała, że jest tu spory kawał współczesnego życia. Nie zdążyłem zbyt wiele przeczytać, lecz wrażenie było niemałe. Gdyby taką książkę teraz wydrukować, byłby z tego niezły huk. Bezkompromisowość i niefrasobliwość niektórych opinii wręcz zaskakująca. Jakby autor czuł się w prawie skąpać pół świata w błocie. Równocześnie jednak jakieś przykre wrażenie powierzchowności i minoderii. Ostrość, lecz jakby nieco kawiarniana. Ciekawe, czy to do publikacji, czy do szuflady? Kiedy wzrok napotkał opis brudów rodzinnych, a potem jakiś mętny wywód jakby z pamiętniczka zawodowego deprawatora, przerwałem lekturę.

Cóż ja wyrabiam? Zawstydzony odszedłem od biurka i znów wlepiłem wzrok w grzbiety książek. Po chwili usłyszałem powolne kroki i skrzypienie schodów. Obiad najwyraźniej poprawił gospodarzowi humor, gdyż ściskając mi rękę uśmiechał się życzliwie. Sięgnął po krzesło stojące za biurkiem i usadowił się naprzeciwko, zakładając nogę na nogę. Przed moim nosem dyndała wielka stopa w starej wełnianej skarpecie, na której widniały bodaj wszystkie gatunki ostów i traw z otaczającego dom ogrodu. Rozpoczęła się ciężka rozmowa, podczas której wpierał we mnie ostre spojrzenie zza okularów, w których odbijało się światło wpadające przez okno. Niestety niewiele pamiętał. Po kilku pytaniach odniosłem wrażenie, jakby trawiła go już skleroza.

— Wie Pan — odpowiadał — pamiętam tylko tyle, że często u mnie bywał w czasie wojny. Zaprzyjaźnił się nawet ze Stasiem Piętakiem i bodaj z Kowalczykiem, u którego byliśmy kiedyś razem w Piastowie. Wróciliśmy zupełnie pijani. Pisał chyba jeszcze niewprawnie, ale on się dopiero „wypierzał". Jeszcze coś mogło z niego być. Miał ciężkie przejścia rodzinne, co w sporym stopniu go skrzywiło. Próbował jakby stanąć na nogi, więc literatura była dla niego rodzajem autoterapii. Przy tym wszystkim był to bardzo piękny mężczyzna. Mam tu dla Pana parę jego fotografii. Rzeczywiście ma Pan rację, że powiedzenie mojego bohatera ze „Starej cegielni" pochodzi od niego. On tak mówił: „jak kocham Pruszków". *Nota bene* nie wiem, czy Pan widział, że tej cegielni już nie ma, zburzyli ją. Teraz dużo i szybko burzą. Młyna nad Utratą też już nie ma.

Replikowałem, że za to zostały w jego utworach, lecz machnął niecierpliwie ręką.

— To takie gadanie! Być może, że literatura ocala, ale też deformuje i kłamie. Tyle w niej piękna, ile paskudy, tyle uzurpacji, ile prawdy. Przygotowałem dla Pana wszystkie jego teksty, jakie odnalazłem w swoich papierach.

— Czy będę mógł je zatrzymać? — spytałem.

— Głośniej, kochanie, bo ja nie słyszę!

Zaczerwieniłem się po same uszy i powtórzyłem pytanie.

— A tak, oczywiście! Nie są mi do niczego potrzebne. Może uda się Panu coś z tym zrobić, bo szkoda tego chłopaka. On był jeszcze bardzo młody i dopiero poszukiwał własnej drogi twórczej. Niewątpliwie w jego wierszach coś jest, ale to, co najważniejsze, było dopiero przed nim. Szkoda, że zginął. Co do jego talentu nie miałem wątpliwości. W ogóle to był szczególny chłopak. Bardzo mi się podobał. Pomimo wszystkich nieszczęść, jakie go dotknęły, była w nim jeszcze jakaś pasja życia. Los go okropnie skrzywdził, więc to musiało zostawić silne ślady w jego psychice. Może ją nawet skrzywił lub przełamał? Podczas obcowania z nim uderzało zawsze to samo: okropna gorycz. Trudno to innym słowem określić. Dziwiłem się nawet z początku, że w tak młodym człowieku siedzi tyle goryczy.

Na kolejne pytania odpowiadał z coraz mniejszym sensem, wyraźnie mylił fakty i sytuacje. Momentami odnosiłem wrażenie, jakby ten świat sprzed trzydziestu lat zanurzył się w niebyt i mącony przypomnieniami ukazywał się w jakichś strzępach, które

nie składają się w całość. Natarczywie chodziło mi po głowie pytanie, jak w takim razie jest w stanie korygować swoje dzienniki sprzed lat, ale nie zdobyłem się na taką bezczelność. Odczuwałem coś na kształt żalu, że ten wielki szmat losów ludzi, którzy przewinęli się przez ten dom w ciągu dziesiątków lat, bezpowrotnie rozwiewa się w bezpamięci, nicości. Nawet te dzienniki nie będą w stanie ewakuować tego wszystkiego z ciemności, w którą obsuwa się jego umysł.

— „Nie pamiętam", „być może coś takiego miało miejsce", „wydaje mi się, że było inaczej, ale jak, tego nie jestem w stanie dziś Panu powiedzieć" — to były zdania, które coraz częściej pojawiały się na ustach tego zmęczonego, z wyraźnym wysiłkiem powracającego w przeszłość człowieka. Uśmiechał się cierpliwie i raz za razem, najspokojniej w świecie, przyznawał się do bezradności wobec mojego głodu faktów.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że łagodnie testuje moją delikatność i takt. Wyrozumiała mądrość, która nie spieszy się, nie niecierpliwi, dając niecierpliwej młodości naukę. Pisarz, który jak mało kto pośród współczesnych wniknął w istotę czasu, przemijania i spokojnej zgody na jego nieuchronność.

Kiedy żegnaliśmy się, zapytałem, czy nie czuje się znużony moją natarczywością.

— Nic, co daje rzeczywistą i ostateczną wiedzę nie może człowieka zmęczyć ani zirytować — odparł po chwili. — Każdy ma swój czas: ja swój i Pan swój, młody człowieku. Ich nakładanie się, nawet wtedy, gdy pozornie nie przynosi efektu, ma swój głęboki sens: odsłania granice, które należy poznać, zrozumieć, a może nawet akceptować. Nawet wtedy, jeśli rodzą w nas przestrach lub ból.

Na koniec, niemalże w drzwiach przyznałem się, że pozwoliłem sobie zajrzeć do jego papierów na biurku i że jest mi wstyd z powodu tej niedyskretnej ciekawości.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnął się. — Pan to i tak jeszcze kiedyś w całości przeczyta. Dużo czasu przed Panem. To nie jest może moje *opus magnum*, ale na pewno jakieś remedium na gwałt, przemoc przemijania nad nami. Wielu ludziom te moje zapiski ogromnie się nie spodobają, ale to nic nie szkodzi. Tam — pokazał palcem ziemię — kiedy już będziemy przed Panem Nicości, niewiele to wszystko będzie znaczyło, bo nikt już nie będzie pytał o jakieś stare słowa, zawiści, przeinaczenia, pomyłki i drobiazgi. Ja już nie dobieram, bo i tak nie ma co szukać łaski.

Wychodziłem jakoś chyłkiem, przygnieciony ciężarem ostatnich słów. Nie wiedziałem jeszcze, że ich echo, wręcz powtórzenie, odnajdę po latach w „Starym poecie" i „Grze IV" z „Mapy pogody". Tomik ten ukazał się w 1977 roku. Nie wiem, czy

w dniu naszego spotkania istniały już na papierze, czy dopiero rodziły się w głowie pisarza.

„Mapę pogody" przeczytałem już po śmierci Iwaszkiewicza. Nie od razu poznałem te słowa. Dopiero kiedy zajrzałem do swego kołonotatnika, w którym zapisywałem intrygujące mnie rozmowy, sceny i opinie napotkałem je czarno na białym. Nieco inaczej sformułowane, nie tak mocne i czyste widniały pośród wierszy młodego poety zabitego w czasie okupacji. Ale oznaczały to samo: pewność odejścia i spokojne pogodzenie — po tamtej stronie. Obok był mój rysunek niedźwiedzia z pustą tacą na wizytówki.

Potem nie widzieliśmy się już nigdy. Poza przypadkowym sąsiedztwem na szpaltach czasopism nie mieliśmy ze sobą nic więcej wspólnego. Jego książek nigdy nie darzyłem przesadną estymą i poza pierwszym tomem „Sławy i chwały" oraz kilkoma opowiadaniami nie znajdowałem w nich niczego pociągającego. Nieco sentymentu żywiłem jedynie do „Oktostychów", „Lata 1932" i może „Śpiewnika włoskiego". Jedynym zaskoczeniem stały się dla mnie jego ostatnie wiersze zrodzone tuż przed śmiercią, a szczególnie tom „Mapa pogody".

Nie wiem, jakie było źródło mojej niechęci do tej twórczości. Zasiadałem wszak do kolejnych książek z najlepszą wolą, chcąc dojrzeć w nich ten diament, który tak czarował innych. Niestety bez skutku. Podejrzewałem się nawet o brak wrażliwości i ignorancję. Sama jednak wiedza, że czytam utwory wybitnego pisarza uznanego już za życia za klasyka nie wystarczała jakoś dla wzbudzenia w sobie zachwytu.

Po naszym spotkaniu z nowym przypływem energii rzuciłem się w kolejne lektury. Czytałem... i zmuszałem się do olśnienia; no, chociażby szacunku. Bez skutku. Raz za razem „odpadałem" jak wspinacz od zbyt kruchej ściany. Z najwyższym wstydem i poczuciem niewdzięczności. Widocznie już tak jest, że wielka miłość nie rodzi się ani z poczucia przyzwoitości, ani nawet z wdzięczności.

Każdy lubi proste wyjaśnienia, więc z czasem przyjąłem założenie, że widocznie jakoś podskórnie przeszkadza mi to, co mówiło się o politycznym lizusostwie Iwaszkiewicza. Rzeczywiście było tego sporo: konformizm, asekuranctwo, brak solidarności ze środowiskiem pisarzy, artystowski dystans, miękka lub zgoła ucieczkowa postawa w sytuacjach wymagających jasnego określenia (np. 1968, 1976), daleko posunięta dyspozycyjność, a w końcu ten symboliczny order im. Lenina i żałosny pochówek w galowym mundurze i czapce górnika. (Skądinąd słyszałem, że miał zwyczaj przechadzać się w tym mundurze po ogrodzie; zachowało się nawet jakieś zdjęcie). To absolutnie wystarczało, by wytwo-

rzyć w sobie obraz człowieka całkowicie plastycznego, egoistycznie odciętego od środowiska, niedostępnego i łasego na łaski doczesne.

Nie wyjaśniało to naturalnie niczego, bo ostatecznie słyszałem również o czystych gestach pomocy, jaką Iwaszkiewicz zupełnie bezinteresownie wyświadczał niejednokrotnie różnych ludziom; wiedziałem również, że w Katowicach podczas zjazdu potrafił publicznie zwymyślać prominentów za ingerowanie w sprawy literatury. Od czasu zaś, gdy jeden z przyjaciół wyjaśnił mi w przekonywujący sposób zagadkę wyjątkowej uległości poety wobec Gierka („On go po prostu k o c h a ł, najpełniejszą ludzką miłością skrzyżowaną z uwielbieniem dla władzy") na pewno musiałbym złagodnieć. Poza tym tego typu wiedza i uprzedzenia jakoś nigdy nie psuły mi przyjemności lektury. Na przykład „Pamiątki Soplicy" Henryka Rzewuskiego, który bez wątpienia był kanalią i zdrajcą, zawsze czytałem z przyjemnością i bynajmniej nie protestowałbym, gdyby wprowadzono je do lektur szkolnych. Po prostu tajemnica, jakaś integralna obcość widzenia i odczuwania świata.

„Dziennik" jednak przeczytałbym z najwyższą przyjemnością. Prywatna i intymna historia literatury współczesnej według Jarosława Iwaszkiewicza. A może również odsłonięcie mechanizmów wiecznych flirtów literatury z polityką? Wielki rewanż pisarza? Kiedy więc upływały kolejne lata, a o „Dzienniku" nie było słychać dosłownie nic, zaintrygowany zacząłem się rozpytywać pośród znajomych z branży. Poza paroma cytatami — rzekomo z papierów na Stawisku — nie mogli mi powiedzieć w zasadzie niczego. Postanowiłem więc wybrać się raz jeszcze do Leśnej Podkowy, by odświeżyć przyprószone wspomnienie i rozejrzeć się w papierach.

Już pierwsze minuty w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów na Stawisku przyniosły zgrzyt, dysonans, poczucie niesmaku, nawet wstrętu. Urokliwy ongiś dworek przekształcił się w obrzydliwe biuro, przypominające administrację, zakład dokumentacji socjalnej lub urząd ubezpieczeń społecznych w powiatowej mieścinie. Stan permanentnego remontu i organizacji. Nastrój jak na poczcie, w banku lub w ZUS-ie. Smętne pokoje na parterze, pozastawiane biurkami, metalowymi i drewnianymi szafami w gatunku tych, jakie można spotkać w barakowozach na budowie. Wokoło porozwalane papiery, segregatory, porozkładane teczki, nieśmiertelne czajniki, grzałki i szklanki z wiekowym osadem herbaty. Pośród nich kilka znudzonych urzędniczek. Dłubią w zębach, poprawiają makijaż, szperają w torebkach, z udręką na twarzy przekładają kolejne strony porozkładanych gazet. Ponure cmentarzysko rozgrzebywane przez nieobecnych duchem czynowników, przemieniających kolejne pokoje w pomieszczenia

biurowe, z góry uzbrojonych w agresję wobec przypadkowego natręta. Jakoś żal mi się zrobiło tego domostwa, które jeszcze tak niedawno miało swój smak i niepowtarzalną atmosferę. Teraz zrobiono z tego koszary.

Moja prośba o możliwość rozejrzenia się pośród papierów została utrącona niemalże od ręki: — Nie, niczego nie pokazujemy. Widzi Pan, że dopiero nad tym pracujemy. „Dziennik"? Nie, niczego takiego tu nie ma! Ktoś Pana źle poinformował. Mamy tu tylko korespondencję oraz rękopisy i maszynopisy wydanych już utworów. Nie, nic takiego nam nie wiadomo. Zresztą niech się Pan zwróci do dyrektora.

Również rezydujący w sąsiednim pokoju naczelnik nie był zachwycony moją osobą. Nazwiska nie dosłyszałem, lecz już wcześniej mi powiedziano, że nazywa się Oskar Koszutski i przybył tu wprost z Muzeum Ruchu Robotniczego. Rzeczywiście, trudno znaleźć kogoś bardziej kompetentnego do pracy nad spuścizną współczesnego klasyka. Uśmiechał się jowialnie i najchętniej — jak rzekł — otworzyłby dla mnie nawet duszę, lecz na razie nie jest to możliwe.

— Wie Pan, my jesteśmy jeszcze w fazie organizacji, zajmujemy dopiero trzy pokoje i trwają jeszcze prace remontowe. Nie mamy tu żadnego lektorium. Zbiory zostaną udostępnione dopiero po zakończeniu wszystkich robót. Co, że już tyle lat? A czy Pan wie, co to znaczy zdobyć fundusze i pracowników na taki remont? Inwentaryzacja to takie zadanie, które musi być rozłożone na bardzo wiele lat. Pięć lat to jest nic! Co Pan mówi? Jaki znów „Dziennik"? A skąd Pan zaczerpnął takie wiadomości? No nie wiem, wszystko jest możliwe, może coś takiego jeszcze wychynie podczas opracowywania zbiorów, choć osobiście nie sądzę, bo jednak jakie takie rozeznanie już mamy. Nie chcę być wyrocznią i odbierać Panu nadziei, lecz sądzę, że ten utwór się nie zachował. A może myli go Pan z „Książką moich wspomnień"? Ona też już była publikowana. Odnoszę wrażenie, że ktoś naopowiadał Panu plotek i liczy Pan na jakąś sensację. Tu nie ma niczego poza ciężką, żmudną pracą redaktorską — tu wskazał na pochłaniające śniadanie podwładne — oraz naturalnie murarsko-malarską.

Po bezsensownych sporach, tłumaczeniach i argumentach, które z równym powodzeniem mógłbym zaadresować do niedźwiedzia w hallu, poprosiłem o możliwość rozejrzenia się wśród uporządkowanych już materiałów. Z wahaniem, ale zgodził się. Najwyraźniej przeszkadzałem tutaj w piciu herbaty, towarzyskich rozmówkach, załatwianiu własnych spraw, a przede wszystkim w tej trudnej sztuce nudzenia się, którą zna każdy, kto choćby kilka godzin spędził za urzędniczym biurkiem. Dwie panie wyszły już na zakupy, więc ta, która pozostała przyniosła z ociąganiem

kilka teczek. O krzesło musiałem wystarać się sam, a miejsce na stole uzyskałem metodą spychacza, odsuwając stertę gazet i papierów na jego drugi koniec. Jakoś nie obchodziło to nikogo.

Nie było sensu ani porządku w tych papierach. Jedynie w obrębie teczek panował chronologiczny porządek. Trudno już jednak było ustalić zasadę wyodrębniania poszczególnych teczek. Nie zawsze adresat, bo często znajdowały się tu listy od i do kilku osób. Na jakiej zasadzie wrzuconych do jednego worka? Nie sposób ustalić, a na pytania niewiasta odpowiada wzruszeniem ramion. Podsuniętych materiałów jest zbyt mało, by wydedukować z nich logikę systemu.

Przegląd nie przyniósł niczego ciekawego: nieznane nazwiska, nieznane sprawy. Poprosiłem więc o następną porcję. I tutaj nic interesującego. Korespondencja z rodziną i znajomymi. Bardzo przyziemne sprawy. Spytałem więc, czy nie mają wyselekcjonowanych listów dotyczących spraw literackich. Po dziesięciu minutach ciśnięto mi ze złością następną porcję. Tym razem były to listy do wydawnictw, redakcji, porozumienia w sprawie książek, umowy, pokwitowania, wyciągi, prośby redaktorów o napisanie jakiegoś szkicu, opowiadania, wiersza, felietonu. Śmieci. Domyślam się, że tym razem panienka z pełnym wyrachowaniem podsunęła mi porcję „narkozy". Na uśpienie, zanudzenie na śmierć. Po kolejnym monitowaniu, niebezpiecznie przechodzącym w nastrój kłótni, nareszcie coś ciekawszego. List Iwaszkiewicza do żony Anny z 12 lutego 1951 w sprawie Czesława Miłosza:

„Czy słyszałaś już, że nasze przewidywania co do Czesia sprawdziły się, nawet zbyt prędko! Uważam to za najwyższe świństwo, jakie tylko może być, odłożyć sobie dolarków przez te parę lat (z tego co ten nieszczęsny górnik wykopał węglem!) i potem wymigać się od tego, co winno być nas wszystkich udziałem w sposób tchórzowski i małoduszny. Nie mam słów na to i nawet ten śliczny krawat stał mi się niemiły i nie chcę nań patrzeć".

Dla mnie bomba! Czytałem bodaj wszystkie okropieństwa, jakimi obrzucono Miłosza po jego słynnej „zdradzie". Widniały pod nimi najlepsze nazwiska. Pluł nawet szlachetny Słonimski. Ale to było w ramach zorganizowanej akcji, w aurze histerii i mobilizacji partyjnej, na wyraźne życzenie władz. Jedni traktowali tę rzecz zdawkowo i załatwiali wszystko paroma zdaniami o „oburzeniu", „renegactwie", „agenturalności", nie wysuwając się z rytualnej sztampy nowomowy; inni jednak wykazali wcale niemałą pomysłowość, angażując w to talent, ambicje, emocje. Zawsze jednak można było użyć argumentu, że „im kazano". Tu natomiast miałem przed sobą prywatną reakcję człowieka, który Miłosza znał doskonale już od początku lat trzydziestych i w jakiś sposób literacko mu ojcował. Pierwszy list Miłosza do Iwaszkiewicza, którego fragment ogłoszono ongiś w *Twórczości* rozpoczynał się od słów: „Uwielbiam Pana"! To był wyraz najgłębszego podziwu i szacunku dla wybitnego skamandryty. W późniejszych latach połączyła ich prawdziwa przyjaźń. W latach wojny Miłosz był częstym gościem Stawiska. Aż tu taki numer! Iwaszkiewicz tonem paszkwilu partyjnej gazety obrzuca Miłosza błotem w liście do własnej żony! Obrzydliwe, płaskie i głupie.

Jak jednak rozumieć ten list? Jako słynne „oszalałem" Ważyka? A może jako rzeczywisty wyraz wiary w to, że Miłosz zmarnotrawił zainwestowane w niego pieniądze (swoją drogą jak szybko pojawiło się to górnicze zboczenie!); że zdezerterował z linii frontu; że zląkł się trudnej drogi do komunizmu? Nie, aż tak głupi to Iwaszkiewicz nie był. Owszem, pisał w latach pięćdziesiątych prymitywne chwalby socjalizmu i jego opryczniny, jak choćby głośny „List do Prezydenta Bieruta" („Ale kiedy mi ciężko i kiedy się gubię, / Myślę o Tobie"), niemniej nigdy nie upadł na takie dno jak niektórzy „pryszczaci". Więc co to jest? List pisany do podwójnego adresata: do żony i do agenta kontrolującego pocztę w UB? To absurd, tego nie musiałby robić, zupełnie wystarczało odcięcie się publiczne. Zbytek nadgorliwości. Pozostaje tylko jedna możliwość: zazdrość, że innemu wystarczyło odwagi na wyrwanie się z komunistycznego getta; paląca zazdrość i nienawiść niewolnika do człowieka wolnego. Iwaszkiewicz znał doskonale Europę i świetnie wiedział, że jest to decyzja ryzykowna, grożąca artystycznym samounicestwieniem. A jednak, nawet mimo tego, nie potrafił wybaczyć Miłoszowi tego aktu niepodległości duchowej. Syndrom więźnia z wyboru, który czuje się spoliczkowany niespodziewanym uwolnieniem kolegi z tej samej celi, który wszak winien gnić do końca w t y m s a m y m paskudztwie i zapluciu.

Istnieje jednak jeszcze jedna możliwość, bynajmniej zresztą nie wykluczająca swej poprzedniczki. Choroba, która trawi najzdrowszych ludzi; która rozszczepia pozornie normalną psychikę. Jest nią identyfikacja z pożądaną rolą, rozminięcie się „ja" rzeczywistego z „ja" woluntarnym. Dla pisarza nie ma bardziej atrakcyjnej roli niż rola barda mas. Któż nie chce być ustami zbiorowości, emanacją narodowego ducha? Tymczasem komunizm — szczególnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych — nader szczodrobliwie rozdawał berła „rządu dusz". Oczarowani wybrańcy doskonale wiedzieli, że mają do czynienia z inscenizacją, gigantycznym humbugiem, manipulacją w wymiarze kontynentalnym, a jednak poddali się jego narkotyzującemu czarowi. I tak zaczął się dokonywać proces wkorzeniania fikcji, deformacji myślenia, uwewnętrzniania ideologii. Nikt jednak nie godzi się z rolą kukły na patyku, której ustami przemawia aktor za parawanem. A więc iluzja obrasta mięsem i skórą, powleka się pajęczyną wrażliwego unerwienia. Z czasem powstaje świadomość sfalsyfikowana.

Obok dotychczasowej — upokorzonej własną małością i zinstrumentalizowaniem — wyrasta druga: zharmonizowana z ciężeniem własnej ambicji, z politycznym uwikłaniem, z własnym tchórzostwem i wreszcie doktryną. I jakoś już współżyją ze sobą. Niczym syjamscy bracia, niczym realność z fikcją w głowie schizofrenika.

Jakoś zdumiewająco szybko uzyskałem potwierdzenie. Rękopis wiersza „Do N.N.", wchodzącego w skład „Trzech styczniowych poematów" z tomu „Jutro żniwa". Dość znacznie różni się on od wersji drukowanej, która przede wszystkim pominęła ósmą zwrotkę. Do Miłosza przemawia w niej trybun ludowy, bard tłumów, poeta robotniczych masówek:

Ty mi zazdrościsz, że w olbrzymiej hali
Pełnej narodu, że głowa za głową,
Gdzie ci od węgla i ci są od stali —
Rzucam palące własne, polskie słowo.

Duch z ducha, ciało z ciała proletariackiej wspólnoty, socjalistyczny Milijon wtopiony jak brat w miliony, rzuca słowa pogardy odszczepieńcowi na śmietnisku sztuki i historii. Pod spodem jednak rzecz najważniejsza, miejsce powstania utworu: Taormina, 29. I. 1955. Cóż, nie ma lepszego miejsca dla wtopienia się w nadwiślańską zbiorowość jak leżak na słonecznym tarasie sycylijskiego kurortu.

Po chwili znów przekładanie kolejnych kartek, wgryzanie się w charaktery pisma, podpisy, szukanie logiki pomiędzy listami, zapiskami, notatkami, brudnopisami. Powoli rodziło się zmęczenie, znudzenie, poczucie bezsensu. Kiedy natrafiłem na kolejny zapisek dotyczący Miłosza, minąłem go bezmyślnie. Dopiero po kilkunastu linijkach ocknąłem się z sennego ukołysania. Czesiu? Jaki Czesiu? Tak, nie było wątpliwości o kogo chodzi, wszystko zdradzają te słynne wileńskie nazwy. Jedno z najobrzydliwszych zdań, jakie czytałem w swoim życiu. Nie do przytoczenia, choć dawno przeniknęło mury Stawiska. Powtórzono mi je wcześniej, lecz nie dałem wiary. Tymczasem istnieje. Brutalne, bezwstydne, nieobliczalne.

Jakoś odeszła mi ochota do dalszego czytania. Jakież to wszystko pomieszane: rzeczy zwyczajne, poczciwe i nawet szlachetne obok małości, duchowego ubóstwa, znikczemnienia. Drobne sprawy, ongiś ważne, dziś nieistotne; pospolite wymiany myśli, próśb, podziękowań, opinii. Nie wynika z tego nic. Czyjaś codzienność okraszana od czasu do czasu ciekawszym nazwiskiem, błyskiem dowcipu lub paradoksu. W tym wszystkim na dnie drzemie literatura, ale zalana odmętem egzystencjalnej średniej krajowej. Jeśli coś mogłoby mnie jeszcze zainteresować, to właśnie

ten „Dziennik", którego przypomnienie budzi tu dziwne zaskoczenie, jakby niepokój, gesty zakłopotanego i nieszczerego znużenia.

Kiedy coraz bardziej poirytowany miotałem się nad teczkami, urzędniczka, która wróciła właśnie ze sklepu trąciła ramię koleżanki i mruknęła:

— A może by go tak wysłać na górę, do tego tam...? Tu postukała się znacząco po głowie i wskazała kciukiem sufit. — Czasami coś komuś pokaże.

— To znaczy do kogo? — podchwyciłem z nadzieją w głosie.

— No, do Piotrowskiego. On tam trzyma jakieś papiery po Starym, ale nikomu ich nie pokazuje. Zdarzało się już jednak, że ktoś go rozmiękczył i coś tam dał poczytać.

O Szymonie Piotrowskim słyszałem co nieco już wcześniej; widziałem go na paru fotografiach. Postać zaiste ciekawa. We wszelkich wspomnieniach i na opisach zdjęć rodzinnych nieodmiennie występuje jako „Szymek". Tu Iwaszkiewicz, Hertz, Żuławski, Jastrun, Międzyrzecki, a w tle Szymek. Wiecznie anonimowy, ostrugany do tego zdrobnienia. Ach ta arystokratyczno-ziemiańska lekkość: ni to lokaj, zapomniany z nazwiska przyjaciel domu, ulubiony kot gospodarczy, rezydent. Ktoś kogo trudno wyretuszować z rodzinnych pamiątek, o kim nie wspomina się inaczej niż półgębkiem. Jak widać nie zmieniło się to do dzisiaj. Niezatarty, dwuznaczny problem domu Iwaszkiewiczów .

Tymczasem była to postać w jakiś sposób istotna w życiu pisarza. Jego osobisty kierowca, powiernik, sekretarz i przez długie lata kochanek. Jedna z nielicznych w tym domu osób, do której poeta zachował do końca pełne zaufanie. Powierzył mu swoje papiery wartościowe, konta, maszynopisy. Opowiadano mi, że kiedy zjeżdżały tu córki Iwaszkiewicza, ten przekazywał „Szymkowi" wszystkie książeczki oszczędnościowe i wyciągi z kont dewizowych, nakazując tak długo krążyć samochodem dookoła Leśnej Podkowy, aż rodzina wyjedzie. To on właśnie — jedyny — towarzyszył w ostatniej podróży pisarza do szpitala i do ostatka dyżurował przy umierającym. Ongiś „obraza boska" Stawiska, z czasem ktoś, z kogo obecnością trzeba się było pogodzić i milcząco włączyć w porządek życia. Jak chroniczną chorobę, źle zrośniętą kość, kurzajkę na twarzy.

Kim stał się dla Iwaszkiewicza w jego ostatnich latach? Któż odgadnie; któż wywikła to spośród plotek, niedomówień, ironicznych uśmiechów; któż wysupła to z pokrętnej duszy zmarłego? W każdym razie zapisał mu znaczną część terenu Stawiska. Niektórzy opowiadali, że pisarz zapisał mu jakieś pamiątki i papiery; inni jeszcze twierdzili, że zagarnął je sam. Któż dojdzie prawdy? Faktem jest tylko, że pomiędzy jego mieszkaniem na poddaszu a parterem przebiega linia frontu. Kamień milczenia,

półuśmieszków i zapiekłej niechęci. Można połamać sobie na tym zęby.

Wspiąłem się na górę i zapukałem do drzwi. Właściwie od pierwszych słów ściana nieufności. Ten niemłody już człowiek o przerzedzonych włosach, w roboczej fufajce i gumiakach słuchał mnie z podejrzliwą uwagą: kombinator, węszący sensacji dziennikarz, nowy urzędnik muzeum? Wyjaśniam w prostych, krótkich zdaniach i chcąc zaskarbić sobie jego zaufanie, z miejsca wylewam kubeł pomyj na głowy personelu muzeum, oskarżając go o niekompetencję, nieżyczliwość i brak szacunku dla spuścizny pisarza. W rozpędzie posuwam się nawet do insynuacji jakiegoś spisku czy zmowy. Wygadywałem wszystko, co mi ślina na język przyniosła. Metoda okazała się skuteczna. Po jakimś czasie Piotrowski zaprosił mnie do środka i zniknął w głębi mieszkania. Za chwilę powrócił lekko utykając i położył przede mną teczkę wypełnioną maszynopisami. Drugą wsunął pod obrus i usiadł, przyglądając się, jak kartkuję papiery. Nie było wątpliwości, miałem przed sobą fragment tekstu, który mnie tak interesował. „Dziennik 1939-1945". Ciekawe zapisy rozmów, spotkań, sytuacji i przemyśleń z lat wojny i okupacji. Bez wątpienia cenny dokument wiedzy o tym okresie. Przewijały się znane nazwiska: Piętak, Andrzejewski, Baczyński, Stroiński, Miłosz. Momentami wydawało mi się, jakbym niektóre fragmenty znał już z druku; inne urywki brzmiały zupełnie obco.

— Czy to było już publikowane w całości lub w częściach? — pytam.

— Wie Pan, być może jakieś urywki były już gdzieś drukowane za życia Iwaszkiewicza, ale jako całość na pewno nie.

Po chwili podał mi następną garść zapisków. Tym razem były to krótkie charakterystyki znanych pisarzy międzywojennych. Trochę anegdoty, trochę złośliwości, nieco sentymentu. Ta część bez wątpienia nie należy do diariusza. Stylem przypomina nieco wspomnieniowe felietony Słonimskiego. Po chwili oderwałem wzrok od maszynopisu i spojrzałem łapczywie na drugą, wystającą spod obrusa, teczkę.

— A co to jest? Czy to dalsza część „Dziennika"? Interesowałyby mnie lata powojenne, szczególnie ostatnie.

W odpowiedzi Piotrowski energicznym ruchem zgarnął wszystkie papiery i włożył pod pachę.

— Niestety nie mogę Panu więcej pokazać. To są pamiątki osobiste. Pozwoliłem Panu do tego zajrzeć, by ktoś nie mówił, że mam coś do ukrycia, lecz więcej nie mogę Panu zaprezentować. To wszystko jest w trakcie opracowywania i do czasu zamknięcia prac nie chcę tego udostępniać.

— Ale jak widziałem — zareplikowałem — te materiały są

w zasadzie gotowe do druku. Przepisane na maszynie i poprawione ręką Iwaszkiewicza. Jak więc rozumiem, wystarczy tylko wejść w kontakt z wydawnictwem i opublikować.

— Nie, to jeszcze wymaga pracy. Kiedy ją zakończę i nadejdą po temu sprzyjające warunki, pomyślimy o wydaniu. Do tego czasu pozostanie to u mnie, bo tylko ja jestem odpowiedzialny za te papiery.

Z zaciętego tonu odpowiedzi, z krzywo budowanych zdań zrozumiałem, że trudno będzie o jakiekolwiek porozumienie, a argument o trwających pracach stanowi alibi do trzymania papierów pod kluczem. Trudno ustalić w jakim celu: z egoistycznego przywiązania, z rachuby na przyszłe profity, z chorej nieufności do całego świata, z uzurpowanego sobie w ten sposób prawa do przebywania w tym domu? Nie, nie byłem w stanie wyobrazić sobie tego człowieka jako redaktora przygotowującego do druku jakiekolwiek papiery. Zapewne czasem coś przepisywał Iwaszkiewiczowi i to było całe jego sekretarzowanie. Mówienie mu o odpowiedzialności wobec historii literatury zakrawałoby na kpinę. Nie pozostawało więc nic innego jak podtrzymywać wiarę w tę fikcję.

— A na kiedy planuje Pan zamknięcie prac? Jaka część rękopisów i maszynopisów Iwaszkiewicza znajduje się u Pana? Czy Pan posiada całość „Dziennika"? Pracownicy muzeum twierdzą, że oni nie mają go w swych zbiorach. Czy to znaczy, że wszystko jest u Pana? Ile to tomów?

— Niech Pan im nie wierzy! To jest banda łobuzów i złodziei. Na dodatek to są darmozjady. Pochowali wszystko i próbują mnie zniszczyć. Ale ja im jeszcze pokażę! Nie mogę Panu pokazać więcej, bo to wszystko rzeczy osobiste i pamiątki. Niech Pan jeszcze kiedyś wpadnie, to może jeszcze coś ciekawego wynajdę, ale na razie nie mogę nic więcej udostępnić. To wymaga jeszcze masy pracy. No to do widzenia, bo jestem zajęty.

Schodząc na dół łamałem sobie głowę. Ile on tego może jeszcze posiadać? A może nie ma nic więcej, tylko w ten sposób dodaje sobie znaczenia? Może w jego przekonaniu to właśnie obroni go przed eksmisją, którą grozi mu rozrastające się muzeum, pragnące i tam wcisnąć następne szafy, biurka i kolejnych urzędników na kolejnych etatach. Naiwny, ten rak prędzej czy później go przegryzie i wykończy! A może nie tak naiwny i wie co robi? Niczego nie pozwoli sobie wydrzeć i będzie tak leżał na cennych papierach jak pies strzegący swej kości? Wszystko możliwe.

Na dole zaintrygowane redaktorki zasypały mnie pytaniami. Przyszedł również dyrektor.

— No i co? Pokazał coś? Dość długo Pan tam konferował.

— Tak, widziałem część „Dziennika" z lat wojny. Miał coś jeszcze, ale nie chciał pokazać.

Chwytam spojrzenia wymieniane nad moim ramieniem. Nie zaskoczyłem ich, o tym już wiedzą. A więc użyto mnie jako ślepe instrumentum, nieświadomego wywiadowcę. Mając mnie za naiwnego, udają przejęcie i oburzenie:

— A to świnia! Pochował wszystko w szafach i nie wypuszcza z łapy. Ale to się jeszcze z niego wyciśnie! Widzi Pan, jaki to człowiek?!

— Widzę, ale on twierdzi,, że całość „Dziennika" jest tutaj. W ogóle mówi, że macie tu masę papierów, których nie udostępniacie. Ja już w końcu nie wiem, gdzie jest prawda. Widziałem tutaj trochę korespondencji, na oko zupełnie przypadkowej, choć musicie mieć wszystko. Nie widziałem żadnych katalogów, które pozwoliłyby choćby na ogólną orientację. W końcu dalej nie wiem, gdzie jest „Dziennik"! Być może Piotrowski blefuje że ma więcej, a wy nie chcecie się przyznać. Dlaczego? To inna sprawa, mam na ten temat swój pogląd. Co naprawdę z pism literackich znajduje się u Państwa? Przecież coś musicie mieć! Mówiliście, że nie macie żadnych tekstów niedrukowanych, a ja wiem, że istnieją nieopublikowane jeszcze tomy „Książki moich wspomnień", bo jakieś fragmenty były w prasie. W czyich to jest rękach? Kto nad tym pracuje?

Znów chwila milczenia, a nad moją głową przelatują kolejne porozumiewawcze spojrzenia.

— To, co posiadamy, już Pan obejrzał. Wszystko jest w trakcie opracowywania i inwentaryzacji. „Dziennika" nie mamy. Sam Pan widział, że ma go Piotrowski. A w ogóle z czyjego ramienia Pan występuje? Jaka instytucja firmuje Pana poszukiwania? Teraz nie ma tu nic do oglądania. Pan widzi przecież, że tutaj trwa remont. Byliśmy na tyle mili, że umożliwiśmy Panu rozejrzenie się w naszych zbiorach, a Pan zaczyna się tu szarogęsić. Jest już 14-ta i kończymy pracę. Proszę przyjechać, gdy muzeum zacznie normalnie funkcjonować. Proszę wystarać się wtedy o odpowiednie zezwolenie, najlepiej z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wtedy będziemy mogli pogadać. A teraz do widzenia Panu.

Wracałem nawet niespecjalnie wściekły. Raczej zrezygnowany. Tego muru nie ugryzę. Dla autoterapii i chęci zrozumienia próbowałem uporządkować wszystko co wiedziałem, by uzyskać wyjaśnienie tej dziwnej sytuacji. Testament Iwaszkiewicza nakazywał, by jego dom przekształcono w muzeum, a spadkobierców spłacono (poszło na to 36 milionów). Dziedziczyli: Maria Iwaszkiewicz i Teresa Markowska (córki) oraz nieznany mi z nazwiska sierota (ocalony z egzekucji w czasie okupacji), nad którym poeta

sprawował opiekę aż do końca. Jaka była zasada udziału w spadku Piotrowskiego, nie sposób dociec. Niejasna jest też kwestia partycypacji rodziny w honorariach za pośmiertne wydania. Niby rzecz nieistotna, ale zawsze coś mogłaby wyjaśnić.

Początkowo istniały plany, by Stawisko przemienić w coś, co byłoby połączeniem muzeum z domem pracy twórczej. Tutaj badacze twórczości autora „Brzeziny", magistranci i studenci oraz wszyscy, którzy chcieliby zagłębić się w manuskrypty mieli mieć zapewniony pokój z noclegiem i pełny dostęp do rękopisów, maszynopisów, korespondencji. Świetne dopełnienie mogła stanowić sama amosfera tego domu i jego przepięknych okolic. Cóż lepszego mógłby sobie wyobrazić ktoś, kto pragnie poświęcić się pracy nad tą twórczością? Co pozostało z tych planów, widziałem jak na dłoni: zaciszne miejsce dla chmary urzędników, studiujących lot muchy nad biurkiem i geologię fusów na dnie szklanki.

Jeśli chodzi o decyzje pisarza w sprawie losu własnych utworów, wszystko wydawałoby się jasne i klarowne. W pozostawionym przez niego w biurku „Rozporządzeniu w sprawie moich dzieł" powołał zespół konsultacyjny (Jerzy Kwiatkowski — przewodniczący, Jerzy Lisowski, Paweł Hertz, Anna Iwaszkiewicz, Roman Jasiński, Zygmunt Mycielski, Julian Stryjkowski), odpowiedzialny merytorycznie za przyszłe wydania. Co jednak najważniejsze: nie zgłosił żadnych zastrzeżeń co do terminu publikacji zarówno „Dzienników", jak i wszystkich innych utworów! Okoliczność znów wydawałaby się wyjątkowo szczęśliwa. Inni pisarze druk swoich pamiętników i dzienników odsuwają o całe dziesięciolecia lub — jak w przypadku Dąbrowskiej — półwiecza. A więc wszystko jest jak trzeba: szacowna i kompetentna rada (w chwili, gdy przepisuję te słowa 3/4 składu już nie żyje), zapalone zielone światło, zacierający ręce wydawcy... A jednak nie! Papiery zapadły w otchłań, nikt nie wie, gdzie się znajdują. Niedługo upłynie pierwsze dziesięciolecie od czasu, gdy zniknęły pod magiczną pieczęcią z napisem: „Inwentaryzacja! Opracowanie!".

A przecież pisarz tak zapobiegliwie przygotował wszystko do druku! Posegregowane na tomy, przepisane na maszynie, poprawione własną ręką. Nieco mniej potrafiłbym powiedzieć o korespondencji. W każdym razie wiadomym było, że już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych Iwaszkiewicz zatrudnił do porządkowania swych listów żonę Jana Walca, chcąc pomóc temu świetnemu krytykowi i publicyście w ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazł się po rozpoczęciu działalności opozycyjnej. W momencie przejęcia spuścizny przez muzeum było już ok. 470 teczek z korespondencją. W jakim stopniu zewidencjonowanych, uporządkowa-

nych i opisanych, trudno powiedzieć, w każdym razie robota nie ruszyła od zera. Nie zdziwiłbym się, gdyby w momencie śmierci pisarza była w większej części wykonana.

Przeglądałem, czytałem, zadawałem pytania i nadal wiem niewiele więcej. Straciłem pół dnia i nie tylko nie posunąłem się do przodu, ale wręcz przeciwnie: zostałem zastopowany, wpuszczony w maliny. Nawet nie jestem pewien, kto mówił prawdę, a kto kłamał i z jakiego powodu. Wyjaśnienie musi być w obrębie tego, co widziałem i słyszałem. Jedno jest pewne: „Dzienniki" Iwaszkiewicza cieszą się zdrowiem, jeśli oczywiście zdrowiem można nazwać przebywanie pod kluczem. Gdzie? Częściowo u Piotrowskiego, a częściowo w muzeum lub u którejś z córek pisarza (może Marii, która jako jedyna podaje do druku teksty ojca?). Ale przecież musiały istnieć kopie! Nikt nie zostawia tekstu, na którym mu zależy, w jednym egzemplarzu. Więc może to jak w kartach: jeden nie wie, co drugi ma na ręku, więc nie przystępuje do licytacji, czekając na więcej danych?

Jeśli zajrzeć do czasopism, łatwo zauważyć, że Maria Iwaszkiewicz skrupulatnie wyciąga kawałek po kawałku niedrukowane teksty ojca, jakieś listy z lat dwudziestych informujące o tak ekscytujących sprawach, że pisarz objadł się czereśniami i wymiotował na leżąco (zob. np. *Odra* 1986, nr 2), ale jakoś nie kwapi się do druku tego, co rzeczywiście mogłoby być dokumentem życia literackiego i umysłowości twórcy „Panien z Wilka". „Dzienniki" zapadły się pod ziemię. Ale jednak nie do końca. Ich zgniła, zdradziecka woń przenika i rozchodzi się po ulicach Warszawy. Szczególnie kąśliwe, bezwstydne i pikantne urywki przechodzą z ust do ust, z ucha do ucha. Zgodnie z mechaniką obiegu ustnego obrastają zapewne nowymi smaczkami. Tu ktoś coś zmieni, tam przysmaczy i raduje grono wybrańców.

Skąd wychodzą? Zapewne nie od rodziny, bo zbyt mocno demaskują kulisy życia na Stawisku. To oczywiście domniemanie, lecz skoro Iwaszkiewicz nie wahał się wkroczyć w ostatnim, nie drukowanym dotąd tomie „Książki moich wspomnień" w tajniki swego pożycia małżeńskiego, posuwając się aż do granic dobrego smaku, to trudno przypuszczać, by przepuścił cokolwiek swojej rodzinie w „Dziennikach". Najwyraźniej dużo zebrało się w nim kwasów i goryczy. Bóg raczy wiedzieć, czy uzasadnionych. Czasami odnoszę wrażenie, że jego mania wielkości kazała mu sądzić, że wszystko w jego życiu naznaczone było piętnem geniuszu, łącznie z perwersją, ułomnościami i małością. Najwyraźniej zapisywał wszystko, bez selekcji, poczucia wstydu czy umiaru. Gromadził materiał dla przyszłych biografów. Nawet rzeczy bez znaczenia: kolejowe bilety, zapisane świstki, rachunki z księgarni. Zgarniał pod siebie co popadło, co było pod ręką. Budulec pod

przyszły pomnik, monument. Nawet urazy, plotki, złośliwości, paskudztwa. Bez zważania kogo skrzywdzą i dotkną, bez liczenia się z najbliższymi, przyzwoitością i sobą samym. Nie, rodzina tego nie wypuściła spod ręki: z uwagi na własną godność i czystość domowego gniazda, z hipokryzji i obawy przed wyimaginowaną śmiesznością. Historia stara jak świat. Nikt nie jest w stanie gorzej przysłużyć się spuściznie po wielkim pisarzu niż własna rodzina.

A jednak wciąż coś z tych dzienników przecieka. Gdzie pękła uszczelka? Kto upuszcza kropelkę po kropelce z tego zbiornika? Piotrowski? Nie, na pewno nie on. Prosty człowiek, bez żadnych kontaktów w środowisku literackim, od progu nieufny i podejrzliwy, drżący o przechowywane pamiątki. Jakoś mimowiednie podejrzenie kieruje się ku pracownikom muzeum. Nietrudno przychodzi mi wyobrazić sobie na przykład tego brodatego, jowialnego dyrektora, jak rozparty nad otwartą butelką opowiada — tylko pst! — co tłuściejsze kawałki. Pilnowanie całości to jedna rzecz, bo ostatecznie dopóki trwa stan „organizacji", można nic nie robić, przekładać papiery z kupki na kupkę, przestawiać szafy, wyskakiwać „w sprawach" na miasto i inkasować co miesiąc pieniądze. Pokątna emisja celniejszych i pikantniejszych ustępów to co innego: umacnia towarzyską pozycję, wentyluje niezdrową ekscytację obcowania z utajnionym tekstem.

Zupełnie niewiarygodny splot. Piotrowski ukrywa jakieś papiery, bo w ten sposób potwierdza swój status opiekuna nad spuścizną. Tym samym jednak ogranicza poczynania muzeum, które musi na czymś pasożytować, coś wkładać do coraz to nowych szaf, biurek i segregatorów; coś musi usprawiedliwiać ciągły rozrost urzędu i jego łapczywość, uzasadniać stały dopływ państwowych pieniędzy. Rugowanie lokatora z poddasza może okazać się niebezpieczne, bo nie wiadomo co ukrywa w swych szafach i co może ogłosić doprowadzony do ostateczności. Ostatecznie ani rodzina, ani muzeum nie mogą dopuścić do tego, by w szacownej atmosferze pamiątek rozszedł się skisły zapach nieprzetrawionych kwasów i skandali. Nie można dopuścić do tego, by niecna woń skalała literackie salony, a może nawet gabinety partyjne. Któż może ostatecznie wiedzieć, jak daleko sięgnęła niepohamowana gorycz i złość Starego Poety? Również członkowie rodziny muszą pilnować tego chwiejnego *status quo*, bo ostatecznie muzeum na Stawisku to również ich sprawa: przyniesie tantiemy z opracowanych tu w przyszłości materiałów, które pójdą do druku; zrodzi etaty kustoszy, redaktorów, doradców. Któż się do nich lepiej nadaje od tych, którzy są żywą historią tego domu?

Milczący suples, wężowe oploty zmagających się w martwej ciszy kończyn, tłumione stęknięcia. Pomiędzy nimi leży źle za-

bezpieczona mina. Paczka z maszynopisami, które mogłyby wybuchnąć, gdyby ktoś niezręcznie i gwałtownie ją potrącił. Fatalna spuścizna. Dopóki leży nietknięta, nie grozi nikomu. Najlepiej, aby tak leżała do końca świata. No może choćby tylko przez trzydzieści lat. Złota żyła. Życiodajny ładunek. Strzeżony przez ukryte w nim jadowite żmije. Wzlotów i upadków. Udręczeń i rozliczeń. Pamięci, goryczy, nieprzejednania. A może jednak absolucji?

Stanisław NOWICKI

Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej*

FLORIAN ŚMIEJA: — *Literatura polska tworzona poza Krajem wkrótce obchodzić będzie 50-lecie, wypada więc z tej racji poświęcić jej nieco uwagi i spojrzeć wstecz na jej powikłane dzieje. W czerwcu 1988 roku spytałem o jej losy Marię Danilewicz Zielińską, osobę jak najbardziej kompetentną, bo historyka literatury, krytyka i pisarza, a oprócz tego długoletniego bibliotekarza. Jako autorka* Szkiców o literaturze emigracyjnej, *zna ona piśmiennictwo polskiej diaspory jak nikt.*

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA: — Proszę zadając mi pytania pamiętać o tym, że *primo loco* jestem historykiem literatury, a dopiero wtórnie bibliotekarzem. Ponieważ jednak przez jedenaście lat (1928-1939) pracowałam w Bibliotece Narodowej w Warszawie, a następnie przez trzydzieści lat w Bibliotece Polskiej w Londynie i dotąd param się kompilowaniem bibliografii, w nałóg weszła u mnie potrzeba gromadzenia dokumentacji, klasyfikowania i oceniania książek nie tylko ze względu na ich wartość literacką, ale jako składników wielobarwnej mozaiki, jaką jest współczesne piśmiennictwo polskie — a wyrażając się ściślej ponadto „i Polski dotyczące". Proszę też pamiętać, że termin „literatura emigracyjna", szeroko stosowany i pojemny, nie jest terminem ścisłym i nie można nim objąć całego 50-lecia, gdyż w okresie wojennym była to *literatura Polski walczącej*, a obecnie mówić można raczej o *literaturze wolnego słowa* czy *literaturze poza cenzurą*, a w Kraju *o „literaturze źle obecnej"*.

* Rozmowa przeprowadzona przez prof. Floriana Śmieję z dr. Marią Danilewicz Zielińską w dniu 20 czerwca 1988 w Feijó w Portugalii.

F.Ś.: — *Z rosnącej perspektywy i bogatego doświadczenia, jak widzi Pani literacką twórczość polską poza Krajem, jakie rozróżnia Pani fazy czy okresy rozwoju? Kiedy ta literatura się zaczęła?*

M.D.Z.: — Myślę, że we wrześniu 1939 roku, bo już wtedy powstały pierwsze wiersze wojenne Wierzyńskiego i Łobodowskiego. Pierwsza faza obejmuje zimę 1939/1940 i związana jest najsilniej z Paryżem, choć i poza Francją, np. w Rumunii i na Węgrzech, powstawały teksty literackie o silnym wydźwięku aktualnym. To, co nastąpiło potem — myślę o latach 1940-1945 — było okresem setek inicjatyw, rozkwitu prasy, pośpiesznego zaspokajania głodu polskiego słowa drukowanego, fantastycznych adresów placówek wydawniczych, pojawiania się nowych nazwisk i powrotów do „służby czynnej" seniorów. Najaktywniejsze były po francuskim *débacle*'u naprzód Londyn, Glasgow i Edynburg — na drugim planie Szwajcaria i USA — a następnie koczownicze, towarzyszące wojsku liczne przedsięwzięcia wydawnicze na szlaku Teheran-Jerozolima-Kair-Rzym. I właściwie na tym szlaku narodziła się *literatura emigracyjna* tworzona przez i dla, dosłownie, wygnańców. Po klęsce Hitlera zwiększył się zasięg, dołączyły dalsze setki tysięcy odbiorców, przybyło piszących. Zjawiskom tym towarzyszyło osłabienie pozycji Londynu i, praktycznie, zanik działalności szkockich placówek wydawniczych. Z końcem działań wojennych wiąże się zwolnienie internowanych w Szwajcarii i przestawienie tamtejszej działalności wydawniczej na zaspokajanie potrzeb kursów zawodowych.

Rok 1945 nie oznacza jednak wyraźnej cezury. W poczuciu ogółu Polaków poza Krajem Londyn był nadal „stolicą" emigracji i w sensie reprezentacji politycznej jest nim nadal; — od roku 1945 jest siedzibą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i adresem wielu instytucji i stowarzyszeń o zasięgu światowym (SPK, harcerstwo itd.). Pod koniec wojny Londyn przestawił się na obsługę szkolnictwa i oświaty dorosłych, rywalizując — nie zawsze z powodzeniem — z Jerozolimą i Rzymem, gdzie prowadzono analogiczne prace. Dlaczego? Częściowo — ale nie tylko — z przyczyn technicznych, ale i dlatego, że Londyn i Jerozolima były głównymi siedzibami władz szkolnych w różnych układach formalnych: Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Rządu R.P., Polskie Siły Zbrojne, YMCA, Światpol itd. Nim jako tako zorganizowano obsługę „emigracji żołnierskiej", „wrześniowców" i uchodźców z ZSSR, na horyzoncie zjawili się „dipisi" i stworzone dla zaspokojenia ich potrzeb placówki. Lata 1945-1948, to okres mobilizacji poczynań wydawniczych, gorączkowego publikowania nowych tekstów i przedruków, odważnych debiutów i, jak trafnie określił to Tymon Terlecki,

„skrzykiwania" się pisarzy. Stąd także mnogość poczynań równoległych. To czego nie można było wydać w Anglii z powodu braku papieru, trudności transportowych — a także personalnych — można było realizować z powodzeniem w Jerozolimie, a następnie w Rzymie. Jeśli idzie o literaturę użytkową, zaspokajającą potrzeby czytelnika masowego, to szkoły i świetlice na Bliskim Wschodzie, a później we Włoszech i Niemczech, odegrały rolę zasadniczą. Myślę, że dzięki mądrej polityce kierowników akcji oświatowych setki tysięcy uchodźców ostały się przy polskości. Głód książki był wtedy tak nieprawdopodobnie silny, że już sam fakt, że zdołano go zaspokoić jest dla mnie fenomenem, który z dystansu czasu nabiera coraz większego znaczenia. Przykład: nie wydaje mi się, by np. Maria Dąbrowska mogła się doliczyć w Kraju, w Dwudziestoleciu, liczniejszych czytelników *Nocy i dni* niż właśnie wtedy, gdy w każdym namiocie, w każdej „beczce śmiechu", baraku czy hoteliku czytano jerozolimskie przedruki jej powieści, odpowiednika *Pana Tadeusza,* legendy o raju utraconym. Szkołą historii literatury były nie podręczniki, ale surowiec: teksty. Półanalfabeta, przerzucony z Polesia do Kenii mógł nie wiedzieć, kim był autor *W pustyni i w puszczy,* ale ekscytował się przygodami Stasia i Nel w znanym mu krajobrazie. Na wyższym szczeblu recepcji, we Włoszech, opowieści biograficzne Berenta przeobrażały się w refleksje o własnych losach czytelników. Jerozolimska *Szkolna Biblioteczka* pod red. Łukasza Kurdybachy stała się odpowiednikiem *Biblioteki Narodowej,* do której przedwojennych tomów sięgano zresztą po teksty. Bo i to warto przypomnieć, że na terenach wojennej diaspory książka polska była rzadkością, zaczytanym obdartusem, z którym wędrowano po łagrach i posiółkach. Dziś trudno uwierzyć, że dzieci uczyły się czytać z powielanych egzemplarzy *Elementarza* Falskiego, a *Ojca zadżumionych* i *Redutę Ordona* odtwarzano z pamięci.

Odeszłam od tematu z tej chyba racji, że chciałam pokazać, że *literaturę* „wysoką", drukowaną i ocenianą, poprzedza stadium „orki na ugorze", wychowywania *przyszłych* czytelników. Nawet pisarze-latarnicy magazynujący rękopisy w walizkach lub plecakach podświadomie wierzyli, że ich utwory gdzieś, kiedyś, prędzej lub później doczekają się publikacji. O tym trzeba pamiętać: zaczynaliśmy od zera — w drukarniach bez polskich czcionek, w warunkach niesłychanie trudnych, niewiele łatwiejszych od praktyki krajowego podziemia — z jedną zasadniczą różnicą: bez kagańca cenzury. A nadto, co przyszło samo, a obecnie dziwi świadków tego zjawiska: bez dzielenia odbiorców słowa drukowanego na zaczynający czytać „lud", dla którego pisano i ogłaszano książeczki popularne, i wybrednych inteligentów. *Faraon* odbierany był równie żywo i równie krytycznie przez strzelców

z cenzusem co *bez* cenzusu. *Działowe,* a nie według numerów inwentarzowych ustawianie książek we wzorowanych na anglosaskich bibliotekach sprawiało, że czytelnik schodził z wydeptanych ścieżek zalecanych lektur i rozpoczynał własne poszukiwania. Myślę, że rola czasopism, wypisów, antologii, widowisk teatralnych itp. spełniała ogromną rolę w szkoleniu czytelników i uświadamianiu ich potrzeb nie tylko „oficerom oświatowym", ale i pisarzom-debiutantom.

F.Ś.: — *A jak wygląda w tej wczesnej fazie twórczość pisarzy z Dwudziestolecia?*

M.D.Z.: — Bardzo różnie. W okresie wojennym obserwowaliśmy niemal powtórny debiut Skamandrytów. Wierzyński, Tuwim, Słonimski, Wittlin, wreszcie arcypopularny Stanisław Baliński pisali pod naciskiem wydarzeń dużo i dobrze, a już szczególnie wymowny jest *casus* Lechonia, którego twórczość uważaliśmy za zamkniętą. Zarysowała się jednak luka: zabrakło na emigracji przedstawicieli awangardy — poezję lat trzydziestych reprezentował tylko, zresztą dobrze, Jerzy Pietrkiewicz i właściwie niedostrzeżony Stefan Borsukiewicz.

O ile jednak w latach 1939-1947 uwaga skupiała się na Skamandrytach i ich dawnej i obecnej twórczości, rola ich wyraźnie osłabła w okresie chaosu powojennego, gdy na plan pierwszy wysunęła się twórczość żołnierska — słynne antologie Bielatowicza, wiersze jerozolimskie Broniewskiego i młócka epigońskich a z reguły nostalgicznych utworów, dziś interesujących raczej socjologów niż krytyków literackich. Milczeli, pisząc do szuflad, Gombrowicz, Straszewicz, Choromański, przypomniał się „Srebrnymi orłami" Parnicki, po tematykę aktualną sięgała Kuncewiczowa i niestrudzony Wańkowicz. Niewiele da się z tego wprowadzić na karty historii literatury.

F.Ś.: — *Jak wygląda dalsza faza?*

M.D.Z.: — Dalsza faza... W dziesięcioleciu powojennym (1945-1955) mówić można o pewnym rozdwojeniu, co oznacza, że na nowo zaczęło się organizować środowisko pisarskie w Paryżu, ale był to proces powolny, gdyż przeniesiony z Rzymu Instytut Literacki był w stadium organizacji i dopiero się rozkręcał. Dwa ważne debiuty młodych prozaików, *Baśka i Barbara* Zofii Romanowiczowej i *Obóz Wszystkich Świętych,* to już lata 1956 i 1957. Datą przełomową jest jednak rok 1951, gdy okrzepł Instytut Literacki, *Kultura,* i w tym samym numerze ogłoszono „Nie" Miłosza i „Trans-Atlantyk" Gombrowicza i gdy ukazało się wydanie angielskie „Innego świata" Herlinga-Grudzińskiego. W Lon-

dynie rej wodziły *Wiadomości,* a do obowiązków „szarego człowieka" należała lektura cotygodniowych felietonów Zygmunta Nowakowskiego w *Dzienniku Polskim.* A jednak, gdy na widowni pojawili się „młodzi", miejsca dla nich nie było ani w *Kulturze* ani w *Wiadomościach* i tylko kątem akceptowało ich katolickie *Życie.* Dwa więc były ośrodki życia literackiego, Londyn i Paryż, jak Rzym i Bizancjum z formuły otwierającej historię literatury Ignacego Chrzanowskiego, z tym że „Londyn" karmił się tradycjami Warszawy 20-lecia, a „Paryż" upolował Gombrowicza i Miłosza, nie zadowalając się Mieroszewskim.

F.Ś.: — *Czy oznacza to ostrą rywalizację, czy to, co dziś modne jest określać jako consensus?*

M.D.Z.: — I tak i nie. Potrzeby czytelnicze były tak oczywiste i urozmaicone, że nie mogły ich zaspokoić placówki wydawnicze z okresu wojny, zbiedniałe po wyczerpaniu resztek funduszów. Około roku 1946-1950 pojawiły się nowości krajowe: Gołubiew, Malewska, Dobraczyński, Żukrowski, Dygat, Szmaglewska, Bunsch. Wybuch socrealizmu zahamował dopływ tych posiłków. Toż przecież nawet „klasycy" podawani byli w PRL czytelnikom w oprawie tendencyjnych przedmów i komentarzy. Emigracyjne przedsięwzięcia wydawnicze z okolicy lat 50-tych mają cechy akcji ratowniczych: Giedroyc rozbudowywał Bibliotekę *Kultury,* lektur popularnych dostarczał „Veritas", śmiałe inicjatywy podejmował B. Świderski *(Biblioteka Londyńska),* we współpracy z Feliksem Topolskim działała Oficyna Poetów i Malarzy, nawet *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* lansowały, jedną po drugiej, powieści odcinkowe, dziś doszczętnie zapomniane, choć może i warte ponownego odczytania. Z dystansu lat nasuwa mi się przypuszczenie, iż fakt, że *Kultura* mogła przetrwać, a Instytut Literacki mógł się rozwijać zawdzięczać należy chłonności rynku, znajdującego odbiorców dla wybranego przez siebie pisma — albo dla obu, bo gdy książek nie dostaje, czyta się namiętnie czasopisma. Dzięki Londynowi i mającym w Anglii siedzibę placówkom wydawniczym powstało zaplecze, wspomagające pośrednio inicjatywy paryskie.

F.Ś.: — *A nowe inicjatywy? — myślę o Londynie...*

M.D.Z.: — Pomijam efemerydy, choć było ich wiele. Zatrzymuję się przy wyłonieniu samodzielnej grupy poetyckiej, będącej zupełnym *novum* na mapie literatury nie tylko emigracyjnej. Myślę tu o bliskich Panu „Kontynentach", o tym nieprawdopodobnym i, niestety, niepowtarzalnym zjawisku, polegającym na tym że w latach 50-tych, w kilkanaście lat po wybuchu drugiej wojny

światowej *poza Krajem* mogła powstać grupa młodych polskich pisarzy, którzy nic albo niewiele pamiętali z Dwudziestolecia i w ciężkim trudzie odkrywali Norwida, Brzozowskiego i poetów Awangardy z Przybosiem na czele. O uformowaniu się grupy, składającej się zresztą z wybitnie różnych indywidualności, ich czasopismach, sukcesach i potyczkach pisał w londyńskim *Pamiętniku Literackim,* w tomie VI, 1983 Bolesław Taborski w artykule o „Młodszej literaturze emigracji". Zamiast streszczania przypomnę, że z „Kontynentów" wyszli współautorzy antologii *Ryby na piasku* Busza, Czaykowski, Czerniawski, Darowski, ks. Ihnatowicz, Sito, Taborski — i Pan, Panie Florianie...

F.Ś.: — *Co jeszcze da się o tym okresie powiedzieć?*

M.D.Z.: — Dałoby się powiedzieć niejedno. Nie jest to zresztą *terra incognita,* bo z grubsza już opisana w *Literaturze polskiej na obczyźnie 1940-1960* (pod red. Tymona Terleckiego) i moich *Szkicach o literaturze emigracyjnej* i ich krajowym przedłużeniu w *Literaturze wolnego słowa* (1987).

Myślę, że najtrudniejsze było dziesięciolecie powojenne — nim ustabilizował się na dalsze dwudziestolecie byt głównych placówek wydawniczych; firmowani przez nie autorzy to Gombrowicz, Miłosz, Wierzyński, Wittlin, Bobkowski, Stempowski, Romanowiczowa, Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Włodzimierz Odojewski i wielu innych. Z tego pobieżnego i niepełnego wyliczenia wynika, że prym w ogłaszaniu książek o nieprzemijającej wartości wiódł paryski Instytut Literacki, choć poza nim ukazały się np. wiersze Tadeusza Sułkowskiego (OPiM) czy *Poezje zebrane* Wierzyńskiego i *Dziennik* Lechonia *(Wiadomości).*

F.Ś.: — *A lata siedemdziesiąte?*

M.D.Z.: — Okres bardzo, właściwie niewytłumaczalnie trudny. Seniorzy umierali na wyścigi, *Wiadomości* kontynuowały publikację po śmierci Grydzewskiego, jak długo się dało, dzięki bohaterskim wysiłkom Michała Chmielowca i Stefanii Kossowskiej. Związek Pisarzy wegetował od czasu wyjazdu do USA dawnego animatora jego poczynań, Tymona Terleckiego. Śmierć zabrała blisko z nim współpracujących przy wydawaniu cennej serii książek „żywych" (o Mickiewiczu, Sienkiewiczu, Norwidzie, Krasińskim, Conradzie): Herminię Naglerową, Stefanię Zahorską, Władysława Guenthera. Był to okres, w którym ze względów „bytowych" załamała się twórczość młodych, rozproszonych po świecie pisarzy, osłabło tempo wydawania tomików wierszy, a placówki wydawnicze bały się ryzyka związanego z lansowaniem

debiutów. To sprawa zupełnie zasadniczej wagi: o ile Paryż mógł podejmować wydawanie kolejnych tomów Biblioteki *Kultury,* ponosząc związane z tym ryzyko, o tyle Londyn nie miał odpowiednika ciągłego wydawnictwa strzegącego poziomu swej produkcji. Myślę o publikacji książek.

F.Ś.: — *Jak wytłumaczyć, że jednak można mówić o dalszym ciągu? Jakie były przyczyny tego swoistego kryzysu?*

M.D.Z.: — Różnie to można tłumaczyć, np. zmianami w upodobaniach czytelniczych, kierujących się ku literaturze faktu, dziennikom, pamiętnikom (zwłaszcza odnoszącym się do okupacji, zsyłek, wojny, Katynia, sytuacji Kraju, sowietyzacji). Można także przyjąć, że ludzie czytający wyłącznie po polsku wymierali, a przed znającymi obce języki otworzyły się szerokie pola eksploracji. Można oskarżać filmy, radio, telewizję.

W sytuacji kryzysowej wyłoniło się jednak nowe zjawisko. Było nim zazębianie się twórczości emigracyjnej z krajową. Naprzód w formie ogłaszania w Paryżu, Londynie czy USA (Nowy Jork, Chicago) tekstów powstałych w Kraju (za wiedzą lub bez wiedzy autorów, choć pytać można czy wbrew ich woli). Procesowi temu towarzyszyło zjawisko odwrotne: ukazywanie się w podziemiu w Kraju przedruków utworów pisarzy emigracyjnych. Zjawisko to trwa, przybiera coraz większe rozmiary i zaczyna się przetwarzać w działalność wielokierunkową, bo i w wydawnictwach „pierwszego obiegu", np. PIW-ie czy Wydawnictwie Literackim, ukazało się sporo książek autorów emigracyjnych (w specyficznym i rzadko dającym autorom satysfakcję wyborze). W pierwszej fazie wydawano w Kraju niemal wyłącznie teksty pisarzy zmarłych. Ten stan rzeczy zmienia się stopniowo na lepsze, dotąd jednak obowiązuje zasada swoistej selekcji, co zdecydowanie zniekształca oblicze pisarskie poszczególnych twórców. Dotyczy to nawet „szczytów" — Wierzyńskiego i Miłosza. Byliśmy świadkami wieloletnich targów o *Dziennik* Gombrowicza, a gdy go wreszcie wydano, rozpoczęła się kampania podważająca wagę talentu i poszczególnych tytułów. Jeśli przeczytamy niedawną ocenę Lama w *Zdaniu,* dojdziemy do wniosku, że właściwie nie warto się zajmować Gombrowiczem... Z drugiej strony w setki idą prace magisterskie i doktorskie poświęcone bądź wybranym problemom z literatury emigracyjnej, bądź „odkrywanym" a rzekomo zaniedbanym przez krytykę emigracyjną pisarzom (np. Tadeuszowi Sułkowskiemu, Jerzemu Niemojowskiemu, Zygmuntowi Hauptowi, Andrzejowi Bobkowskiemu itd.). W pracach tych z rzetelnymi ocenami krzyżują się błędne odczytania i przeceny, zrozumiałe w warunkach trudnego dostępu do książek i czasopism emigracyjnych.

F.Ś.: — *Jak Pani widzi obecną sytuację literatury emigracyjnej?*

M.D.Z.: — Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Często stawiam sobie pytanie, czy istnieje ona nadal, a ściślej rzecz ujmując, czy jesteśmy świadkami (a w moim wypadku także uczestnikami) etapu schyłkowego? Nie przeczy temu fakt, że wznawia się lub wyciąga z szuflad pisma Andrzeja Bobkowskiego, Józefa Mackiewicza, Sergiusza Piaseckiego czy Aleksandra Wata — a więc pisarzy zmarłych. Książki te mają wyraźny adres: są przeznaczone na legalny czy nielegalny eksport do Kraju. I tu refleksja: czemu nie ukazały się w Kraju?

Literatura emigracyjna w przedawnionym potocznym sensie zanika, schodzi ze sceny, ustępuje *literaturze wolnego słowa,* niejako ponad granicami i barierami cenzury. Tworzą ją wspólnie Kraj i emigracja.

F.Ś.: — *Czy to znaczy że zaistniała obecnie jakaś zasadniczo inna faza? Szeregów wybitnych pisarzy emigracyjnych nie sposób zapełnić. Zaowocowali młodzi twórcy, inaczej może i za kulisami wielkiej sceny. Dołączyli się na przestrzeni lat pojedynczy pisarze z Polski, także nieco odmienni, bo z bagażem swoistego doświadczenia i innych trosk. Niemniej wydaje mi się, że wszyscy oni mieścili się w tej samej tradycji, nie różnili się bardzo od tego, co działo się w naszej literaturze na Zachodzie.*

M.D.Z.: — Brzmi to sielankowo. W historii literatury poza Krajem nie brak ostrych ataków, przesileń, antagonizmów... Emigracja nie przywitała np. Miłosza z otwartymi ramionami — początki jego egzystencji na emigracji były bardzo trudne. Niełatwo dziś zrozumieć, dlaczego, a nawet uwierzyć, że tak być mogło. Młodzi pisarze z „Kontynentów" spotkali się w początkach działalności z bardzo zasadniczym sprzeciwem ze strony seniorów. Trzeba dobrze pamiętać o tym, że w literackim Londynie układ generacji był bardzo niezdrowy: na czele większości organizacji i instytucji, w których koncentrowała się działalność kulturalna i naukowa, stali ludzie o dwa pokolenia starsi od debiutantów; poezja kończyła się dla nich na Asnyku i Konopnickiej, dobrze, jeśli akceptowali Wyspiańskiego i Skamandrytów. Nie trawili nowej poezji, wiersze Czerniawskiego czy Taborskiego uważali za imitację angielskich, eksperymenty, które się nie przyjmą. Od uprzedzeń nie byli wolni nawet redaktorzy *Wiadomości* i *Kultury.* Jeśli nawet w starych rocznikach tych pism można się doszukać wierszy młodych poetów z „Kontynentów", figurują one najczęściej w sąsiedztwie epigonów lub wręcz grafomanów. To nie było „mieszczenie się w tej samej tradycji", o którym Pan mówił. Brak wspólnego języka jest w moim wyczuciu istotą konfliktu międzypokolenio-

wego. Dobiegł on końca, gdy seniorzy zaczęli schodzić ze sceny, a młodych pochłonęły problemy bytowe. W ostatnim dziesięcioleciu widzę u przybyłych świeżo z Kraju tendencję do tworzenia własnych pism i wydawnictw, w których brak miejsca dla pisarzy zasiedziałych poza Krajem. Stwarza to sytuacje paradoksalne: mnie np. łatwiej jest drukować swoje teksty w podziemiu lub pismach katolickich w Kraju, niż w Paryżu czy Nowym Jorku. Myślę, że jest to sytuacja przejściowa, „póki my żyjemy"..., bo gdy pomrzemy, zwiększą się szanse zainteresowania naszym dorobkiem, dziś praktycznie nieobecnym w pismach nowej emigracji.

F.Ś.: — *Są jednak nadal czynne pisma i placówki wydawnicze istniejące od dawna i nie stosujące wyolbrzymionego chyba przez Panią podziału na różne fale emigracji?*

M.D.Z.: — Są, ma Pan zasadniczo rację. Przede wszystkim nadająca ton *Kultura* i jej wspaniała Biblioteka, poza którą rzadko ukazują się książki, którym można wróżyć miejsce w historii literatury. Jest Oficyna Poetów i Malarzy, jest „Veritas", „Polonia", „Odnowa" — wreszcie „Kontra" z bardzo wyraźnie zarysowanym planem wydawniczym. Są czynne Editions du Dialogue w Paryżu, Bicentennial Publishing Corporation w Nowym Jorku, Biblioteka Polskiego Funduszu Wydawniczego w Toronto, Polska Fundacja Kulturalna w Londynie — i zapewne kilka innych placówek, których publikacje docierają do mnie kapryśnie. Większość ich jednak chętniej drukuje autorów krajowych, a od emigracyjnych oczekuje co najmniej udziału w kosztach druku i rezygnacji z honorariów autorskich. Są oczywiście wyjątki od tych niepisanych zasad, dotyczą jednak „pewniaków" — „wielkich" nazwisk albo tzw. przez Anglików *topical books*. Na tym ostatnim odcinku nie występuje niezdrowy układ stosunków, o którym mówiłam przed chwilą. Książki te jednak pomyślane są na eksport (czy szmugiel) do Kraju, co także nie jest normalne. Ale jest w pełni zrozumiałe... Ze smutkiem skonstatować wypada, że placówki wydawnicze „naszej" emigracji robią bokami albo schodzą ze sceny — i jakże tu nie wspomnieć nieodżałowanych *Wiadomości*... Trwa *Dziennik Polski, Orzeł Biały,* kilka pism stronnictw politycznych, *Gazeta Niedzielna* — ale ze smutkiem pożegnałam *Przegląd Powszechny*... Ograniczam się do Europy — a przecież wiele się dzieje ostatnio w USA: myślę o *Nowym Dzienniku* z doskonałym dodatkiem tygodniowym *(Przegląd Polski)*. Proszę dodać dalsze tytuły ze Stanów, z Kanady, Australii, Izraela...

F.Ś.: — *Czy którekolwiek z tych pism ma szanse zająć miejsce* Kultury, *miesięcznika, o którego przyszłość się obawiamy?*

M.D.Z.: — Każe mi Pan sięgać poza ramy mojej własnej egzystencji... Nie chciałabym dożyć kresu pisma, z którym tyle mnie łączy. W ponurych deliberacjach „co by gdyby" brać trzeba jednak w rachubę raczej pisma nowej niż naszej sędziwej emigracji. Nie widziałabym następcy w postaci jednego pisma. Jeśli do wzoru jakim jest *Kultura* przymierzyć *Puls, Zeszyty Literackie* czy *Kontakt,* dopatrzymy się wielu podobieństw. Coraz bardziej nawykiem intelektualistów polskich poza Krajem (i nie tylko, bo i w Kraju) staje się regularna lektura tego właśnie zespołu pism zwiększonego o uzupełniający dziś *Kulturę* polityczny kwartalnik *Aneks*. Tak jak żadnemu z pism emigracyjnych nie udało się zająć miejsca *Wiadomości (Środa Literacka* zaczepiona o *Dziennik Polski* jest tylko nostalgicznym ich echem) tak nie wyobrażam sobie, by jakieś jedno pismo, jeden redaktor mógł zastąpić Jerzego Giedroycia i *Kulturę* taką, jaka jest dzięki jego i obecnego zespołu wspólnym wysiłkom.

Rozmawiał Florian ŚMIEJA

Feijó, 23 września 1988

Następcy Faulknera poszukiwani

— Oczekujemy od was wizji na miarę Ameryki, a otrzymujemy konwencjonalne, kasowe powieści — zakomunikowali pisarzom amerykańskim młodzi autorzy z ponad dwudziestu krajów na sesji literackiej, jaką latem 1987 roku zorganizował nowojorski Columbia University. Dyskusja, której celem miała być wymiana doświadczeń, przekształciła się w atak gości na gospodarzy. Lista ich zarzutów przedstawiała się mniej więcej tak: proza amerykańska nie jest już tym, czym była, choć film i muzyka nadal nie mają sobie równych. Faulknera i Hemingwaya czytał cały świat. Z niepojętych powodów nie dochowaliście się ich następców. Nie potraficie już zelektryzować naszej wyobraźni. Doszło do tego, że niechętnie sięgamy po wasze książki.

Napaści na pisarzy amerykańskich weszły już do porządku obrad sesji międzynarodowych, więc i tych opinii nie należałoby

traktować zbyt serio, gdyby nie pobrzmiewał w nich autentyczny ton. Jak się wydaje, powyższe uwagi były dyktowane nie tyle zazdrością, różnicami ideologicznymi czy kompleksem niższości, co młodzieńczym poczuciem zawodu: „Tacy byliście wspaniali i co się stało, że już nas nie potraficie olśnić?". Gdyby zapytać, jaki pisarz pasjonuje dziś miliony czytelników w świecie, najczęstsza przypuszczalnie odpowiedź brzmiałaby: Gabriel Garcia Marquez. Jego „magiczny realizm", zresztą bynajmniej nie jego odkrycie, który swobodnie miesza zwykłe i cudowne, baśń i konkret, okazał się w naszych czasach nadzwyczaj nośną receptą literacką. Najnowsza powieść Garcii Marqueza, „Miłość w czasach cholery", należy do najbardziej poczytnych książek na kilku kontynentach. Jej sukces w USA jest podwójny, bo jest to rynek, który zdecydowanie faworyzuje literaturę rodzimą, a nadto nie jest przychylny orientacji politycznej kolumbijskiego epika. Tymczasem Garcia Marquez uwodzi darem opowiadania i talentem do opisu obłapki.

Otóż podobnej indywidualności w Stanach Zjednoczonych nie ma od dobrych paru lat. Młodzi autorzy z zagranicy mieli nieco racji w tym, że amerykańscy prozaicy nie dostarczyli ostatnio arcydzieła o zasięgu uniwersalnym. Gdyby o wartościach artystycznych decydowała statystyka, to Stany Zjednoczone, kraj o największej pod względem liczby tytułów produkcji wydawniczej w świecie oraz imponującej tradycji prozy beletrystycznej, powinny pozostać poza konkurencją. Tak jednak nie jest. Dziś częściej mówi się w świecie o Umberto Eco, Günterze Grassie, Italo Calvino, Milanie Kunderze, niż o Doctorowie, Vonnegutcie, Mailerze, Gore Vidalu, etc. etc. Nienajwyższe notowania prozy amerykańskiej najprościej byłoby tłumaczyć rosnącą komercjalizacją przemysłu wydawniczego. Wielkie koncerny wchłaniają mniejsze wydawnictwa, dotychczas niezależne, i narzucają im swoją politykę rynkową. A celem jest osiągnięcie jak największych zysków, czyli produkcja bestsellerów. Jeden z redaktorów znanego domu wydawniczego powiedział mi, że jego firma coraz bardziej przestawia się na publikację *non-books,* czyli nieksiążek lub niby-książek — albumów, przewodników, luksusowych katalogów, książek kucharskich, stopniowo rugując literaturę piękną. Zarazem molochy wydawnicze przeznaczają fortunę na badania rynkowe, reklamę oraz na honoraria dla niektórych autorów, co też w końcu służy reklamie. Zaliczka rzędu miliona lub kilku milionów dolarów nawet nie za ukończony manuskrypt, lecz za konspekt książki, jest już dziś na porządku dziennym, jeśli tylko nazwisko pisarza lub temat gwarantują sukces kasowy. Oto pierwszy z brzegu przykład: pięciostronicowy zarys powieści historycznej o Kolumbie stał się obiektem przetargu, w którym uczestniczyło kilkanaście wydawnictw. Najwyższą stawkę — półtora miliona dolarów — zaoferował Harper & Row. Wydanie książki jest planowane na pięćsetlecie wyprawy Kolumba do Ameryki. Jej przyszłym czytelnikom sugeruje się, że będzie to cenne dzieło, skoro wydawca tak wiele w nie zainwestował. Podobne stawki obowiązują teraz za popularne biografie przeznaczone na masowy rynek. Albert Goldman, eks-profesor literatury na Columbia University, zajął się dwoma idolami kultury pop, Elvisem Presleyem i Johnem Lennonem. Z pierwszego zrobił analfabetę, fetyszystę i narkomana, z drugiego — schizofrenicznego heroinistę i psychopatę. Za obie biografie otrzymał sześciocyfrowe zaliczki. Do najlepiej zarabiających pisarzy w USA należą: Judith Krantz, autorka powieści obyczajowych klasy „Trędowatej", twórca dreszczowców Stephen King i James Michener, autor czytanek historyczno-geograficznych o poszczególnych stanach (niekiedy o krajach, w tym także, niestety, o Polsce), pisanych taśmowo z pomocą współpracowników zbierających dokumentację. Jego fabularyzowana opowieść o Alasce jest jednym z największych bestsellerów 1988 roku.

Przy tak zawrotnych honorariach gwarantowanych garstce wybrańców część pisarzy pragnie wszelkimi sposobami utrafić w gusty ogółu, a wydawnictwa chcą te gusty odgadnąć lub rozbudzić. Oto kolejny przykład schlebiania *vox populi:* John Gardner, pisarz niegdyś obiecujący a dziś modny, podjął się napisania dalszych przygód Jamesa Bonda, wedle wzoru powieści sensacyjnych zmarłego przed laty Iana Fleminga, twórcy Agenta 007. W ogóle zdaniem niektórych krytyków rok 1988 jest rokiem książki szpiegowskiej: ten temat podobno najbardziej wciąga masowego odbiorcę.

Nowa pozycja powieściowa czy biograficzna jest nie tylko towarem na rynku literackim, lecz staje się, jak się tu mawia, *a multi-media event,* czyli zjawiskiem obliczonym na efekt w różnych środkach przekazu. Odniesie sukces, jeśli stanie się podstawą filmu lub serialu telewizyjnego. A ponieważ wiadomo, że wielowątkowe powieści o epickim oddechu są kosztowne i trudne w realizacji filmowej, ceni się dziełka nieduże, z żywą akcją, krótkimi dialogami i zredukowanym do minimum statycznym opisem. Typowa współczesna powieść amerykańska, czy to za sprawą środków przekazu, czy innych, trudnych do wyjaśnienia powodów, strywializowała się i ma tendencje minimalistyczne. Podejmuje tematy należące do kanonu codziennych frustracji i lęków: rozbicie rodziny, kryzys tożsamości w wieku średnim, konflikt pokoleń. W beletrystyce i biografistyce teorie Freuda i jego następców kładą się długim cieniem; wydaje się, że wielu autorów już na dobre ugrzęzło w psychoanalizie i patologiach psychicznych. Nawet ceniona pisarka Joyce Carol Oates w swej ostatniej powieści „You Must Remember This" (Musisz o tym pamię-

tać) podjęła temat kazirodczego stosunku wuja z młodocianą siostrzenicą na tle Ameryki lat pięćdziesiątych.

Niestety, zarzut minimalizmu i zwężenia wizji można postawić również dwóm pisarzom uważanym powszechnie w USA za klasyków współczesności. Mam na myśli zmarłego w 1982 roku Johna Cheevera, autora m.in. głośnej w latach siedemdziesiątych powieści „Falconer" (Sokolnik) oraz mistrza krótkich opowiadań drukowanych w tygodniku *New Yorker,* i Johna Updike'a, twórcę urzekającego niegdyś „Centaura", a następnie już dużo banalniejszej trylogii „Rabbit", powieści o chutliwym pastorze „A Month of Sundays" (Miesiąc złożony z niedziel) i licznych zbiorów opowiadań. Przy całej wirtuozerii stylistycznej obu i ironicznym dystansie do opisywanych postaci, ich dzieła nie przekroczyły granicy dobrej prozy obyczajowej. Obaj, choć w nieco innej tonacji, do cna już wyeksploatowali i *tempora,* i *mores* WASP-ów w Nowej Anglii. Otóż to spojrzenie, bez wątpienia przenikliwe, na Amerykę białej klasy średniej, już dziś po prostu nie wystarcza i niewątpliwie trzeba przyznać rację mądremu pisarzowi V. S. Naipaulowi, że świat przedstawiony Cheevera i Updike'a nuży i pozostawia niedosyt.

Sam Updike zabrał niedawno głos na łamach *The New York Review of Books,* podejmując sprawę niektórych anomalii życia literackiego w Stanach Zjednoczonych. Wspomniałam na początku o uleganiu naciskom rynkowym i przesadnie wysokich honorariach. Jest jednak i druga strona medalu: ogromna dysproporcja finansowa między komercyjnymi a niekomercyjnymi (lub niekasowymi) pisarzami. Ci ostatni na dobrą sprawę nie mogą się utrzymać z twórczości literackiej, bo honoraria autorskie są zazwyczaj mizerne, a większość periodyków nie płaci nic za ogłaszane teksty. Przypomnieć wypada, że średnia zarobków literata w USA, wliczając w to potentatów, wynosi około 9 tysięcy dolarów rocznie. I są to głównie dochody nie z publikacji, lecz z wieczorów autorskich oraz prelekcji. Updike stwierdził, że publiczne odczyty pisarzy upowszechniły się już dawno, bo półtora wieku temu, ale wówczas miały zupełnie inny cel. Emerson wygłaszał swoje świeckie kazania, Whitman zdobywał stronników Lincolnowi, Oscar Wilde i Gertruda Stein gorszyli i wywoływali podziw. Natomiast po drugiej wojnie światowej pisarz został zredukowany do roli popularyzatora i nauczyciela. Społeczeństwo obarczyło go obowiązkami adiunkta. Zmuszeni sytuacją materialną poeci prowadzą zajęcia na jednych uniwersytetach i jeżdżą z wieczorami autorskimi na inne. Pisarze uczą adeptów *creative writing,* to jest tajników warsztatu na letnich kursach. Przyjął się w USA typ literata-szkolarza, który po skończeniu studiów pozostaje na uniwersytecie i w chwilach wolnych od pracy dydaktycznej, niczym komiwojażer własnej twórczości, objeżdża inne ośrodki. Updike, który studiów nie ukończył, uważa, że jest to zgubna droga, choć przyznaje, że niektórzy potrafią połączyć wykłady z karierą literacką. Powtarza jednak za Flaubertem, że miejscem pisarza jest wieża z kości słoniowej. Rozkwit nowelistyki — dowodzi — nastąpił za sprawą prężnych i licznych pism w latach dwudziestych i trzydziestych. W owym czasie w każdym większym mieście ukazywało się kilka do kilkunastu gazet i periodyków, które uczciwie płaciły za teksty literackie. Dziś za odczyt na trzeciorzędnym uniwersytecie pisarz otrzymuje dużo wyższe honorarium niż za druk opowiadania dużej klasy. W tym ogromnym kraju — podkreśla Updike — pozostało nie więcej niż pół tuzina pism, które gotowe są płacić godziwe stawki za publikacje literatury pięknej. Wobec tego pisarz, który w myśl sformułowania Updike'a musi pozostać „łącznikiem między językiem a naturą", jest zmuszony do odgrywania fałszywej roli: zostaje osobą publiczną, gwiazdą, korepetytorem, nawet spowiednikiem, bo w miarę słabnięcia wpływów Kościoła społeczeństwo domaga się od niego, aby również rozgrzeszał je z win zbiorowych. I tak oto, pozbawiony „świętego prawa do zachowania milczenia", traci to, co ma najcenniejszego — niezawisłość.

Relacjonuję powyższe wywody z dziennikarskiego obowiązku, niezupełnie do nich przekonana. Odwrotnie, wydaje się, że posada wykładowcy literatury bywa dla pisarza dość szczęśliwym rozwiązaniem, chroniąc go przed bezwzględnymi prawami rynkowymi. I wielu sobie takie rozwiązanie chwali, łącznie z luminarzami tej miary, co Saul Bellow, laureat Nobla z 1976 roku. Nawet stary Isaac Singer jeszcze do niedawna jeździł z odczytami po uniwersytetach... Konsekwencją szkolarskich obowiązków pisarzy jest natomiast, jak się wydaje, ogromna liczba biografii i monografii literackich. Gatunek ten, od dawna uprzywilejowany w krajach anglosaskich, wymaga aparatu badawczego oraz zaplecza w postaci bibliotek i archiwów, a te w ośrodkach akademickich znajdują się na podorędziu. Z obszernej listy wydanych ostatnio biografii chciałabym wymienić kilka przynajmniej tytułów, z racji ich wartości lub choćby żywego zainteresowania nimi odbiorcy. I tak mianem książki wybitnej określili krytycy biografię Oscara Wilde'a pióra zmarłego niedawno Richarda Ellmana, wydaną przez Knopfa. Zaletą dzieła jest nie tylko wzorowa dokumentacja, lecz i prawdziwy talent pisarski autora, który kilkanaście lat przedtem ogłosił równie ważką biografię Jamesa Joyce'a oraz Yeatsa. Ellman z dużą dozą obiektywizmu podszedł do Wilde'a, najsłynniejszej po Dickensie postaci wiktoriańskiej Anglii. Nie przecenia jego osiągnięć pisarskich; ani wczesne poezje, ani „Portret Doriana Graya" nie zasługują w jego oczach na miano wielkiej literatury. Wilde pozostał dla biografa autorem jednego wybitnego dzieła, a mianowicie „The Importance of Being Earnest".

Ellman nie czyni też zeń ofiary hipokryzji społecznej, lecz zwraca uwagę, że ekstrawertyzm Wilde'a i jego nieopanowana żądza sławy sprawiły, iż świadomie przyjął na siebie rolę męczennika i pewnie nie zostałby skazany na dwa lata ciężkich robót, gdyby nie gotowość do wyznań homoseksualnych na rozprawie.

John Tytell jest autorem biografii Ezry Pounda, wydanej pod tytułem „Solitary Volcano" (Samotny wulkan) przez Doubleday. Krytyk stosuje szczególną linię obrony wielkiego poety, twierdząc, że uosabia on siłę natury, a do niej, jak wiadomo, nie mają zastosowania miary etyczne i moralne. Scott Donaldson wydał w Random House biografię wspomnianego już Cheevera, poprawną, ale niezbyt odkrywczą. Skandalem natomiast zakończyła się publikacja książki Iana Hamiltona pt. „In Search for J. D. Salinger" (W poszukiwaniu Salingera). Autor niezapomnianego „Buszującego w zbożu", biblii nastolatków, w 1965 roku całkowicie wycofał się z życia publicznego i rozwścieczony nachodzeniem jego krewnych skierował przeciw badaczowi sprawę do sądu.

Biografią, która od kilku miesięcy figuruje na listach bestsellerów, jest książka Ariany Stassinopoulos-Huffington o Pablu Picassie, napisana w formie powieści biograficznej (wyd. Simon & Schuster). Należy ona do gatunku *multi-media event* i podobnie jak poprzednia biografia modnej autorki, poświęcona Marii Callas, ma wkrótce zostać sfilmowana na użytek telewizji. Stassinopoulos nie kryje, że jest zaangażowaną i stronniczą kronikarką. Stara się nawet czynić z tego zaletę, bo ton subiektywny podnosi temperaturę dzieła. Autorka z upodobaniem odgrywa rolę mścicielki kobiet, które stały się ofiarami geniusza. W Picassie dostrzega przede wszystkim potężnego manipulatora i uwodziciela, który zdobywa nie po to, by mieć, ale by niszczyć. Pisarka stara się też odpowiedzieć na pytanie, którego trudno nie zadać, a mianowicie dlaczego Picasso stał się sztandarową postacią dla XX wieku. Jej zdaniem jest on wyrazicielem naszego stulecia pędzącego ku zniszczeniu, szarpanego konwulsjami. W dziele Picassa, które dla Stassinopoulos jest przede wszystkim nihilistyczne, ześrodkowują się nie tyle i nie tylko szczególne cechy twórcy, ale i zbiorowe obsesje oraz dewiacje ludzkości.

Prócz biografii, które z powodzeniem konkurują na rynku czytelniczym z powieściami, ogromną poczytnością cieszą się również autobiografie. Masowy popyt na nie wynika, być może, z silnie zakorzenionego w tradycji amerykańskiej podziwu dla indywidualności, stale podsycanego przez środki przekazu. Artysta lub aferzysta, polityk lub zbrodniarz, każdy, kto wychyla się ponad średnią, wydaje od razu książkę o sobie. Czytelnik naiwny szuka w niej szczerych wyznań, sądząc że pozna rzeczywistego człowieka ku nauce lub przestrodze. Lekcji dialektycznego myślenia udzielił mu pod tym względem Philip Roth w wydanej ostatnio książce pod przewrotnym tytułem „The Facts" (Fakty). Można by ją określić albo jako bardzo szczególną autobiografię literacką, albo jako zabawę literacką w autobiografię. Do pewnego stopnia Roth rzeczywiście trzyma się faktów opisując lata terminowania w zawodzie pisarskim, począwszy od dzieciństwa i młodości w Newark w stanie New Jersey, przez studia i pobyt w Chicago, gdzie przez jakiś czas wykładał literaturę i spotkał swoją pierwszą żonę, którą portretuje jako demona poślubionego na własną zgubę. „Fakty" urywają się na publikacji jego powieści „Portnoy's Complex". Książka byłaby dość konwencjonalną autobiografią, gdyby nie mistrzowskie posunięcie autora. Wprowadził on mianowicie drugi głos: Nathana Zuckermana, swoje *alter ego,* (anty)bohatera kilku powieści. Wymiana listów między Rothem a Zuckermanem decyduje o stałym napięciu, o starciu dwóch różnych punktów widzenia, rozdarciu między prawdą, a fikcją literacką. „Fakty" to jeszcze jeden wariant mądrej baśni o człowieku i jego cieniu. Zuckerman kwestionuje zdolność Rotha do napisania własnej biografii, zasiewa wątpliwości, ale jest stronniczym krytykiem, ponieważ domaga się, aby pisarz zajął się nie sobą, lecz nim. Upomina się o dalsze swoje istnienie.

Roth dowodzi, jak płynna i nieuchwytna jest granica między autobiografią i powieścią. To samo można by powiedzieć i o innych, rzekomo faktograficznych formach pisarskich, jak listy czy dzienniki. Do jakiego stopnia należy je traktować jako dokument, a do jakiego — jako autokreację? Z nowości wydawniczych w tej dziedzinie wymienię trzy ważne książki: I tom listów T. S. Eliota (1898-1922) w opracowaniu wdowy po poecie, Valerie Eliot, z obszernym komentarzem biograficznym i licznymi ilustracjami (Harcourt Brace Jovanovich); Dzienniki Thorntona Wildera z lat 1939-1961 (Yale University Press) i zebrane w trzech tomach listy Jacka Londona z lat 1896-1916 (Stanford University Press).

Wybitny krytyk i poeta Malcolm Cowley zastanawiając się na początku lat pięćdziesiątych nad przypuszczalnymi kierunkami prozy amerykańskiej doszedł do wniosku, że w następnym pięćdziesięcioleciu należałoby oczekiwać: 1. powstania wielu utworów apokaliptycznych, w duchu tych, jakie pojawiły się na początku chrześcijaństwa, ze względu na poszukiwania jakiejś formy wiary religijnej w okresie rosnącego zamętu i rozchwiania systemu wartości; 2. odejścia od subiektywnej i introspektywnej tendencji, jaka dominowała w literaturze światowej od połowy ubiegłego stulecia. „Nowa literatura — zauważył Cowley — może ześrodkować swe zainteresowania nie na osobistych uczuciach rozważanych na najgłębszej płaszczyźnie, ale na stosunkach międzyludzkich"; 3. drastycznego podziału na literaturę druko-

waną tworzoną przez erudytów i przeznaczoną dla wąskiego kręgu erudytów, oraz na literaturę masową w formie książek obrazkowych, zarejestrowanych na taśmie widowisk, seriali itd., itp. Przepowiednie Cowleya nie spełniły się w tym stopniu, aby decydować o obrazie współczesnej literatury amerykańskiej, lecz każde z jego spostrzeżeń ma pewną rację bytu i można się powołać na konkretne przykłady ilustrujące te tendencje. Nurt apokaliptyczny jest silnie obecny m.in. w twórczości Saula Bellowa. Bellow, baczny obserwator współczesnego *metropolis,* jest na dobrą sprawę przerażony rozmiarami korupcji, bezprawia, gangsterstwa, i jego wizja Ameryki byłaby bardzo pesymistyczna, gdyby nie dystans i poczucie humoru, pozwalające na ujęcie tematu w formie tragifarsy. Bohater jego najnowszej powieści, „Some Die of Heartbreak" (Niektórym pęka serce) przypomina nieco wolterowskiego Kandyda naiwnością i wiarą w najlepszy ze światów. Jest młodym humanistą wychowanym i wykształconym we Francji, ale Paryż nudzi go dekadencją i życiem pozornym, w związku z tym postanawia wrócić do rodzinnego Chicago, czyli tam, gdzie wedle jego słów „dzieje się prawdziwa akcja". I tak oto miłośnik Swedenborga, poszukiwacz prawd ostatecznych, wpada w imbroglio, przy którym bledną afery i matactwa znane z seriali „Dallas" czy „Dynastia". Powieść, która w zamyśle miała być satyrą społeczną na miarę wielkich przypowiastek filozoficznych XVIII wieku jest jednak nierówna i rozłamuje się na dwie diametralnie różne części. Pierwsza, błyskotliwa i erudycyjna, jest kapitalną rozprawą literacką o literaturze; druga — dość niewyszukaną w końcu parodią wspomnianych seriali. Autor stara się być śmieszny, ale jego proroctwo pozostaje ciemne. Nic więc dziwnego, że jego bohater traktuje literaturę jak kokon ochrony, a ratunek widzi w resztkach więzi międzyludzkiej, jaką dlań uosabia wuj — oryginał i fantasta.

Ostatnia powieść Bellowa przeszła w USA bez większego echa, ale choć budzi pewne zastrzeżenia natury artystycznej, jest bez porównania mądrzejszym i głębszym dziełem od powieści Toma Wolfe'a „The Bonfire of Vanity" (Stos próżności), jednej z najpoczytniejszych książek 1988 roku w USA, niedawno ogłoszonej w przekładzie na francuski. Tytuł odnosi się do Nowego Jorku. W najbardziej przychylnych recenzjach autor został obwołany Dickensem dnia dzisiejszego, nowym Thackereyem. „Stos próżności" jest jego pierwszym utworem beletrystycznym. Wolfe, doktor literatury amerykańskiej z dyplomem z Yale, zajmował się dotychczas rodzajem studiów społecznych przeznaczonych na szeroki rynek, z modną ongiś analizą pt. „Radykalny szyk". W ponad siedmiusetstronicowej powieści postawił sobie ambitne zadanie przedstawienia panoramy społecznej Nowego Jorku końca lat osiemdziesiątych. Jednym z powodów popularności książki

jest przypuszczalnie wybór miejsca akcji. Nowy Jork ma utwierdzoną w literaturze i w kulturze masowej legendę, jak Londyn w XIX wieku i Paryż na przełomie wieków. Wolfe nie wyszedł jednak poza stereotyp. Mówiąc krótko, jego Nowy Jork jest bezwzględny, groźny, rozdzierany konfliktami klasowymi i rasowymi. Stosunki międzyludzkie przypominają zasady meczu bokserskiego zawodowców wagi ciężkiej: nikt tu nie ma prawa liczyć na jakiekolwiek względy. Na ofiarę rzuca się nie tylko zwycięzca, ale pospiesza z ciosami cała widownia, sędziowie, służba porządkowa... Głównym tematem powieści jest walka o władzę, czy raczej o jej utrzymanie, jednakże kluczowe postacie są narysowane tak grubą kreską, że bardziej przypominają karykatury niż w miarę realnych ludzi. Szczególnie trudno uwierzyć w istnienie bohatera powieści i w jego upadek ze szczytu piramidy społecznej. Wolfe opowiada bowiem historię zaszczucia milionera, maklera giełdowego. Stając się zawodowym oskarżonym, bo takie jest rzekomo zapotrzebowanie społeczne, milioner przekształca się na koniec w nędzarza i mściciela, który gotów jest swych kolejnych dręczycieli zabijać w fizycznej walce wręcz. Książka aspiruje do gatunku wielkich powieści politycznych obnażających strukturę władzy we współczesnym społeczeństwie wielokulturowym, ale w gruncie rzeczy operuje głównie epitetami. W przedstawionym przez Wolfe'a Nowym Jorku wszyscy się nawzajem nienawidzą. Na dodatek autor ubarwia tok powieści nadmiarem efektów ekspresyjnych, popisuje się znajomością slangu i wyrażeń kolokwialnych, imituje do znudzenia różne okrzyki, dowolnie rozciąga sylaby i samogłoski. Niektóre dialogi w tej powieści przypominają dymki w komiksach. Najwyraźniej bawią pisarza te sztuczki formalne, bo zapełnia nimi wiele stron. Wolfe uważa, że jego dzieło należy do tak zwanego nowego realizmu. Ja myślę, że jest po prostu pretensjonalne i puste. W każdym razie byłby to przykład, negatywny wprawdzie, powieści o stosunkach międzyludzkich, wedle przewidywań Malcolma Cowleya.

Zdaniem innego z krytyków, siła prozy amerykańskiej ujawni się przede wszystkim w świadectwach pisarzy należących do tzw. mniejszości etnicznych. To może okazać się prawdą. Chińsko-amerykańska pisarka młodszego pokolenia, Maxime Hong Kingston, jest autorką dwu doskonałych powieści: „The Woman Warrior" (Wojowniczka) i „China Men" (Chińczycy). Ona również uprawia rodzaj „magicznego realizmu", odwołując się do legend i podań chińskich, ale zarazem świetnie portretuje zamknięte środowisko chińskie w Ameryce, wywołujące jej gniew, opór i sympatię. Murzyńska pisarka Toni Morrison, laureatka nagrody Pulitzera za powieść „Beloved" (Ukochany) należy do wybitnych nowych indywidualności prozy amerykańskiej. Zapytana, co dla niej znaczy być Murzynką w Ameryce, odparła: „W żadnym momen-

cie swego życia nie czułam, że jestem Amerykanką. Byłam obca we własnym kraju. Musiałam zaakceptować napięcie, wynikające z życia w zasadniczo wrogiej nam kulturze". Jednakże w jej wyróżnionej książce nie ma zaciekłości, którą żywił do białych zmarły niedawno we Francji James Baldwin. Toni Morrison w dużo większym stopniu cieniuje powikłane stosunki dwu światów w Ameryce, białego i czarnego. Także wśród swoich dostrzega cechy utrudniające adaptację w społeczeństwie postindustrialnym. Pozostaje bowiem smutnym faktem, że spośród czternastu głównych grup etnicznych zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, Murzyni (w tym zaledwie 2,3 % urodzonych poza USA) zajmują drugie od dołu miejsce, tuż nad Portorykańczykami, pod względem dochodów na rodzinę.

No dobrze, ale gdzież jest ten wielki epik, o którego upominali się młodzi pisarze z zagranicy na sesji w Columbia University? Niektórzy krytycy widzą go w osobie Williama Kennedy'ego (żadnych powinowactw z rodziną prezydenta), który na mapie literackiej Stanów Zjednoczonych utrwalił nową miejscowość: Albany, stolicę stanu New York. Z początku chciał swoje miasto rodzinne opisać *ab urbe condita,* ale wybrał w końcu dość swobodną wariację genealogii własnego rodu. Albany jest miejscem akcji czterech jego dotychczasowych powieści, które razem tworzą luźny cykl. W pierwszej, „Legs", Kennedy przedstawił postać przemytnika alkoholu, sympatycznego gangstera z czasów prohibicji. Książka otrzymała nagrodę Pulitzera. Następna „Ironwood", została niedawno sfimowana. Jednakże dopiero czwarta część tej niby-sagi rodzinnej jest naprawdę dojrzałym dziełem i zapowiada pisarza dużego kalibru. Jej tytuł brzmi „Quinn's Book" — książka Quinna. Autor cofnął się w czasie do połowy ubiegłego wieku, opisując przebieg wojny domowej widzianej oczami młodego korespondenta wojennego. Nie tylko jednak wydarzenia dziejowe interesują Kennedy'ego, lecz i odtworzenie przeszłości codziennej, w bogactwie szczegółu. Książka nawiązuje do świetnych wzorów angielskiej klasyki osiemnastowiecznej i zawiera także elementy tylekroć już wspomnianego „magicznego realizmu". Jest żywa, zmysłowa i wartka w lekturze.

Na zakończenie chciałabym odnotować dwa polonica-judaica wśród amerykańskich nowości wydawniczych: pierwszą powieść profesora literatury angielskiej — Lawrence'a Rudnera „The Magic We Do Here" (Sztuki magiczne) — historię chłopca żydowskiego z Nowego Dworu, który ukrywa się podczas wojny na aryjskich papierach, oraz biografię Janusza Korczaka „The King of Children" (Król dzieci) pióra Betty Jean Lifton, wydaną ostatnio przez Farrar, Straus & Giroux. Autorzy nie mają żadnych rodzinnych związków z Polską. Rudner wychował się w Detroit, gdzie zetknął się z polskimi imigrantami. W 1981 roku pojechał do Polski po raz pierwszy na cykl wykładów. Od tego czasu powracał tam pięciokrotnie. Jego książka ma życzliwe recenzje. Co do biografii Korczaka, to należy ją omówić oddzielnie. Autorce zajęła wiele lat pracy. Neal Ascherson na łamach *The New York Review of Books* ocenił ją nadzwyczaj wysoko.

Renata GORCZYŃSKA

KOMUNIKAT
W SPRAWIE STYPENDIÓW IM. STANISŁAWA LAMA, NA ROK 1989

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu informuje, że termin składania podań o przyznanie pięciu stypendiów im. St. Lama upływa 1 lutego 1989.

Stypendia te są jednorazowe w wysokości około 4.000 franków i przyznawane są osobom mieszkającym poza Paryżem, na prace z zakresu historii literatury polskiej. Pierwszeństwo mają kandydaci, których projekty (zaopiniowane przez kompetentnych naukowców lub pisarzy) wymagają studiów w Bibliotece Polskiej w Paryżu lub w innych ośrodkach dokumentacji we Francji.

Dr Jerzy MOND
Sekretarz Generalny T.H.L.

Nagrody "Kultury" za r. 1988

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: STANISŁAW SWIANIEWICZ

Nagradzając profesora Stanisława Swianiewicza, rozszerzamy ramy nagrody publicystycznej im. Juliusza Mieroszewskiego. Stanisław Swianiewicz jest z wykształcenia prawnikiem i ekonomistą, karierę uniwersytecką zrobił jako wykładowca ekonomii politycznej, a ostatnio stał się pamiętnikarzem z powołania i obowiązku świadczenia.

Urodził się dziewięćdziesiąt lat temu na Łotwie. Studiował najpierw w Moskwie, a potem w Wilnie, brał udział jako ochotnik w wojnie 1920 roku, habilitował się z ekonomii politycznej w roku 1931. Jego przedwojenna kariera akademicka związana była z USB w Wilnie. W roku 1939 stawił się w swoim starym pułku i cztery tygodnie bił się przeciw niemieckiemu najeźdźcy, aby dostać się w końcu do niewoli sowieckiej. Oskarżony o szpiegostwo, został przekazany sowieckim organom sądowym, które skazały go na osiem lat łagrów. Był jedynym polskim oficerem naocznym świadkiem wyładowywania transportu polskich jeńców wojennych, przeznaczonych do „likwidacji" w Katyniu. Po „amnestii" i wyjeździe z ZSSR pracował przez jakiś czas w instytucjach podległych Rządowi RP w Londynie. W roku 1946 wrócił do pracy uniwersyteckiej. Wykładał w Londynie, w Manchester, w Indonezji, w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych. Przed wojną znane i cenione były jego książki o Leninie jako ekonomiście i o polityce gospodarczej hitlerowskich Niemiec. Po wojnie klasykiem stała się jego książka *Forced Labour and Economic Development: an Enquiry into the Experience of Soviet Industrialization*, wydana w roku 1965 przez *Oxford University Press* pod auspicjami Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

W roku 1976 ukazała się w Bibliotece *Kultury* (kilkakrotnie potem wznawiana) jego książka-świadectwo *W cieniu Katynia*,

dzieło precyzyjnej pamięci, znakomitego zmysłu obserwacyjnego, trzeźwego i sprawnego umysłu. Można śmiało powiedzieć, że w dość bogatej już literaturze o Katyniu książka Swianiewicza wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc. Jej poczytność jest ogromna — także w Kraju, w wydaniach „drugiego obiegu". Jeżeli osławiona mieszana komisja polsko-sowiecka do spraw „białych plam w historii" potraktuje na serio swoje zadania, nie ograniczając się do propagandowego eksploatowania tylko swojej szumnej nazwy, będzie musiała w pierwszym rzędzie uwzględnić *W cieniu Katynia*. Nasza nagroda dla Stanisława Swianiewicza jest więc także wyzwaniem i wezwaniem. Wezwaniem do pełnej i uczciwej *głasnosti*.

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: WOJCIECH SKALMOWSKI (MACIEJ BROŃSKI)

Urodzony w roku 1933, Wojciech Skalmowski jest z wykształcenia orientalistą i lingwistą. Studiował na UJ. Pracę magisterską o perskiej etymologii od 1895 do 1955 obronił u prof. Kuryłowicza. Kontynuował potem studia na Uniwersytecie Humboldta we wschodnim Berlinie. Otrzymał na nim doktorat z filozofii w roku 1960. Berlińska dysertacja doktorska posłużyła za podstawę do doktoratu na UJ w roku 1962. Był asystentem, a później adiunktem na katedrze lingwistyki ogólnej u profesorów Kuryłowicza i Safarewicza. Jest obecnie profesorem orientalistyki i slawistyki na Uniwersytecie Katolickim w Louvain.

Równocześnie jest Skalmowski eseistą i krytykiem literackim, znanym naszym czytelnikom jako Maciej Broński. Eseistą i krytykiem literackim wybitnym, wrażliwym, przenikliwym, bardzo oczytanym (na szczęście bez popisywania się swoją rozległą i wszechstronną erudycją), często dowcipnym i świadomie a może i rozmyślnie kontrowersyjnym. Pisze znakomicie, niestety zbyt rzadko, pochłonięty swoją pracą naukową.

W roku 1981 wydaliśmy w Bibliotece *Kultury* jego tom *Teksty i preteksty*, złożony w większości z rzeczy drukowanych w *Kulturze* w latach 1970-1980. Dla naszej wiedzy o współczesnej literaturze polskiej posiadają w nim nieprzemijającą wartość szkice o Irzykowskim, Iwaszkiewiczu, Mrożku i Parnickim. Za wzór eseistyki wolno uznać szkice o Orwellu, Nabokowie i Bierdiajewie. A dziś, gdy na Zachodzie i wśród czytelników polskich ożyło zainteresowanie markizem De Custine, gdy na emigracji

ukazały się aż dwa wybory z jego *La Russie en 1839*, w Warszawie zaś przygotowuje się przekład czterotomowej całości, szkic Skalmowskiego z roku 1976 o *Rosyjskiej podróży De Custine'a* nabiera szczególnej wagi. Wreszcie Skalmowskiego-lingwistę poznajemy w jego cennej rozprawie o *Totalitarnym języku komunizmu*.

Nasza tegoroczna nagroda im. Zygmunta Hertza przypada pisarzowi, który ma już zapewnione miejsce we współczesnej polskiej (nie zanadto bogatej) eseistyce i krytyce literackiej.

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: BEZIMIENNIE

Przyznajemy w tym roku naszą nagrodę przyjaźni i współpracy niestety bezimiennie. Chodzi o osobę, która oddała nam ogromne usługi, nie szczędząc sił i czasu, z wielką i wzruszającą ofiarnością, w utrzymywaniu stałego kontaktu z naszymi przyjaciółmi i współpracownikami w Kraju. Te usługi trwają dalej, nie możemy więc — rzecz jasna — ujawnić nazwiska naszego laureata.

Wolna trybuna

Kolabokracja czy insurekcja?

Świat roi się od upiorów myśli. Wszystko co wypowiadane jest bezmyślnie, co zapisywane jest na zamówienie i wypowiadane bez wewnętrznego przekonania, wszystko co traktuje o sprawach i rzeczach drugorzędnych i trzeciorzędnych i na nie kieruje naszą uwagę — wszystko to tworzy nic nie wartą magmę, w której zgubić się mogą nie tylko umysły niesamodzielne. Spośród jej martwego bezkształtu nic co nawet jest nowe i oryginalne wydobyć się na światło słoneczne i być dostrzeżone nie może. Tę nie całkiem przypadkową stylizację musi uzupełnić niezbędna uwaga, że rzeczy ważne także muszą być powtarzane i że, niestety, samo ich powtarzanie pomniejszać może bardzo ich wymowę.

1. Poskramiacze i skromni marzyciele

Polska roi się od upiorów myśli. Ich swojskość niewielką może być pociechą dla tych, którzy w swym życiu dojrzałym doznali już na sobie jej uroków. I jakkolwiek brzmi to nader groźnie, rzecz w tym, że nie o myśli szczególnie szkodliwe i zjadliwe chodzi, lecz o te, które wypowiada wszechpanosząca się przeciętność, które dominują w naszej przestrzeni komunikacyjnej, które wylewają się ze szpalt gazet i ekranu tv, którymi gada do nas wystraszony sąsiad, które zapożyczone i wyćwiartowane z owej magmy mle równie wystraszony nauczyciel do uczniów, zaspany urzędnik do petenta, znudzony ksiądz do wiernych... Wydawałoby się, że kraj pogrążony w kryzysie, kraj w potrzebie, wyzwolić winien w jego obywatelach chęć działania i zmiany, pasję tworzenia i dawania z siebie tego, co w każdym najlepsze. Nie, nie! Nic z tego! Trzeba przecież pomyśleć o sobie, o swoim miejscu, swoich interesach, o rodzinie wreszcie... Komu

powierzyć pisanie stałych felietonów politycznych, myśli myślący o sobie naczelny reżimowej gazety, ach, oczywiście, Iksińskiemu! to szuja bojaźliwa a do tego łasa na sławę i wpływy, to kandydat idealny, nigdy niczego bez konsultacji nie zrobi! Komu powierzyć probostwo w tej zapadłej dziurze na krańcach diecezji? Ach, przecież to proste, myśli wyprzedzający wszelkie życzenia władz arcybiskup, ksiądz Zet, choć nieco młody, wybornie się do tego nadaje; tu, w mieście, same z nim kłopoty... Komu powierzyć kierowanie regionem związku, zastanawia się warszawski strateg, ach, oczywiście, Ypsylonowi! Zasłużony, znany, a że posłuszny i bez inicjatywy? Nie to jest najważniejsze, ważne, że będzie pod ręką jeszcze jeden człowiek zaufany i myślący tak samo o Sprawie! Czy żart taki, zgrzytliwie jakoś brzmiący, można w ogóle kontynuować — zapyta czytelnik, być może zaskoczony zestawieniem. Niestety, w nieskończoność! Bo oto nasz felietonista przyucza do autocenzury i lokajstwa młodych adeptów dziennikarstwa, nasz ksiądz, nieco starszy i zgorzkniały, uczy potulności młodych wikariuszy, a regionalny działacz dobiera sobie ludzi według receptury wypracowanej przez doświadczonego w bojach stratega ze stolicy. I tak dalej, i tym podobnie... Jakie myśli krążą w tym świecie prywaty, krótkowzroczności, wręcz bezmyślności? Kraj opleciony inicjatywami ludzi uprzedzonych do wszelkich inicjatyw odmiennych od własnych — jaki to musi być kraj nieszczęśliwy!

2. *Kolabokracja w teorii*

Któż rządzi w tym kraju sennym i mimo nędzy i upodlenia prawie szczęśliwym? Pytanie, które zadałby każdy cudzoziemiec po lekturze powyższych uwag (po pobycie w Polsce i tak niewiele byłby w stanie zrozumieć) jest nadzwyczaj trafne. Już widzę, jak biegną w naszą stronę błogosławione Piny (skrót od: polscy intelektualiści) i wołają: reżim, komuniści, czerwoni! Oni! Gdybyż to była prawda, a przynajmniej, gdyby to była cała prawda — i rzecz byłaby skończona i nasz rozmówca prawdopodobnie mniej czy bardziej usatysfakcjonowany. Lecz wyobraźmy sobie, że nasz cudzoziemiec jest nieco mniej mazgajowaty od Duńczyka, bohatera eseju Zagajewskiego i bardziej dociekliwy: nie chce słuchać ani resentymentów (to Oni!) ani sentymentalnych westchnień (gdyby nasi Ojcowie...), cóż wtedy moglibyśmy odpowiedzieć? Że policja, że wojsko? A czyż policja nadzoruje pracę fabryk, czy wojsko patroluje ulice miast? Czy działo się tak przed stanem wojennym, czy dzieje się tak teraz? Oczywiście, nie należy lekceważyć siły drzemiącej w raz po raz przecież uruchamianym aparacie przemocy, choć znaczna część tej siły spoczywa w bojaźni ludzkiej i z niej też jest na co dzień

czerpana. Jeżeli więc nie aparat przemocy i ucisku, jeżeli odrzucimy tę typową dla opozycji mitologizację, to może biurokracja, może to jest właściwsza odpowiedź? No cóż, i tak i nie. Biurokracja państwowa, biurokracja przemysłowa, biurokracja partyjna, biurokracja kościelna, przy całej odmienności tej ostatniej... Nawiasem mówiąc, z tych wszystkich najkosztowniejsza jest biurokracja przemysłowa, o której Piny nie wspominają, gdyż w porannej drodze do sklepu wpadają im w oczy tylko budynki administracji państwowo-partyjnej. Struktura zakładu przemysłowego wciąż pozostaje dla wielu zawodowych rewolucjonistów zagadką, tymczasem jest ona prawdziwym sukcesem socjalizmu — biurowce na terenach fabryk pracowicie wyrabiające na miejscu deficyt, zanim jeszcze pomnoży go idiotyczna struktura całości.

Biurokracja jednak była zawsze i jest wszędzie, i choćbyśmy się bardzo starali, nie uczynimy z niej własnej specyfiki. Istota problemu leży w czym innym. W tym, co należałoby dla jasności i historycznej sprawiedliwości nazwać polską k o l a b o k r a c j ą. Wprawdzie kolabokracja nie jest tylko polskim doświadczeniem, ale w Polsce w swoim czasie przybrała zastraszające rozmiary i tylko w Polsce jest dziś tak radykalnie odrzucana. Zacznę jednak od pewnych wyjaśnień. Kolabokracja to system rządów oparty na mniej czy bardziej dobrowolnej współpracy rządzonych ze sprawującymi władzę bez jakichkolwiek istotniejszych możliwości wpływania przez tych pierwszych na sposób jej sprawowania, charakter bądź też zmianę. Kolabokracja, jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, to niezobowiązujące współuczestnictwo w odpowiedzialności za bieg wydarzeń, niezobowiązujące w praktyce żadnej z obu stron, oparte na głupocie, naiwności i lokajstwie współobywateli. Kolabokracja jest systemem władzy charakterystycznym dla krajów pozostających pod czasową okupacją bądź polityczną dominacją obcego państwa, w którym elita władzy zostaje wyłoniona z miejscowych kolaborantów lub w którym władzę sprawują pośrednio miejscowe grupy nacisku, służące w istocie obcym interesom. Polska jest krajem o blisko 250-letniej tradycji kolabokracji, sięgającej czasów sejmu niemego (1717), której historii, zaplecza społecznego, źródeł i przeistoczeń nikt właściwie dotąd dostatecznie nie zbadał. Co więcej, trzeba w tym miejscu ze smutkiem dodać, że wszystkie społeczeństwa Europy Środkowej (poza Austrią) dziedziczą tę tradycję, sprzężoną wręcz z instynktem samozachowawczym, wyłaniania z siebie warstw kolaborantów — od stuleci. Tradycja kolabokracji ułatwiła Stalinowi przejęcie kontroli nad tą częścią Europy w latach czterdziestych, tradycja kolabokracji ułatwiła mu też, z drugiej strony, decyzję pozostawienia jej państw poza bezpośrednimi granicami Imperium.

Kolabokracja jest jak przyodziewek: im chłodniej, tym więcej jej trzeba, im cieplej, tym więcej daje się jej zrzucić z siebie.

Jest jak ubranie, z którego się z czasem wyrasta, lecz bez którego nie można się obyć. Kolabokracja jest groteskowa, gdyż już od przedszkolaka żąda wierszyka na „dzień milicjanta" (już cię wtedy ma!) a sklerotycznemu dziadkowi wręcza kolejny nic nie znaczący order, by tym energiczniej uspokajał wymęczone i łatwo poddające się histerii kobiety w kolejkach odwiecznym: „władza wie co robi, gdyż od tego jest". Kolabokracja jest jak narkotyk, uwalnia od kłopotliwego, realistycznego widzenia rzeczywistości, by w końcu doprowadzić do stanu depresji wywołanego niezrozumiałą różnicą między tym, co wyobrażane a tym, co rzeczywiste. Kolabokracja to jednak także stan umysłów i specyficzna odmiana moralności — i to jest, zdaje się, przedmiot najbardziej skomplikowany i najdelikatniejszy. Jeżeli zaś kwestię tę przeniesiemy w sferę aktywności obecnych elit społecznych, wówczas wspomniany w początku artykułu specyficzny, zachowawczy egoizm ich przedstawicieli okaże się być tylko jedną z wielu twarzy tego, co nazwaliśmy tu specyficznym stanem umysłów i moralności, a czemu warto się przyglądać na co dzień nieco uważniej. Skomplikowanie to bowiem wyraża się także w różnorodności wytwarzanych form poddaństwa i postaw, które za punkt centralny myślowej tożsamości przyjmują pojęcie k o m p r o m i s u. A wraz z krytycznym przeglądem postaw kompromisowych możemy nagle i niespodziewanie znaleźć się w środku cyklonu.

3. *Kolabokracja w działaniu*

Kolabokracja ma swoje klimaty intelektualne, swoich przewodników duchowych i swych przeciętniaków, skądinąd najbardziej widocznych i najenergiczniej zazwyczaj narzucających się opinii publicznej. Spróbujmy rzucić okiem na obecnie panujący klimat. Kolabokracja po raz kolejny przeistoczona, gdy tylko początek lat osiemdziesiątych ożywiany duchem niepodległości został wpisany bezpowrotnie w przeszłość, po raz kolejny wskrzeszona pod nowym hasłem k o m p r o m i s u, znów święci triumfy. Jak to się zazwyczaj zaczyna, jaką dziś przybiera postać? Otóż najczęściej zaczyna się od przyjęcia za dobrą monetę wezwania do odpowiedzialności lub od przejęcia się apelem do rozwagi, w którym ukryte jest zarazem pochlebstwo, adresatowi przypisujące wyższą od innych świadomość sytuacji. Może też zacząć się od uznania za właściwszą od innych postawy samoograniczenia lub też od skalkulowania swojej sytuacji osobistej i przeniesienia jej na plan ogólniejszy, narodowy i społeczny, i w konsekwencji, co w tej sytuacji jest naturalne, odwołania się do powszechnie stosowanych formuł usprawiedliwień w rodzaju uwikłania geopolitycznego, bądź wskazania na własny osamotniony heroizm, a następnie na motykę i najbliższe słońce... Cóż, ile sytuacji, tyle

wykrętów. Można wskazywać na niebo, przypominając o wyższych celach Kościoła pukającym doń w noc stanu wojennego, można zlikwidować siłę i charyzmę niewygodnej z powodu nadmiaru popularności postaci politycznej, jak postąpiono np. ze Zbyszkiem Bujakiem, doradzając mu, jak i całej TKK, życie naziemne po amnestii, mimo iż proces „unaziemnienia" pracy konspiracyjnej, proces naturalny, był już tylko kwestią czasu. Można też własne nieróbstwo w solidarnościowym życiu i zastanawiający brak widoczności efektów jakiegokolwiek działania tłumaczyć względami konspiracji (cyt! jakaż ona musi być głęboka!). Ba, można, sięgnijmy poza strefę polityki na chwilę, można na przykład wydać dwa tomy analiz współczesnej poezji polskiej jak zrobił pewien poznański literaturoznawca, i zakończyć je na roku 1965 (blisko ćwierć wieku temu!), aby nikomu się nie narazić i uniknąć kłopotliwych kwestii, które zaczynają się już w trzy lata od owej końcowej daty.

4. *O tym, jak Piemont zamienić w Finlandię*

Z generalizacji, która miała wskazać na uniwersalność preferowanych czy aprobowanych w każdego rodzaju kolabokracji zachowań, myśl sama przesunęła się na czasy nam najbliższe, z nich więc pochodzą podane powyżej przykłady. Lecz kolabokracja świetlicowa, ta świętująca swe panowanie akademią i czerwonym goździkiem od wdzięcznego ludu odbieranym, dziś ukazuje nam swoje inne, zmęczone, znerwicowane, pożółkłe od podłych papierosów oblicze. Strząśnięty w 1980 roku z piedestału kolaboracjonizm traktowany jako recepta na przeżycie, nie powrócił już w starej postaci. Lud mówi: nie ma już partii, nie widać nigdzie partii, nie ma się do kogo mizdrzyć, co to dalej będzie? Pin także nie widzi partii, ale już wie co będzie: będzie kompromis, a partię wyjmie się spod stołu, otrzepie, posadzi na krzesło, poprosi o rozmowę... Obrazek ten nie ma, oczywiście, symbolizować słabości komunistów. Mówi jedynie o tym, jak z typa, którego wszyscy nazywali hyclem czyni się nagle weterynarza, a jego dotychczasowe zajęcie zaczyna nagle nazywać sposobem uzdrowienia sytuacji, który trzeba koniecznie i poważnie przedyskutować. Nie dajmy się zwariować! Pomocnicy hycla będą łapać i wieszać psy na ulicach, a w salonie „pana doktora" ich właściciele, a raczej byli właściciele, będą dyskutować nad programem poprawy ich zdrowia!

Oto nowa, miejmy nadzieję, że schyłkowa postać kolabokracji, a raczej jej nieszczególne dziecko zrodzone z niechcianych związków: komunistów z koniecznością reformy i opozycji z niespodzianie zradykalizowanym społeczeństwem. Jeden z aktyw-

nych działaczy solidarnościowych zdumiał się nieco na przełomie kwietnia i maja, a w sierpniu wykrzyknął: co za głupota! trzeba było od razu, 8 lat temu, wołać: niepodległość! No cóż, za późno. Zostały nam frazesy KPN-u i innych ugrupowań niepodległościowych, których wciąż jakoś nie stać na głębiej przemyślaną akcję polityczną oraz z drugiej strony wygaszanie strajków i wyciszanie nastrojów... A jak nazwałby nasz przebudzony działacz — jeżeli tę niepodległościową perspektywę przyjął, oczywiście, na stałe — tych, którzy słynny milion dolarów wymienili na strzykawki, nikogo nie pytając o zdanie?

Zostawmy jednak na poboczu dygresje, przyjrzyjmy się biegowi zdarzeń i towarzyszącym im sposobom myślenia. Kolabokracja daje się łatwo opisywać, przynajmniej w publicystyce, przy pomocy powszechnie zresztą używanego, zbiorowego podmiotu — Oni. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że w systemie kolabokracji wymóg współuczestniczenia w groteskowym i haniebnym świecie, przynajmniej w jego świątecznym rytuale (pochody, narady, ordery, itp.) powoduje zatarcie granic pomiędzy „my" i „oni". Mówiąc bez ogródek — „oni" to także my! Codziennie bowiem zgadzamy się na dziesiątki postaci i sposobów istnienia świata, w którym żyjemy, mimo, iż buntuje się nasz rozum, nasze serce, nasze zdrowie. Przez czterdzieści parę lat godzono się po prostu na otrzymywanie o wiele mniejszego kęsa ze stołu władzy, niż to nawet w istocie było możliwe. Ale... no, właśnie, dlaczego? Zapytajmy o to, na przykład, literatów, zawsze prawie niedaleko od tego stołu koczujących. Dlaczego ci spośród nich, którzy nie wstąpili do nowego ZLP, sami nie utworzyli do dziś niezależnego związku, nie zbierają funduszy, nie wydają własnego pisma? Przecież przy możliwej do wyobrażenia pomocy zagranicy dziś, po 6 latach, mógłby to być już silny, bogaty i niezależny związek! Dlaczego pisarzom wciąż marzy się związek pobłogosławiony przez władzę, skoro na spotkaniu z literatami w Poznaniu minister Krawczuk przyznał wprost, że nic nikomu zabrane nie zostało, bo ZLP był i jest własnością władzy? Zapytajmy, dlaczego solidarnościowi przywódcy boją się jak ognia słowa „niepodległość" i wciąż zachowują się tak, jakby był rok 1968, a nie 1988? Zapytajmy, dlaczego strajki kwietniowo-majowe były nie na rękę przywódcom opozycji, dlaczego Kościół bierze udział w pacyfikowaniu nastrojów, dlaczego nie wyzyskano determinacji strajkujących załóg w sierpniu i wygaszono strajki bez wymuszenia jakichkolwiek ustępstw ze strony władzy, zamiast przez zbiorowy wysiłek spróbować rozszerzyć je w pozostałych ośrodkach kraju? Brak dojrzałości w myśleniu? Zimna kalkulacja? Czy może głupota wynikająca z przenoszenia schematów myślenia z czasów kwitnącej kolabokracji w czas obecny, przenoszenia ich bez wyobraźni?

Powiedzmy inaczej. To potworne dziecko kolabokracji w swoich tradycyjnych formach można dziś wreszcie nazwać: wszystko to i tysiące innych spraw, które niweczą efekty wysiłków głównie młodych zapaleńców, spowodowane jest wyćwiczonym, nabytym w czasach kolabokracji świetlicowej lękiem przed wyobrażoną koniecznością ponoszenia większego ryzyka. To wszystko? Wszystko lub prawie wszystko, gdyż strach jest ojcem wielodzietnym! Jest to przede wszystkim obawa przed zdecydowanym działaniem, przed stawianiem wszystkiego na jedną kartę, przed sposobem myślenia innych wreszcie, bo nie jest to przecież lęk przed władzą czy nawet wyobrażeniem możliwych cierpień własnych. Tymczasem chwila bieżąca wymaga śmiałych myśli, odważnych planów, wymaga przymiarki do ewentualnej i wcale nie tak nieprawdopodobnej próby sił! Sprzyja temu sytuacja w Związku Sowieckim i kryzys całego obozu, nie trzeba chyba tego nikomu udowadniać. Wydaje się, niestety, że ani Wałęsa, ani Kuroń, ani nawet Michnik nie potrafią jakoś zrozumieć, że w tej podróży, którą wszyscy odbywamy, zbliża się czas próby, chwila odpowiednia na to, aby wysiąść ze związkowego wagonu. Na razie sytuacja jest nieco komiczna — wygląda to tak, jakby przywódcy Stanów Generalnych wezwali w czerwcu 1789 roku wszystkich, by rozeszli się do domów, aby nie przeszkadzać królowi we wprowadzaniu w życie reform. Jeżeli jest w tym porównaniu nieco przesady, jeżeli sytuacja w kraju nie jest jeszcze rewolucyjna, to może stać się w przeciągu najbliższego roku, ale wówczas żadni negocjatorzy nie będą już potrzebni, a prawdopodobna klęska może unieruchomić Polskę na wiele dalszych lat. Niezależnie zresztą od dalszego rozwoju sytuacji należy już teraz przygotowywać możliwe scenariusze wydarzeń i programować własne wobec nich zachowania. Jeżeli nie będzie miało na to czasu solidarnościowe centrum zajęte szukaniem najprostszego odcinka krawędzi okrągłego stołu, muszą to zrobić jego oponenci: muszą już dziś pracować nad tym członkowie ugrupowań od wspomnianych „rozmówców" radykalniejszych.

Spójrzmy na to inaczej. Co myślimy o Polsce przyszłej? Jaką chcemy widzieć jej kulturę, jaką gospodarkę? Czy w tej sytuacji można w życiu politycznym, którego wydarzenia mają tak wielopostaciowy wpływ na przyszłość poprzestawać na prywatnych kunktacjach i posunięciach przynoszących zaledwie drobne zyski i to w tej namacalnej, najkrótszej jedynie perspektywie? W Polsce jest duszno: neoendeckie środowiska wokół „Polityki Polskiej" i poznańskiego klubu „Ład i Wolność" (najpierw porządek, a potem wolność?), niedawno powstała PPS już ubezwłasnowolniona, w szpagacie pomiędzy Kuroniem i Moczulskim, KPN pilnująca Grobu Nieznanego Żołnierza, aby jej wódz w chwili, gdy przyjdzie wreszcie niepodległość (tylko skąd?) mógł jako

pierwszy złożyć na nim kwiaty, „Solidarność Walcząca", jedyna organizacja nie prowadząca polityki gabinetowej, za to bojkotowana przez Pinów z powodu codziennie popełnianych aktów terroru na staruszkach, kobietach i dzieciach, niesforny NZS, podburzający robotników, który jednak daje się zazwyczaj spacyfikować doradcom Związku przez byle skinienie palcem, WiP, też podzielony, choć żadna ze stron nie chce tworzyć Związków Strzeleckich, itd., itp... Upiory myśli i organizacje pełne upiorów czyli stare myśli w nie najnowszych nawet opakowaniach, stare schematy myślenia, frazes zamiast działania.

Patrzę na roboczy, 3-godzinny materiał video ze strajków kwietniowo-majowych, najpierw Nowa Huta tuż po pacyfikacji dokonanej przez ZOMO, relacje świadków, później Gdańsk i niekończący się słowotok Wałęsy, krążącego między plebanią kościoła św. Brygidy i stocznią, usiłującego zlikwidować strajk, obniżyć nastroje — cóż za wspaniały materiał dla historyków! — to co było ukryte przed wzrokiem świadków wówczas, zobaczyliśmy na własne oczy między 30 sierpnia a 3 września. Patrzę na budynek, w którym odbywa się tzw. VIII plenum. Na ścianie wielka kalka hasła „Solidarności", tylekroć z zapałem wykrzykiwanego na demonstracjach, którym, *nota bene,* przywódcy „Solidarności" także byli przeciwni: „Nie ma wolności bez odpowiedzialności". No, świetnie. Słucham w tydzień później wypowiedzi Jacka Kuronia dla Radio Wolna Europa i zamieram, gdyż doradca stwierdza dobitnie, że „nie ma odwrotu od... relegalizacji 'Solidarności' ". Opozycja miast przewodzić ludziom spragnionym zmian i tworzyć fakty polityczne postanowiła zająć miejsce politycznego centrum, co jest samo w sobie absurdem, tym bardziej, że wszelkie organizacje bardziej od „Solidarności" warszawsko-gdańskiej radykalne były i są przez nią z dużą determinacją choć dyskretnie zwalczane i w kraju i wobec Zachodu. Efekty tego, jak na razie, są opłakane. Dziś robotnicy strajkami wymuszają nie tylko ustępstwa władzy, ale i aktywność na własnych przywódcach! Do tego wszystkiego muszą oni — po przykrych doświadczeniach Nowej Huty z maja — sami orientować się w gąszczu dobrych intencji i politycznych pułapek, zastawianych ostatnio nie tylko przez służby specjalne, ale i przez doradców. Wiadomo już, że warto wpuszczać na teren zakładów ludzi z przeszłością podziemną, z kręgów dawnej TKK, bądź organizacji radykalniejszych od Związku, typu SW czy PPS, nie warto doradców z kręgu episkopatu lub Wałęsy, natomiast strażaków w rodzaju mecenasa Siły-Nowickiego najlepiej jest zatrzymać co najmniej na granicy województwa.

Opozycja podcina gałąź, na której siedzi, a nie zastąpi jej krzesło przy komunistycznym stole. Wiosną robotnicy zażądali poprawienia ekonomicznych warunków życia — i zdumieni brakiem zdecydowanego poparcia ze strony opozycji, stroskanej samopoczuciem Gorbaczowa, rozeszli się do domów. Gdy ta w dalszym ciągu niczego nie postanowiła, lecz rozjechała się na wakacje, robotnicy sami wysunęli podczas kolejnej fali strajków żądania polityczne i to na pierwszy plan. W nagrodę strajki wygasił osobiście Wałęsa. Organizatorzy następnych najprawdopodobniej nie będą już w ogóle oglądać się na „Solidarność", ani czekać na pomoc jej obecnych przywódców i ich doradców. Miejmy przynajmniej taką nadzieję, inaczej świadczyłoby to o tym, że Polak wciąż i po szkodzie głupi...

Smutne to wszystko, prawda? Mści się przywiązanie do starych metod działania, mści się funkcjonowanie wielu ludzi w opozycji na podstawie wstępnego pytania: kto mnie popiera?, mszczą się monopole władzy, w rodzaju scentralizowania środków przeznaczonych na działalność opozycyjną w kraju. Mści się wielopokoleniowy syndrom kolabokracji, prawdziwy upiór wiszący nad mityczną, wytęsknioną Europą Środkową. Mści się deklarowana od wielu lat „gotowość" do rozmów z władzą, przy absolutnej głuchocie na odmienne poglądy i propozycje wychodzące z kręgów pozasolidarnościowej opozycji, bądź od tych związkowców, którzy nie zgadzają się z polityczną linią grupy Wałęsy. Nie można bowiem iść przeciwko wzrastającej fali społecznego niezadowolenia i radykalizujących się nastrojów. Nie można iść przeciw wzrastającej, wzbogaconej doświadczeniami ostatnich lat świadomości społecznej. Nie można próbować zwalniać przyspieszonego rytmu wydarzeń. Aby zapanować nad sytuacją, któraś ze stron musi w decydującej chwili wyprzedzić historię o ułamek sekundy. Placem będzie Europa, stawka będzie najwyższa, zwycięzcą będzie... no, właśnie, kto będzie zwycięzcą? Obyśmy nie musieli znów powtarzać słów, gorzkich słów poety, podobnych tym:

Już nie sen o kraju,
ale regularna wizyta u psychiatry.
Już nie wiersz, ale papier,
który odbiera się w kasie.
Już nie bunt, ale od nowa
machanie łopatą.
Już nie więzienie, ale dom,
do którego przyjść nie można nawet nocą.
Już nie sen o kraju, ale jak kiedyś
cuchnący kanał i szukanie wyjścia.

(Jan Kasper, „Już nie sen")

Rafał GRUPIŃSKI

Książki

Zima wasza

Okazałe tomisko pod obiecującym tytułem „Wiosna nasza"*. Obwoluta proponuje je jako „dzieje polskiej katolickiej rodziny żyjącej na wygnaniu w Londynie. Wspaniałą *(magnificent)* i absorbującą rekonstrukcję Polski i jej ludzi od drugiej wojny światowej do powstania Solidarności Lecha Wałęsy w 1981 roku. Jest to portret mężczyzn i kobiet, którzy usiłują nadać sens swemu życiu toczącemu się w cieniu wypadków, na które nie mają żadnego wpływu". Brzmi dramatycznie, mówi niewiele, jak to reklama.

Obwoluta ukazuje buchający czarnym dymem pociąg na śnieżnej równinie. Jego przód zdobią skrzyżowane flagi: biało-czerwona z orłem i czerwona wiadomo z czym. Rola pociągu nie jest jasna: kojarzy się z pociągiem historii, jednym z tych, które z rozpaczliwym wyciem *pogibaaajem* unosiły nas ongiś na lodowe pustkowia. Ale o tym akurat książka nie wspomina.

Jej autorka, z wykształcenia anglistka i historyk sztuki, odwaliła kawał sumiennej roboty, by zgłębić dzieje Polski w wymienionym okresie. Wykaz źródeł obejmuje sporo podstawowego materiału od Władysława Bartoszewskiego i Tadeusza Bora-Komorowskiego poprzez Normana Daviesa i Timothy Garton Asha aż po J. K. Zawodnego. Jest też kilka tytułów z literatury pięknej osiągalnych po angielsku: Kazimierz Brandys, Karol Wojtyła i Marek Nowakowski, a także sienkiewiczowski „Latarnik" żywcem wcielony do tekstu. Wśród osób, które udzieliły autorce pomocy, widnieją nazwiska i instytucje naukowe polskiego Londynu. Wszystko razem stanowi obiecujące zaplecze powieści.

Są to raczej dwie książki, przemieszane i wtłoczone w jedną okładkę. Warstwę powieściową tworzą dzieje trzypokoleniowej rodziny Prawickich, osiadłej w sercu polskiego Londynu, na Clapham, w mrówkowcu, za którego oknami dudnią miejskie pociągi (bez flag). Zjawiają się oni w książce w 1958 roku: małżeństwo Jan i Anna, ich dzieci — kilkuletni Jerzy i trochę starsza Ewa — oraz rodzice Jana. „Odskoki wstecz" opisują ostatnie przedwojenne wakacje podlotka Anny z ojcem (który wkrótce zginie w Katyniu) i bratem, życie rodzeństwa i Jana w okupowanej Warszawie i ich udział w Powstaniu Warszawskim, z którego Jan wyszedł psychicznie „okaleczony przez wojnę". Objawia się to w jego obsesyjnym uciekaniu z domu do pracy (kreślarza), a w rzadkich chwilach, gdy przebywa z rodziną, mrozi ją samą swoją obecnością i wszystko ma jej za złe. Dziadek i babcia, typowo dla emigracyjnego światka, nigdy nie wychylają się poza polskie getto i po dwudziestu latach w Anglii w ogóle nie mówią po angielsku.

Najmłodsze pokolenie, wychowane w Londynie, ma chyba w intencji autorki przedstawiać typową młodzież „anglopolską", jest jednak rzadkim wśród niej wyjątkiem, który spontanicznie i bez bicia mówi po polsku, a za to nie uprawia tańców „narodowych". Każde na swój sposób przeżywa swą polskość: smarkatą Ewę gnębi dylemat, jak wyjaśnić szkolnej koleżance, uważającej ją z racji miejsca urodzenia za Angielkę, że „nigdy nie będzie niczym innym jak Polką", aczkolwiek „bardzo nieraz żałuje, że w ogóle dowiedziała się o istnieniu Polski". Wydoroślawszy uświadomi sobie, że „Jałta jest jednym z powodów, dla których nie czuję się Angielką". Ten polski bagaż wspomnień rodzinnych zaprowadzi ją do londyńskiej Szkoły Studiów Słowiańskich i, po banalnym młodzieżowym romansie, odepchnie ją od spraw ludzkich za żelazną kurtynę emigracyjnego patriotyzmu, który nawet nie pozwoli jej pojechać do Polski, bo „to by było popieraniem reżymu".

Przeszłość rodzinna osacza również Jerzego i w końcu zaprowadzi go do Polski. Po tropach matki i jej poległego w Powstaniu brata będzie (wraz z angielską przyjaciółką) pielgrzymował po Warszawie, po czym wyruszy w Polskę. Rezultatem tego „powrotu do korzeni" będzie, jak z ulgą usłyszy onaż Elizabeth, stwierdzenie: „Myślałem, że poczuję swą przynależność tutaj, że wreszcie znajdę się na właściwym miejscu... Ale tak się nie stało. Tutaj nie należę".

Zaplątana między Polaków Elizabeth stara się ich sama sobie wytłumaczyć: „Jeśli jesteś Polakiem, świat jest ciernistym miejscem. Zachód cię porzucił, zalał cię Wschód. Stoisz samotny. Ten właśnie sposób myślenia dał Polakom tę dumę, to fanatyczne zainteresowanie sobą".

Z dawna tu osiadły zaścianek żyje swoim życiem. Ma szkółki sobotnie, kluby i kościoły i w arystokratycznym „Ognisku" (gdzie Elizabeth wyczuwa atmosferę „dobrych manier, prawości, ciemnych garniturów i eleganckich sukni, gestów i uśmiechów, kosztownego makijażu, otwierania eleganckich torebek wieczorowych, całowania rączek, pewności siebie i wytworności") jada gołąbki („nadziewane ptaki") z sałatką. Świat ten buduje pomnik katyński (rejestr nazwisk i szczegółowy opis jego odsłonięcia, chyba żyw-

* Gee, Sue: *Spring will be ours.* London, Century, 1988.

cem z gazety, wcielony do książki) i, ogarnięty zbiorową ekstazą na wieść o wyborze polskiego papieża, blokuje miejskie telefony.

Mimo takiego nagromadzenia realiów żyjący w tym świecie Polacy są nieco dziwni. Do i od rzeczy mówią sobie „na zdrowie" i angielską kandydatkę na synową podejmują prawdziwym polskim obiadem składającym się z woniejącego octem bigosu z kaszą gryczaną i ogórków z koprem. W tym świecie żony zwracają się do mężów per „Jan" i do małych synków per „Jerzy" i dziatwa w szkółkach sobotnich pląsa pod muzykę Chopina, a dorośli opowiadają sobie nawzajem ogólnie znane fakty z najnowszej historii Polski. Katoliccy rodzice (ba, nawet dziadkowie!) nie okazują żadnej dezaprobaty wobec bezterminowego pożycia na kocią łapę syna z przyjaciółką (Jerzy i Elizabeth) i córki z żonatym człowiekiem (Ewa i Stefan).

W okresie przed- i solidarnościowym wzmożony napływ przybyszów z kraju nie ma większego wpływu na to getto. Emigracyjny zaścianek nadal żyje własnym życie, które tylko na marginesach zazębia się z życiem przybyszów. W książce jest ich dwoje, Danuta i działacz Solidarności Stefan, warszawiacy przygnani do Londynu marzeniem o zarobieniu prawdziwych pieniędzy. Autorka doskonale zna życie takich ludzi zgubionych w otchłani Londynu i często, jak Danuta, niechętnie przyjmowanych przez tutejszych krewnych, którym ani w głowie było ich zapraszać. Z braku pozwolenia pracy ludzie ci szukają nielegalnych zarobków, które można znaleźć tylko przy najczarniejszej robocie wzgardzonej przez tubylców, i padają ofiarą najgorszego wyzysku. Jeśli na tej drodze natrafią, jak Stefan, na „starego" emigranta, który jest gotów ich zatrudnić za minimalną opłatą, wybucha konflikt: „Mówisz pan, że funta za godzinę to *mało*?... Czy pan wiesz, jak ja tu zaczynałem po wojnie? Gary myłem. Przez cały rok. Za szylingi!... Pracowaliśmy i oszczędzali, choć płacono nam tyle co nic. Musieliśmy być cierpliwi, latami czekać na własny dom, zakładać biznesy... A pan myśli, że starczy tu przyjechać i praca już czeka, gdy ponad milion Brytyjczyków jest bezrobotnych... I jeszcze kaprysić na zarobek!". Jest to doskonale podpatrzony rys starej emigracji, powszechnie mającej „nowym" za złe, że od razu chcieliby mieć lepszy start, niż ona miała po wojnie.

W powieści przybysze są potrzebni również i po to, by dać pretekst do długiego opisu ich życia i warunków w ogarniętej kryzysem Warszawie (czego wymaga druga warstwa książki) oraz rodzinnego szczęścia Stefana. Danuta jest sztucznie doczepiona do całości i w powieści nie odgrywa żadnej roli, choć jej lodowate przyjęcie przez londyńską ciotkę, która się od niej odżegnuje, i perypetie przy nielegalnych harówkach w hotelach i jadłodajniach są uchwycone bardzo dobrze. Stefan za to będzie tym, który przywróci Ewę „prawdziwemu życiu". Opis *step by step*, jak w książce kucharskiej, forsowania jej żelaznej kurtyny, żeby i cel osiągnąć, i ze skrupułów coś zachować, jest niezamierzoną humorystyczną wstawką w książce, która skądinąd

nie zdradza ambicji pornograficznych, bo trudno do nich zaliczyć wyczyny Jerzego na tym polu, skrupulatnie zresztą rejestrowane.

Powieść zamyka się wybuchem wojny polsko-jaruzelskiej, wtedy właśnie, gdy Stefan ma wykonać bożenarodzeniowy skok do stęsknionej żony i dziecka. Tak więc obiecana „wiosna nasza" nie nadchodzi, chyba że ma nią być otrzymanie przez Ewę Stefana do dalszej dyspozycji, i to bezterminowej.

Wszyscy ci ludzie są żywą ilustracją popularnego podręcznika najnowszej historii Polski — a może ma być na odwrót? Tę drugą warstwę, podręcznikową, stanowią opisy wypadków historycznych i mowy mężów stanu przytaczane *in extenso*. Te dwie warstwy stanowią sztuczny zlepek i są nadzwyczaj irytujące, w każdym razie dla polskiego czytelnika. Ale nie on jest adresatem tej książki. Inne rozwiązanie narzuca się samo: właściwa powieść poprzedzona krótkim historycznym komentarzem. Ale autorka zdecydowała inaczej.

Napisawszy to czuję się winna, że kapryszę. Na nadmiar zainteresowania naszymi sprawami rzadko możemy się skarżyć, a tu zainteresowanie jest głębokie i życzliwe, poparte dużym wysiłkiem opanowania tak dla człowieka Zachodu niewdzięcznego tematu, gdzie wszystkie kręte ścieżki prowadzą na dalsze manowce. Książka jest oczywiście przeznaczona dla angielskiego odbiorcy, któremu ma wyjaśnić, co to za zwierzę ci angielscy Polacy i skąd się tu wzięli. Rolę tę na pewno spełni, jeśli odbiorca wytrwa do końca, czego nie ułatwi mu jej potężny rozmiar (576 stron!) okraszony tylko jednym zdobyciem Ewy.

Powieść wyszła we wrześniu 1988, dobrą porę, by ukazać się na rynku gwiazdkowym w kraju, gdzie kartki bożenarodzeniowe zjawiają się w sklepach w sierpniu, a kupowanie prezentów zaczyna się zaraz po letnich urlopach. Jest ona jedną z tych, które nasze księgarnie lubią proponować jako „piękny podarek dla brytyjskich przyjaciół". Oby tylko przyjaciołom starczyło cierpliwości. A więc, *ladies and gentlemen*, na zdrowie!

Hanna ŚWIDERSKA

Hans Lipinsky-Gottersdorf - pisarz pruskiej słowiańskości

Spośród wielu życzliwych Polakom pisarzy zachodnioniemieckich publiczność czytająca w Polsce zna lepiej wyłącznie związanych z lewicą, takich jak Günter Grass, Horst Bienek czy Sieg-

fried Lenz. Wszyscy oni urodzili się na ziemiach należących obecnie do Polski i wszyscy traktują kraj swego dzieciństwa jako raj utracony bezpowrotnie. Krytyka polska wszelkich orientacji zgodnie podkreśla ich bezinteresownie pozytywny stosunek do Polaków oraz przyjmuje z satysfakcją ich pogodzenie się z utratą ojczyzny. Ich postawa jest z całą pewnością czysta i konsekwentna w duchu zadośćuczynienia krzywdom, wyrządzonym Polsce przez Niemcy narodowosocjalistyczne; krzywdom obejmującym napaść wrześniową, okrucieństwa okupacji do ludobójstwa włącznie, oraz powojenny los Polski, która w wyniku jałtańskich skutków wojny utraciła większą część swej suwerenności państwowej i została przesunięta na zachód, co w zamierzeniach autorów tego pomysłu miało stanowić skuteczną przeszkodę na drodze ewentualnego przyszłego zbliżenia polsko-niemieckiego. Można tylko, wgłębiając się w teksty wyżej wymienionych pisarzy, zastanowić się, czy obraz Polaków nie jest w nich przypadkiem zbyt sielankowy i czy owa życzliwość nie spowodowała pewnego rozbratu z prawdą obiektywną. Jest rzeczą oczywistą, że żaden naród nigdy nie czuje się urażony z powodu zbyt pozytywnego obrazu samego siebie w oczach obcych, naiwnością jednak byłoby zamykać oczy na fakt, iż ten przesłodzony ton ma w gruncie rzeczy cechy mniej lub bardziej świadomego gestu publicznej pokuty, a więc pobrzmiewa w nim określona doza konwencji.

Podczas spotkania autorskiego Güntera Grassa w klubie „Hybrydy" (z okazji pierwszych Dni Kultury Zachodnioniemieckiej w Polsce) padły słowa, iż książki tego pisarza są „brakującym ogniwem" literatury polskiej. Przy całym podziwie dla umiejętności autora „Blaszanego bębenka" wypada jednak w tym miejscu zauważyć, iż powieści te traktują o Polakach z zawężonego punktu widzenia i że bohaterowie ich odpowiadają ściśle określonym, lewicowym poglądom autora. Jest to więc ogniwo ze specyficznego materiału.

Nie ujmując pisarzom lewicy ani grama zasług dla sprawy pojednania między obydwoma narodami, należy zwrócić uwagę na fakt, że także pisarze o poglądach raczej konserwatywnych różnią się od nich niewiele w swym stosunku do Polaków, jeśli pominąć nieliczne wyjątki pogrobowców narodowego socjalizmu, którzy zresztą nie mają żadnego autorytetu poza marginalnymi grupkami skrajnej prawicy.

Pisarze umiarkowanie konserwatywni często są atakowani przez oficjalną krytykę polską za postawy rzekomo rewizjonistyczne. Przykładem mogą być tu napaści na Arno Surmińskiego. Istnieje jednak pisarz, z uporem godnym lepszej sprawy przemilczany przez — w swej większości lewicową — opiniotwórczą krytykę zachodnioniemiecką, którego jednak, o dziwo, nie stawia pod pręgierzem żaden z krytyków polskich, aczkolwiek — i to też trzeba zaznaczyć — wymienia się w Polsce jego nazwisko bardzo rzadko. Jest nim pochodzący spod Kluczborka Hans Lipinsky-Gottersdorf. Urodził się on w roku 1920 w rodzinie Roberta Lipinsky'ego, tłumacza sądowego języków polskiego i rosyjskiego, a wychował na Pomorzu i na Górnym Śląsku. Po wojnie i zwolnieniu z niewoli sowieckiej ten wykształcony humanista imał się różnych prac i zawodów — był w zniszczonych Niemczech m.in. robotnikiem budowlanym i budowy torów, operatorem dźwigu. W roku 1950 podjął pierwsze próby literackie, od 1952 żyje w Kolonii, utrzymując się z literatury. Opublikował dotychczas czternaście książek, w tym trzy powieści, wiele słuchowisk radiowych, opowiadań, niezliczone recenzje i eseje. Jego opowiadania drukowano w ponad stu antologiach. Otrzymał sporo nagród literackich, m.in. nagrodę im. Eichendorffa, wschodnioniemiecką nagrodę literacką, nagrody śląskie i górnośląskie, nagrodę bawarskiej akademii sztuk pięknych. Trzeba tu zauważyć, iż nagrody regionalne, nawiązujące do byłych niemieckich terenów wschodnich, mają bardzo niewiele wspólnego z ziomkostwami, a zupełnie nic z ich linią polityczną. Przytłaczająca większość pisarzy śląskich, górnośląskich i wschodniopruskich jest zwalczana przez co agresywniejszych działaczy ziomkowskich, co jest spowodowane głównie tym, iż niezależnie od orientacji politycznej są oni dalecy od wszelkiego rewanżyzmu. Hans Lipinsky-Gottersdorf szczególnie. Pozycja jego ojca sprawiła, iż nie żył w środowisku zamkniętym i od wczesnego dzieciństwa spotykał się co dzień z ludźmi, mówiącymi po polsku, czy też raczej posługującymi się polską gwarą śląską. Praktycznie byli to niemal wszystko mieszkańcy wsi podopolskiej, niemal wszystko chłopi, najemni robotnicy rolni, handlarze koni i cała galeria typów i postaci, zaludniających jego prozę.

Napisane w roku 1950 debiutanckie opowiadanie „Sonne, die untergeht" („Słońce, które zachodzi") ujawniło od razu wielki talent narracyjny Lipinsky'ego. Ten krótki tekst rozpoczyna się obrazem tarczy słońca, dotykającego dolną krawędzią dalekiej płaszczyzny śniegu, a kończy się zamknięciem złotej bramy na zachodzie. Pomiędzy zaś tymi obrazami czytelnik widzi oczyma małego chłopca na ostrzeliwanym przez Rosjan wozie uciekinierów — ranne konie, zapadające się w śnieg, oderwanie dziecka od matki, wywleczonej przez żołnierzy, i wreszcie scenę, kiedy chłopiec przyciska się do zdychającego konia, szukając odrobiny ciepła na mrozie. Owa jedność człowieka, zwierząt i przyrody była pogłębiana w każdym następnym utworze tej mocnej i gęstej prozy, by znaleźć swój najwyższy do tej pory wyraz w pierwszym tomie tryptyku „Prosna-Preussen" („Prusacy znad Prosny") pt. „Dominium". W książce, wydanej dotychczas dwukrotnie, Lipinsky-Gottersdorf opisuje w formie sagi rodzinnej życie rodu hrabiowskiego w jego posiadłości na Górnym Śląsku w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową. Powieść ta, zarysowana z epickim rozmachem, ukazuje nie tylko niemiecką szlachtę wiejską, lecz także życie polskich chłopów i służby dworskiej. W losach jego bohaterów odbija się historia schyłku państwa pruskiego i autor nie próbuje niczego przemilczeć ani upiększyć — przedstawia m.in. berlińską debatę obszarników niemieckich, zmierzających do odebrania własności ziemskiej Polakom. Książka ta ukazuje nieunikniony upadek Prus w świecie, w którym nie

było już miejsca dla tego państwa. Jeden z najwybitniejszych pisarzy śląskich, który zresztą jako pierwszy literat niemiecki z byłych wschodnich obszarów niemieckich odwiedził Polskę, August Scholtis, uważał „Dominium" Lipinsky'ego za być może najważniejszą powieść śląską od czasów pierwszej wojny światowej. Jest to powieść historyczna, socjologiczna i polityczna w jednym — coś, co właściwie zanika w takim bogactwie od czasów wielkich realistów XIX wieku. Lipinsky-Gottersdorf dokonał owego połączenia, stosując tradycyjną, epicką formę narracji, którą dostosował do wymogów skomplikowanej tematyki dwudziestowiecznej. Przy tym w żadnym miejscu tej ponad 500-stronicowej książki nie uległ pokusie pedagogizowania. Jego książka oddaje, jak reymontowscy „Chłopi", pory roku, rytm pracy na polu w surowym, trzeźwym i skromnym państwie, w którym żywe jednak jest poczucie sprawiedliwości. Prusy wydają się tu formą państwową wręcz pożądaną w porównaniu z późniejszą Rzeszą Niemiecką. Jest to równocześnie książka o sąsiedztwie, o współistnieniu narodów, o pokoju, który zawsze byłby możliwy do utrzymania, gdyby to zależało od woli zwykłego człowieka. „Dominium" nie ma w sobie nic z teutomanii, ale nie jest także sielanką. W skład świata Lipinsky'ego-Gottersdorfa wchodzą najróżniejsi sąsiedzi: dobrzy i źli, rozsądni i głupi, uczciwi i nieuczciwi, a było to możliwe dzięki temu, że autor nie uważa Polaków, którzy żyli na Śląsku w czasach pruskich, za obcych — nie są oni dla niego egzotyczni, nieznani, inni, lecz stanowią integralny składnik środowiska. Jeśli pruskie wpływy w Wielkopolsce do dziś procentują pracowitością poznaniaków, to z drugiej strony Prusy także uległy wpływom słowiańskim, zwłaszcza polskim. O tym właśnie mówił Horst Bienek w niedawnym wywiadzie dla *Polityki*, kiedy skarżył się na poczucie obcości, jakie jest udziałem Ślązaków-Niemców w Niemczech Zachodnich. Lipinsky-Gottersdorf jest jednak do tej pory jedynym, który owo wtopienie elementów polskich w świadomość pruską umieścił w perspektywie historycznej i ujął w formie literackiej, nawiązującej zresztą świadomie do reymontowskiego arcydzieła literatury polskiej. „Dominium" miało znakomite recenzje w najważniejszej bodaj gazecie niemieckiego obszaru językowego, *Neue Zürcher Zeitung*, ponadto w *Rheinischer Merkur*, w *Die Welt* i wielu innych. W gazetach takich, jak *Frankfurter Allgemeine*, których działy kulturalne rządzone były przez rzekomo nieomylnych „papieży" eksperymentu literackiego lub lewicowych akcji uświadamiania ludu w duchu walki klas, ta znacząca pozycja potraktowana została dość bezradnie. Głównym grzechem pisarza, którego krytyka nie potrafi mu wybaczyć, było jego odejście od ideologii lewicowej w deklaracjach pozaliterackich; w swych dziełach Lipinsky-Gottersdorf pozostał zawsze wierny sobie — jako pisarz widzi opisywane sprawy w całej ich złożoności, lecz jego sympatia jest w wypadku równorzędności racji po stronie słabszego, co stanowi wszak warunek istnienia literatury wysokiego lotu.

Pierwiastki polityczne w twórczości Lipinsky'ego-Gottersdorfa w każdym wypadku — zarówno w powieści „Dominium", jak i

w najmniejszym opowiadaniu — otrzymują wymiar osobisty, i to dopiero — przetłumaczenie polityki na jej elementarne oddziaływanie na losy jednostki — sprawia, iż uzyskuje ona w tej prozie adekwatny wyraz artystyczny. Mimo wysoce politycznego materiału, jaki autor wykorzystuje w swych utworach, nie zawierają one ani cienia publicystyki. Charakterystyczne jest tu m.in. opowiadanie „In der Kälte" („Na mrozie"), którego punktem wyjścia jest zagrożenie dla życia mieszkańców małego przysiółka na Śląsku po wkroczeniu Rosjan. Pruscy Słowianie Lipinsky'ego — Wawranek, Swowicki, Rychlicka, Mika z okolic Radostowa — wydani zostają na pastwę nastrojów żołnierzy i komisarzy rosyjskich, a więc uciekają wszyscy do lasu. Umierający stary Mika wysyła swego wnuka do jednego z nielicznych księży, którzy pozostali jeszcze w okolicy, by wyspowiadał się w jego imieniu. W drodze powrotnej Wawranek zostaje wskutek trzaskającego mrozu odkryty przez żołnierza na linii posterunków czerwonoarmijskich i zabija go w obronie własnej. Opowiadanie kończy się obrazem ludzi, idących na zachód — cały przysiółek, dwanaście miejscowych osób, musi uciekać dalej.

Nigdy jednak autor, w żadnym ze swych tekstów, nie napisał ani jednego słowa nienawiści. Ukazując swych ciężko skrzywdzonych przez historię bohaterów, Lipinsky-Gottersdorf wskazuje na tragizm historii, niszczącej losy ludzkie, niweczącej wielowiekowe więzi sąsiedztwa, współistnienia z krajobrazem i przyrodą. Chcąc wskazać pokrewieństwa i korzenie tej literatury, należałoby odwołać się obok Reymonta także do Hamsuna oraz wielkich pisarzy rosyjskich, takich jak Gorki i Tołstoj.

W jednym z tekstów z tomu opowiadań „Der Sprosser schlug am Pratwa-Bach" („Słowik śpiewał nad Pratwą") Lipinsky-Gottersdorf wyłożył swoje poglądy na temat swego sposobu pojmowania literatury: „Pisarz musi odczuwać przywiązanie do prowincjonalności oraz mieć odwagę nieulegania duchowi czasu. Jeśli zagłębi się wystarczająco w swój ograniczony świat, to kiedyś w jego specyficzności odkryje wielkie linie prawd powszechnych, historii, a także ducha czasu właśnie". Właściwie zdanie to można by odnieść do literatury w ogóle — takie było stanowisko największych pisarzy, poszukujących prawd ogólnoludzkich w indywidualnych losach swych bohaterów. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach podstawy te zostały — w pozbawionym stałych wartości świecie — poddane w wątpliwość w antydziełach antyliteratury. Zakres przyswajalności eksperymentu został przekroczony, co pociągnęło za sobą upadek kryteriów krytyczno-literackich i sprawiło, iż najgłośniejsze stały się książki, których nikt, łącznie z ich autorami, nie jest w stanie zrozumieć, i nikt ich nie czyta.

Hans Lipinsky-Gottersdorf, podobnie jak Siegfried Lenz, opiera swój styl narracji na środkach tradycyjnych, wzbogacając je w miarę potrzeby o nowe elementy kompozycyjne i stylistyczne, dzięki czemu jego literatura oddziaływuje na sferę emocjonalną czytelnika, a nie tylko na jego snobizm. Słowa, które powie-

dziano niedawno o Lenzu, że jest być może jednym z ostatnich w Niemczech przedstawicieli prozy epickiej, w jeszcze większym stopniu dotyczą Lipinsky'ego-Gottersdorfa, którego książki o Niemcach i Polakach — poddanych pruskich można, tak samo jak książki Grassa, a może nawet jeszcze zasadniej, traktować jako ogniwo, łączące literaturę polską i niemiecką we wspólnym dorobku europejskim.

Stanisław BIENIASZ

Książka dla opozycji

„Złom żelazny, śmiech pokoleń"* Kazimierza Dziewanowskiego jest zbiorem esejów na temat różnych pojęć i postaci polityki. Dziewanowski ujmuje czytelnika indywidualnym stylem, jakże odmiennym od Kisiela, Michnika, Wierzbickiego czy Kuśmierka (by wymienić tylko te nazwiska). Ostrożnie feruje wyroki, precyzyjnie przeprowadza wywody, unika pustych choć efektownych paradoksów. Właściwa mu jest chłodna elegancja w angielskim stylu. Z różnych stron prześwietla poruszane zagadnienia. Często eksponuje swoje wątpliwości, pisze po prostu „nie wiem" albo „nie wiadomo". Niekiedy kończy rozmyślania na postawieniu pytania, historii zostawiając odpowiedź na nie.

A jednak nie czuje się po skończonej lekturze niedosytu czy rozczarowania. Wręcz przeciwnie. Uderza świeżość tej książki. Nie spotykamy w niej powszechnie znanych stereotypów, pustej spekulacji pomijającej niewygodne fakty, myślowych sztanc i frazesów. Refleksje polityczne Dziewanowskiego odznaczają się rzadko spotykaną odpowiedzialnością za słowo, starannym unikaniem tanich efektów kosztem prawdy.

Dziewanowski nie pisze wprost o naszej rzeczywistości, nie padają tu nazwiska Wałęsy, Jaruzelskiego, nie wspomina o partii, „Solidarności" i kryzysie gospodarczym, bardzo niewiele pisze o 13 grudnia. Ale prawie każda strona książki odnosi się bezpośrednio do ostatnich doświadczeń społecznych i politycznych. Jej bohaterem czy adresatem nie jest „świat", choć nie brak rozważań na temat zjawisk o zasięgu globalnym; nie jest nim też Europa, choć autor poświęca jej bardzo dużo uwagi — tylko my, ściśnięci w pojałtańskiej prowizorce, zwanej peerelem, rozdarci między koniecznością a zmysłem wolności, między wyemancypowaną świadomością a państwem, w którym ta świadomość

* Kazimierz Dziewanowski, *Złom żelazny, śmiech pokoleń*. Libella, Paryż 1987. Seria „Historia i Teraźniejszość" wydawana pod auspicjami Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Tom 13.

już się nie mieści. Kiedy czyta się esej o Mussolinim, zatytułowany „Faszyzm czyli wielki bluff", to aż się prosi o podmienienie pierwszego słowa tytułu na „socjalizm" — analizy i wnioski są tak bardzo dzisiejsze i swojskie. Refleksje o powstaniu listopadowym okazują się cenną wskazówką na temat techniki gry politycznej również na teraz. Rozważania o imperiach prowadzą myśl czytelnika do współczesnej Rosji i podboju Afganistanu, prowokują do pytania o sens i szanse gorbaczowowskiej *pieriestrojki*. Polemiczny wizerunek Machiavellego to wzór dla współczesnego polityka, jeśli tylko wyjdzie się poza stereotypy i nieporozumienia wokół florenckiego urzędnika, uważanego niesłusznie za ojca wyrachowanej nikczemności.

Składające się na książkę eseje były wcześniej drukowane w jezuickim *Przeglądzie Powszechnym*. Sądzę jednak, a nawet jestem pewny, że nie wymogi cenzuralne zadecydowały o powściągliwości i emocjonalnym dystansie autora. Nie można powiedzieć, że Dziewanowski stosuje jakiś ezopowy kamuflaż, że puszcza do czytelnika aluzyjne oko. Nic z tej kokieterii. Jego powściągliwość jest założeniem filozoficznym, wynika nie z „obiektywnych konieczności", ale z przyjętej i pilnie strzeżonej pozycji chłodnego obserwatora i analityka historycznych i współczesnych zdarzeń.

Dzięki tej perspektywie ogląd „polskiej sprawy" uległ interesującemu poszerzeniu. Dziewanowski nie propaguje wprawdzie łatwych, optymistycznych recept czy rozwiązań, ale wprowadza np. nowe pojęcia do analizy naszej sytuacji lub przewartościowuje inne, co działa pobudzająco na wyobraźnię, a tym samym odczarowuje wiele psychicznych zmór dręczących dziś Polaków, przede wszystkim zniechęcenie. „Złom żelazny, śmiech pokoleń" jest przynajmniej urozmaiceniem monotonnego *menu* czasopism i książek w drugim obiegu, gdzie dominują dwa podstawowe surowce: patriotyczna egzaltacja i jałowe moralizatorstwo. Można zalecić jej lekturę tym wszystkim sfrustrowanym działaczom podziemia, którzy na co dzień nie widzą (i widzieć nie mogą) efektów swojej pracy, którzy stykają się z niewiarą w jej sens i powodzenie.

Podstawową tezą, wokół której ogniskują się rozważania autora, jest przekonanie o postępującej erozji systemów totalitarnych. Teza niezbyt odkrywcza, to fakt. Wszyscy właściwie wiedzą, że totalitaryzm się kończy, przynajmniej ten w wydaniu nadwiślańskim, czyli łagodniejszy, ale mało kto wychodzi w swych rozważaniach poza tę oczywistość. Sytuacja schyłkowa prowokuje jednak do pytania, co dalej. Co może powstać w miejsce zdekomponowanego ustroju? Czy alternatywą totalitaryzmu jest demokracja? Tak to niewątpliwie wygląda podczas kawiarnianej rozmowy. Ale historia nie jest angielskim klubem dżentelmenów, nikt nie schodzi dobrowolnie i bez walki z dziejowej areny. Tylko ktoś naiwny może liczyć, że na ruinach Wielkiego Eksperymentu wymierzonego przeciwko człowiekowi i jego naturze automatycznie zatriumfują Dobro, Sprawiedliwość, Prawda i De-

mokracja. Wiek XX nazywa Dziewanowski czasem Wielkiej Symplifikacji, czyli uproszczeń. Ale był to również wiek obojętności — dwóch okrutnych wojen, zagłady Żydów i stalinowskiego ludobójstwa — i to dziedzictwo europejskiego nihilizmu ciąży nad nami do dziś. Nie można też wykluczyć że obecny okres okaże się tylko przesileniem, po którym system okrzepnie, przynosząc inny rodzaj zniewolenia, bardziej przylegający do natury człowieka, a tym samym trwalszy.

Dużo pytań i wątpliwości. Pewne wydaje się tylko to, że nie ma żadnych gwarancji, by przejście dokonało się bezkonfliktowo i automatycznie spowodowało zmianę jakościową, jak stało się w Hiszpanii po śmierci Franco. Detotalitaryzacja będzie miała swoją cenę i wcale nie jest pewne, czy Polacy zechcą ją zapłacić. W Polsce sytuację dodatkowo komplikuje niekorzystny splot okoliczności, z których cywilizacyjna degradacja kraju i malejące znaczenie grup opozycyjnych i środowisk demokratycznych wydają się najbardziej złowróżbne. Można sobie wyobrazić — nie jest to czysta fantazja — jakąś „krajową", łagodną odmianę faszyzmu w obliczu utraty nadziei na przyszłość, pauperyzacji społeczeństwa, zmęczenia kryzysem i niedostatkiem.

W ocenie Sierpnia i następujących po nim wydarzeń przeważa na ogół ton kombatancki. Paradoks polega na tym, że rok 1981 nie kończył tylko rozpoczynał kolejny etap walki, która wymagać będzie od nas jeszcze większej aktywności i śmiałości. Znakomicie uzmysławia to książka Dziewanowskiego. Dlatego też Polsce potrzebna jest w pierwszym rzędzie myśl polityczna i jej sprawni realizatorzy, by mogła ona sprostać wezwaniom historii. W kilku miejscach daje Dziewanowski jednoznacznie do zrozumienia, że apolityczność jest w naszej sytuacji anachronizmem i dziwactwem. Przed polityką w sercu Europy nie ma ucieczki. Położenie geopolityczne wymaga od nas aktywności, a nie przeczekiwania złych czasów niczym przysłowiowa mysz pod rosyjską miotłą. Historia nie zawsze jest łaskawa i sprawiedliwa, ale na pewno niczego nie daje tym, którzy myślą tylko o znośnym urządzeniu się w krajowym chlewiku, o szerszym dostępie do przyjemności współczesnej cywilizacji. Rozumiał to dobrze Jan Paweł II, wypowiadając w kazaniu na Jasnej Górze podczas II pielgrzymki do kraju kluczowe zdanie w odniesieniu do politycznej sytuacji Polski: „Nie pragnijmy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała".

Dziewanowski pisze: „Położenie centralne nie pozwala na prowadzenie polityki pasywnej. Wymaga polityki aktywnej i uprzedzającej grożące niebezpieczeństwa. Takiej polityki, która zmierza do stworzenia warunków, w których niekorzystne położenie geograficzne mogłoby przynosić korzyści. A więc polityki prowadzonej z rozmachem i wyposażonej w jasną wizję swych celów; usiłującej z uporem wyciągać maksimum zysków z położenia, którego nie można zmienić". Jest to zadanie, które wciąż stoi przed nami i nie ma gwarancji, że zostanie podjęte. „Myślę — pisze autor — że w Polsce bardzo mało uczyniono, by dostrzec

i rozważyć wszystkie warianty, by przygotować się intelektualnie na przyjęcie różnych możliwości, jakie może przynieść przyszłość. Sądzę, że nasz styl myślenia o tej sprawie jest na ogół defensywny, przez co nie rokuje na dłuższą metę większych szans powodzenia. Tym defensywnym stylem myślenia porażone są wszystkie warstwy społeczne i wszystkie ugrupowania". Spełnienie tego obowiązku ciąży na nas i nie zastąpią nas w tym zagraniczni dziennikarze, którzy na konferencjach z Urbanem występują w roli rzeczników polskiej sprawy. Nie można go też sprowadzić do uczestniczenia w rautach organizowanych przez ambasady państw zachodnich. Przezwyciężyć też trzeba wiele zbiorowych nawyków wpojonych nam wcześniej pod terrorem stalinizmu, głównie „centralizmu psychologicznego", który w tej chwili sparaliżował ruch opozycyjny w Polsce. W tym miejscu przypominają się pamfletowe analizy tego zjawiska w publicystyce trochę niedocenianego Józefa Kuśmierka. To on pisał najwięcej o „centralizmie psychologicznym" jako synonimie instynktu stadnego, lęku przed samodzielnością i indywidualizmem, unikania odpowiedzialności i życia na własny rachunek. „Centralizm psychologiczny" to atrofia woli przytłumionej nadzwyczaj rozwiniętym instynktem przystosowawczym, to głęboko zakodowana orientacja na „nich", będąca czymś w rodzaju wynaturzonego paternalizmu społecznego, w którym miejsce autorytetu i wartości zajęły lęk, egoizm, oportunizm, lenistwo i amoralizm.

Nie ma w książce Dziewanowskiego gotowej recepty na politykę, która aktualnie najbardziej odpowiadałaby Polsce. Jest tylko jedna pośrednia sugestia na ten temat w eseju „Światło Europy". Pisze tam autor o konieczności nawiązania do europejskiej tradycji z okresu jej intelektualnej, kulturowej i politycznej ekspansji i aktywności. Wymaga to przynajmniej mentalnego przezwyciężenia jałtańskiego podziału naszego kontynentu, większego zaznaczenia państw Europy środkowej i wschodniej w tym dziedzictwie. Postulat odzyskania utraconej przez powojenny podział podmiotowości starego kontynentu jest bliski, jak się wydaje, tym koncepcjom politycznym, które w 1985 roku zaprezentował profesor Zbigniew Brzeziński w głośnym artykule „Przyszłość Jałty".

Ale Dziewanowski daje do ręki narzędzia dla wypracowania takiej polityki. Temu służy np. refleksja nad podziałem Niemiec czy przewartościowanie niektórych pojęć z arsenału oficjalnej propagandy, którymi posługują się również środowiska opozycyjne. Takim pojęciem jest np. „geopolityka", w którą zaklęta jest następująca przestroga: nie buntujcie się, bo może być jeszcze gorzej, bo stracicie to, co macie teraz. Wie coś o tym każdy, kto pamięta głośny swego czasu artykuł Stefana Kisielewskiego „Czy geopolityka straciła znaczenie?" drukowany w 1-szym numerze nielegalnej *Res Publiki*. Dziewanowski podważa fatalistyczne rozumienie geopolityki, które u niego nie służy obłaskawianiu i wyciszaniu społecznych nastrojów, tylko politycznemu natchnieniu.

Takiemu samemu przewartościowaniu poddaje „rację stanu",

pisząc: „Kiedy przyjrzeć się historii dokładniej, zadziwiająco często okazuje się, że pojęcie racji stanu nie wyraża wcale żadnej obiektywnej konieczności wyższej, lecz służy po prostu do uzasadnienia bieżących decyzji. Czasem kryją się za tym osobiste interesy i ambicje danego polityka czy grupy polityków; czasem ich błędy, omyłki, fałszywe oceny, złudne kalkulacje. Bardzo niestety często jest to po prostu oszustwo. Tylko niekiedy, z rzadka, argument racji stanu bywa argumentem rzetelnym". Oba eseje — „Geopolityka: mit czy fakt" i „Kto płaci za rację stanu" — to najwyższej próby pisarstwo polityczne. Ale i inne fragmenty książki dają bogaty materiał do przemyśleń, wiele cennych wskazówek i przestróg, jak choćby przestrogę przed analogiami historycznymi albo jednostronnym pojmowaniem realizmu i moralności w działalności politycznej. Cała książka zaś dowodzi, że skuteczne myślenie polityczne to takie, z którego coś wynika dla przyszłości. Uczy wreszcie, że historia się zmienia, choć jej dynamikę nie zawsze widać gołym okiem, że w polityce nie ma niczego raz na zawsze ustalonego i że nie wszystko, co konieczne, musi ograniczać. Jedynym ograniczeniem — ale za to podstawowym, co autor wielokrotnie podkreśla — jest natomiast wyczucie rzeczywistości oraz racjonalizm chroniący przed braniem własnych marzeń i pragnień za fakty.

„... Niewiedza i głupota należą do istotnych czynników historycznych", powiedział Raymond Aron w książce „Widz i uczestnik". Dziewanowski bardzo dużo pisze o tych czynnikach dziejotwórczych. Ta myśl francuskiego publicysty i politologa może być naszą nadzieją, jeśli to nie my okażemy się głupcami i ignorantami.

Jan PODLASKI

Papoaustraliana

Niewielka książka* Marka Skwarnickiego, poety i publicysty związanego ściśle z *Tygodnikiem Powszechnym*, jest reportażem opisującym 7-tygodniowy pobyt autora w Australii jesienią 1986. Skwarnicki przebywał tam w związku z wizytą papieską na tym kontynencie (koniec listopada 1986) i pełnił podwójną funkcję: przed przylotem Papieża objeżdżał wraz z recytatorką Danutą Michałowską większe skupiska polonijne w ramach programu „przygotowawczego" (odczyty i deklamacje poetyckie), a następnie był sprawozdawcą z samej wizyty dla swego pisma. Program był wypełniony bardzo szczelnie, tak że użyte powyżej słowo

* Marek Skwarnicki, *Australijska wiosna*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1988, 207 str. ISBN 83-7006-132-X.

„pobyt" nie jest całkiem adekwatne, jak świadczy choćby poniższy fragment (str. 94-95):

Nocleg w Bankstown i udział w czym się da do późnego popołudnia następnego dnia. Powrót do Essendon. Noc tutaj, obserwowanie w wiktoriańskim biurze prasy tego co się dzieje w Hobart [...] *by wieczorem zjawić się w Melbourne na „spotkaniu ekumenicznym", na które już miałem przygotowane bilety.* [...] *Sobota rano odlot do Adelajdy, gdy Papież leci do Darwin na północ, potem wraca lądując w Alice Springs, skąd startuje, by wieczorem tego dnia wylądować tam, gdzie już będę czekał — właśnie w Adelajdzie. Noc. Msza św. w Adelajdzie — Papież leci do Perth, ja wracam wieczorem do Melbourne. Jan Paweł II odlatuje wczesnym rankiem następnego dnia do Rzymu przez Seszele, a my szykujemy się do powrotu do Warszawy.*

Odrzutowe tempo wydarzeń z lekka oszołamia czytelnika, zwłaszcza że relacja Skwarnickiego zawiera ponadto dość gęsty podkład ogólnoinformacyjny (por. str. 160: „... *badania socjologiczne* [...] *wykazywały, że w całym społeczeństwie* [australijskim] *w istnienie osobowego Boga wierzy 41,7 % osób, a modli się* [...] *16,7 Australijczyków. Nigdy nie modli się, ani nie uprawia religijnych medytacji 35 % ludności...")*, krajoznawczy i wspomnieniowy (autor był już korespondentem z podróży papieskich do Kanady i innych krajów). Z tej choćby przyczyny omówienie książki musi ograniczyć się do ogólnych wrażeń z lektury.

Pierwszym z nich jest mgliste poczucie niewspółmierności pomiędzy intencją papieskiej wizytacji i jej rzeczywistym przebiegiem: to wszystko dzieje się jakoś za szybko, za daleko, tych ludzi jest za dużo naraz...! Wydarzenie dotyczące spraw metafizycznych czy w każdym razie duchowych, prywatnych, zwiewnych, toczy się siłą rzeczy na stadionach sportowych przy akompaniamencie gigantofonów, reflektorów, helikopterów, sznurów samochodów policyjnych i zbiorowych pokazów taneczno-gimnastycznych (na ten ostatni punkt jestem szczególnie alergiczny od wczesnych lat pięćdziesiątych); rzec można i nawet trzeba „inaczej nie da się tego urządzić", niemniej jest w tym jakaś nieprzystawalność, którą jak się wydaje wyczuwa także autor, starający się oddzielić refleksję nad papieskim przesłaniem od sprawozdania z przypominającej harcerskie *jamborée* oprawy.

Drugą rzeczą, która jasno z książki wynika, jest różnica pomiędzy polskim, a — powiedzmy — niepolskim spojrzeniem na sprawę katolicyzmu, Kościoła i w ogóle wiary. Skwarnicki pisze z polskiego punktu widzenia, co jest oczywiste, ale co równocześnie nasuwa refleksję nad różnicą pozycji wyjściowych: w Polsce co najmniej 80 % ludzi czynnie uprawia religię w homogenicznej, „narodowej" postaci, podczas gdy w takiej Australii katolików jest tylko 25 %, a i to jeszcze katolicyzm ten jest zróżnicowany w zależności od rodzimej grupy etnicznej i mocno poddany temu, co przyjęto nazywać „płowieniem Kościoła" (dwa problemy, którym autor „Australijskiej wiosny" poświęca dużo

uwagi). Sytuacja australijska wydaje się bardziej odzwierciedlać aktualny stan świata, pod tym względem, niż sytuacja polska. Nasuwa się więc pytanie, które ze stanowisk jest bardziej uniwersalne, gdy mowa o roli religii we współczesnym świecie, o pożądanych czy też ujemnych tendencjach cywilizacyjnych i wreszcie o tym, jakie kategorie semantyczne i praktyczne lepiej nadają się do uchwycenia współczesności. Dla piszącego te słowa polski punkt widzenia jest odruchowo zrozumiały, a równocześnie — po dwudziestu latach pobytu poza Polską — określenia takie jak „łańcuch braterstwa", „pielgrzymowanie" (zwłaszcza w zestawieniu z Boeingami 747, przy pomocy których się to odbywa), „korozja sekularyzmu" i „duchowy marazm" budzą zastanowienie. Czy w terminach tych można powiedzieć rzeczy naprawdę istotne na temat kierunku w jakim rozwija się świat? I jakie jest miejsce Polski w tym rozwoju? Ten „problemogenny" aspekt książki — trudno powiedzieć czy zamierzony przez autora, czy też wynikający samoistnie z jej tematyki — jest niewątpliwie jedną z korzyści wynikających z jej lektury.

Na temat australijskich spotkań autora z wymienionymi z nazwisk osobami, krajobrazów i innych konkretów z antypodów trudno mi się wypowiadać, jako że nigdy tam nie byłem ale sądzę, że zainteresują one zainteresowanych. Zaintrygowała mnie tu tylko jedna sprawa: na str. 192 Marek Skwarnicki podaje, że w Adelajdzie ofiarowano Ojcu Świętemu młodego kangura imieniem Karol. Ciekawe, co się z tym kangurem dalej stało?!

M. BROŃSKI

Instytut Literacki w Kraju

Zamieszczamy poniżej wykaz przedruków książek z „Biblioteki *Kultury*", które ukazały się w Polsce, zarówno w wydawnictwach oficjalnych, jak i w wydawnictwach drugiego obiegu. Ilości przedruków są imponujące, specjalnie w wydawnictwach niezależnych.

Wykaz ten obejmuje ostatnie 10 lat. Został sporządzony w oparciu o zbiory *Kultury* i o różne, dostępne nam bibliografie wydawnictw niezależnych. Zawiera on prace 53 autorów, wydane w 59 tytułach „Biblioteki *Kultury*", przedrukowane 173 razy.

Spis ten jest bardzo niepełny. Niestety wiele wydawnictw niezależnych przedrukowuje nasze książki bez porozumienia się z nami, często nie podając, że jest to przedruk, lub wprost fotografia, a jeszcze częściej — nie przysyłając nawet do nas egzemplarzy okazowych. Nie poruszamy tu sprawy honorariów dla autorów. Jesteśmy jak najbardziej otwarci, nie stawiamy żadnych specjalnych warunków przy udzielaniu zgody na przedruk.

Jest to więc tylko sprawa zachowania dobrych obyczajów.

Zwracamy się więc zarówno do oficyn wydawniczych, jak i do Czytelników z prośbą o uzupełnienie naszego wykazu i o nadsyłanie niewymienionych w wykazie przedruków (naturalnie chodzi nam o oryginały, a nie o fotokopie).

REDAKCJA

PRZEDRUKI KSIĄŻEK BIBLIOTEKI „KULTURY" W KRAJOWYCH WYDAWNICTWACH NIEZALEŻNYCH

AMALRIK Andriej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (1970, 2 wyd.). Wrocław, OFICYNA NZS UNIW. WROCŁ., 1981.

ARON Raymond: *Koniec wieku ideologii* (1956). Kraków, KRAKOWSKIE TOWARZYSTWO WYDAWNICZE (dalej K.T.W.), 198[?].

ARŻAK Mikołaj (Julij Daniel): *Odkupienie i inne opowiadania* (1965). Warszawa, STOP, 1984.

BARAŃCZAK Stanisław: *Ja wiem, że to niesłuszne* (1977). Kraków, ABC, 1981.

BOBKOWSKI Andrzej: *Szkice piórkiem* (1957); 2-gie wyd. KONTRA, Londyn 1985. Warszawa, POMOST, 1988; Kraków, X, 1988.

BOCHEŃSKI Józef M.: *Sto zabobonów* (1987). Kraków, MARGINES, 1987; Warszawa, OFFICYNA LIBERAŁÓW, 1988, KURS, 1988.

BRANDYS Kazimierz: *Miesiące, 1980-1981* (1982, 2 wyd.). Warszawa, NOWA, 1987.

CAMUS Albert: *Człowiek zbuntowany* (1958). Wyd. anonimowe, 1984; Kraków, OFICYNA LITERACKA, 1984; Warszawa, KSIĄŻNICA LITERACKA.

DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Szkice o literaturze emigracyjnej* (1978). Kraków, K.T.W., 1983.

DŻILAS Milovan: *Rozmowy ze Stalinem* (1962). Warszawa, OFICYNA WE, 1983; PROFIL, 1986.

GARDER Michel: *Agonia reżymu w ZSSR* (1966). Warszawa, NIEZALEŻNA INICJATYWA WYDAWNICZA, 1984.

GOMBROWICZ Witold: *Dziennik 1953-1956* (1957, 6 wyd.). Warszawa, KLIN, 1979-1980 (3 t.); OFICYNA NIEOBECNYCH, 1982 (razem z t. 2 i 3); Warszawa, KRĄG, 1984.

— *Dziennik 1957-1961* (1962, 6 wyd.). Warszawa, KLIN, 1980 (3 t.); Kraków, NIEZALEŻNA OFICYNA STUDENTÓW, 1981, OFICYNA NIEOBECNYCH, 1982 (razem z t. 1 i 3); Warszawa, KRĄG, 1984.

— *Dziennik 1961-1966* (1966, 6 wyd.). Warszawa, KLIN, 1980 (tylko lata 1961-1963); OFICYNA NIEOBECNYCH, 1982 (razem z t. 1 i 2); Warszawa, KRĄG, 1984; Kraków, NIEZALEŻNA OFICYNA STUDENTÓW, 1981.

— *Kosmos* (1965, 2 wyd.). Warszawa KLIN, 1980; Kraków, 1983.

— *Opowiadania* (1972). Warszawa, NZS, 1981 (w 3 cz.); OFICYNA NIEOBECNYCH, 1982.

— *Pornografia* (1960, 3 wyd.). Pułtusk, OFICYNA NARODOWA, 1980.

— *Trans-Atlantyk* (1953; 1970, 2 wyd.). Warszawa, MŁYNEK, 1983.

— *Varia* (1973). Wyd. anonimowe, 1981 [?].

— *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie* (1977, 3 wyd.). Warszawa, NOWA, 1981 [tylko część?]; Kraków, X, 1987; Warszawa, STOP i KLON, 1987.

GRYNBERG Henryk: *Zwycięstwo* (1969). Kraków, X, 1986; Łódź, SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA, 1986.
GUZY Piotr: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966, 2 wyd.). Kraków, K.T.W., 1986.
HAUPT Zygmunt: *Pierścień z papieru* (1963). RESPUBLICA, 1988.
HELLER Michał: *Polska w oczach Moskwy* (1984). Warszawa GŁOS, 1986.
— *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka* (1975). Warszawa, KRĄG, 1982.
HERBERT Zbigniew: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze* (1983, 2 wyd.). Kraków, OFICYNA LITERACKA, 1983.
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą 1971-1972* (1973). Wyd. anonimowe, 1983.
— *Dziennik pisany nocą 1973-1979* (1980). Warszawa, NOWA, 1983 (2 cz.).
— *Inny świat* (1965, 5 wyd.). Warszawa, NOWA, 1980; Wyd. anonimowe, 198[?]; Kraków, LIBERTAS, 1984 (2 cz.); Warszawa, KMR BAZA, 1986; Warszawa, OFICYNA LIBERAŁÓW, 1987.
— *Skrzydła ołtarza* (1960). ENKLAWA, 198[?] (2 cz.); Wrocław, OFICYNA MKZ „S", 1981.
— *Upiory rewolucji* (1969). Warszawa, GŁOS, 1981.
HERTZ Aleksander: *Szkice o ideologiach* (1967). Kraków, K.T.W., 1985.
— *Żydzi w kulturze polskiej* (1961). MARGINES, 1987.
HŁASKO Marek: *Cmentarze. Następny do raju* (1958. 4 wyd.). Warszawa, STOP, 1983 [tylko „Cmentarze"]; Kraków, KOS, 1980 [tylko „Następny..."].
— *Opowiadania* (1963, 2 wyd.). Kraków, ABC, 1981.
— *Piękni dwudziestoletni* (1966, 3 wyd.). Kraków, KOS, 1981; Lublin, CiS, 1988; Warszawa, NOWA, 1988; Warszawa, CDN, 1988.
— *Wszyscy byli odwróceni. Brudne czyny* (1964). Kraków, ABC, 1981 (2 cz.).
HOLZER Jerzy: *„Solidarność" 1980-1981* (1984). Wrocław, OFICYNA NIEPOKORNYCH, 1985 [tylko część?]; Warszawa, RYTM, 1986 (2 cz.).
HUXLEY Aldoux: *Nowy wspaniały świat poprawiony* (1960). Warszawa, OFICYNA LIBERAŁÓW, 1985 [razem z „Nowy wspaniały świat"].
KARPIŃSKI Jakub: *Taternictwo nizinne* (1988).. Warszawa, GŁOS, 1988.
KATELBACH Tadeusz: *Rok złych wróżb* (1959). Kraków, 1983.
KISIELEWSKI Stefan: *Podróż w czasie* (1982). Warszawa, MYŚL, 1984.
KOESTLER Arthur: *Ciemność w południe* (1983). Wyd. anonimowe, 1984; Warszawa, „W", 1985.
KOŁAKOWSKI Leszek: *Główne nurty marksizmu. T. 1, 2, 3* (1976-1978). ALTERNATYWY, 1981 (3 t.).
— *Obecność mitu* (1972). Kraków, ABC, 1981; Warszawa, IN PLUS, 1986; „S", 1983.
KORBOŃSKI Stefan: *Polskie Państwo Podziemne* (1975). Kraków, KOS, 1981 (2 cz.): Gdańsk, SOLIDARNOŚĆ WYBRZEŻA, 1983 (2 cz.); WSW KOMITYWA, 1986; Wrocław, OFICYNA NZS UNIW. WROCŁ., 1987.
— *W imieniu Kremla* (1956). VADEMECUM, 1984; Wyd. anonimowe, 1984.
— *W imieniu Rzeczypospolitej* (1954). Warszawa, KRĄG, 1982.
KORYBUTOWICZ Zygmunt: *Grudzień 1970* (1983). Warszawa, SŁOWO, 1984.
KOSZELIWEĆ Iwan: *Ukraina 1956-1968* (1969). Warszawa, SŁOWO, 1986.
KRAŚNIEWSKA Wiktoria: *Po wyzwoleniu...* (1985). Warszawa, POKOLENIE, 1986.
KRYNICKI Ryszard: *Nasze życie rośnie* (1978). Kraków, KOS, 1980 (ilustr.); Kraków, ABC, 1981 (ilustr.).

KUŚMIEREK Józef: *Stan Polski* (1982). Kraków, BIBL. WOLNEJ MYŚLI, 1983.
LEWYTZKYJ Borys: *Terror i rewolucja* (1965). Wyd. anonimowe, 1983.
MACKIEWICZ Józef: *Kontra* (1957, 2 wyd. KONTRA, Londyn, 1983, 1988). Kraków, X, 1987; Warszawa, KMZ BAZA, 1987; OW REDUTA, 1987 [?].
— *Nie trzeba głośno mówić* (1969, 2 wyd. KONTRA, Londyn, 1980, 1985); Wyd. anonimowe, 1984.
MADEJ Bogdan: *Maść na szczury* (1977). Wrocław, NZS, 1981.
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Materiały do refleksji i zadumy* (1976). Kraków, K.T.W., 1983.
— *Modele i praktyka* (1970). Warszawa, GRUPY POLITYCZNE WOLA, 1986 (2 cz.).
MIŁOSZ Czesław: *Człowiek wśród skorpionów* (1962). Gdańsk, MŁODA POLSKA, 198[?]; Warszawa, GŁOS, 1981.
— *Gucio zaczarowany* (1965). Warszawa, NOWA, 1980.
— *Król Popiel i inne wiersze* (1962). Warszawa, NOWA, 1978; Warszawa, SIGNUM, 1980.
— *Miasto bez imienia* (1969). Warszawa, NOWA, 1979; Warszawa, SIGNUM, 1980.
— *Nieobjęta ziemia* (1984). Kraków, TRZECI OBIEG, 1985.
— *Ogród nauk* (1979, 3 wyd.). Warszawa, KSIĄŻNICA LITERACKA, 1984.
— *Prywatne obowiązki* (1972, 4 wyd.). Wyd. anonimowe, 198[?]; Wyd. anonimowe, 1983.
— *Rodzinna Europa* (1960, 5 wyd.). Kraków, KOS, 1981; Wrocław, OFICYNA NZS UNIW. WROCŁ., 1981; LITERY, 1985.
— *Świadectwo poezji* (1983). Kraków, OFICYNA LITERACKA, 1985; Wrocław, CONSTANS, 1986.
— *Widzenia nad Zatoką San Francisco* (1969, 4 wyd.). Warszawa, GŁOS, 1980; Warszawa, KRĄG, 1981.
— *Zaczynając od moich ulic* (1985). Warszawa, NOWA, 1987.
— *Zdobycie władzy* (1955, 6 wyd.). Kraków, KOS, 1980; Warszawa, NOWA, 1980; Kraków, 1981.
— *Zniewolony umysł* (1953, 9 wyd.). Warszawa, NOWA, 1979; Warszawa, NOWA, 1981; Warszawa, BIBL. LITERACKA, 1981; Kraków, KOS, 1981; Wyd. anonimowe, 1983; Warszawa, WOLNOŚĆ, 1986.
MROŻEK Sławomir: *Vatzlav. Ambasador* (1983). PANACEUM, 198[?].
NOWAKOWSKI Marek: *Notatki z codzienności* (1983). Warszawa, NOWA, 1984.
— *Raport o stanie wojennym* (1982). Kraków, BIBL. OBSERWATORA WOJENNEGO, 1984; Kraków, BIBL. WOLNEJ MYŚLI, 1984.
— *Raport o stanie wojennym II* (1983); OFICYNA POKĄTNYCH EDYTORÓW NIEZALEŻNYCH, 1983.
ODOJEWSKI Włodzimierz: *Zasypie wszystko, zawieje...* (1973). MARGINES, 1986.
ORWELL George: *Rok 1984* (1953, 4 wyd.). Gdańsk, MŁODA POLSKA, 19[??]; Warszawa, GŁOS, 1980; Kraków, KOS, 1981; Wyd. anonimowe, 1982; Warszawa, KRĄG, 1982; Warszawa, LIBERTAS, 1984; Warszawa, BRATERSTWO, 1984; Warszawa, OFFICYNA LIBERAŁÓW, 1985; Wyd. anonimowe, 1985; Siedlce, METRUM, 1987.
PASTERNAK Borys: *Doktor Żiwago* (1959, 5 wyd.). Kraków, OFICYNA LITERACKA, 1983 (2 wyd.).
PROTOKOŁY tzw. Komisji Grabskiego (1986). Warszawa, MOST, 1986; Warszawa, MSS, 1987.
ROUX de Dominique: *Rozmowy z Gombrowiczem* (1969). Warszawa, NOWA,

1979; EUROPA, 1981; Warszawa, KSIĄŻNICA LITERACKA, 1984; Warszawa, STOP, 1986.
SACHAROW Andriej: *Mój kraj i świat* (1976). ALTERNATYWY, 1984.
SIERIEBRIAKOWA Galina: *Huragan* (1967). VADEMECUM, 1986.
SOŁŻENICYN Aleksander: *Archipelag GUŁag 1918-1956*. Cz. 1-7, 3 t. (1974-1978). Wrocław, AG. WYD. SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ, 1985 (cz. 1-4, 4 t.); Warszawa, GRUPY POLITYCZNE WOLA, 1986 (cz. 1, 2; 2 t.); Warszawa, POMOST, 1988 (3 t.).
— *Oddział chorych na raka* (1971, 2 wyd.) MARGINES, 1987.
STALIŃSKI Tomasz (Stefan Kisielewski): *Cienie w pieczarze* (1971). Szczecin, ERRATA, 1988.
— *Ludzie w akwarium* (1976). SUPLEMENT, 1987.
— *Romans zimowy* (1972). Warszawa, NOWA, 1980; Warszawa, NOWA, 1983.
STEINSBERGOWA Aniela: *Widziane z ławy obrończej* (1977). Lublin, BIBL. INFORMATORA REG. ŚR.-WSCH. „S", 1984.
STEMPOWSKI Jerzy: *Eseje dla Kassandry* (1961). Kraków, ABC, 1981.
STRASZEWICZ Czesław: *Turyści z bocianich gniazd* (1953). Lublin, CiS, 1987.
SWIANIEWICZ Stanisław: *W cieniu Katynia* (1976, 6 wyd.). Warszawa, OFFICYNA LIBERAŁÓW, 1981; Warszawa, KRĄG, 1983.
TARNIEWSKI Marek (Jakub Karpiński): *Krótkie spięcie* (1977). Warszawa, GŁOS, 1980; Wrocław, MKZ NSZZ „S", 1981.
— *Płonie komitet* (1982). Łódź, SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA, 1986.
— *Porcja wolności* (1980). Warszawa, IN PLUS, 1985; Warszawa, GRUPY POLITYCZNE WOLA, 1986; Wyd. anonimowe, 1986.
WEIL Simone: *Wybór pism* (1958). Warszawa, KRĄG, 1983 (wyd. rozszerzone, 2 t.).
WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Wielka czystka* (1967). WYDAWNICTWO HISTORYCZNE, 1984; NIEZALEŻNA KOOPERATYWA WYD. FENIKS, 1984.
WIERZYŃSKI Kazimierz: *Czarny Polonez* (1968). Warszawa, NOWA, 1979; Warszawa, SŁOWO, 1983; Warszawa, 1984; KURS, 1984.
ZAREMBA Paweł: *Historia dwudziestolecia* T. 1-2 (1981). Warszawa, PRZYSZŁOŚĆ, 1983 (3 t.); Gdańsk, OFICYNA KSZTAŁT, 1986 (t. I ?).
ZESZYTY HISTORYCZNE:
— zeszyt 1. Warszawa, KRĄG, 1981.
— zeszyt 3. Warszawa, NIEZALEŻNA INICJATYWA WYD., 1985.
— zeszyt 53. Warszawa, KRĄG, 1981.
— zeszyt 67. Kraków, K.T.W., 1985.
— zeszyt 68. Kraków, K.T.W., 1985.
— zeszyt 69. Kraków, K.T.W., 1985.
— zeszyt 70. Kraków, K.T.W., 1986.

PRZEDRUKI KSIĄŻEK BIBLIOTEKI „KULTURY" W KRAJOWYCH WYDAWNICTWACH OFICJALNYCH

CZAPSKI Józef: *Patrząc* (wybór m.in. z „Oko", 1960). Kraków, ZNAK, 1983.
GOMBROWICZ Witold: *Dziennik 1953-1956; 1957-1961; 1961-1966* (1957; 1962; 1966; 6 wyd.). Kraków, WYDAWNICTWO LITERACKIE (dalej W.L.), 1986; 1988. (Dzieła t. 7-9).
— *Kosmos* (1965, 2 wyd.). Kraków, W.L., 1986; 1988. (Dzieła, t. 5).
— *Operetka* (1966, 3 wyd.). Kraków, W.L., 1986; 1988. (Dzieła, t. 6).
— *Pornografia* (1960, 3 wyd.). Kraków, W.L., 1986; 1988. (Dzieła, t. 4).
— *Trans-Atlantyk* (1953, 3 wyd.). Warszawa, CZYTELNIK, 1957; Kraków, W.L., 1986; 1988 (*Dzieła*, t. 3).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Wieża i inne opowiadania*. Poznań, W DRODZE, 1988.
HŁASKO Marek: *Cmentarze. Następny do raju* (1958, 4 wyd.). Warszawa, CZYTELNIK, 1985. (Utwory wybrane, t. 2).
— *Opowiadania* (1963, 2 wyd.). Warszawa, CZYTELNIK, 1985. (Utwory wybrane, t. I).
— *Wszyscy byli odwróceni. Brudne czyny* (1964). Warszawa, CZYTELNIK, 1985. (Utwory wybrane, t. 3).
HERTZ Aleksander: *Żydzi w kulturze polskiej* (1961). Kraków, ZNAK, 1988 (Bibl. Więzi, t. 57).
MADEJ Bogdan: *Maść na szczury* (1977). Warszawa, CZYTELNIK, 1983.
MIŁOSZ Czesław: *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada i inne wiersze*. Kraków, ZNAK, 1980. (Zaw. m.in.: „Król Popiel i inne wiersze", 1962; „Gucio zaczarowany", 1974).
— *Dolina Issy* (1955). Kraków, W.L., 1981.
— *Poezje*. Warszawa, CZYTELNIK, 1981. (Zaw. m.in.: „Światło dzienne", 1953; „Traktat poetycki", 1957; „Król Popiel i inne wiersze", 1962; „Gucio zaczarowany", 1965; „Miasto bez imienia", 1969; „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada", 1974).
— *Wiersze wybrane*. Warszawa, PIW, 1980. (Zaw. m.in.: „Światło dzienne", 1953; „Traktat poetycki", 1957; „Gucio zaczarowany", 1965; „Miasto bez imienia", 1969).
— *Kroniki*. Kraków, ZNAK, 1988 (Zapowiedź).
MOSTWIN Danuta: *Ameryko! Ameryko!* (1961). Warszawa, PAX, 1981.
STEMPOWSKI Jerzy: *Eseje*. (Wybór z „Eseje dla Kassandry", 1961 i „Od Berdyczowa do Rzymu", 1971). Kraków, ZNAK, 1984.

Czy muszą być cymelia?

Muszą. W „Słowniku wyrazów obcych" jest napisane, że są to „obiekty biblioteczne o szczególnie wysokiej wartości, mające charakter muzealny, jak np. rękopisy średniowieczne, rzadkie inkunabuły itp.". Tak więc wydzielenie szczególnie cennych obiektów bibliotecznych z całego księgozbioru jest rzeczą konieczną. Powinno przyczyniać się to (czy tak jest w praktyce, to inna sprawa — np. w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego) do ograniczenia dostępności i przechowywania w odpowiednich wa-

runkach cennych zbiorów. Po spełnieniu tych wymogów możliwość ewentualnych uszkodzeń wartościowych woluminów jest ograniczona.

W katalogach niektórych bibliotek (np. BUW, BN) można zauważyć, że wydane stosunkowo niedawno książki, szczególnie przez ośrodki i instytucje polskiej emigracji politycznej, również opatrzone są sygnaturami „cim". Jest to nadużycie. W ten sposób książki o treściach z jakichś powodów dla władz niewygodnych są wydzielane do cymeliów, co powoduje utrudnienie w dostępie do nich. Powstaje fikcja, w bibliotekach oficjalnie nie ma książek, które są niedostępne z przyczyn politycznych, są tylko szczególnie cenne cymelia.

„Książki zakazane" z przyczyn politycznych to prohibita i ta nazwa jest adekwatna do kategorii, którą stanowią. W „Słowniku wyrazów obcych" czytamy: „Prohibita — druki zastrzeżone ze względu na ich treść polityczną lub obyczajową, udostępniane czytelnikom z pewnymi ograniczeniami".

Istnienie prohibitów jest sprzeczne z zasadami konstytucji PRL. Artykuł 73 mówi: „1. Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej. 2. Prawo to zapewniają coraz szerzej: rozwój i udostępnienie ludowi pracującemu miast i wsi bibliotek, książek, prasy, radia, kin, teatrów, muzeów i wystaw, domów kultury, klubów, świetlic, wszechstronne popieranie i pobudzanie twórczości kulturalnej mas ludowych i rozwoju talentów twórczych", zaś artykuł 83 stwierdza: „1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji. (...)

Istnienie prohibitów to złamanie jednej z podstawowych wolności akademickich — wolności badań naukowych.

Istnienie prohibitów od wielu lat powoduje protesty, szczególnie środowisk twórczych i społeczności akademickiej. Po przełomie październikowym 1956 roku Związek Literatów Polskich wystąpił o zniesienie prohibitów. W marcu 1968 roku jednym z ważniejszych haseł studenckich protestów był postulat, w którym domagano się wolności słowa. W drugiej połowie lat 70-tych Studenckie Komitety „Solidarności" również bez skutku protestowały w tej sprawie.

Pewne zmiany w dostępie do „książek zakazanych" spowodowało powstanie niezależnego ruchu wydawniczego. Wiele tytułów książek, do tej pory zamkniętych w bibliotecznych stalowych szafach, zostało przedrukowanych i dotarło do zainteresowanego czytelnika. Pierwszym wydawnictwem była założona w 1977 roku Niezależna Oficyna Wydawnicza — „Nowa". Również studenci tworzą własne wydawnictwo — powstaje „Krakowska Oficyna Studentów" („KOS").

Po Sierpniu 1980 roku problem prohibitów powraca. W czasie studenckich strajków w lutym 1981 roku obok postulatu domagającego się natychmiastowej rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów jest i postulat zniesienia prohibitów. Wyrażał się on w stanowisku Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej: „Każda osoba fizyczna winna mieć prawo do posiadania wszelkich wydawnictw i druków bez względu na tzw. debit komunikacyjny do użytku wewnętrznego". Na ten postulat Komisja Rządowa odpowiadała, że „Minister Kultury i Sztuki zarządzeniem z grudnia 1980 roku uchylił ograniczenia w dostępie do zbiorów specjalnych bibliotek naukowych szkół wyższych". Był to z pewnością pewien postęp, jednak sprawa nie została załatwiona do końca.

W międzyczasie powstaje kolejna niezależna oficyna wydawnicza — „Studencka Oficyna Wydawnicza" („SOWA"), która w okresie do grudnia 1981 roku rozwinęła ożywioną działalność.

Po wprowadzeniu stanu wojennego prohibity powracają do bibliotek. Stan taki trwa do dziś.

Uważam, że w chwili obecnej społeczność akademicka winna w sposób zdecydowany domagać się zniesienia kategorii „książek zakazanych".

Jako działania wstępne proponuję:

1. Tworzenie niezależnych bibliotek

Rozwój niezależnego ruchu wydawniczego trwa nieprzerwanie. Funkcjonuje wiele firm, które corocznie wydają kilkaset tytułów nowych książek. Wydawnictwa niezależne są niestety bardzo drogie. Jest to konieczne, aby podziemne oficyny mogły się samofinansować i rozwijać. Sieć kolportażu z przyczyn „obiektywnych" jest nierównomierna i ograniczona. Tak więc jedna osoba ma możliwość kupienia stosunkowo małej ilości wydawnictw.

Pewnym wyjściem z tej sytuacji jest tworzenie bibliotek wydawnictw niezależnych. Można to robić na wiele sposobów, wybór odpowiedniego zależy od możliwości zainteresowanych.

2. *Przywożenie książek z Zachodu*

W krajach zachodnich istnieje sieć polskich emigracyjnych wydawnictw i księgarni. Zajmują się one produkcją i kolportażem polskich książek nie tylko na emigracji, ale także przerzucaniem ich do kraju. Dlatego każdy, kto zwróci się z prośbą o książki w celu przewiezienia ich do Polski, otrzymuje je nieodpłatnie lub za symboliczną „ofiarą". W czasie, gdy wydawnictwa niezależne w kraju są drogie, warto chyba zaryzykować...

W razie wpadki należy domagać się sporządzenia protokołu ze spisem zakwestionowanych pozycji. Większość z nich przepadnie, jednak niektóre z nich (gdy udowodnimy, że treści w nich zawarte „nie godzą w...") mamy szansę po odwołaniu odzyskać.

Podaję adresy wydawnictw i księgarni za Zachodzie, które udało mi się uzyskać:

Wydawnictwo „Polonia": Polonia Book Fund Ltd., 8 Queen Anne's Gardens, London W4 KU, United Kingdom.

Wydawnictwo „Aneks": 61, Dorset Road, London W5 4HX.

Wydawnictwo „Puls": 132 Cromwell Road, London SW7 4HA.

Księgarnia „Polemika": 49, Rue Gay Lussac, 75005 Paris, Métro: Luxembourg.

Księgarnia „Libella": 12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris.

Księgarnia „Wawel": Stephanstrasse 11, 5000 Köln 1.

Księgarnia „Polska": 1070 Wien, Burggasse 22.

3. Korzystanie z obecnych możliwości

Obecnie, aby móc korzystać z książek ze „zbioru specjalnego", trzeba posiadać zezwolenie, wydane przez samodzielnego pracownika naukowego i zatwierdzone w sekretariacie wydziału. Uzyskanie takiego zezwolenia jest więc sprawą kłopotliwą, lecz możliwą. Następnie pozwolenie musi zostać zatwierdzone przez kierownictwo biblioteki, z której zbiorów chcemy korzystać.

Uważam, że przy uzyskaniu pozwoleń pomocne mogą być koła naukowe, które mogłyby stać się „pośrednikiem" między studentem a pracownikiem naukowym. Koła zbierałyby listę chętnych do korzystania z prohibitów i lista ta zatwierdzana byłaby np. przez opiekuna koła. Ułatwiłoby to znacznie procedurę uzyskania pozwolenia zwłaszcza dla studentów młodszych lat, którzy często krępują się sami o nie prosić.

4. Powiększanie zbiorów bibliotek o nowe wydawnictwa niezależne

Sprawą w chwili obecnej bardzo ważną jest stały dopływ wydawnictw II obiegu i emigracyjnych do bibliotek publicznych. Władze stosują w tym względzie duże utrudnienia (przesyłane legalnie przez zagraniczne instytucje książki są zatrzymywane na cle). Proceder ten wzbudził duże zaniepokojenie dyrekcji Biblioteki Narodowej, która wystąpiła do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk o zdjęcie zakazu dostarczania książek z Zachodu do Biblioteki, której obowiązkiem jest gromadzenie wszystkich wydawnictw ukazujących się w języku polskim. Przedstawiciel GUKPiW oświadczył, że wyda takie pozwolenie wydawcom, którzy oficjalnie wystąpią o tzw. „debit komunikacyjny" i ich prośba zostanie pozytywnie załatwiona. Wydaje się, że np. szef paryskiej *Kultury*, Jerzy Giedroyc, może nie zechcieć wystąpić o takie pozwolenie, skoro od 40 lat Instytut Literacki dąży do

złamania monopolu wydawniczego władz i nie zgodzi się na żadną kontrolę i ograniczenia w tej dziedzinie. Kolejny problem, który utrudnia napływ nowych wydawnictw z zagranicy, to brak dewiz na ich zakup. Obecnie większość książek z Zachodu pozyskiwana jest w drodze wymiany na polskie wydawnictwa. Nie wszyscy jednak chcą się wymieniać... W związku z tym ilość nowych zagranicznych wydawnictw w polskich bibliotekach ulega systematycznemu uszczupleniu.

Jeżeli taka sytuacja będzie się utrzymywać, powstanie duża luka w zbiorach bibliotek, a konsekwencje tego dla nauki i kultury polskiej mogą być katastrofalne.

Dlatego nie możemy oglądać się na postępowanie władz, lecz powinniśmy sami w miarę naszych możliwości pomóc naszym bibliotekom. Możemy to zrobić, oddając niezależne wydawnictwa do zbiorów (np. w depozyt). W tym miejscu należy zaapelować do niezależnych oficyn — przesyłajcie głównym bibliotekom w kraju swoje wydawnictwa! Książki te mają dużą szansę na znalezienie się w zbiorze, z którego będzie mogło korzystać szersze grono czytelników.

Zdaję sobie sprawę, że propozycje, które przedstawiłem, to tylko działania zastępcze i nie umożliwią one dostępu do „zakazanych książek" wszystkim zainteresowanym. Dlatego następnym krokiem winno być domaganie się bezwzględnego zniesienia prohibitów.

MRUCZEK

Kurier Akademicki, pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów, nr 10, luty 1988.

Książki na granicy

Umberto Eco w swojej mądrej książce „Imię róży" napisał, że „nawet przez księgi kłamliwe może przezierać dostępne dla oczu mądrego człowieka blade światło boskiej wiedzy".

Nie do wszystkich dociera ta niewątpliwa prawda, a bezmyślne postępowanie wobec ksiąg i ludzi nierzadko uzasadnia się pojemnym określeniem obrony interesów państwa.

Rzecz, jak można się domyślić, dotyczy konfiskaty druków z przesyłek zagranicznych przeznaczonych dla bibliotek naukowych, które to posunięcia dotyczą wszystkich dużych polskich książnic. Najbardziej zaś dotknęły Bibliotekę Instytutu Badań Literackich PAN (424 pozycje), Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego — pierwszą centralną [bibliotekę] w zakresie nauk społecznych, Bibliotekę Jagiellońską.

W okresie od lutego 1985 do października 1987 roku celnicy

skonfiskowali 111 książek i 140 czasopism nadesłanych dla biblioteki UW. Dyrekcja złożyła 28 odwołań, w wyniku których uchylono konfiskatę 20 tytułów. W przypadku 76 tytułów decyzję Głównego Urzędu Ceł zaskarżono do NSA. Do tej pory jedna skarga została oddalona. Inne są w trakcie rozpatrywania.

Orzeczenie przepadku publikacji celnicy Urzędu Pocztowego w Warszawie uzasadnili tym, że objęte są one zakazem przywozu, określonym w prawie celnym, ze względu na zawarte w nich treści szkodliwe dla dobra i interesów PRL.

To było w lutym 1985 roku. Natomiast w marcu 1988 roku żadnych podejrzeń co do szkodliwości nie wzbudziły tytuły przysłane przez Bibliotekę Polską w Londynie, m.in. „Polityka i odpowiedzialność" oraz „Zapis protestu". Po prostu pojęcie szkodliwości publikacji jest względne. A to, co dla celnika może wydawać się szkodliwe dla nauki, może stać się argumentem. I — naszym zdaniem — zasadnie pyta profesor UW Michał Pietrzak, od kiedy to urzędnik celny ma decydować, co powinien czytać i studiować profesor czy inny pracownik naukowy? Może tak czynić tylko z powodu niespójności przepisów prawnych i braku logicznego myślenia. Trudno posądzać o złą wolę.

Cztery lata temu weszło w życie zarządzenie ministrów kultury i sztuki, nauki i szkolnictwa wyższego i techniki oraz sekretarza naukowego PAN i prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk w sprawie ustalenia wykazu bibliotek, które mogą sprowadzać i gromadzić druki zagraniczne objęte zakazem rozpowszechniania. W wykazie tym znajduje się i BUW. Wydawałoby się — wszystko jasne. Jednakże istnieją dwa, teoretycznie tylko spójne, prawa.

Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 1981 roku mówi, że biblioteki wymienione w wykazie (o którym wyżej) mogą sprowadzać i gromadzić czasopisma i druki wydawane za granicą pozbawione debitu (nie do rozpowszechniania), o czym właśnie decyduje Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Pozycje takie trafiają do odpowiedniego działu i nie są udostępniane wszystkim czytelnikom. Funkcjonuje jednakże i prawo celne, zakazujące przywozu publikacji o treści szkodliwej dla interesów PRL, o czym decyduje celnik. Tak więc z jednej strony decyzja o pozbawieniu prawa przywozu należy do prezesa GUKPiW, z drugiej praktycznie celnik uznając druk za szkodliwy przerywa jego drogę.

Dla wyjaśnienia tych rozbieżności, sprowokowany niejako sprawą konfiskaty książek przeznaczonych dla BUW, prezes NSA wystąpił do Sądu Najwyższego z zapytaniem o relacje, zachodzące pomiędzy ustawą o kontroli publikacji i widowisk a prawem celnym. Sąd Najwyższy wydał 14 marca 1986 roku werdyktem 7 sędziów uchwałę, której sens jest taki: — Uniwersytet może sprowadzać książki czy czasopisma pozbawione prawa rozpowszechniania w Polsce, natomiast nie może tego zrobić, jeżeli... taki zakaz nie zapadł, a publikacja wydaje się GUC szkodliwa dla interesów Polski.

Oddajmy głos prof. Michałowi Pietrzakowi i dr.dr. Leszkowi Garlickiemu, Hubertowi Izdebskiemu i Mirosławowi Wyrzykowskiemu — którzy podpisali opinię w sprawie interpretacji tej uchwały.

„... Niezależnie od aspektów formalno-prawnych, uchwała SN ma szczególnie negatywne znaczenie dla nauki i kultury. Obowiązujące w PRL ustawodawstwo zawsze uprawniało biblioteki naukowe stowarzyszeń twórczych i towarzystw naukowych do sprowadzania i gromadzenia wszelkich publikacji zagranicznych, także tych, które na mocy decyzji organów administracyjnych uznane zostały za naruszające obowiązujące ustawodawstwo. Podyktowane to było interesem nauki i kultury, których normalny rozwój jest niemożliwy przy odcięciu dostępu do publikacji zagranicznych. To prawo zostało zakwestionowane przez Sąd Najwyższy (...) co powoduje nader niekorzystne konsekwencje praktyczne — przekazanie decyzji w zakresie orzekania o treści organom celnym, ludziom do takiej oceny jak najmniej powołanym ze względu na swoje kwalifikacje. Nie muszą oni przecież posiadać nawet średniego wykształcenia, ani znać języków obcych".

W związku z wydaną przez SN uchwałą NSA musiał, rzecz jasna, zmienić swoje orzecznictwo. 19 grudnia 1984 roku, po rozpoznaniu skargi Biblioteki PAN — Oddział w Krakowie, NSA w wyroku wyraził pogląd, że upoważnienie biblioteki naukowej do sprowadzania i gromadzenia publikacji zagranicznych działa bez względu na zakazy rozpowszechniania wynikające z prawa celnego. Efekt tego jest taki, że we wszystkich złożonych skargach NSA zwrócił się do biegłych, aby ocenili, czy zakwestionowane pozycje naruszają dobra i interesy PRL. A przecież na dobrą sprawę to GUC, stosując się do prawa celnego, powinien uciec się do opinii rzeczoznawcy lub do... GUKPiW. I tak już trzy organy zajmują się oceną, co dla kogo dobre.

Przeglądałam w NSA akta, w których znalazłam pismo z 23 marca br. wystosowane przez prezesa GUC do NSA, w którym prosi on o zgodę na wycofanie 13 skarg bez rozpatrzenia. W wymienionych sprawach — czytam — „GUC zdecydował uchylić własne decyzje i w całości wydać zakwestionowane materiały. Oczywiście, o tym, czy skarga ma być wycofana decyduje strona skarżąca, którą GUC akurat nie jest. Sprawy zresztą muszą być rozpatrzone w sądzie do końca. Czy można przyjąć tę nagłą zmianę postawy za objaw optymistyczny?

Odwołam się raz jeszcze do prof. Michała Pietrzaka: „... wolność słowa i druku uważana jest za podwalinę każdego ustroju demokratycznego. Stąd wszelkie jej ograniczenia muszą być precyzyjnie określone przez ustawę i mieć przekonujące uzasadnienie merytoryczne, czyli wynikać z zagrożonego niewątpliwie i bezpośrednio interesu publicznego".

Anna LENAR

***Kurier Polski* z 11 maja 1988.**

Nadesłane nowości wydawnicze

CYBULSKA (Maja Elżbieta). *Potwierdzone istnienie. Archiwum Stefanii Zahorskiej.* Str. 179 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988, cena £ 6,60).

OSMAŃCZYK (Edmund Jan). *Siła kraju i emigracji. Myślenie na przełomie epok.* Str 259 i 5 nlb. (Wyd. Bicentennial Publ. Co., Nowy Jork 1988).

BOCHEŃSKI (Józef M.). *Między logiką i wiarą.* Rozmowy z Janem Parysem. Str. 305 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1988).

KACZMARSKI (Jacek). *Rozbite oddziały. Wiersze i piosenki 1985-1988.* Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1988).

TOKARCZUK (Ignacy, bp). *Wytrwać i zwyciężyć.* Str. 248 i 8 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1988).

MAKAREWICZ (Roman). *Fraszki frasujące.* Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).

ZNAMIEROWSKI (Alfred). *Zaciskanie pięści. Rzecz o Solidarności Walczącej.* Str. 185 i 3 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1988).

LASOCKI (Wiesław A.). *Z ojczystej ziemi.* Rysunki Otto Maciąga. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

OSTROWSKA (Bronisława). *Bohaterski miś, czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie.* Dla dzieci od 10 lat do 100 spisała Bronisława Ostrowska. Ilustrował Kamil Mackiewicz. Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).

STEINFELD (Ludwika). *Elegie chrystusowe, część II.* Str. 265. i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autorki, Frankfurt/M, 1987).

STEINFELD (Ludwika). *Polskie lasy szumiące... Elegie chrystusowe, część III.* Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autorki, Frankfurt/M, 1988).

Białe plamy? I. Materiały ze spotkania w dniu 28. XI. 1987 r.; II. Dokumenty. Str. 115 i 2 nlb. (Wyd. Konwersatorium Historii Kultury, kościół św. Trójcy w Warszawie, 1988).

WOŁYŃSKI (Olgierd). *Głos z Gułagu. Rozmowa z Ewą Berberyusz.* Str. 68 i 2 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1988).

Arka Pana. Str. nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1988).

WHITEHEAD (Alfred N.). *Nauka i świat współczesny.* Przeł. Sławomir Magala. Str. 224. (Wyd. PAX, Warszawa 1988, cena zł 600).

WOJTYŁA (Karol). *Przed sklepem jubilera. Medytacja o sakramencie małżeństwa przechodząca chwilami w dramat.* Str. 58 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 250).

BONIECKI (Adam, MIC). *Notes rzymski. Tom I: listopad 1979 - listopad 1981.* Str. 292. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 750).

LUBAC (de, Henri). *Katolicyzm. Społeczne aspekty dogmatu.* Przeł. Maria Stokowska. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 700).

KUTRZEBA (Stanisław). *Polska odrodzona, 1914-1939.* Str. 306 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 800).

CHRZANOWSKI (Tadeusz). *Wędrówki po Sarmacji europejskiej.* Str. 336 + fotografie nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 1000).

STEMPOWSKI (Jerzy). *Szkice literackie.* Tom I: *Chimera jako zwierzę pociągowe, 1929-1941.* Str. 367 i 1 nlzł Tom II: *Klimat życia i klimat literatury, 1948-1968.* Str. 442 i 2 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1988, cena t. I/II zł 1200).

MARKOWSKI (Stanisław). *Świat, którego już nie ma. Krakowski Kazimierz — dzielnica żydowska.* Katalog wystawy, Kraków, listopad 1988.

KRYNICKI (Ryszard). *Wiersze, głosy.* Rysunki Zb. Grzywacza. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. „Bez debitu", Poznań 1987).

KORDYS (Jan). *Metafora — neurosemiotyka — antropologia.* (Nadbitka ze „Studiów o tropach", I, str. 105-149).

GEE (Sue). *Spring will be ours.* Str. 576. (Wyd. Century, London - Melbourne - Auckland - Johannesburg, 1988).

Ariadne's Thread. Polish Women Poets. Translated and introduced by Susan Bassnett and Piotr Kuhiwczak. Str. 74 i 6 nlb. (Wyd. Fores Books-Unesco, London-Boston 1988).

ZUBRZYCKI (Jerzy). *Soldiers and Peasants: The Sociology of Polish Migration.* Str. 167 i 3 nlb. (Wyd. The School of Slavonic and East European Studies i Orbis Books, London 1988).

SWIATEK (Romuald). *The Katyn Forest.* Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. Panda Press, Londyn 1988).

SWIDERSKI (Bronisław). *Myth and Scholarship. University Students and Political Development in XIX Century Poland.* Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. C.A. Reitzels Forlag, Kopenhaga 1988).

READ (Anthony), FISHER (David). *The Deadly Embrace. Hitler, Stalin, and the Nazi-Soviet Pact 1939-1941.* Str. 687 i 1 nlb. (Wyd. W. W. Norton and Co., Nowy Jork - Londyn 1988).

Polonia Vademecum. A Handbook of Information on Poles and Other Soviet Dominated European Nationals in the Free World. In Polish and English. Str. 90. (Wyd. Ewa Gierat, Bethlehem, USA, 1988).

KEMPF (Gabriele, opr.). *Die polnische Emigration seit 1980.* Str. 144. (Wyd. Johann-Gottfried-Herder-Institut, Marburg an der Lahn, RFN, 1988).

BURMEISTER (H.-P.), BOLT (F.), MESZAROS (Gy.), wyd. *Mitteleuropa, Traum oder Trauma? Überlegungen zum Selbstbild einer Region.* Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. Edition Temmen, Bremen 1988).

Selbstbestimmung für Mittel- und Osteuropa. W: *Schriftenreihe Sloboda,* Heft 9. Str. 206. (Wyd. Verlag Adria, Brugg 1988).

WYNAR (Ludomyr R.). *Mychajlo Hrusevskyj: biobibliographische Quelle 1866-1934.* Str. 68. (Wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1984).

SOLOWJOFF (Wladimir). *Russlands geistige Bestimmung und Mickiewicz — eine Rede.* Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. Lohengrin-Verlag, Rendsburg 1988).

KNEIP (Heinz), ORŁOWSKI (Hubert), opr. *Die Rezeption der polnischen Literatur im deutschsprachingen Raum und die der deutschsprachigen in Polen 1945-1985.* Str. 639 i 1 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1988).

WAGNER (Helmut). *Die Sowjetunion als kommunistische Hegemonialmacht.* (Nadbitka z *Der unvollkommene Block. Die Sowjetunion und Ost-Mitteleuropa zwischen Loyalität und Widerspruch,* wyd. Verlag Peter Lang, Frankfurt/M - Bern - New Jork - Paris, str. 243275).

Jahrbuch der Ukrainekunde 1987. Str. 384. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, München 1988).

BORER (Ernst R.). *Verbrechen gegen die Menschlichkeit. Das Massaker in Katyn.* Str. 20. (Wyd. Schweizerische Aktion für das Selbstbestimmungsrecht aller Völker).

Die zwei Gesichter des Papstes. Briefe an Papst Wojtyla von Juri Popko in bjelorussischer und deutscher Sprache. Dokumente in bjelorussischer und polnischer Sprache. 2. Auflage, ergänzt. Str. 108 i 2 nlb. (Wyd. *Bielorussische Wahrheit,* Leimen 1988).

SALVI (Jozef), BOR (Matej). *Unsere Vorfahren die Veneter.* Str. 407 i 3 nlb. (Wyd. Ivan Tomazic, Wiedeń 1988).

Ostdeutsche Gedenktage 1989. Str. 303 i 1 nlb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1988).

LESSER (Gabriele). *Leben als ob. Die Untergrunduniversität Krakau im Zweiten Weltkrieg.* Str. 183 i 27 nlb. (Wyd. Treff-Punkt, deutsch-polnischer Verlag, Fryburg Bryzgowijski 1988).

BRANDYS (Kazimierz). *Variationen in Briefen.* Powieść. Przeł. Roswitha Buschmann. Str. 293 i 9 nlb. (Wyd. Luchterhand, Darmstadt 1988).

SZECHTER (Szymon). *Wriemia, zadierżannoje do wyjasnienija.* Przeł. z polskiego G. Koniawiczus i O. Sanoczkina. Str. 224. (Wyd. Nina Karsov, Londyn 1988).

SOŁŻENICYN (Aleksander). *Krasnoje koleso, uzieł III: mart siemnadcatowo. (23 fewrala - 18 marta). Gławy 532-656.* Str. 679 i 1 nlb. (Wyd. YMCA, Paris 1988).

Żyw Bog. Siemiejnyj katechizis, sostawlen grupoj prawosławnych christian. Z francuskiego przeł. G. Sidorenko, red. K. Fotijew. Str. 486 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).

NIEKRASOW (Wiktor). *W okopach Stalingrada.* Str. 310 (Wyd. OPI, London 1988).

WOJNOWICZ (Władimir). *Szapka.* Str. 128. (Wyd. OPI, London 1988).

FELSZTINSKIJ (Jurij). *K istorii naszej zakrytosti. Zakonodatielnyje osnowy sowietskoj immigracjonnoj i emigrancjonnoj politiki.* Str. 184. (Wyd. OPI, London 1988).

DRUŻNIKOW (Jurij). *Wozniesienije Pawlika Morozowa.* Str. 262 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).

PASTERNAK (Boris). *Izbrannaja poezija.* Str. 192 i 6 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1988).

FIEDOTOW (G. P.). *Zaszczita Rossiji. Statji 1936-1940 iz „Nowoj Rossiji".* Str. 312 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1988).

Razruszenije chrama Christa Spasitiela. Samizdatowe fotografie. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).

CZETWIERIKOW (Siergij, prot.). *Optina pustyń.* Wyd. II. Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1988).

TOŁSTOJ (N.). *Żertwy Jałty.* Str. 527 i 7 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1988 w serii *Issledowanija nowiejszej russkoj istorii* pod red. A. Sołżenicyna).

FIRT (Julius). *Knihy i osudy.* Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley 1988).

Revolver revue nr 9. Podziemne pismo czeskie, Praga. Str. ok. 330. Data nie podana.

Revolver revue nr 10. Podziemne pismo czeskie, Praga. Str. 340, czerwiec 1988.

KORDER (T. R.). *Voegelin et Patocka. Vyber zaznamu prubehu bytoveho i filosofickeho seminare paralelni kultury v Československu.* Str. 218 i 2 nlb. (Wyd. Athenaeum-Rozmluvy, Purley, Anglia 1988).

DIVIS (Ivan). *Papousci mesto (zaznamy snu z let 1905-1987).* Str. 315 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1988).

VAJDA (Andrzej). *Film zvani zelja.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Narodna Knjiga, Belgrad 1988).

BRANDYS (Kazimierz). *Warszawskie bieleżnice (1978-1984).* Przeł. Petar Vujičić. Str. 333 i 3 nlb. (Wyd. Proswieta, Belgrad 1988).

REMIZOV (Aleksej). *Oganj stvari. Snovi i predsnovno stanje. Gogolj, Puskin, Ljermontov, Turgenjev, Dostojevski.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 159 i 3 nlb. (Wyd. Radio-Sarajewo).

Književna kritika nr 1/1988. Str. 158 i 6 nlb. (Wyd. „Rad", Belgrad).

MILOS (Ceslav). *Poezija.* Str. 390 i 4 nlb. Przeł. Petar Vujičić. (Wyd. Beogradski Izdavacko-Graficki Zavod „Veselin Maslesa", Sarajewo).

LEM (Stanislav). *Solaris.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 208 (Wyd. Prosveta, Beograd, 1988).

ZAGAJEWSKI (Adam). *Putovati u Lavov.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Narodna Kniga, Belgrad 1988).

Rocznica Niepodległości

Wołanie o prawdziwą suwerenność*

Dziękujemy dzisiaj Panu Bogu za niepodległość naszej Ojczyzny. Siedemdziesiąt lat temu, w 1918 roku, po stu dwudziestu trzech latach niewoli, Polska znów wróciła na mapę świata.

Dziękujemy dzisiaj Królowi Wieków za wielką radość, jaką przeżywali wtedy, w 1918 roku, nasi ojcowie; za entuzjazm, jaki przeżywał wtedy cały polski naród.

Wiemy, jak potoczyły się potem dzieje. Pełną niepodległością, pełną suwerennością cieszyli się nasi ojcowie zaledwie dwadzieścia lat! Wszystko to, co nastąpiło potem, było zaprzeczeniem niepodległości i suwerenności. Oczywiście dotyczy to przede wszystkim ciemnej nocy okupacji hitlerowskiej, przedłużonej — w złagodzonej nieco formie — w okresie stalinizmu. Również wszystkiego tego, co przetrwało do naszych dni, nie można nazwać suwerennością w ścisłym tego słowa znaczeniu. U nas, co najwyżej, suwerenną jest tylko partia, choć wiemy, że i ona ma swoje niemożności i z każdą ważniejszą decyzją odnosi się gdzie indziej. Dlatego my, żyjący dzisiaj — siedemdziesiąt lat po tej wielkiej radości — my dzisiaj z obolałymi sercami stajemy u stóp naszej Suwerennej Królowej, prosząc o wolność, o niezakłamaną niepodległość Ojczyzny. Zupełnie tak, jak to czynili nasi ojcowie przed 1918 rokiem.

Okres obecny jest szczególnie trudny. Z jednej strony ogłasza się wielkie programy naprawy Rzeczypospolitej, a z drugiej niszczy się i ogranicza najbardziej podstawowe prawa obywateli i narodu, bez suwerenności którego nie może być suwerenności państwa (Jan Paweł II). W różny sposób niszczy się wysiłki środowisk, które chciałyby, jak nasi ojcowie, współtworzyć i współgospodarzyć we własnym kraju. Wielkim złem również jest przyzwyczajanie się pewnej części społeczeństwa do takiej pow-

* Homilia wygłoszona podczas mszy św. w grotach watykańskich przy grobie św. Piotra dnia 11 listopada 1988 roku.

szechnej niemożności, która rodzi korupcję, cwaniactwo i depresję. Musimy dzisiaj błagać Dobrego Boga o wrażliwość na różnorakie zniewolenia. Prawdziwa suwerenność i wolność zaczyna się od suwerenności ludzkiego ducha, ludzkiego serca (kardynał K. Wojtyła). Budowa zdrowego społeczeństwa wymaga zdrowych i wolnych środowisk, samodzielnych stowarzyszeń i grup społecznych, skupiających odpowiedzialne i zdrowe moralnie rodziny.

Dzisiaj modlimy się również o to, ażeby Kościół, który przez długie lata niewoli był z narodem i podtrzymywał jego nieraz dramatyczne wysiłki w walce o wolność i niepodległość, by ten Kościół nie osłabiał dzisiaj zdrowych odruchów społeczeństwa, ale przeciwnie, by z dnia na dzień umacniał naród w dążeniach do pełnej wolności, by pobudzał do podejmowania nowych wysiłków w budowaniu sprawiedliwszych struktur, by łagodził ból przegranej bitwy zachętą do pracy organicznej, której celem ma być zawsze pełna niezależność narodu. Od pewnego czasu mówi się tu i ówdzie o pobożnym paraliżowaniu wysiłków społeczeństwa przez ludzi Kościoła, którzy, może w poczuciu swej odpowiedzialności, chcąc zapobiec społecznemu zderzeniu, nieświadomie umacniają siłę zła, przedłużając beznadziejność życia społeczeństwa lat ostatnich. Wysiłki lat 80-tych zostały zmarnowane ciągłym oddalaniem ostatecznego załatwienia spraw nabrzmiałych i bolesnych. To, co nie mogło działać jawnie zeszło do podziemia, powodując jeszcze większą ciemność i niepokój społeczny. To, co schodzi pod ziemię zamiera i straszy. Jedynie w sprzyjających warunkach wyrasta do nowego życia, o ile natychmiast nie zostanie przyduszone. To nowe w wielu przypadkach zniekształciło się. W tej masie różnych opinii niektóre środowiska bezkarnie prześcigają się w kolaboracji, powodując u wielu problemy sumienia, rozgoryczenie, a nawet żal do przywódców duchowych, którzy powinni dbać o formowanie ludzkich sumień i ludzkich postaw. Kościół nie tylko ma być drogowskazem dla wierzących, ale powinien, jak dobra matka, przygarnąć z życzliwością tych, którzy starają się o dobro powszechne, umacniając ich wysiłki i dając nową, bardziej dojrzałą i obiektywną ocenę rzeczywistości.

Wspomniałem już, że ostatnio wdziera się do duszy narodu zwątpienie i przekonanie o absolutnej niemożności poprawy sytuacji. W jakiejś mierze jest to wynik niezdecydowanej i niejednoznacznej postawy ludzi Kościoła, którzy może w dobrej wierze wyciszają i łagodzą młodzieńcze, dlatego gwałtowne, reakcje Polaków, które są jednak czasem konieczne, aby naród żył i nie zatracił swojej tożsamości. Na horyzoncie jawi się niebezpieczeństwo, że wprawdzie naród będzie istniał na mapie Europy, ale może to już nie być ten naród, który tysiąc przeszło lat temu został ochrzczony i tyle poniósł ofiar, by ocalić swą tożsamość i swą niepodległość.

Był czas, kiedy państwo polskie nie istniało na mapie Europy, ale tak bardzo mocno istniało w sercach ówczesnych Polaków, że gdy tylko nadarzyła się okazja, naród od razu stworzył suwerenne państwo. Dzisiaj wprawdzie istnieje jako państwo, ale w powszechnym odczuciu jest czymś mało własnym, gdyż nie wyrasta z właściwych korzeni ochrzczonego narodu i nadal pozostaje jakby własnością grupy duchowo obcej narodowi polskiemu i jego kulturalnej przeszłości. Programowe niszczenie tego co święte w powszechnym odczuciu Polaków w okresie „błędów i wypaczeń", w różnych formach przedłużające się do dziś, prowadzi do stanu społecznej depresji, beznadziejności i zaniku patriotyzmu, a następnie objawi się w masowej emigracji, rozkładzie moralności życia społecznego i w cynizmie.

Dlatego prosimy dzisiaj Wszechmocnego, przez wstawiennictwo naszej Matki i Królowej, o pełną suwerenność ducha dla wszystkich Polaków, o żarliwą miłość do Ojczyzny, która była tak wielką wartością dla naszych ojców, iż bez wahania oddawali za nią swoje życie. Módlmy się o radość tworzenia i budowania nowej Rzeczypospolitej, własności wszystkich Polaków! O wytrwałość, abyśmy nie ustali, pomimo wielkich trudności i przeszkód na drodze do celu. Nasze pokolenie ma szczególną siłę przebicia, ma wyjątkowe oparcie w osobie Ojca Świętego Jana Pawła, który całym sercem pragnie prawdziwego dobra Polski i wszystkich Polaków, który momentalnie reaguje, gdy dzieje się niesprawiedliwość i krzywda, który wie, że tylko przez więź z całą narodową przeszłością można zachować tożsamość i suwerenność Polski jutro. Nawet trudno sobie wyobrazić co by się stało, gdyby nie było Papieża-Polaka w ostatnich dziesięciu latach. Dlatego dziękując Bożej Opatrzności za łaskę polskiego pontyfikatu, z jeszcze większą gorącością serca prośmy Chrystusa Pana, tego Chrystusa, który nie wahał się bicz skręcić i powyrzucać bankierów i handlarzy z przedsionka świątyni, abyśmy potrafili być także burzycielami targowiska, które świadomie wprowadzono do wnętrza duszy naszego narodu, by łatwiej go obezwładnić i zniszczyć. Módlmy się, abyśmy mieli trochę z ducha tych, którzy przed nami walczyli o niepodległość i suwerenność Polski, a których dziś, na 70-lecie, zaczęto po raz pierwszy uznawać za bohaterów narodowych i chwalić urzędowo. Dowiadujemy się, że nawet Józef Piłsudski doczekał się parku w Warszawie i ulicy w Krakowie, a w Rzymie otrzymał urzędowe kwiaty od polskiej ambasady. Lepiej późno niż wcale. W epoce *głasnosti* chcielibyśmy, aby wszystko było czytelne i jasne i żeby nie tylko w dniu siedemdziesiątej rocznicy niepodległości, ale na co dzień Ojczyzna była naszym wspólnym dobrem i obowiązkiem, i zawsze najlepszą matką wszystkich Polaków. — Amen.

O. Konrad HEJMO OP

WSPÓŁCZESNA POEZJA POLSKA — WYDANIA W JĘZYKACH NIEMIECKIM I POLSKIM

Tomasz Jastrun

„FAST ZWEIHUNDERT JAHRE SCHON — OD PRAWIE DWUSTU LAT"

Wybór i posłowie: Z. Dominiak. Przekład: W. M. Ronge.
8 rysunków (piórko): M. Dzendzel.
80 str. Cena DM 16,80.

Antoni Pawlak

„SCHWIERIGE GEDICHT-AUSWAHL — CIĘŻKI WYBÓR WIERSZY"

Wiersze z lat 1976-1987.
Wybór i przedmowa: K. W. Tatarowski.
Przekład: A. Gruber.
76 str. Cena DM 15,00.

Do nabycia w polskich księgarniach na Zachodzie lub bezpośrednio u wydawcy:

Veto Verlag Berlin
D-1000 Berlin 10, Richard Wagner Str. 39

KSIĘGARNIA POLSKA
A. i E. NEUSTEIN
TEL-AVIV, P.O.BOX 29443 — IZRAEL
Tel.: 621-311

KSIĄŻKI ANTYKWARYCZNE, WYCZERPANE I NOWE
Na żądanie wysyłamy (bezpłatnie katalogi:
Nry 60 i 62 — Historia i Polityka.
Nry 61 i 63 — Historia i Teoria Literatury, Beletrystyka i Językoznawstwo.
Nr 64 — Różne (Bibliografia, Filozofia, Kultura, Sztuka, Wspomnienia i inne).
Nr 65 — Religia.
Nr 66 — Judaica.

Na składzie 25.000 tytułów.
Kupujemy książki antykwaryczne.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

12-10-88
W dniach 12. 10 - 14. 11. 1988 r. odbyła się w galerii Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Warszawie wystawa Jana Lebensteina, zorganizowana w związku z przyznaniem mu nagrody im. Jana Cybisa za rok 1987. Nagroda ta przyznawana jest w ramach działalności kontynuowanej przez Związek Polskich Artystów Plastyków, który rozwiązano w grudniu 1981 roku.

9-11-88
Doroczne nagrody Stowarzyszenia Autorów ZAIKS dla tłumaczy literatury polskiej na języki obce i literatury światowej na język polski otrzymali: Ewa Seboek z Węgier, Jarosław Symonides z Czechosłowacji oraz Jerzy Lisowski, Jerzy Pomianowski i Juliusz Żuławski.

17-11-88
Z okazji 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości PRL wydała 8 znaczków pocztowych z wizerunkami: Daszyńskiego, Witosa, Marchlewskiego, Wojciechowskiego, Korfantego, Paderewskiego, Piłsudskiego i Narutowicza. Pytanie: co w tym towarzystwie robi Marchlewski? ■ Tylko 4 % polskich rzek zalicza się do I klasy czystości. Spośród 132 zbadanych jezior tylko 1 % ma wodę I klasy, a połowa jest poza wszelką klasyfikacją.

23-11-88
Komitet Kultury Niezależnej przyznał nagrody kulturalne „Solidarności" za 1987 rok. Otrzymali je: Jan Bereś (Kraków) — za twórczość rzeźbiarską; Maciej Bieniarz (Katowice) — za twórczość malarską i rysunkową; Jacek Bocheński (Warszawa) — za książkę „Stan po zapaści", wyd. „Nowa"; Waldemar Fydrych, „Major" (Wrocław), twórca ruchu „Pomarańczowa Alternatywa" — za reżyserię happeningów; Henryk Mikołaj Górecki (Katowice) — za utwór na chór a capella *Miserere;* Marek Grzesiński (Warszawa) — za inscenizacje operowe w warszawskim Teatrze Wielkim („Mistrz i Małgorzata" Reinera Kunada według Michaiła Bułhakowa i „Bramy raju" Joanny Bruzdowicz według Jerzego Andrzejewskiego); Julia Hartwig (Warszawa) — za tom poezji „Obcowanie", wyd. Czytelnik; Alina Kowalczykowa (Warszawa) — za książkę „Warszawa romantyczna", wyd. PIW; Waldemar Krzystek (Wrocław) za debiut filmowy „W zawieszeniu"; Zygmunt Kubiak (Warszawa) — za przekład i opracowanie „Eneidy" Wergiliusza, wyd. PIW; Łukasz Socha (pseudonim) — za książkę „Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1956", Biblioteka kwartalnika politycznego „Krytyka" (NOWA); Jan Józef Szczepański (Kraków) — za książkę „Kadencja", wyd. „Oficyna Literacka; Wisława Szymborska (Kraków) — za tom poezji „Ludzie na moście", wyd. Czytelnik; Jacek Krzysztof Zieliński (Warszawa) — za twórczość graficzną. ■ Warszawski *Kurier Polski* w artykule „Ruble na papierze" komentuje wprowadzenie w PRL powszechnego systemu odpisów w rublach: „Pomysł wprowadzenia odpisów rublowych dla przedsiębiorstw eksportujących do I obszaru płatniczego nie jest nowy. W formie eksperymentu wprowadzono go w 1936 roku i objęto nim 113 wytypowanych zakładów. Własne ruble na koncie miały dopingować do wzmożonego eksportu. Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów mogły być bowiem przeznaczone m.in. na zakup maszyn i urządzeń, dóbr inwestycyjnych, licencji, technologii. Teoretycznie warto było odkładać, aby potem coś kupić. Tak też się stało. Czas płynął, rosła suma rubli transferowych zaksięgowanych na ewidencyjnych rachunkach odpisów i tylko jakoś żadne z przedsiębiorstw nie mogło ich wydać. Mimo dziwnej nieco sytuacji w grudniu 1986 roku RM wydała uchwałę, która przedłużyła czas

trwania eksperymentu na 1987 rok. W ciągu dwóch lat jego funkcjonowania przedsiębiorstwa zgromadziły na kontach blisko 300 mln rbl, z czego wykorzystały zaledwie pół miliona, czyli niespełna 0,2 %! Przeznaczyły je głównie na pokrycie kosztów delegacji służbowych za granicą".

29-11-88
W niezależnej krajowej oficynie wydawniczej „Pomost' ukazał się „Archipelag Gułag" Sołżenicyna w trzech tomach. Jest to przedruk z wydania „Biblioteki *Kultury*". Mimo wysokiej ceny (12.000 zł za trzy tomy) nakład rozszedł się błyskawicznie i jest już przygotowywany drugi. W odpowiedzi na przesłany egzemplarz Sołżenicyn napisał do wydawcy:

„Drogi Przyjacielu, wydawco 'Pomostu'!

Jestem zachwycony Pańską pracą i wysiłkiem. Wydaje się wprost nieprawdopodobne, że tak wspaniałe wydanie może być dziełem podziemnego wydawnictwa. Bardzo się cieszę, że Polacy czytają 'Archipelag Gułag'.

Życzę Panu i Pańskim kolegom wszystkiego najlepszego. Dziękuję!

Aleksander Sołżenicyn".

1-12-88
75 % towarów importowanych przez NRD z ZSSR i 45 % eksportu z NRD do ZSSR przewożone są drogą morską z ominięciem Polski. ■ Zagraniczna renta w dewizach. PAP podaje: *„Zagraniczna renta w dewizach? Sąd Najwyższy oddalił powództwo.* — Sąd Najwyższy ogłosił 30 listopada wyrok w precedensowej sprawie o wypłatę w dewizach renty przyznanej przez zagraniczną instytucję ubezpieczeń społecznych. Zmienił orzeczenie sądu I instancji i oddalił powództwo. Przypomnijmy, że powódka otrzymała rentę rodzinną po zmarłym mężu, obywatelu Wielkiej Brytanii. Do polskiego banku przekazano, tytułem pierwszego świadczenia, ponad 1.400 funtów angielskich. Tymczasem bank zawiadomił zainteresowaną że otrzyma ona rentę poprzez ZUS, tyle że w złotówkach i to przeliczaną po kursie oficjalnym. Powódka nie zgodziła się z taką dyspozycją i zaskarżyła oddział NBP do sądu. Sąd Wojewódzki w Katowicach podzielił jej rację i nakazał przelanie spornej kwoty (wraz z odsetkami wyniosła ona już ponad 1.800 funtów) na dewizowe konto zainteresowanej, które bank powinien — zdaniem sądu — w takiej sytuacji automatycznie otworzyć. Wyrok ten zaskarżyli bankowcy i sprawa trafiła na wokandę SN. Sąd Najwyższy nie dopatrzył się niezgodności pomiędzy ustawą dewizową a przepisami wykonawczymi, na które to przepisy powołał się bank, tłumacząc dlaczego scedował sprawę na ZUS. SN uznał, że przekazanie renty z zagranicy było obrotem dewizowym wymagającym stosownego zezwolenia. O takie zezwolenie powódka nie zabiegała. Renta w funtach została więc przeliczona po obowiązującym oficjalnym kursie i już w złotówkach przekazana do ZUS. Wyrok jest już prawomocny".

Ze względu na bardzo wielką liczbę Polaków, którzy po przejściu na emeryturę przenoszą się do Polski, jest to problem bardzo poważny i wymagający załatwienia, tym bardziej, że w tej chwili dyskutuje się sprawę odszkodowań za przymusową pracę w przemyśle niemieckim w czasie ostatniej wojny. Różne odszkodowania dla obywateli polskich w przeszłości zostały po prostu ukradzione przez rząd PRL w okresie rządów Jaroszewicza. Według informacji z Bonn nowe odszkodowania będą rozpatrywane w RFN, przyznane odszkodowania mają być wypłacane zainteresowanym bezpośrednio w markach.

5-12-88
Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat Teodor Parnicki. W bież. roku obchodził 60-lecie pracy twórczej. Stworzył nowy typ powieści o tematyce fantastyczno-historycznej. Napisał wiele książek m.in. najbardziej znane „Srebrne orły" oraz „Koniec *Zgody Narodów*", która ukazała się w serii „Biblioteka *Kultury*".

16-12-88
Rada Najwyższa ZSSR zatwierdziła poprawki do konstytucji ZSSR. Utworzono nowy najwyższy organ władzy państwowej — zjazd deputowanych ludowych obradujący raz do roku. Stale funkcjonującym jego organem będzie Rada Najwyższa ZSSR wraz ze swym przewodniczącym (takiego stanowiska państwowego dotychczas nie było). W obu izbach obecnej Rady Najwyższej pięciu deputowanych głosowało przeciwko poprawkom, a 27 wstrzymało się od głosu. Odrzucono wniosek łotewski postulujący prawo veta dla poszczególnych delegacji republikańskich (za wnioskiem łotewskim głosowało 23 deputowanych, przeciwko wnioskowi — 1.353 deputowanych). ■ W stolicy Gruzji, Tyflisie, grupa studentów przeprowadziła głodówkę na znak protestu przeciwko poprawkom do konstytucji ZSSR.

22-12-88
Zmarła w Warszawie mec. Aniela Steinsbergowa, znany obrońca polityczny przed wojną i po wojnie, członek KOR-u.

ZACHÓD — EMIGRACJA

22-10-88
Teatr „Autodafé" w Sydney wystawił z dużym powodzeniem sztukę Janusza Głowackiego „Polowanie na karaluchy". Wersja angielska ma tytuł „Hunting cockroaches".

30-11-88
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt p. Haliny Florkowskiej-Francic z Uniwersytetu Jagiellońskiego na temat „Firma zegarmistrzowska Patek 1839-1877 i stosunki między Polakami we Francji i w Szwajcarii". 7 stycznia 1989 roku w Bibliotece Polskiej odbędzie się zebranie dyskusyjne z udziałem Zdzisława Najdera, Bogdana Cywińskiego i red. Michała Kwiatkowskiego na temat emigracji, jej kryteriów, wymogów i perspektyw. 10 stycznia 1989 roku odbędzie się wieczór wspomnieniowy o Michale Borwiczu z udziałem Władysława Bartoszewskiego, Rafała Scharfa i Jerzego Monda. 24 marca 1989 roku zostanie otwarta wystawa 150-lecia Biblioteki Polskiej.

1-12-88
Jury międzynarodowe w Rzymie przyznało Kazimierzowi Brandysowi nagrodę literacką im. Ignazio Silone za cykl „Miesiące" (10 mln lirów). W skład jury wchodzili: Czesław Miłosz, François Bondy i Alberto Moravia. ■ Europejską nagrodę filmową otrzymał w Berlinie Zachodnim Krzysztof Kieślowski za „Krótki film o zabijaniu", który uznano za najlepszy film europejski roku. ■ Włoskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ustanowiło nagrodę, nazwaną Premio Canaletto, która będzie przyznawana co roku obywatelowi polskiemu za wkład w rozpowszechnianie w Polsce znajomości kultury włoskiej oraz za rozszerzanie polsko-włoskich stosunków kulturalnych. Po raz pierwszy nagroda została przyznana Janowi Białostockiemu, profesorowi historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego. (W tej chwili dowiedzieliśmy się, że prof. Jan Białostocki zmarł 24 grudnia 1988 — *Red.).*

2-12-88
W Centre du Dialogue w Paryżu w ciągu grudnia odbyły się następujące spotkania: 2 grudnia — koncert religijny, zorganizowany przez Centre du Dialogue i ARS Club — Radio „Solidarność"; 9 grudnia — wieczór autorski Gustawa Herlinga-Grudzińskiego; 16 grudnia — wieczór piosenki patriotycznej w wykonaniu Jacka Kaczmarskiego. ■ 11 grudnia 1988 roku w wielkiej sali kościoła Gros Caillou odbyło się spotkanie Lecha Wałęsy z emigracją polską w Paryżu.

5-12-88
Zmarł w Londynie w wieku 85 lat Rowmund Piłsudski, polityk i publicysta. Przed wojną był założycielem i prezesem *Myśli mocarstwowej*, pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a w czasie wojny był oficerem samodzielnej brygady spadochronowej. Był współzałożycielem i prezesem Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja" oraz współzałożycielem Związku Polskich Federalistów. Przez szereg lat, aż do śmierci, był redaktorem kwartalnika politycznego *Trybuna*.

8-12-88
Nagrodę im. Wandy Wasilewskiej, przyznawaną przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej za działalność naukową, twórczość artystyczną, publicystyczną i inicjatywy społeczne służące umacnianiu przyjaźni polsko-radzieckiej i szerzeniu wiedzy o kraju rad, otrzymał m.in. Ziemowit Fedecki.

10-12-88
Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała tradycyjny kiermasz gwiazdkowy, na którym odbyła się promocja nowej książki Editions „Spotkania" pt. „Komedianci — rzecz o bojkocie". W spotkaniu wzięli udział: Adrianna Godlewska i Andrzej Seweryn. W czasie wieczoru Andrzej Znamierowski podpisywał swoją nową książkę pt. „Zaciskanie pięści" (Ed. „Spotkania").

11-12-88
Aleksander Sołżenicyn obchodzi 70-lecie urodzin. W „Bibliotece *Kultury*" ukazały się przekłady następujących jego książek:: „Krąg pierwszy" (dwa tomy), „Oddział chorych na raka", „Archipelag GUŁag" (trzy tomy). *Kultura* ponadto zamieściła szereg jego opowiadań.

13-12-88
Association Solidarité France-Pologne wraz z *L'Evènement du Jeudi* zorganizowały w Paryżu wieczór dyskusyjny z udziałem Stefana Bratkowskiego, przewodniczącego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, na temat „Polska w okresie Gorbaczowa". ■ Sekcja polonistyki Wyższej Szkoły Języków i Cywilizacji Wschodnich (INALCO) zorganizowała wieczór poświęcony St. J. Lecowi. Odczyt wygłosił Andrzej Kozimor, tłumacz pierwszego wydania „Myśli nieuczesanych" we Francji. Prelegent podkreślił aktualność i uniwersalność aforyzmów polskiego poety-filozofa.

16-12-88
W Brukseli odbyło się kolokwium zorganizowane przez Centre International Lelewel, poświęcone 200-leciu Rewolucji Francuskiej. W czasie dwudniowych obrad zostały m.in. wygłoszone referaty Emanuela Rostworowskiego pt. „Révolution et contre-révolution à la polonaise", Jana Baszkiewicza z Polskiej Akademii Nauk pt. „Esprit révolutionnaire 1789-1794", Moniki Gluck-Senkowskiej z PAN w Warszawie pt. „Innovation et tradition — deux faces de la domination napoléonienne en Pologne", Stefana Kieniewicza z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Les sources idéologiques de l'insurrection de novembre 1830", Władysława Zajewskiego z PAN w Warszawie pt. „Les traditions de la révolution française dans la Diète polonaise 1830-1831" i wreszcie prof. Stefana Mellera z Uniwersytetu Białostockiego pt. „Les courants de la pensée historiographique polonaise au sujet de la Révolution française (XIX et XX siècles"). ■ W 20-tą rocznicę śmierci artysty malarza Mieczysława Janikowskiego odbyła się w kościele polskim w Paryżu msza żałobna.

KRONIKA KANADYJSKA

W dniach 8-9 października 1988 odbył się w Edmonton, Alberta, walny zjazd delegatów Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Zarząd główny został tylko nieznacznie zmieniony. Prezesem został ponownie inż. Stanisław Orłowski, a pierwszym wiceprezesem Jerzy Burski, natomiast wśród 5-ciu wiceprezesów znalazło się dwoje nowych. Sekretarzem generalnym został Rudolf Kogler, ale zastępcą jego przedstawiciel młodszej generacji, Henryk Czarnota. Wśród działaczy figuruje kilkoro młodszych, w tym polonistka Barbara Sharrat i Grażyna Farmus, wydawca pisma *Echo — Tygodnik Polski* i prezes Polish Canadian Action Group. ■ W Toronto odbyła się jubileuszowa wystawa z okazji 60-lecia Stowarzyszenia Rzeźbiarzy Kanadyjskich. Wśród wystawców znajdowali się Edward Koniuszy i Andrzej Pawłowski. Jedna praca tego ostatniego została nagrodzona. ■ W dwóch galeriach prezentowali swe prace artyści plastycy Jurek Denisiuk i Marek Piątkowski. J. Denisiuk, zamieszkały od kilku lat w Toronto, wystawiał już kilkakrotnie i opracował graficznie kilka książek. M. Piątkowski przybył ostatnio z Polski i wystawiał tutaj po raz pierwszy. Wszystkie w/w wystawy odbywały się we wrześniu i październiku 1988. ■ Instytut Ukrainoznawstwa University of Alberta (Edmonton) zawarł dwuletnią umowę z Uniwersytetem Lwowskim o wymianie studentów i pracowników naukowych. Na mocy umowy jeden student University of Alberta może studiować do 10-ciu miesięcy rocznie we Lwowie, a jeden lub dwoje pracowników naukowych mogą tam prowadzić badania przez trzy do sześciu miesięcy. Taka sama liczba pracowników Uniwersytetu Lwowskiego przybędzie do Edmontonu. Koszty transportu pokrywa każda strona, natomiast uczelnie pokrywają koszty utrzymania gości. ■ W roku akademickim 1988/1989 z Edmontonu do Lwowa udadzą się Ostap Skrypnyk, mgr historii, dr. J. P. Himka, profesor historii i dr Ołeh Ilnyćkyj z wydziału studiów słowiańskich i wschodnioeuropejskich. ■ Ośrodek nauczania języka ukraińskiego przy Instytucie Ukrainoznawstwa zawarł umowę o wymianie publikacji z wydawnictwem „Wesełka" w Kijowie. Strony wysyłać będą po takiej samej liczbie książek dla dzieci. ■ Stypendia na prace badawcze ($ c. 1.500) otrzymali z Instytutu Ukrainoznawstwa m.in. Paweł Korzec na pracę „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych o Ukraińcach w Polsce w okresie 1932-1937", Zbigniew Kowalewski „Ukraińska Armia Powstańcza 1943-1954" i Edward Wynot „Ukraińcy w Polsce w latach 1918-1939". ■ W Bibliotece Instytutu Naukowego w Montrealu odbyła się w październiku wystawa rysunków Brunona Schulza. Odczyt o pisarzu wygłosił prof. J. Odrowąż-Pieniążek. ■ W wyborach powszechnych 21 listopada 1988 zwyciężyła ponownie partia konserwatywna. Po raz pierwszy w obecnym stuleciu konserwatyści uzyskali po raz wtóry mandat. W ten sposób Brian Malroney znajdzie się na czele rządu większościowego w nowej kadencji Izby Gmin. Wybory miały charakter plebiscytu, gdyż toczyły się wokół zniesienia wszelkich barier celnych między Kanadą a USA. Odnośna umowa została już ratyfikowana w USA, natomiast opozycja parlamentarna wstrzymała ratyfikację w Kanadzie. Zwycięstwo wyborcze konserwatystów równa się wyrażeniu poparcia dla układu z USA. Obie partie opozycyjne oświadczyły, iż nie będą już zwalczać umowy w Izbach. ■ Jessie Flis, syn imigrantów polskich, aktywny członek i działacz Związku Polaków w Kanadzie, członek zarządu głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, odzyskał mandat, który utracił w 1984 roku. Kandydował w Toronto w okręgu Parkdale, w tym samym co poprzednio, i pokonał kandydata partii konserwatywnej, który w 1984 roku jego pokonał.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Pomimo stanowczej postawy rządu i administracji, zakazujących dyskryminacji cudzoziemców, a w szczególności uchodźców, powołano specjalny urząd i rzecznika do walki z dyskryminacją; został nim Peter Nobel. W Szwecji zaczyna się odczuwać rasizm, czego dowodem było głosowanie w gminie Sjöbo (na południu). Ogromna większość mieszkańców wypowiedziała się przeciw udzielaniu cudzoziemcom prawa pobytu i pracy na terenie gminy. Według poczytnego konserwatywnego *Svenska Dagbladet* stanowisko gminy w Sjöbo nie wpłynęło na postawę Szwedów w innych częściach kraju. Badanie radia szwedzkiego wykazało, że podobnie jak dwa lata temu, 65 % Szwedów nadal uważa, że Szwecja czyni słusznie, przyjmując uchodźców i obecna ich liczba jest zadowalająca. Tylko 26 % uważa, że uchodźcy przybywają tu wyłącznie z powodów ekonomicznych. Jeszcze dwa lata temu liczba Szwedów zajmujących niechętne stanowisko wobec imigracji wynosiła 35 %. Największą tolerancję wykazują osoby z wyższym wykształceniem. Ludzie słabo wykształceni, względnie o słabych zarobkach, wykazują najmniej zrozumienia i tolerancji wobec uchodźców. ■ 28 września zmarł w Middelfart (Dania) Zenon Przybyszewski Westrup, przeżywszy lat 93. Był on synem Stanisława Przybyszewskiego, pisarza polskiego o rozgłosie europejskim, i Dagny Juel, Norweżki. Urodził się w Kongsvinger (Norwegia) w roku 1895. Po wczesnym zgonie matki osieroconym Zenonem zajęła się siostra matki, która była żoną zamożnego obywatela ziemskiego i konsula, Wilhelma Westrup, Szweda, właściciela majątku ziemskiego Rydsgard w Skanii. Westrup usynowił chłopca. W tym okresie Norwegia i Szwecja były połączone unią personalną. Zenon Przybyszewski zrobił w Szwecji wielką karierę dyplomatyczną. Był jednym z czołowych dyplomatów szwedzkich, zajmował wysokie stanowiska w MSZ, był ministrem pełnomocnym, posłem na wielu placówkach różnych krajów. Po śmierci Wilhelma Westrupa Zenon Przybyszewski Westrup zrezygnował z ministerstwa i osiedlił się w odziedziczonej po ojczymie posiadłości. Był jednak nadal wykorzystywany przez szwedzkie MSZ do ważnych misji dyplomatycznych. Władał wieloma językami, w tym polskim. Interesował się zawsze Polską i zawsze urzędowo posługiwał się również nazwiskiem ojca, trudnym do wymówienia dla Szwedów. Córka jego, Jadwiga, była znaną publicystką i felietonistką w *Svenska Dagbladet*. ■ Projekt zwołania konferencji okrągłego stołu oraz wizyta pani Thatcher były żywo komentowane w prasie szwedzkiej, nie tylko w korespondencjach, ale i we wstępnych artykułach redakcyjnych. Opinia była sceptyczna. Dina Hastad, warszawska korespondentka *Dagens Nyheter*, najpoczytniejszego porannego dziennika, nadaje ostatnio swoim przeglądom sytuacji z Polski ton ironiczny i dla Polaków niezbyt przyjemny. W korespondencji z 24 listopada 1988 czytamy m.in.: „Wałęsa przerwał strajki, za co go nieomal nie zlinczowano". „Kościół zajmuje stanowisko obserwatora i trzyma się na uboczu. Prymas Glemp pojechał aż do Australii, Oceanii i Nowej Gwinei". „Niejeden Polak śledzący rozwój sytuacji w kraju zaczyna sobie, moim zdaniem, zadawać pytanie, czy to wszystko nie zaczyna przypominać sytuacji, jaka zapanowała w Polsce w okresie Targowicy i powstania kościuszkowskiego. Chociażby stanowisko części episkopatu — miejsce szlachty zajęli niektórzy tak zwani intelektualiści oraz członkowie nomenklatury". ■ Kapitan polskiego holownika „Arion" w listopadzie 1988 zszedł w Kalmarze ze statku i zgłosił się do policji, prosząc o azyl polityczny. ■ Staraniem Stowarzyszenia Polek w Szwecji odbywa się w OPON-ie cykl wieczorów literackich. Prelegentami są dr Andrzej Uggla z uniwersytetu w Uppsali oraz dr L. Neuger z uniwersytetu sztokholmskiego. Prelekcje są w języku polskim. ■ Ostatnie wypadki w trzech krajach bałtyckich wywołały ogromne

zainteresowanie i moralne poparcie szwedzkich *massmediów*. Szczególnie bliska Szwecji pod każdym względem Estonia, która do początku XVIII wieku była szwedzką prowincją, a zabrana została przez Piotra I. Wyspy estońskie i wybrzeże zamieszkiwało wielu Szwedów. Część uciekła w latach 1940-1941 do Szwecji, część została wywieziona do Sowietów, niedobitki mieszkają w Estonii. Rząd szwedzki jest w trudnej sytuacji. Z jednej strony znajduje się pod presją opinii, a z drugiej tradycyjny wzgląd na potężnego sąsiada. „Szwecja posiada szerokie kontakty z Nadbałtyką, ale nie może stanąć na przeszkodzie polityce Gorbaczowa" — oświadczył Sten Andersson, minister Spraw Zagranicznych. Uważa on, że obecność Szwecji w krajach nadbałtyckich może przybrać różne formy. „Chcemy przedyskutować to zarówno z przywódcami Sowietów, jak i z bałtyckimi przedstawicielami". Zdaniem dr. Ant Anderssona, pochodzenia estońskiego, Estończycy w tej chwili najbardziej potrzebują mocnego poparcia moralnego. Ostrzega on przed następstwami, jakie mogą zajść w Estonii po uchwaleniu poprawek do konstytucji *(Svenska Dagbladet)*. ■ W niedzielę 6 listopada minister Edward Szczepanik złożył wizytę organizacji wolnych Estończyków i podpisał deklarację ideowo-programową z przedstawicielami rządu wolnej Estonii. W uroczystości tej wzięli udział przedstawiciele wolnych Łotyszów, którzy mają zamiar przygotować podobną deklarację.

Norbert ŻABA

Pisano 6 grudnia 1988

KULTURA I JEJ KRĄG
Les amis de Kultura, Paryż, 1988, str. 203.

Pierwsza historia Instytutu Literackiego
i przedstawienie jego dorobku: katalog-album
z okazji wystawy Czterdziestolecia

Zawiera:

- **biogramy twórców Instytutu Literackiego, jego czołowych współpracowników i autorów;**
- **10 szkiców o historii Instytutu Literackiego, jego działalności wydawniczej, wkładzie do literatury polskiej i światowej, stanowisku wobec najważniejszych problemów życia narodowego, związkach z krajem;**
- **120 ilustracji, w tym wiele nieznanych fotografii i dokumentów;**
- **pełny spis autorów „KULTURY".**

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz
na zamówienie w Instytucie Literackim.

Nakład ograniczony. Cena 380 F.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Pospieszalskiego o filmach rzekomo bluźnierczych w (świetnym) listopadowym numerze *Kultury*. Tych filmów nie widziałem, ale widziałem za to w telewizji dyskusję o jednym z nich z udziałem naszego ks. biskupa i profesora historii Kościoła, o. Bédouelle, O.P. Otóż moim zdaniem czcigodny ks. biskup, o. Bédouelle i p. Pospieszalski popełniają pod jednym względem ten sam błąd. Siadają, że się tak wyrażę, na wielkiego konia teologiczno-etyczno-estetycznego, zamiast rozważać problem po prostu z punktu widzenia uczuć ludzkich. Mnie się wydaje, że uczuciami ludzkimi, zwłaszcza gdy chodzi o znaczną grupę, nie wolno poniewierać. Na przykład, aby użyć porównania autora, nie wolno pokazywać w Wielkiej Brytanii filmu, którego treść obrażałaby uczucia miliona mahometan.

Bo gdyby ktoś zrobił film, w którym czyjaś matka chodzi do burdelu, jej syn miałby, moim skromnym zdaniem, prawo czuć się obrażony — i nie dziwiłbym się gdyby przy okazji zbił na kwaśne jabłko twarz autora owego filmu. Przy czym pytanie, czy jego matka była naprawdę tak godna miłości, w ogóle nie ma znaczenia.

Otóż podobno w jednym z tych filmów jest coś w tym rodzaju odnośnie do Chrystusa. Moim zdaniem pytanie czy to jest bluźnierstwo czy nie, jest nieważne. Ważne jest natomiast, że obraża i to ciężko, uczucia ludzkie. Ale gdy chodzi o uczucia religijne chrześcijan ludziom wydaje się nieraz że im wszystko wolno — choć mamy do czynienia z uczuciami nieraz jeszcze mocniejszymi od rodzinnych.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

J. M. BOCHEŃSKI

◆

Formentera, Hiszpania, 10 listopada 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przed laty był niewinny żart, który brzmiał: „sukienka szałowa". Później pojawił się groźny przymiotnik „kulturowy". Groźny, bo traktowany serio. Przy okazji bardzo proszę tych, którzy tego przymiotnika używają często i w najrozmaitszych kontekstach, o podanie jego *definicji*. Z góry dziękuję.

Od przymiotnika „kulturowy" i od „kulturowości" (takie miłe słówko też już istnieje) z miejsca poszło lawinowo: a więc rozwiązanie siłowe i nieudolność rozwiązaniowa, prognoza pogodowa i omyłki prognozowe, sytuacja cenowa i polityka płacowa, tendencja napięciowa, atmosfera próżniowa, nastroje klęskowe, momenty seksowe, zjawiska ciągłościowe itd., itp. — coraz bardziej bzdurowo i absurdowo. Ostatnio znalazłem w prasie krajowej, użyty przez pewnego humanistę (historyka) przymiotnik „unikatowy". Już nie fatalny „unikalny", lecz unikatowy! Brawo!

Zjawiały się w bełkotowej PRL-owej nowomowie różne nowopotwory, które na szczęście przemijały z modą (pardon: modowo). Jednak te najnowsze przyrostkowo-obłędowe zataczają się szerokokręgowo i wydają się być zaułkowo bezwyjściowe. Używają ich nagminnie publicyści i dziennikarze, nawet ci uważani za poważnych, głównie po tamtej, ale też i po zachodniej stronie Odry i Nysy.

Twierdzą, że język krajowy jest żywy, więc „przeobrażeniowy" i „progresowy". Ale to przecież jeszcze nie znaczy, że *my wszyscy* zacofaniowo, nienadążeniowo, rachunkowo-sumieniowo, uderzeniowo w piersi i bezmyślowo-papugowo powinniśmy każdym tamtejszym idiotyzmem (przepraszam: neologizmem) zaśmiecać polski język.

Łączę ukłony pełnoszacunkowe i głębokie uszanowanie ukłonowe

Jacek K. MACHNIEWICZ

◆

Sztokholm, 8 czerwca 1988.

Szanowny Panie,

Raz jeszcze wrócić chcemy do artykułu pana Stasikowskiego na temat Komitetu Kultury Niezależnej i polemik z nim. Działające w Sztokholmie Niezależne Stypendium dla Studentów Szkół Artystycznych w Polsce było w ... polemikę zamieszane listem jednego z fundatorów, dr. Stankiewicza, do redakcji *Kultury*, wyrażającym wątpliwości na temat sposobu rozdziału stypendiów. Dr Stankiewicz wycofał się z fundacji. Pozostali fundatorzy nie podzielają jego wątpliwości. Fundusz działa nadal przy pełnym zaufaniu i na zasadach uzgodnionych z Komitetem Kultury Niezależnej.

Ponieważ chcielibyśmy ufundować jak najwięcej stypendiów, uprzejmie prosimy o zamieszczenie podstawowych wiadomości na temat naszej działalności:

Niezależne Stypendium dla Studentów Szkół Artystycznych w Polsce działa w Sztokholmie od ponad trzech lat.

Fundusz działa we współpracy z Komitetem Kultury Niezależnej w Polsce. My fundujemy stypendium. Komitet Kultury Niezależnej wybiera kandydata.

Fundujemy stypendia dla wybitnie uzdolnionych studentów szkół artystycznych w Polsce, którzy z różnych powodów mają trudności w kontynuowaniu studiów.

Potwierdzenia przekazanych za pośrednictwem Biura Informacyjnego „Solidarności" w Szwecji pieniędzy ukazują się w *Tygodniku Mazowsze*.

Jak dotąd ufundowaliśmy 5 rocznych stypendiów. Apelujemy o przyłączenie się do naszej akcji. Im więcej fundatorów, tym więcej stypendystów w Kraju. Liczy się każda wpłata, ponieważ jednak stypendia wypłacane są systematycznie przez rok, mile widziana jest roczna kontynuacja wpłat. Pieniądze prosimy wpłacać na postgiro nr 85 46 47-5 lub na konto bankowe Svenska Handelsbanken 195 742 281 z dopiskiem NIEZALEŻNE STYPENDIUM DLA STUDENTÓW SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH W POLSCE.

Ratujmy zagrożoną sztukę polską!

Z poważaniem

NIEZALEŻNE STYPENDIUM DLA STUDENTÓW SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH W POLSCE

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Z.G. i Ania w Kraju; W.K., Kanada; J.G., RFN; Z.S., RFN. — Z wierszy nie skorzystamy.

J.Sz., RFN. — Pana krótki tekst o Ojczyźnie jest na pewno słuszny. Ale czy rzeczywiście trzeba takie oczywiste prawdy głosić publicznie?

Z.J., Szwajcaria. — Wierszowany pamiętnik Pani miłości jest, sądząc z próbek, niezbyt ciekawy. List przesyłamy Ojcu (a nie Panu) Bocheńskiemu.

S.K.B., Hiszpania. — O filmie Martina Scorsese pisaliśmy już w *Kulturze*. Anegdoty są mało zabawne.

A.T., RFN. — Opowiadanie Leonarda *Klub Pickwicka* napisane jest bardzo nieudolnie. Więzienno-sądowe epizody tego typu zdarzały się często w okresie stalinizmu.

A.P., Kanada — *Talawera* jest prawdopodobnie za krótka, aby odsłonić naprawdę te cechy, jakie widzi w jej bohaterze autor.

J.K. — „Nie ma dziś w Polsce krytyka formatu Brzozowskiego". Zgoda. Współczesną kulturę polską zżerają choroby „przyczynkarstwa myślowego" i „mafijności". Być może, ale trzeba to jakoś pokazać, nie unikając przykładów. Wadą *Pomiotu Barabasza* jest jego ogólnikowość.

J.R., Longueil, Kanada. — Pana listu nie zamieścimy. Jest zbyt specjalistyczny, a ponadto Pana polemika dotyczy nie tylko artykułu p. Pospieszalskiego „Będziecie jako bogowie", ale i książki Stephena W. Hawkinga „A Brief History of Time", nieznanej czytelnikowi polskiemu.

T.B., Polska. — Pani krytyka emigracji jest w wielu wypadkach słuszna, ale niezmiernie przejaskrawiona. Nie można wysuwać tak drastycznych oskarżeń bez ich udowodnienia, a do tego anonimowo. Nie zamieścimy.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

oferuje:

Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Stodieck's Buchhandlung,
Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.
Tel.: (030) 341 10 40

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

Jerzy Charasz, Passau (RFN), na walkę z reżimem komunistycznym w Polsce — DM 30,00 ..... F. 102,00

Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Zofii Biernackiej-Wielogórskiej — $ 50,00 ..... F. 300,00

Dla uczczenia pamięci mego brata, Henryka Weynerowskiego — na pomoc walczącym w kraju — Lecha — $ 50,00 .... F. 300,00

E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL ..... F. 200,00

Wiesława Gumulak, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — $ 22,00 ..... F. 132,00

Marian Małolepszy, Rancho Palos Verdes, CA (USA) — zamiast życzeń świątecznych — $ 50,00 ..... F. 300,00

Wojciech Misiewicz, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Polsce — $ 100,00 ..... F. 600,00

Czesława Pluta, Bloomfield, NJ (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — $ 22,00 ..... F. 132,00

Helena Waksmańska, Bloomfield, NJ (USA) — na rzecz walki z komuną w Polsce — $ 22,00 ..... F. 132,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"

Józef i Ewa Chrorzyczewscy, Passau (RFN) — na podziemną działalność „Solidarności" ..... F. 102,33

Dla uczczenia pamięci drogiej przyjaciółki, Krystyny Nawroczyńskiej, zmarłej tragicznie 2 grudnia 1988 r. w Los Angeles — Krystyna Eichler i Joanna Jukowicz — $ 40,00 ..... F. 240,00

Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność" w Montrealu:
— na „Solidarność Rolników" — $ US 1.000,00 ..... F.6.000,00
— na rzecz „Solidarności" w Gorzowie (nadesłał Marek Przykorski) — $ US 500,00 ..... F.3.000,00

◆

Ryszard Figurniak, Itaska, IL (USA) — na „Solidarność Walczącą" złożył w Redakcji *Listów do Polaków* — $ 20,00 .. F. 120,00

Matylda Szpengis, Columbus, OH (USA) — na „Solidarność Walczącą" — $ 45,33 ..... F. 272,00

◆

Association pour la Défense des Droits Démocratiques du Peuple Polonais à Lausanne (Szwajcaria) — na rzecz Komisji do spraw Interwencji i Samorządności ..... F. 400,00

◆

Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności" w Winnipegu, MB (Kanada) (Friends of Solidarity) — na pomoc dla represjonowanych po strajkach w Stalowej Woli (doręczyła Anna Iłowiecka) F.2.393,49

◆

C. Waluk, Kitchener, ON (Kanada) — na pomoc dla Polaków w Rosji ..... F. 220,00

◆

Czesław M. Foksowicz, Edmonton, AB (Kanada) — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego ..... F. 500,00

◆

Stefan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA):
— na Fundusz *Kultury*, po raz 12-ty — $ 45,00 ..... F. 270,00
— na NSZZ „Solidarność" — $ 40,00 ..... F. 240,00
— na pomoc dla walczących w Kraju — $ 40,00 ..... F. 240,00

◆

Karol Jabłoński, Toronto, ON (Kanada):
— na Fundusz *Kultury*, po raz 19-ty — $ c. 48,50 .... F. 243,00
— na „Solidarność Walczącą" — $ c. 48,50 ..... F. 243,00

◆

Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA):
— na Fundusz *Kultury*, po raz 15-ty — $ 100,00 ..... F. 600,00
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — $ 59,00 F. 390,00

◆

Jacek Hejnar, St. Hubert, PQ (Kanada):
— na SOS Coordination Pologne — na leczenie Tomka .. F. 150,00
— na Fundusz *Kultury*, po raz 3-ci ..... F. 70,00

DALSZY CIĄG SPISU RZECZY

KSIĄŻKI

Hanna Świderska: *Zima wasza* 180
Stanisław Bieniasz: *Hans Lipinsky-Gottersdorf — pisarz pruskiej słowiańskości* 183
Jan Podlaski: *Książka dla opozycji* 188
M. Broński: *Papoaustraliana* 192
— *Instytut Literacki w Kraju* 194
Mruczek: *Czy muszą być cymelia?* 199
Anna Lenar: *Książki na granicy* 203
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 206

ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI

O. Konrad Hejmo OP: *Wołanie o prawdziwą suwerenność* .. 209

◆

— *Wydarzenia miesiąca oraz kroniki kanadyjska i szwedzka* 213

◆

J. M. Bocheński, J. K. Machniewicz, Niezależne Stypendium dla studentów szkół artystycznych w Polsce: *Listy do Redakcji* 220
— *Odpowiedzi Redakcji* 222
— *Dalszy ciąg wpłat* 223

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal : 1er trimestre 1989.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9440.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1988		
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA : Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 10,00	$A. 60,00	$A. 110,00
AUSTRIA : Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel. : 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysylanie naleznosci za prenumerate do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przesylanie czekow do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D. M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	$ can. 10,00	$ can. 50,00	$ can. 98,00
NIEMCY : Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (089) 611 36 57. **Ksiegarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 ..	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kosciuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wojcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Ksiegarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Ksiegarnia « Nowego Dziennika »,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$ US 7,50	$ US 40,00	$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WLOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSŁANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160. Cena F. 70,00.

◆

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa"; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa"; „Kamieniołomy"; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192. Cena F. 85,00.

◆

TOM 445 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

zawiera opracowania: Jan Ciechanowski: *Płk Janusz Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim;* Aleksandra Ziółkowska: *Proces Melchiora Wańkowicza w 1964 roku;* Gen. Sir Adrian Carton de Wiart: *Wspomnienia;* Mieczysław Rybczyński: *Wypadki majowe 1926 roku;* Anatol Wertheim: *Żydowska partyzantka na Białorusi;* Jerzy Stępień: *Sprawa biskupa Czesława Kaczmarka;* Jan Ciechanowski: *Brytyjska pomoc dla Warszawy; Lucjan Krawiec;* Tadeusz Wyrwa: *Nowa inicjatywa wydawnicza Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie;* Piotr Wandycz: *Nowe książki;* Gerhard von Jordan: *Powstanie i kapitulacja Warszawy;* Marek Zieliński: *Bez kompromisu;* Alina Kowalczykowa: *Na marginesie „Listów z Rosji" Custine'a;* Tadeusz Wyrwa: *Najnowsze dzieje Polski w komunistycznym wydaniu;* Piotr Wandycz: *ZSSR a Polacy;* Henryk Kozłowski: *„Zaraz po wojnie"; Jacques Maritain o Polsce 1945 roku* oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 80,00.

RICHARD S.A. - Paris - 46.06.88.26

Cena 70 F